

Wszystko dla pani

MARIKA COBOLD

**GUPIKI
NA PODWIECZOREK**

Przekład

JOANNA TYCZYŃSKA

**AMBER**

ROZDZIAŁ 1

A oto nasz admirał. — Siostra Morris pomachała wesoło w kierunku postaci ledwie widocznej pośród mroków panujących w świetlicy. — Zwykle sadzamy go przy akwarium, żeby przypominało mu morze.

Stojąc za plecami siostry Morris Robert Merryman rozglądał się wokół z aprobatą. Jego ręce spoczywały na uchwytnych wózka inwalidzkiego należącego do jego matki. Gdyby nie wszędzie obecny zapach środków dezynfekujących, można byłoby pomyśleć, że znajdowali się w prywatnym domu.

Przełożona pielęgniarek zaprowadziła ich na pierwsze piętro. Ściany niedużego hallu utrzymane były w pastelowych, zielono-szarych barwach, a na wszystkich drzwiach wisały małe, ceramiczne płytki z numerkami udekorowanymi malowaną girlandą kwiatów. Zatrzymali się przy trzecich drzwiach po lewej stronie, na których widniała piątka, otoczona niebieskimi clematisami.

— Oto on! — zabrzmiało w ustach pielęgniarki, jak ogłoszenie zwycięskiej liczby na loterii. — Numer piąty.

Ścisząc głos dodała: — Gdyby państwo tylko wiedzieli, jak wielu mieliśmy chętnych do zajęcia tego pokoju, od czasu, kiedy się zwolnił... — I szeroko otworzyła drzwi.

Robert pochylił się nad wózkiem matki i zajrzał do środka.

— Całkiem miły pokój, zobacz, mamó — zwrócił się serdecznie do staruszki skulonej na wózku i w tej samej chwili poczuł się, jak

sprzedawca forda, który doskonale wie, że za chwilę wróci do domu własnym jaguearem.

Selma Merryman spróbowała odwrócić się w swoim wózku i spojrzeć na syna. — Robercie, ja nie chcę niczego oglądać. Mam w domu całkiem wystarczająco wygodne i miłe pokoje — jej głos się załamał. — Doprawdy, nie widzę najmniejszej potrzeby robienia takiego zamieszania wokół całej sprawy. Mój palec goi się przecież znakomicie. — Ale wszystkie jej protesty były już coraz słabsze, z coraz mniejszą siłą uderzały w otaczający ją mur rodzinnej decyzji. Została wwieziona do pokoju.

„Numer pięć” był nieduży, podłużny. Zapach środków dezynfekujących był tu szczególnie mocny, mimo otwartego na oścież okna. Ściany świeżo odmalowane na biało, wąskie łóżko nakryte pomarańczową nylonową narzutą, nad toaletką, pokrytą laminatem wisiała akwarela przedstawiająca zachód słońca w kolorze lodów truskawkowych. Po obu stronach okna wisiały zielone jak mech zasłony, a obok stał fotel obity zielonkawą tkaniną. Robert nie mógł powstrzymać natrętnej myśli, że tego rodzaju mebli nie znalazłoby się, z całą pewnością, w żadnym prywatnym domu.

— Zawiesiliśmy inne zasłony i położyliśmy nową podłogę. Cóż, musieliśmy to zrobić. — Siostra Morris zacisnęła wąskie, cyklamenowe usta. — Łącznie z podłogą w toalecie, która jest tu, bliźniutko.

— Całkiem ładny pokój — szepnęła Peggy Merryman do swego męża, w czasie gdy siostra Morris krzątała się, zamykając okno i poprawiając poduszki. — Bardzo czysty... — Z niewyraźną miną otuliła się mocniej swetrem.

— Zobaczysz mamó, będzie ci tu o wiele wygodniej niż samej, w domu — nieco podniesiony głos Roberta zabrzmiał dziwnie podobnie do tonu siostry Morris.

— To, że jestem na wózku, Robercie, nie znaczy jeszcze, że ogłuchłam.

— Oczywiście, mamó, nie znaczy. — Robert nerwowo uśmiechnął się do pielęgniarki, której piaskowe brwi drgnęły i uniosły się lekko na dźwięk słów Selmy. Obszedł wózek i kucnął patrząc w twarz matki. — Będzie lepiej, jak już pojedziemy. Czas ucieka, a my mamy jeszcze długą drogę do domu przed sobą. — Ujął ręce matki w swoje dłonie.

Na samo słowo „dom” Selma podniosła głowę i utkwiała wzrok w twarzy syna. Jej oczy były podobne do okrągłych kamyczków zmatowionych przez piasek. Chwyliła jego rękę i przytrzymała przy piersi. Robert spróbował ją oswobodzić. — Dagmara będzie cię odwiedzać, kiedy nas nie będzie, no i Amelia oczywiście. To dobrze, że jest znów w kraju. — Selma wciąż nie wypuszczała ręki syna. Jej uścisk był zaskakująco mocny.

— Cóż, musimy już jechać. — Lekkim szarpnięciem Robert zdołał w końcu oswobodzić dłoń. Pocałował Selmę w obydwie policzki i odwracając się pogłaskał ją niezręcznie po głowie. Wyszedł z pokoju przygarbiony, jakby schylał się przed przejściem pod jakąś niewidoczną belką. Peggy ze łzami w oczach objęła swoją teściową i spieszenie oddaliła się za Robertem. Siostra Morris podążyła za nimi.

— Jeszcze nie jedźcie, kochani—zawołała Selma, siedząc wciąż w tym samym miejscu, tam, gdzie postawiono jej wózek. Nie mogła się nawet odwrócić, żeby zobaczyć jak odchodzą. — Nie jedźcie. Wsłuchując się w głucho ciszę pomyślała, że i tak nie zdoła ich zatrzymać. Tak jak wtedy, gdy stała na szerokich, kamiennych schodach szkoły wołając za swoimi rodzicami. Tak jak wtedy, gdy wiele lat później błagała Daniela stojąc na pomoście portowym, aby nie płynął do Niemiec. Jeśli chcieli odejść, nie mogła zrobić ani powiedzieć nic, absolutnie nic, aby ich zatrzymać.

Trochę później, nie była pewna jak długo — całkiem straciła orientację w czasie — wózek drgnął i Selma poczuła, że ktoś za nią stoi.

— Jestem siostra Williams, pani Merryman. Proszę pozwolić ze mną. Przedstawię pani naszych rezydentów. Na pewno wkrótce zostaniecie przyjaciółmi.

— Wolałabym raczej zostać w pokoju — przerwała Selma podniesionym głosem.

— Ależ to nonsens — odparła wesoło siostra Williams. — Chyba nie chce tu pani siedzieć tak całkiem sama.

— Kiedy byłam dzieckiem, nie znosiłam internatów — powiedziała Selma, podczas gdy pielęgniarka wywoziła ją zrecznie z pokoju.

— Doprawdy, skarbie? — Obsługa domu miała za zasadę posługiwanie się pełnymi imionami rezydentów, a nie zdrobnieniami

w stylu „kochanie” lub „skarbie”, jednak siostra Williams zdawała się wciąż o tym zapominać.

— Po prostu nienawidziłam!

— No cóż, ale to nie jest internat, to Cherryfield — brzmiało to, jak przypomnienie oczywistej prawdy i tym samym rozwiązanie wszelkich problemów.

Właśnie mijały kuchnię. Zza uchylonych drzwi dobywał się zapach gotowanej ryby zmieszany z irytującą wonią środków dezynfekujących. — Dzisiaj dorsz na podwieczorek — obwieściła siostra Williams.

Selma wyprostowała się. — Dorsz na podwieczorek?

— Ryba jest zdrowa i dobrze wpływa na pamięć — stwierdziła z ożywieniem pielęgniarka.

— Nie jadam dorszy na podwieczorek. Plasterek łososia na cienkiej kromce razowego chleba, a i owszem; albo mała kanapka z sardynkami... ale nie dorsz] i nie na podwieczorek! — pewny głos Selmy pobrzmiwał delikatnym szwedzkim akcentem.

— A więc nazwijmy to kolacją — nutka irytacji zmaćiała niezmiennie dotychczas radosny i rzeński ton głosu siostry Williams. — No, jesteśmy na miejscu. Oto nasza świetlica. — Wózek Selmy stanął na środku dużego pomieszczenia.

Ciężkie zasłony w kolorze czerwonego wina były zaciągnięte, ale do pokoju wpadało jednak nieco wiosennego, popołudniowego słońca. Z olbrzymiego telewizora dobywały się dźwięki popularnego show „Blue Peter”, a głos prowadzącego zdawał się wykrzykiwać swoje kwestie tak, by usłyszano go w najdalszym kąciku. Po obu stronach drzwi od tarasu, na drugim końcu świetlicy stały duże, pluszowe fotele, a pod ścianą, naprzeciwko telewizora ustawiono rząd krzeseł z beżowej imitacji skóry. Każde z nich zajmował jeden rezydent.

Selma patrzyła z rosnącą paniką na rząd starców. Niektórzy z nich odwrócili głowy, żeby skinać jej na powitanie, lub uśmiechali się, inni nie odrywali oczu od telewizora.

— ... później składacie je o tak... — Na ekranie prenter o fioletoawych, długich włosach odgiął rogi pustego pudełka po płątkach kukurydzianych. — I oto wchodzie w posiadanie... — Jego młodzieńcza twarz rozpromieniła się i nagle wypełniła cały pokój. — Waszych własnych stajni!

— Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałabym już wrócić do swojego pokoju. Nie mogę czytać w tym hałasie.

— To śmieszne, jak tacy mili starszankowie niespodziewanie potrafią zadzierać nosa... — zastanawiała się później na głos siostra Williams, popijając herbatę wraz z siostrą Morris.

— Kim są ci wszyscy ludzie? — denerwowała się Selma. Co to za miejsce?

W cichym, przytulnym saloniku na Starym Probostwie w Abbotslea, Gerald Forbes podniósł wzrok znad pliku papierów, które leżały na jego kolanach. — Kafejka! Nie, Amelio, nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł. Rzuciłaś swoją świetną posadę, zamieszkałaś ze mną, żeby czuć się swobodnie, niezależnie i, jak sama powiedziałaś, móc pisać co i dla kogo ci się spodoba. Nie po to przecież, żeby zostać właścicielką kawiarni. — Spuścił wzrok i zaczął znów przeglądać papiery.

On łysieje, pomyślała Amelia. Jego włosy, czarne i jedwabiste odstaniały na czubku głowy niedużą, różową łysiną. — Nie wymawiaj w ten sposób słowa „kawiarnia”.

— W jaki sposób? A jak powinienem je wymówić?

— Jeśli mówisz w ten sposób „kawiarnia”, to masz na myśli brzydkie wnętrza, gdzie ludzie przychodzą niechętnie na jakąś przekąskę tylko dlatego, że puby są zamknięte. A moja kafejka byłaby spokojnym portem, gdzie pisarze przychodziliby pisać, artyści szkicowaliby, a zwykli ludzie po prostu odpoczywali po zakupach; gdzie rosłyby piękne rośliny... — Amelia przysiadła uśmiechnięta na poręczy fotela Geralda.

— Jeśli przeniesiesz taką siłę wyobraźni i energię na swoje artykuły, to wkrótce będą drukowane we wszystkich czasopismach tego kraju — zauważył cierpko Gerald.

Amelia wydawała się wcale go nie słuchać. — Musiałoby być też trio. No wiesz, jakiś poczciwy starszy pan przy pianinie i dwie rozłożyste, siwe panie grające na wiolonczeli i skrzypcach. Byłyby na tyle wysokie, żeby je było widać wśród gąszczu roślin.

W zamyśleniu pocałowała łysiejący czubek głowy Geralda. — W dawnych czasach jeszcze w Goethenburgu, Selma spotykała się ze swoimi przyjaciółkami pewnie w podobnym miejscu. Dwa razy

w tygodniu, w poniedziałek i piątek, a czasami może częściej. — Ameba oparła się o ramię Geralda patrząc w rozmarzeniu gdzieś przed siebie.

— Oczywiście, wszystkie nosiły kapelusze. Nie wiem czy byłabym w stanie wprowadzić znów modę na kapelusze, co o tym sędzisz?

Gerald podniósł się z fotela nieznacznie popychając Amelię. — Sądę, że gędzisz. Czy się przesłyszałem, czy kolacja miała być dziś 0 przyzwoitej porze?

Amelia usiadła na zwolnionym właśnie fotelu i spojrzała na niego z wyrzutem. Czuła się zraniona. — Jeszcze dwa lata temu byłeś natchnionym malarzem, z głową pełną obrazów preraphaelitów i pomysłów na stworzenie komun artystycznych. A teraz? Tak bezboleśnie wróciłeś do dawnej roli. Radca prawny... — Amelia westchnęła. — Gdybyśmy chociaż mieli dzieci...

— Nie widzę potrzeby pośpiechu. Wiele kobiet rodzi pierwsze dziecko po trzydziestce. Któregoś dnia jedna z dziewcząt w biurze czytała artykuł, który właśnie dowodził, że starsze kobiety są lepszymi matkami. — Gerald przeszedł przez pokój i stanął przy barku nalewając sobie kolejny gin z tonikiem. — Dolać ci? — Trzymał teraz w ręku butelkę whisky i patrzył pytająco na Amelię. Potrząsnęła głową.

— Biedna ciocia Edith. Zostawiła ci dom w nadziei, że wkrótce wypełnimy go dziećmi, których sama nie mogła mieć — ciągnęła Amelia.

— Ciocia Edith była lesbijką.

— Właśnie mówię; nie mogła mieć dzieci. Tak czy owak to niemożliwe, żeby radca prawny na wsi nie posiadał dużej rodziny. Obejrzyj sobie jakikolwiek serial w telewizji, a sam zobaczysz.

— Oglądasz za dużo telewizji. Nasza nowa urzędniczka Clarissa Edwards oddała któregoś dnia swój telewizor do Oxfamu, dla ubogich.

— To doprawdy miło z jej strony — stwierdziła Amelia. — Ale z pewnością żałowała tego po kilku dniach. Ludzie, którzy pozbywają się swoich telewizorów zawsze tego żałują. Najpierw przeżywają prawdziwy miesiąc miodowy z samymi sobą czytając wszystkie książki, które zawsze chcieli przeczytać, a które nie były tak pochłaniające jak chociażby „Dallas”. Rozkoszują się stawia-

niem pasjansów i odkrywają ciszę. A po dwóch tygodniach można ich zobaczyć u sąsiadów przed telewizorem...

— Kiedy miała być kolacja?

Amelia westchnęła i podniosła się z fotela. — Za dwie minuty.

— Czy dobrze to przemyślałaś, kochanie? — zapytała Selma, gdy Amelia oznajmiła jej o swej decyzji zamieszkania razem z Geraldem. Siedziały we wnęce saloniku w starym domu w Devon. Selma właśnie nalała mocnej kawy do dwóch malutkich filiżanek z delikatnymi złoceniami i przyglądała się wnuczce ponad unoszącymi się w powietrzu oparami kawy, które układały się w malownicze zawijasy i spirale.

Kiedy poruszyła się w fotelu, Amelia poczuła charakterystyczny, choć łagodny zapach herbacianych róż tak bardzo związany z Schną, jakby ona sama była dużą, herbacianą różą. — Robię to z miłości — odpowiedziała po prostu.

Przypomniała sobie tę scenę stojąc w kuchni Starego Probstwa i wyjmując parującą potrawkę z kuchenki mikrofalowej, ostatniego nabytku cioci Edith, którego Amelia wprost nie cierpiała.

— W każdym razie, czy dobrze to przemyślałaś... — Odwróciła się gwałtownie na dźwięk słów Geralda, który wypowiadał na głos zdanie Selmy. — Mam na myśli dzieci. Czy biorąc pod uwagę historię twojej rodziny powinnaś się w ogóle decydować na posiadanie dzieci? — Gerald ze szklanką w ręce stał oparty o kuchenne drzwi. Jego oczy ostrożnie unikały spotkania z jej wzrokiem.

Amelia przyglądała mu się zaskoczona. — Co rozumiesz przez „historię mojej rodziny”?

— Wiesz przecież. Twoja matka jest, jakby na to nie spojrzeć, po prostu nienormalna.

Amelia nie przestawała patrzeć na niego w osłupieniu. Czuła się jak ktoś, kto zwierzył się przyjacielowi z wielkiej tajemnicy i właśnie zauważył, że tamten przypina ów sekret na szkolnej tablicy ogłoszeń.

Wtem zadzwonił telefon i Amelia wybiegła z pokoju. Gerald dobrze widział, że miała łzy w oczach. Ponuro spojrzął na prawie pustą szklankę i wysączył resztę ginu z tonikiem. Pomyślał nagle o Stewarcie.

Stewart, jego przyjaciel z lat szkolnych miał kiedyś pięknego, rudego setera i pewnego dnia dał mu porządne lanie. To było nierozważne bicie wywołane jakimś nieistotnym i wkrótce zapomnianym powodem. Ale niebawem Stewart zaczął bić swego psa regularnie i coraz dotkliwiej, z twarzą czerwoną od poczucia winy i jednocześnie przyjemności.

Do chwili pierwszego incydentu z biciem Stewart przepadał za swoim seterem. Wkrótce jednak znienawidził go.

Gerald wstał i włożył naczynie z potrawką z powrotem do kuchenki. Nie mógłbym nigdy nienawidzić Amelii do tego stopnia, żeby ją uderzyć, ale Bóg jeden wie jak bardzo mnie czasami irytuje, myślał.

Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy w życiu, już ponad dwa lata temu na otwarciu jakiejś wystawy, właśnie wróciła z trzyletniego pobytu za granicą. Dlaczego akurat Szwecja? — spytał sądząc, że ta dziwna aura, która ją otaczała była wynikiem długiej nieobecności w kraju. Amelia zdawała się być wciąż zadziwiona sytuacjami, jakie rozgrywały się dookoła, a na które patrzyła jakby z dystansu.

— Moja matka jest Szwedką. A także dlatego, że zakochałam się w synu jej starego przyjaciela. — Powiedziała to mimochodem, kiedy stali przed dużym gwaszowym aktem. — On był żonaty — dodała. — Któregoś dnia zobaczyłam przypadkowo jego żonę z trójką dzieci. Trójką ślicznych, jasnowłosych dzieci. — Odwróciła wreszcie głowę i spojrzała prosto na niego. Jej oczy w kształcie migdałów rozszerzyły się, wyrażając nieme zdziwienie całą niesprawiedliwością tego świata. Karmili foki w Slottskogen. Tak to się skończyło. Nie mogłam już dłużej tam zostać. Rozstaliśmy się, a ja wróciłam tutaj. — Odwróciła się i podeszła do pejzażu przedstawiającego morze.

Kiedy poznali się lepiej, Gerald doszedł do wniosku, że owa aura, która sprawia, że Amelia wydaje się nie całkiem pasować do swego otoczenia, była jej stałą cechą i przy okazji źródłem wielu przykrości. Mogło się wydawać, że spędziła większość dzieciństwa zwinięta w fotelu i pogrążona w czytaniu, albo rozmyślaniu i że czuła się bezpieczniej w świecie swoich książek [gdzie rodziły się pięcioraczki, mamy uśmiechały się łagodnie, a surowi, ale kochający ojcowie prowadzili swoje dzieci przez życie pełne miłych przygód

i łagodnej moralności] niż w postępowej szkole z internatem lub w nieskazitelnym mieszkaniu swojej matki.

— Mój ojciec wyniósł się z domu i zostawił nas, kiedy miałam dwa lata — powiedziała Geraldowi w czasie drugiego spotkania. Jej miękki głos brzmiał czysto, kiedy wymawiała te słowa. — Później umarł.

Kiedy kochali się pierwszy raz, Amelia zaskoczyła go najpierw swoją namiętnością, a później nie ukrywanym zażenowaniem, gdy ubierała się pośpiesznie i nie chciała mówić o tym, co się między nimi zdarzyło.

Wiele tygodni później Gerald powiedział oskarżycielsko: — Po każdym naszym spotkaniu, kiedy idziemy do łóżka zachowujesz się jak zawstydzona małolata właśnie pozbawiona dziewictwa.

Myślała dłuższą chwilę, zanim mu odpowiedziała. — Chciałam być dziewczyną, kiedy będę wychodzić za męża. Ale to nie było realne. W gruncie rzeczy... — ciągnęła dalej w zamyśleniu, odpowiadając jak zwykle szczegółowo na jego pytanie. — Miałam szesnaście lat, kiedy po raz pierwszy poszłam z kimś do łóżka. To było takie dziwne — westchnęła. — Wszystkie moje szkolne przyjaciółki chciały za wszelką cenę stracić dziewictwo, ale tylko paru się to udało. Ja, która miałam szuflady pełne białej, koronkowej bielizny wpadłam właściwie w pierwsze wyciągnięte ramiona. Wydawało mi się, że nie mogę nic na to poradzić. — Spojrzała uważnie w jego oczy, jakby miała nadzieję, że wytłumaczy jej całe to skomplikowane życie.

— Nie byłam na to wcale przygotowana. Spójrz tylko na wszystkie te Polyanny i Anie z Zielonego Wzgórza przechodzące od dziewczęctwa do dojrzałego macierzyństwa w czystości, która wzruszyłaby Matkę Boską. Pobiegłam wtedy do domu dziadków, zamknęłam się w pokoju z „Kubusiem Puchatkiem” i nie wychodziłam stamtąd przez tydzień. Czułam się pogardzana przez wszystkich uczciwych i skromnych bohaterów powieści, jakie wtedy czytałam. Wypędzona do świata takich książek, jak „Kitty, zakochana nastolatka”, albo „Romans siostry Barton”. — Amelia uśmiechnęła się nieznacznie i wzruszyła ramionami.

Gerald przypomniał sobie te i wszystkie inne rzeczy, które opowiadała mu Amelia swoim miękkim, cichym głosem, ale teraz tylko go to irytowało. Wstał od stołu i rzucił ze złością pusta

szklankę do zlewu. — Dlaczego wszystko musi być zawsze tak cholernie skomplikowane? — w jego głosie brzmiała wściekłość. — Dlaczego, do diabła, nie możesz być po prostu normalną kobietą?

W hallu ostatnie promienie popołudniowego słońca wpadały jeszcze przez okno. Amelia stała ze słuchawką w dłoni. — Panna Lindsay? Panna Amelia Lindsay? — głos w słuchawce nie czekał na potwierdzenie, lecz ciągnął bolesnym tonem: — Panno Lindsay, tu siostra Morris z domu opieki w Cherryfield. O ile nam wiadomo, wybiera się pani tu z wizytą pod koniec tygodnia; niestety to musi ulec zmianie.

Kiedy głos umilkł na chwilę, zapewne dla nabrania oddechu, Amelia zapytała: — Mam przez to rozumieć, że nie życzą sobie państwo moich odwiedzin?

— Och nie, absolutnie nie. Ale oczekujemy pani wizyty najszybciej jak tylko to będzie możliwe. Obawiam się, że to musi nastąpić natychmiast — oznajmiła przełożona z ponurą satysfakcją człowieka, który przynosi złe wieści.

— Czy babcia zachorowała?

— Zapewne jest chora na umyśle, zwłaszcza po tym, co powiedziała dzisiaj naszej młodej pielęgnowarce... Ale fizycznie pani babcia czuje się całkiem dobrze. W każdym razie oczekujemy pani jutro w Cherryfield. — I siostra Morris odłożyła słuchawkę.

ROZDZIAŁ 2

Przez cały wieczór Amelia chodziła zdenerwowana i zaniepokojona. Co złego mogło się przytrafić babci? Dlaczego wuj Robert uznał, że ma prawo wrócić do Brazylii zostawiając Selmę pod opieką Amelii i jej bezużytecznej matki? Pytania powracały wciąż na nowo i Amelia była coraz bardziej niespokojna. W końcu Gerald nie wytrzymał i zapytał: — Dlaczego po prostu nie zadzwonisz tam i nie spytasz, co właściwie się stało, jeśli w ogóle coś się stało, zamiast krażyc po domu i jęczeć? — Nie czekając na odpowiedź odwrócił się i poszedł do sypialni.

— Nie mogę teraz zadzwonić, jest za późno, obudziłabym ich! — zawołała za nim cicho, przypominając sobie czasy, kiedy w takich sytuacjach otoczyłyby ją ramionami i łagodnie pocieszył.

Następnego ranka Amelia jechała na dworzec w Basingstoke, podlawszy uprzednio pomidory i sadzonki bakłażanów w inspekcje oraz nakarmiwszy kury.

Czarne, wilgotne grudki ziemi oblepiły obcasy jej czerwonych botków. Zapomniała też włożyć pasek, który, jak twierdził Gerald, bardzo poprawiał wygląd jej kostiumu. Amelia znała i doceniała znaczenie odpowiednich dodatków, ale czasami po prostu o nich nie pamiętała. Nie dlatego, że myślała jedynie o ważnych sprawach, ale po prostu o innych.

Była na dworcu o odpowiedniej porze, jak zawsze, kiedy podróżowała pociągami albo samolotami, i znalazła dobre miejsce w wagonie dla niepalących.

Kiedy pociąg do Plymouth powoli wytaczał się ze stacji, Amelia wyjęła książkę ze swojej czarnej, aksamitnej torby. Znalazła odpowiednią stronę, ale zaraz podniosła oczy i zamyśliła się patrząc w dal.

Pomyślała nagle o Willoughbym, mężu Selmy, umierającym w szpitalu w Kingsmouth. Wokół jego łóżka zaciągnięto zasłony oddzielające jego konanie od życia sali szpitalnej, na którą właśnie wniesiono kolację. To tej nocy, poprzedzającej śmierć Willoughby'ego wuj Robert po raz pierwszy poruszył sprawę „Jakiegoś Miłego Domu Opieki”. Amelia próbowała zasnąć na wysokim, starym, mahoniowym łóżku, na którym czterdzieści lat temu zmarł pradziadek Jocelyn. Miał łagodną, spokojną śmierć, jak jej opowiadano. Tym niemniej Amelia nie lubiła tego łóżka. Wiedziała, że Jocelyn leżał tu z przymocowanymi do krawędzi, bezwładnymi kończynami, z niemym krzykiem na ustach, bezbronny wobec zbliżającego się i nieuniknionego końca. Teraz, pomyślała, przyszła kolej na Willoughby'ego i to on miał wyznaczone spotkanie z ponurym Wysłannikiem Losu.

Zapaliła światło i spojrzała na zegarek, był kwadrans po trzeciej. Już miała wyłączyć lampkę, gdy nagle zobaczyła w drzwiach babcię. O jej nogi ocierały się dwa koty: Tigger i Tim.

— Ach, tu jesteś, kochanie — ucieszyła się Selma. — Nie mogę sobie poradzić z tą głupią puszką. Może tobie uda się ją otworzyć? — W wyciągniętej ręce trzymała puszkę „Whiskas”. — Tu masz otwieracz, jest strasznie tępy.

— Mamo, co ty tu robisz o tej porze? — Robert z nieco zmierzwionymi włosami, ale w starannie zawiązanym szlafroku pojawił się w hallu. Zajrzał do pokoju i zobaczył Amelię, w koszuli nocnej, z puszką pokarmu dla kotów na kolanach. — Co się tu dzieje, Amelio?

— Och, nic, to tylko koty, mój drogi — spokojnie odparła Selma. — Nie dostały dzisiaj obiadu. — Robert patrzył za matką, kiedy wyszła z pokoju z otwartą puszką, w ślad za nią miauczące koty, i zniknęła w ciemnym hallu. To właśnie wtedy po raz pierwszy wspomniął o „Jakimś Miłym Domu”.

Nazajutrz Willoughby zmarł. Cała rodzina, Robert i Peggy, matka Amelii Dagmara i sama Amelia zostali razem do czasu pogrzebu i Selma była im za to wdzięczna.

Nie powinna, pomyślała Amelia odwracając oczy od okna i przewracając kolejną, nie przeczytaną kartkę książki. Ten tydzień był dla niej decydujący, była poddana rodzinnemu sądowi. Lodówka pełna przeterminowanych jogurtów i małych, troskliwie zapakowanych resztek dawnych posiłków, nieustanne powtarzanie tych samych pytań, bezowocne wyprawy do sklepów, które kończyły się godzinami bezsensownego krążenia po miasteczku, wszystko to było zanotowane i użyte jako argument przeciw jej samodzielności. Zanotowane przez kochające i spostrzegawcze oczy jej najbliższych.

Peggy stała bez słowa nad paczuszką rozwiniętą z foliowanego papieru.

— Kotlety z jagnięcia. — Selma pojawiła się w otwartych drzwiach kuchni i oznajmiła radośnie: — Właśnie się zastanawiałam, gdzie się podziały. — Wzięła widelec i podniosła jeden z nich na wysokość oczu. Patrzyła uważnie na pleśń, która zwisała z kotleta, jak poszarpane futerko. — Obawiam się, że mogą być odrobinę nieświeże. Doprawdy, nie próbowałabym ich jeść na twoim miejscu, kochanie.

Do tego wszystkiego doszło jeszcze zachowanie Dagmary, która kursowała między pokojem, a łazienką, myjąc co chwila ręce i uważnie rozkładając chusteczki jednorazowe na siedzeniach wygodnych, choć już podniszczonych foteli, kiedy miała zamiar na nich usiąść.

Robert, który nie znał zwyczajów swojej przyrodniej siostry uznał, że wszystko to dowodziło, iż czas, kiedy Selma była w stanie sama prowadzić dom już niewątpliwie dobiegł końca. Amelia zastanawiała się, w jaki sposób obsesja jej matki po raz kolejny, jak brudna plama rozlała się na życiu innych ludzi.

— Tak za nim tęsknię, tak bardzo za nim tęsknię! — Nagłe załamanie Selmy po tylu dniach stoickiego spokoju i wzorowej samokontroli zerwało tamę łez akurat podczas wspólnego oglądania wieczornych wiadomości w telewizji. Wszyscy poczuli się nieswojo. Robert wstał i wyłączył fonię, po czym zwrócił się do matki łagodnie: — Wiesz, wszystkim nam się wydaje, że czułabyś się o wiele szczęśliwsza w jakimś miłym domu opieki, niż tutaj, całkiem

sama w ogromnym mieszkaniu, w którym wszystko ci będzie przypominać tatę.

— Nie mogę zapomnieć twojego ojca — Selma spojrzała na syna uśmiechając się przez łzy. — Ani w tym domu, ani nigdzie indziej; żyliśmy razem przez prawie pięćdziesiąt lat.

Nieco później Peggy odkryła, że Selma nie używała mydła i ręcznika od czasu, kiedy Willoughby miał wylew; od dnia, kiedy nie mógł jej już pomóc w wejściu do wanny. — Musisz zrozumieć, że potrzebujesz dobrej opieki — tym razem głos Roberta był chłodniejszy i bardziej zdecydowany.

Amelia spojrzała na babcię. — A co ty o tym sądzisz? — zapytała.

Selma powoli opuszczała filiżankę, koncentrując uwagę na swojej drżącej ręce, jakby chciała ją uspokoić wzrokiem. Jednak drżenie zwiększyło się zamiast ustać i filiżanka uderzyła głośno o spodeczek. Spojrzała na Amelię wyblakłymi oczami, z których wypłakane łzy zmyły całą barwę. — Chcę zostać tutaj. To jest mój dom.

Niecały miesiąc po tym, pięć dni temu, dom Selmy został sprzedany a ona sama umieszczona w Cherryfield. Wątpliwości Amelii, jakkolwiek silne, nie znalazły potwierdzenia ani w słowach, ani w czynach.

Siedząc więc w pociągu do Plymouth zastanawiała się ze wstydem nad swoim brakiem lojalności, stanowczości i siły przebiccia.

Taksówka wiozła Amelię z dworca przez miasteczko Kingsmouth i mijała Ashcombe, gdzie stał dawny dom Selmy i Willoughby'ego. Wkrótce miał on przejść na własność państwa Hamiltonów, miejscowego budowniczego i jego żony. Amelia patrzyła na biały dom na wzgórzu, obok niewielkiej rzeczki. Szeroki, opadający ku wodzie trawnik porastały setki żonkili, które kiedyś posadził tu Willoughby. Samochód zakręcił i wzgórze zniknęło jej z oczu.

Cherryfield, duży, kwadratowy dom otoczony zielenią stał na drugim końcu małego miasteczka. On również był biały z zielonymi okiennicami i również stał na wzgórzu. Robert wiele razy zastanawiał się, czy to podobieństwo i niedalekie sąsiedztwo Ashcombe będzie cieszyć, czy raczej ranić jego matkę. Czy będzie podnosił ją

na duchu widok własnego domu, w którym mieszkała blisko pięćdziesiąt lat? Czy ten dom za rzeką, widoczny z okien Cherryfield sprawi, że poczuje się bezpieczna, czy też stanie się on nieustanną torturą wspomnień?

— Myślę, że wyjazd na zupełnie nowe miejsce byłby jeszcze gorszy — ostatecznie postanowił Robert. Selma z niepodobną do siebie uległością starej kobiety wobec syna próbowała jeszcze prosić. — Wiem, że to już nudne, kochanie, ale czy naprawdę nie mogłabym zostać tutaj, w Ashcombe? Obiecuję, że nie będę dla was ciężarem. — Zaśmiała się cicho, co miało znaczyć „Jakbym kiedykolwiek była”, lecz jej oczy utkwione w twarzy Roberta były bardzo poważne.

Kiedy Selma mozolnie podniosła się z fotela, Robert wymienił z żoną porozumiewawcze spojrzenia. Na miejscu, gdzie przed chwilą siedziała widniała ciemna, wilgotna plama.

W Cherryfield ładna, jasnowłosa pielęgniarka otworzyła drzwi. Kiedy wyszła przed dom, żeby powitać Amelię, biały płatek z kwitnących właśnie drzew wiśniowych uniesiony wiatrem wylądował na jej jasnych lokach. Pielęgniarka wyglądała bardzo młodo i uśmiechała się czarująco. — Proszę spocząć i zaczekać tutaj — wskazała krzesło w hallu. — Siostra Morris przyjdzie za moment.

Amelia usiadła i poczuła się nieco uspokojona. Wszystko wydawało się być tu w idealnym porządku i Cherryfield sprawiało wrażenie tak miłe, jak opisywał to Robert.

Spojrzała z aprobatą na duży wazon wypełniony kwitającymi gałęziami wiśni, które odbijały się w błyszczącym blacie mahoniowego stolika i wiszące na wybielonych ścianach grafiki. Promienie słońca wpadały przez kolorowe szybki nad drzwiami tworząc na dywanie fantazyjny wzór. Specyficzna cisza, pomyślała Amelia przeglądając ostatni numer miesięcznika „The Field”.

— Zostaw mnie w spokoju, ty głupia krowo! Nie będę siedzieć na tym paskudztwie. — Amelia podskoczyła na równe nogi rozpoznając głos Selmy. Wymawiała słowa z nieskrywaną furją, ale wyraźnie.

— Powtarzam ci po raz ostatni, będę siedzieć gdzie mi się podoba i susiać, gdzie mi się podoba. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Płacę ci wystarczająco dużo.

Drzwi z korytarza otworzyły się szeroko i do hallu weszła

kobieta lat około pięćdziesięciu, dość postawna. — Panno Lindsay, jestem siostra Morris. — Wyciągnęła rękę w kierunku Amelii ledwo dotkając jej dłoni, po czym szybko ją cofnęła. Rozumiem, że słyszała pani naszą małą sprzeczkę. To się zdarza nie po raz pierwszy. Piaskowe brwi siostry Morris drgnęły i uniosły się, a wargi zacisnęły, jakby chciała dać do zrozumienia, że miała na myśli coś daleko bardziej cierpkiego, lecz mężnie powstrzymała chęć wypowiedzenia tego na głos.

Amelia nic nie odpowiedziała. Siostra Morris wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i mówiła dalej: — Obawiam się, że to wszystko ma bardzo destrukcyjny wpływ na innych rezydentów, nie mówiąc o obsłudze. Właśnie wczoraj jedna z dziewcząt wróciła do domu z płaczem.

— Przykro mi — wykrztusiła w końcu Amelia. Nie przychodziło jej do głowy nic lepszego. Kiedy jednak siostra Morris spojrzała na nią wyczekująco swymi zielonkawymi, wyłupiastymi oczyma, dodała: — Czy mogę jakoś pomóc? Czuła, że należy do świata, w którym to dziadkowie upominają swoje niesforne wnuki, a nie na odwrót.

— To całkiem proste — zapewniła Amelię siostra Morris. — Pani babcia musi, podkreślam, musi być świadoma tego, że jako gość tutaj, w Cherryfield, ma obowiązek zachowywać się zgodnie z naszymi zasadami i regulaminem...

Przez wyobraźnię Amelii przesunął się obraz Selmy przykutej do ściany w nieskazitelnie białym gabinecie tortur i jej samej stojącej poniżej i recytującej regulamin Domu Opieki w Cherryfield.

— ... co obejmuje również siedzenie na podkładzie z ceratką oraz na krześle specjalnie dla niej przeznaczonym. Głos siostry Morris nieco złagodniał a jej policzki przestały drgać nerwowo. Dodała teraz już niemal poufnym tonem: — Wydało mi się dziwne jej nagłe zdenerwowanie moją sugestią, żeby przedyskutować ten mały problem z kimś z rodziny. Może państwo nie jesteście ze sobą zbyt blisko?

Amelia już chciała zauważyć, że bliskość nie jest tożsama z chęcią prowadzenia pogawędek na temat swojego pęcherza, lecz siostra Morris nie dała jej dojść do głosu. — Proszę mnie wysłuchać. Sądzę, że cały problem polega na tym, iż pani babcia odmawia po prostu stanięcia w obliczu tego typu kłopotu. Jeśli ja byłabym na jej miejscu — jej twarz nabrała wyrazu nieco wymuszonej pogody —

powiedziałybym najzwyczajniej: przykro mi, mam kłopoty z utrzymaniem moczu, gdzie chcielibyście mnie posadzić?

Siostra Morris przywołała się do porządku i wracając do mniej zabawnej rzeczywistości zakończyła: — Wszystko polega na właściwym podejściu do rzeczy, proszę mi wierzyć. Znajdzie pani babcię zapewne w oranżerii; lubi tam siadywać. Proszę porozmawiać z nią szczerze.

— O siusianiu? — zapytała Amelia, lecz siostra Morris zdążyła zniknąć już za podwójnymi drzwiami.

Zatrzymały się w oranżerii. Na wszystkich parapetach stały plastikowe pojemniki ze szkarłatnymi begoniami.

— Oto ona — siostra Morris stanęła i wyciągnęła oskarżycielsko palec w kierunku odległego rogu pomieszczenia. — Wciąż na swoim wózku, jak widzę. Jej palec u nogi był w zastraszającym stanie; nie wiem co jej doktor o tym sądził. — I pośpiesznie udała się z powrotem do świetlicy.

Amelia spojrzała na rząd rezydentów Cherryfield. Większość z nich podłączona była niby jakieś elektryczne przyrządy do kroplówek i stojaków. W najdalszym rogu siedziała Selma, podobna do małego słonika. Jej przygarbione, pulchne plecy były lekko odwrócone w kierunku pokoju.

Nie obejrzała się, gdy Amelia szła w jej kierunku mijając rzędy krzeseł. „Staruszkowie”, tak zapewne nazywała ich siostra Morris, kiedy była w dobrym humorze, pomyślała Amelia, czasem odpowiadali na jej powitanie, innym razem nie przestawali patrzeć bez słowa na ogród, zatopieni we własnych, powoli zanikających myślach i blaknących wspomnieniach.

Bardzo łagodnie i lekko Amelia położyła rękę na ramieniu Selmy. Zajęło jej sporą chwilę, zanim zareagowała. Jak stary komputer, który wolno zapisuje nową informację, pomyślała Amelia. Głowa Selmy niespiesznie się podniosła i matowobrazowe oczy skupiły się na jej twarzy. Powoli wyraz gniewu i zażenowania ustępował miejsca szerokiemu uśmiechowi. Wyprostowała się w swoim wózku i podniosła rękę poprawiając włosy. Nie były już, tak jak dawniej w odcieniu błękitnawym, gładko zaczesane, lecz skręcone w ścisłe loczki, których Selma nigdy nie lubiła.

— Amelio, moje kochanie, jak cudownie, że przyjechałaś. —

Wystawiła twarz do pocałunku i Amelia zauważyła delikatne włoski nad jej górną wargą i na brodzie, która zawsze była gładka i upudrowana na jasny kolor. Trochę zawstydzona za nie obydwie, próbując ukryć zażenowanie, Amelia strząsnęła z ramienia nie istniejącego owada, który przeszkadzał jej swym nie istniejącym bzczeniem.

— Kiedy to widziałyśmy się ostatni raz... w zeszłym tygodniu, prawda? — zapytała z wystudiowaną nonszalancją Selma i spojrzała bacznie na wnuczkę. — Pewnie pomyślisz, że zbzikowałam, ale wcale nie mogę sobie tego przypomnieć.

Amelia zawahała się. Kusiło ją, żeby odpowiedzieć tym samym, niedbałym tonem. „Zgadza się. To było przed tygodniem”, nie zaś wyznać prawdę, że nie widziała swojej babci od pogrzebu, już cztery tygodnie temu. Siedziała tamtego dnia na honorowym miejscu przy stole, wciąż śliczna w czarnej, aksamitnej sukni, pełna godności i opanowanego smutku. Od zawsze uwielbiała swego męża, ale wtedy, po pogrzebie siedziała tam spokojnie i prowadząc uprzejmą rozmowę, patrzyła na łysiejącego, pięćdziesięcioletniego syna, który zajmował miejsce swego ojca, u szczytu stołu.

Wtedy była wciąż panią swego domu i starczą amnezję można było nazwać słabą pamięcią. Czuła się pewniej, bo poruszała się po dobrze znanym terenie swojego starego gospodarstwa.

— Wydaje mi się, że to było niestety trochę dawniej — powiedziała w końcu Amelia. — Miałam ostatnio masę spraw na głowie.

— No tak, wszyscy byliśmy bardzo zajęci — zgodziła się Selma odpowiadając sobie sama i jej myśli poszybowały do czasów, kiedy bywała rzeczywiście zapracowana.

— I znów Jane Austen — Amelia podniosła grubą książkę w miękkiej okładce, która wystawała z torby Selmy.

— Masz ochotę na coś słodkiego? — Selma pochyliła się nad torbą ruchem, jakby sfilmowanym w zwolnionym tempie. Jej wyciągnięta ręka drżała próbując uchwycić ucho torby. Amelia zawahała się, czy byłoby taktownie pomóc jej w tej prostej czynności, ale Selma właśnie złapała torbę i uniosła ją trochę, po czym upuściła na ziemię w połowie drogi na kolana. Wypadł na podłogę pęk kluczy, za nim trzy rozpakowane cukierki, z przyklejonymi

kawałkami śmieci, kilka monet jednopensowych, cały plik czeków i szminka firmy Chanel. Na samym końcu koronkowa, biała chusteczka opadła na rozsypane monety, jak biały całun.

— Och, ale ze mnie niezdara — powiedziała Selma śmiejąc się w zakłopotaniu. — Kochanie, weź proszę te klucze i sprawdź, czy ogrzewanie w domu jest włączone.

Amelia już miała odpowiedzieć, gdy nagle rozległ się za nimi płacz, a raczej dziwne dźwięki przypominające ni to szloch, ni to sapanie. Odwróciła się i zobaczyła dużą kręłą kobietę wciśniętą w delikatny, wiklinowy fotelik, przypominającą dziecko na krzeselku dla lalek. Po jej gładkich, pełnych policzkach spływały łzy.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka z małą konewką, rozejrzała się i zaczęła podlewać begonie. Po kilku minutach Amelia zdecydowała się podejść do niej i dotknąć lekko jej ramienia, żeby zwrócić na siebie uwagę. Wskazując na szlochającą staruszkę powiedziała cicho: — Ta kobieta jest chyba czymś bardzo zmartwiona.

Pielęgniarka spojrzała w kierunku wskazanym przez Amelię i uśmiechnęła się uspokajająco. — Ach, to tylko pani Wells, to normalne. — I najwyraźniej sądząc, że sprawa została wyjaśniona zaczęła dalej podlewać kwiaty. Amelia stała jeszcze chwilę za plecami pielęgniarki, po czym wróciła do Selmy, ukradkiem obserwując zapłakaną panią Wells.

— Zabiorę cię na zewnątrz, dobrze? — Pozbierała babcine rzeczy i ostrożnie zaczęła pchać wózek w kierunku wyjścia, uważając na gumowe rurki i chude nogi wystające spod dzierganych, kolorowych narzutek.

Selma rozglądała się dookoła z niesmakiem. — Kim są ci wszyscy ludzie? — spytała znaczącym szeptem. — Zawsze zapominam, żeby kogoś o to zapytać.

Amelia ustawiła wózek Selmy w cieniu starej, rozłożystej wiśni, zabezpieczyła hamulce i usiadła obok na drewnianej ławce cętkowanej białymi, ptasimi odchodami. Przez liście przeświecały promienie słońca tworząc na ziemi migotliwą siatkę.

— Okropnie tu dużo starych ludzi — zauważyła Selma, dbając o ciągłość rozmowy. A potem nagle spytała: — Jak tam twoja poezja?

— Ach to — Amelia była zaskoczona, że babcia pamiętała. — Mówi się, że niełatwo być geniuszem, a ja powiedziałabym raczej, że dwa razy trudniej jest nim nie być.

— Znam to, znam. — Selma zakołysała się na swoim wózku, śmiejąc się cicho. — Kiedy byłam mała tak chciałam, żeby ludzie nie mówili „Czyż Selma nie gra dobrze?“, lecz „Posłuchajcie, Selma gra jak anioł“.

Amelia poczuła się nagle szczęśliwsza; babcia nie zmieniła się aż tak bardzo.

Płatek kwiatu wiśni sfrunął z gałęzi nad nimi lądując na nogach Selmy, za chwilę następny i następny. Jak płatki śniegu. Już tak dawno nie widziałam śniegu, pomyślała Selma.

Zamknęła oczy i jej myśli poszybowały do dnia, kiedy, jako mała dziewczynka biegła zaśnieżonymi ulicami ze szkoły, jak zwykle spóźniona, jej oddech wyprzedzał ją szarą chmurką, jak dymny sztandar. Niemalże poczuła pod stopami chrzęszczący poranny śnieg. I nagle ten przesywający krzyk, gdzieś z góry, przypomniał jej odgłos, jaki wydawały pawie gonione po trawniku przed domem. Spojrzała w górę i spostrzegła panią Hollander, ubraną całą na biało, stojącą na dachu dużej kamienicy. Kolejny przesywający krzyk i pani Hollander z rozpostartymi ramionami rzuciła się w dół. Wszystko to działo się przed oczami Selmy. Spadała wirując jak gigantyczny płatek śniegu, w dół, w dół, aż wreszcie uderzyła ciężko o chodnik, zabarwiając śnieg wokół na czerwono. — Biedny latający Holender — powiedziała Selma na głos.

— Co mówisz, babciu? — Amelia pochyliła się w jej stronę. Lecz zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, usłyszały wołanie.

— Ach, tu jesteście. — Siostra Morris szła zdecydowanie w ich kierunku stąpając po wilgotnej trawie i żonkilach. — Porozmawiałyście sobie szczerze?

— Pani...? Och, pomyśli pani, że mam bzika, ale chyba nie pamiętam pani nazwiska — zaśmiała się wesoło Selma.

— Siostra Morris, pani Merryman, jestem siostra Morris.

— Ależ oczywiście. Chyba nie zna pani jeszcze mojej wnuczki...

— Owszem, spotkałyśmy się przed chwilą. Rozmawiałyśmy właściwie krótko i tylko o naszym małym kłopotcie. — Siostra Morris pochyliła się, żeby móc spojrzeć Selmie prosto w oczy, jakby

dla żartu. Zaraz pewnie uszczypnie ją pieszczotliwie w policzek, pomyślała Amelia, lecz siostra Morris wyprostowała się i kiwnęła porozumiewawczo głową w jej kierunku. Selma spojrzała na nie niczego nie rozumiejąc.

— Mam na myśli nasze kłopoty toaletowe — pośpieszyła z wyjaśnieniem siostra Morris.

Selma nie mogła się odwrócić, ale na chwilę przymknęła oczy, potem zaś odpowiedziała wolno: — Obawiam się, że nie wiem o czym pani mówi. A teraz, jeśli mogę panią przeprosić... Chciałabym poczęstować Amelię herbatą. Kochanie, czy mogłabyś mi pomóc? Pójdziemy do salonu.

W domu Selma przywołała młodą pielęgniarkę. — Czy byłabyś tak miła, dziecko i przyniosła nam trochę herbaty?

— Herbata jest dopiero o wpół do siódmej, przecież wie pani o tym, pani Merryman.

— Nie miałam na myśli kolacji. — Selma skulona w swoim wózku z silniej drgającą ręką próbowała być wyniosła. — To nie jest chyba aż taki kłopot; prosimy dwie filiżanki herbaty, kawałek ciasta i parę herbatników.

— Dostanie pani swój kawałek ciasta i kakao wieczorem, pani Merryman. — Pielęgniarka odpowiadała pewnym głosem i zwróciła się do Amelii z przyjacielskim uśmiechem. — Wie pani — powiedziała scenicznym szeptem — wszyscy tutaj robią się niemożliwie łakomi.

— Tak mi przykro — odezwała się Selma. — Chyba nie mogę zaoferować ci herbaty.

— To nic, naprawdę — odparła szybko Amelia. — W pociągu zjadłam olbrzymi lunch.

Przy akwariu z rybkami coś się nagle poruszyło. — Nonsens! Co to za bezczelność! Jeśli ktoś prosi o filiżankę herbaty, to chyba może ją dostać wtedy, kiedy ma ochotę! — I admirał zagłębił się z powrotem w swoim fotelu.

— Dzień dobry państwu! — Do świetlicy wwieziono w tym momencie małą staruszkę, która wznosząc wychudłą rękę machała na powitanie.

Selma spojrzała na nią z niesmakiem. — Och, znów ta nieznośna kobieta. Jej usta nigdy się nie zamykają. Ignorując wściekłe miny Selmy pielęgniarka przeniosła najpierw ceratkę, a potem pomogła staruszce umieścić się na fotelu, obok nich.

— Oto panna White do kompanii — zabrzmiało niemalże triumfalnie.

Panna White nosi bardzo odpowiednie nazwisko, pomyślała Amelia, podczas gdy staruszka nie przestawała się jej przypatrywać. Jej duże oczy były tak jasnoniebieskie, że wydawały się niemal przezroczyste, cera miała fakturę pomiętej bibułki, a zupełnie białe loki okalały twarz i spadały na ramiona. Siedziała wyprostowana. Po obydwu stronach jej jasnoniebieskiej sukienki z poliestru widać było brzegi ceratki.

— Nazywam się Phyllis White. — Mała staruszka wyciągnęła w kierunku Amelii zaskakująco dużą dłoń. — Jestem tu od niedawna, jak twoja babcia. Nie sądzisz, że jest tu uroczo? Zawsze znajdzie się ktoś do pogaduszek. Oczywiście, niektórzy staruszkowie nie są zbyt rozmowni, ale, jak mówię, i taki rozmówca jest lepszy, niż żaden. — Roześmiała się na całe gardło. Amelia spojrzała na Selmę, która siedziała nachmurzona i zazdrośnie przyglądała się, jak panna White kokietuje jej gościa.

Godzinę później do świetlicy weszła siostra Williams z jakąś młodą pielęgniarką. — Czas na podwieczorek — oznajmiła radośnie i obydwie zabrały się do pomagania rezydentom w prze-siadaniu się na wózki. Admirał i parę innych osób potrzebowało pomocy tylko we wstawianiu z foteli, potem, opierając się na balkonikach sami podążyli do jadalni w zaskakująco szybkim tempie.

Taki podwieczorek, myślała Amelia, jak zresztą każdy posiłek, musi być miłym przerywnikiem monotonnego dnia w Cherryfield. Jest Wydarzeniem Geriatrycznym, nawet jeśli składa się z paru rybek i połówki jajka na liściu sałaty.

— Kochanie, zostań jeszcze trochę — głos Selmy brzmiał łagodnie, ale jej palce zacisnęły się na przegubie Amelii, jak potrzask.

— Odprowadzę cię do jadalni — odpowiedziała Amelia. — I przyjdę jeszcze jutro rano, zanim wyjadę do domu.

Jednak przy stole w jadalni Selma wydawała się już nie mieć nic przeciwko odejściu wnuczki. Siadając pomiędzy admirałem i panną White nadstawiła posłusznie policzek do ucałowania, i kiedy Amelia wychodziła, ostrożnie podnosiła już do ust mały kawałek jajka na twardo. Jasnożółte okruszki

osiadły w kącikach jej ust i na brodzie; żuła powoli dziobiąc widelcem w talerzu.

— Panie Hurst, bardzo proszę! — Amelia odwróciła się w drzwiach i przyglądała się pielęgniarce, spieszenie podchodzącej do sąsiedniego stolika obok Selmy, gdzie siedział pan Hurst. Dobrze wyglądający starszy pan, z łagodnym i nieobecnym wyrazem twarzy spokojnie sięgał widelcem do talerza swego sąsiada. Pielęgniarka skierowała jego rękę z powrotem na właściwy talerz i odeszła do następnego stolika, gdzie wylało się trochę mleka. Wychodząc już Amelia zobaczyła, jak pan Hurst najspokojniej po raz drugi atakuje talerz swego sąsiada.

ROZDZIAŁ 3

Amelia leżała niedbale na łóżku w hoteliku „The Anchor Inn”. Była dziesiąta w nocy. Zjadła obiad w małej jadalni na dole, zamówiła łopatkę jagnięcą z ziemniakami i gotowanymi jarzynami. Później zadzwoniła do domu. Gerald spędzał wieczór przed telewizorem, choć jego głos wydawał się mówić, że właśnie gdzieś wychodzi. Poza tym znów mówił tym swoim dziwnym tonem. Amelia nazywała go głosem z „Gwiezdných Wojen”. Był on zdolny zniszczyć wszystkie próby ocieplenia ich rozmowy i sprowadzenia jej w intymniejsze rewiry. Zresztą, w ostatnim czasie wszystko zdawało się go irytować. Weźmy chociażby tamten wieczór. Przygotowała sobie gorącą kąpiel z dodatkiem olejku z gardenii i czekała, aż jego samochód ukaże się na zakręcie. Potem szybko wskoczyła do wanny i gdy tylko usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi wyszła na powitanie owinięta w ręcznik, ciepła i pachnąca. Oczywiście, że to był głupiutki pomysł, pomyślała teraz, ocierając łzę, która na samo wspomnienie zebrała się w kąciку jej oka. Ale on nie musiał być tak okrutny. — Czy doprawdy nie znasz lepszych sposobów na spędzanie dnia niż wylegiwanie się w wannie? Myślałem, że po ciężkim dniu pracy zobaczę cię przynajmniej ubraną. — Żenujące. I na dodatek niesprawiedliwe: właśnie tego dnia prawie skończyła pisać ogromny artykuł do czasopisma szwedzkiego na temat występowania rukwi wodnej w wodach hrabstwa Hampshire.

Westchnęła. A jednak Gerald miał trochę racji. Nie była zbyt

zorganizowaną osobą i brakowało jej poczucia obowiązku. Leżała teraz na łóżku hotelowym przytłoczona nagle całą górą rzeczy do zrobienia. A więc: dotyczących Selmy, dotyczących zbioru wierszy, który, jak zapewne słusznie przewidział Gerald, nigdy nie zostanie skończony i wreszcie dotyczących listów wymagających odpowiedzi, które leżały na piramidce czekających na przeczytanie książek.

Ten brak wewnętrznej dyscypliny to cecha, której Amelia najbardziej w sobie nie lubiła. Znała dobrze sposoby uciekania przed różnymi obowiązkami. Czasami dokładnie wiedziała, co powinna zrobić, a mimo to nie robiła nic.

Uniosła się na łokciu i popatrzyła w okno. W ciemnościach nie było widać domu w Ashcombe, choć okna hotelu wychodziły na port i w ciągu dnia można było zobaczyć z daleka stary dom Selmy. Gdyby mieszkała tam jeszcze, pewnie chodziłaby teraz po domu w swoim szmaragdowym, aksamitnym szlafroku i światła w oknach zapalałyby się po kolei, jak jasne koraliki nawlekane na niewidoczną nitkę.

Karmiłaby zapewne koty, może trochę odkurzała, gdyby miała na to ochotę, gawędząc ze swoim mężem czasami będąc blisko niego, a czasem z drugiego pokoju, albo nawet tak, że nie mógł słyszeć co do niego mówiła. Jednak im to nie przeszkadzało. Dla nich miało znaczenie po prostu poczucie obecności kogoś bliskiego.

Potem nalałaby gorącego mleka do dwóch kubków: jej był już dwa razy stłuczony i sklejony, na boku widniał śmieszny rudy kot; a jego, też nadpęknięty, ozdabiała sowa. Obydwa kubki były prezentami od Amelii wręczonymi na Boże Narodzenie prawie dwadzieścia lat temu.

Willoughby umiał dobrze reperować nadtłuczoną porcelanę. Restaurowanie starych rzeczy i ponowne ich uzdatnianie zawsze sprawiało mu ogromną satysfakcję.

Amelia przepadała za różnymi starymi bibelotami w ich domu, za tym, że były tak znajome i bliskie. W jasnym i czystym mieszkaniu jej matki przedmioty nigdy nie miały czasu się zadomowić. Bywały wyrzucane, zanim tego wymagały. W miarę, jak obsesja czystości Dagmary rosła, malała jej potrzeba posiadania różnych przedmiotów, a więc: ubrań, butów, ozdób, sprzętów kuchennych i tym podobnych. Pewnego razu, gdy Amelia miała

dziewięć lat zapytała Dagmarę na pół żartem, na pół z obawą, czy jeśli ona, Amelia zabrudziłyby się bardzo, to również zostałyby wyrzucona?

Dagmara spojrzała na nią i wybuchnęła nieopanowanym śmiechem. Śmiała się tak długo, że Amelii znudziło się już czekanie na odpowiedź. Później śmiech nieoczekiwanie zamienił się w płacz i Dagmara wybiegła z pokoju.

— Musisz być bardzo wyrozumiała dla swojej matki—oznajmiła później Selma, kiedy dziecko opowiedziało jej całą tę historię. Wzięła rękę Amelii w swoją. — Widzisz, ona po prostu bardzo się boi.

Amelia lubiła dotyk rąk Selmy. Ich skóra była cienka i gładka, jak ircha, którą używała do polerowania szyb okiennych. Ręce jej matki przypominały raczej tarkę do gałki muszkatołowej.

— Ale czego się boi? — zapytała wtedy.

Selma wzruszyła ramionami ze smutną miną. — Myślę, że życia. A to jest zbyt wielki strach, żeby ktokolwiek mógł sobie z nim poradzić. Więc co robi z nim twoja matka?

Skośne oczy Amelii z przejęciem śledziły każde słowo i ruch babci. Pokręciła głową.

— Ona dzieli sobie swój strach na mniejsze części, tak jak ty przed chwilą pokroiłaś tę porcję ciasta czekoladowego na kawałki, żeby zmieścić je w buzi. Ona tworzy małe lęki, takie wielkości kęsa i skupia się na nich. Tyle razy rozmawiałam z nią i próbowałam wydusić z niej ten czy ów problem, jak kawałek mięsa z kleszczy raka. — Potrząsnęła głową.

— Chciałabym, żeby ona była podobna do ciebie—powiedziała Amelia patrząc z uwielbieniem na babcię.

Selma była uosobieniem dziecięcych i męskich wyobrażeń na temat piękna. Nie było w niej żadnych kantów, ani ostrych brzegów. Wszystko było w niej okrągłe: ramiona, broda, nawet koniuszek nosa. Nosiła zawsze miękkie, sute, falujące przy każdym ruchu sukienki i Amelia nigdy nie widziała jej w spodniach. Niegdyś czarne włosy stopniowo robiły się siwe o błękitnym odcieniu. Zaczesawała je gładko do tyłu, a na karku były obcięte łagodnie tworząc mały dziobek.

Wizyty w Ashcombe były dla Amelii, jak przejażdżką łódką w dół powolnej, szerokiej rzeki tonącej w promieniach słońca. Kiedy była z matką, łódka znajdowała się na otwartym morzu i nigdy nie można było przewidzieć nadchodzącego sztormu.

Może właśnie dlatego, że Ashcombe było dla niej przez tyle lat spokojną przystanią i ucieczką od sterylności mieszkania Dagmary, nie zauważyła momentu, w którym z przytulnego nieładu zrobił się brudny śmietnik. Dagmara nie odwiedzała Ashcombe od momentu, gdy jeden z pupilków Selmy, Tigger zwymiotował do jej otwartej i nie rozpakowanej walizki. Ale kiedy coraz grubsza warstwa kurzu gromadziła się na wszystkich przedmiotach, zacierając kolory chińskich bibelotów, tak jak upływający czas przytłumiał barwy obrazów dawnych mistrzów, Peggy stwierdziła, że coś trzeba przedsięwziąć.

Potem umarł Willoughby i z twarzy Selmy zniknęła cienka maska kompetencji. Spod niej ukazała się zupełnie inna osoba: przestraszona i zmieszana stara, kobieta, która zapomniała nawet o smutku po stracie uwielbianego męża.

Amelia niechętnie podniosła się z łóżka i ziewnęła. Potem poszła do łazienki, żeby zmyć makijaż. Wklepała w skórę twarzy trochę kremu na noc, zastanawiając się, dlaczego mówi się: „tak naturalne, jak mycie zębów”. — Mycie zębów było tak nudnym obowiązkiem i w dodatku całkiem nie uzasadnionym, kiedy w łóżku nie było nikogo, komu mógłby przeszkadzać nieświeży oddech.

Amelii przyszło do głowy, że niezależnie od tego czy Selma spała sama, czy nie, nigdy nie poszłaby do łóżka bez umycia zębów. Dagmara owszem. W swojej batalii o czystość musiała dokonywać wyborów. Kiedy ktoś dwa razy dziennie dezynfekuje wieszaki w swojej szafie, to pozostaje mu niewiele czasu i energii na normalność.

Amelia weszła z powrotem do łóżka i ze złością pomyślała, że Gerald miał rację: jej matka z pewnością nie była normalna. Ale Selma nie miała prawa do ucieczki w starość. Była jej ciągle tak potrzebna! Amelia dryfując na falach żalu nad sobą powoli zapadała w sen.

— Przyniosłam ci świeże krówki, prosto z mleczarni. — Naza-jutrz w Cherryfield Amelia ucałowała Selmę na dzień dobry wręczając jej mały pakuneczek.

— Moja słodka dziewczynka! — uśmiechnęła się Selma i zabrała się za odwiązywanie sznurka.

Z jej trzęsącą się prawą ręką wydawało się to nieosiągalne, ale Amelia wolała nie proponować nożyczek. Jej dziadkowie nigdy nie byli biedni, ale wszelkie sznurki w ich domu były zawsze starannie rozsupływane, zwijane i chowane do szuflady.

— Nie mam okularów — mruknęła Selma — spróbuj ty.

Otwarte pudełko zostało ułożone na fornirowanym tekiem stoliku. Selma pochyliła się i w skupieniu wybrała największy kawałek. Żując go wolno przednimi zębami przebierała w pudełku szukając następnego.

Amelia odwróciła oczy. Spojrzała na ogród, w którym wiatr malowniczo rozsypywał płatki wiśniowych kwiatów po trawniku. Nie mogła spokojnie patrzeć na babcię skupioną, ze zmarszczonymi brwiami, jakby pudełko krówek było dla niej prawdziwym wydarzeniem.

— Poczęstuj się, kochanie — powiedziała w końcu Selma wkładając sobie kolejny kawałek do ust i popychając pudełko w stronę wnuczki. Potem nagle podniosła głowę, spojrzała na nią surowo i dodała z wystudiowaną nonszalancją: — Robert obiecał, że do czasu moich urodzin będę już w domu.

Amelia zastygła w połowie gestu. Uniesiona ręka z kawałkiem krówki zatrzymała się tuż przed jej ustami. — Tak powiedział?

— Nie rozumiem, dlaczego się tak dziwisz. Chyba nie sądziłaś, że zostanę w tym miejscu na zawsze. — Selma zaśmiała się na samą myśl o tak absurdalnym podejrzeniu. — Mój palec u nogi, proszę ciebie, goi się znakomicie. — Wyciągnęła przed siebie zabandażowaną stopę w specjalnym sandale, wykrzywając się, gdy niechcący potrafiła nogę krzesła.

— Widzę, że wszyscy tutaj bardzo się starają — stwierdziła pobłaźliwie. — Obsługa jest całkiem miła, ale nie mogłabym tu zostać na stałe. Wiesz, ci okropni starcy wszędzie dookoła. — Selma urwała i znacząco powiodła oczami wzdłuż rzędu rezydentów siedzących pod ścianą cieplarni. — Jedyna osoba warta rozmowy to admirał... do licha, chyba nie pamiętam jak się nazywa.

Amelia siedziała spokojnie wysłuchując wszystkiego cierpliwie. Czuła się tak, jakby rozmawiała z robotem o uszkodzonym systemie sterowniczym, który funkcjonuje poza normalnym programem.

— A więc Robert powiedział, że będziesz już niedługo w domu? — zapytała powtórnie.

— Przecież ci już powiedziałam, kochanie. Nie słyszałaś? O, spójrz, właśnie idzie admirał. — Selma uniosła się trochę i zamachała w jego kierunku.

Admirał Mallett wszedł do oranżerii prowadzony przez młodego człowieka w wieku dwudziestu paru lat, o ostrych, choć sympatycznych rysach twarzy i dość nieporządnej fryzurze.

— Panie nie poznały chyba mojego syna Henry'ego. — Admirał przyglądał się z dumą, jak Henry witał się najpierw z Selmą, potem z Amelią. Jakby robił coś wyjątkowo mądrego, pomyślała Amelia rozbawiona.

— Marynarz, tak jak jego stary ojciec — mówił dalej admirał, w czasie gdy Henry pomagał mu usiąść na fotelu obok Selmy. — Ożeniłem się dosyć późno i Henry pojawił się na świecie, kiedy właściwie byłem już starym człowiekiem.

— Właśnie mówiłam mojej wnuczce, że nie zamierzam zostać tu na długo — oznajmiła Selma uroczyście.

— Tym lepiej dla pani — uprzejmie odparł admirał. — Naprawdę ma pani szczęście — odchrząknął hałaśliwie. — Ja sprzedałem mój dom i sam wybrałem to miejsce. Dom stał się już dla mnie za duży, od kiedy moja siostra kopnęła w kalendarz, świeć Panie nad jej duszą. A Henry nie przyjeżdża tu za często. — Wzruszył ramionami i uśmiechnął się serdecznie robiąc dobrą minę do złej gry. — Cóż, służba nie družba.

— Cała marynarka mogłaby stanąć na głowie i zagrać na nosie, a ojciec zapewne uśmiechnąłby się pobłaźliwie i stwierdził, że służba nie družba — powiedział Henry i sam uśmiechnął się pobłaźliwie. Amelia zauważyła, że miał zaskakująco chłopięcy, wysoki głos wydobywający się z tak masywnego ciała.

— Ale cóż, to miejsce nie jest najgorsze. Jedzenie znośne, pielęgniarki to miłe dziewczęta — admirał mówił tonem człowieka tłumaczącego samemu sobie, że w gruncie rzeczy nie jest mu źle. — Chociaż podobno reklamują się jako „dom aktywnej starości”, to nie mogę powiedzieć, żebym zauważył tu jakąś aktywność. Z wyjątkiem oczywiście chwil w miłym towarzystwie — skłonił się szarmancko w kierunku pań.

— Wszystko przez ten mój nieszczęsny palec u nogi — wtrąciła Selma.

— A poza tym jest jeszcze „Umieralnia” — kontynuował admirał.

— „Umieralnia”? — Amelia spojrzała ukradkiem na babcię.

— To druga część Cherryfield, Aneks — wyjaśnił Henry z lekkim uśmiechem, ostrożnie dobierając słowa. — Dla mniej aktywnych rezydentów, którzy wymagają trochę więcej opieki.

— Powiedzmy bez ogródek, dla umierających — przerwał admirał i zaśmiał się chrapliwie, a potem głośno rozkaszał.

Selma poruszyła się niespokojnie na swoim fotelu. — Oczywiście, nie grałam w tenisa już od miesięcy — powiedziała. Admirał i jego syn wyglądali na nieco zaskoczonych tym wyznaniem.

— Patrzcie, chyba nadjeżdża kawa — Amelia wskazała na drzwi, w których pojawiła się siostra Williams z ogromną tacą pełną niebieskich, plastikowych filiżanek i spodeczków. Za nią podążała cała procesja rezydentów na wózkach, w różnym stopniu niepełnosprawnych. Pochód geriatryczny, przyszło na myśl Amelii.

— Powiedziałam siostrze Morris: dlaczego nie mielibyśmy wypić dzisiaj kawy w oranżerii; jest taki śliczny poranek! — wykrzykiwała siostra Williams, nie zważając na to, czy ktoś jej słucha czy nie.

— O, tutaj proszę, tylko spokojnie — komenderowała panna White — obok moich nowych przyjaciół. — Posadzono ją pomiędzy Selmą i admirałem. — A kogóż tu mamy? — mrugnęła w kierunku Henry'ego, który wstał, kiedy ją przywieziono. — Ach, marynarz, jak i ojciec. Czy był pan na Krecie? Na pewno, musiał pan być. Pojechałam tam kiedyś na wspaniałą wycieczkę autokarową.

Henry uśmiechnął się uprzejmie, choć Amelia wołałaby, żeby tego nie robił. — Oczywiście płynęliśmy też statkiem, chociaż cały czas spędzaliśmy, proszę was, i tak w autokarze. Ale co za uroczy ludzie byli na tej wycieczce! Ja mam zawsze szczęście do miłej kompanii. Chociaż nie wszyscy byli tak mili; muszę wam powiedzieć, że niektórzy zachowywali się dziwnie. Ta nasza przewodniczka... nie nazwałabym jej uroczą. Wyobraźcie sobie, że na samym początku powiedziałam jej, że chcę siedzieć z przodu, a ona, proszę was, po pierwszym dniu posadziła mnie na samym końcu autokaru! Czułam każde najmniejsze drgnienie i wszystkie nierówności drogi. Ale ludzie byli naprawdę uroczy — panna White przerwała wreszcie, aby poczęstować się herbatnikiem z talerzyka, który podał jej Henry.

Filiżanka Selmy głośno stuknęła o spodeczek. Panna White zanurzyła ciastko w herbacie i cmokając hałaśliwie wsunęła sobie do ust. — Pisałam potem wspomnienia z podróży do lokalnej

gazety — ciągnęła skończywszy jeść i konstatując, że nie ma już więcej ciastek. — „Podróże starej panny: Europa przez okno autokaru”. Były bardzo lubiane, dopóki nie zmieniła się moda...

— Amelio, dziecko — przerwała nagle Selma. — Wyjedźmy na chwilę do ogrodu, dobrze kochanie?

Amelia wstała uśmiechając się przepraszająco.

Na zewnątrz Selma odetchnęła z zadowoleniem, zamknęła oczy i wystawiła twarz do słońca. Jedną z niewielu trwałych przyjemności, jakie człowiek ma w życiu, pomyślała Amelia, jest niezmiennie rozkoszne ciepło słońca na skórze.

Do śmierci Willoughby'ego nigdy nie zastanawiała się, co właściwie dzieje się z ludzkim ciałem po śmierci. Myślała tylko o tym, że nie chciałaby, aby jej ciało poddano kremacji. Jednak od czasu pogrzebu nie mogła się opędzić od natrętnych wyobrażeń łagodnej twarzy Willoughby'ego i jego jasnyniebieskich oczu w różnych stadiach rozkładu. Takie myśli atakowały ją całkiem zniechęcająco.

Jeszcze parę tygodni temu, w taki śliczny poranek jak dzisiaj, myślała Amelia, pewnie krzątał się w ogródku. Jego duże, niemal kwadratowe ręce, uwalane w ziemi jak łapki kreta, wrywały chwasty i sadziły cebulki kwiatów na przyszłe lato, którego nie dane mu było dożyć.

— Amelio — ręka Selmy chwyciła mocno jej ramię, paznokcie boleśnie wbiły się w skórę — powiedz mi jak umarł dziadek. Pewnie pomyślisz, że całkiem zwariowałam, ale to wszystko tak mi się już pomieszało... — Selma spojrzała na nią błagalnie, jakby prosiła o wyrozumiałość.

Amelia pomyślała o Willoughbym, leżącym na wąskim, szpitalnym łóżku, o jego ciężkim, mozolnym oddechu. Przypomniała sobie też Selmę, która odwiedzała go regularnie, jej spokój, gdy siedziała na brzegu łóżka i głaskała jego rękę, cały czas przemawiając łagodnie. Chwilami bliski irytacji ton brzmiał w jej głosie; przez tyle lat to on był podporą, wokół której owinęła pnącza swojego szczęśliwego życia. Więc dlaczego leży teraz tutaj, wydawała się pytać, złamany i słaby?

— Miał wylew. Umarł w szpitalu tydzień po tym. — Amelia starała się, żeby jej głos brzmiał łagodnie, ale patrząc na ściągniętą twarz babci, na jej pełne napięcia oczy, czuła się tak, jakby jej słowa

uderzały prosto w serce Selmy owiniętymi w watę, celnymi strzałami. — Zapadł w śpiączkę i po prostu już się nie obudził. Właściwie zabiło go zapalenie płuc, „przyjaciel starości”, tak to nazwał jego doktor. Miał zawsze wszystko, czego potrzebował, ktoś z nas wciąż przy nim siedział. — Amelia wzięła rękę Selmy w swoją, próbując uspokoić jej drżenie.

— Dziękuję, kochanie. — Selma westchnęła. — Okropnie za nim tęsknię, rozumiesz? Najbardziej w nocy, bo często mi się śni. Budzę się i myślę, że jest przy mnie. Potem sobie wszystko przypominam. — Podniosła głowę i spojrzała na ogród nic już nie mówiąc. Amelia siedziała obok czując się całkiem niepotrzebna. Wiedziała, że jedynej rzeczy, której naprawdę pragnęła babcia, obecności swego męża, nie mogła jej dać.

Selma zamruwała i jej powieki opadły przysłaniając oczy. Głowa przechyliła się do przodu i zasnęła. Za chwilę krótkie chrapnięcie z powrotem ją rozbudziło, podniosła głowę i spojrzała nieprzytomnie na wnuczkę. Zastanawia się pewnie kim, do diabła, jestem i co tutaj robię, pomyślała Amelia.

— To bardzo miło ze strony tych ludzi, że tak się mną zajmują, ale wolałabym być już w domu. Na pewno, kiedy tylko wrócę na swoje stare kąty, poczuje się jak nowo narodzona.

Amelia uśmiechnęła się słabo i pomyślała, że może warto byłoby kupić bilet lotniczy do Brazylii, tylko po to, żeby pojechać tam i rzucić w Roberta czymś ciężkim. Selma znów usnęła. Jej bladoszary policzek spoczywał na oparciu wózka.

— Mój ojciec także zasnął. — Obróciła głowę. Za nimi stał Henry i uśmiechał się.

— Nie mogę tego zrozumieć — gwałtownie powiedziała Amelia. — Po co człowiek robi w życiu tyle dobrych, wartościowych rzeczy, skoro wszystko i tak kończy się w ten sposób. — Spojrzała na Selmę, która zachrapała głośno, a potem zamknęła usta i kilka razy cicho mlasnęła. — Właśnie zastanawiałam się, czy w ogóle warto się urodzić, skoro na końcu musi być takie Cherryfield.

— Na całe szczęście nikt nas o to nie pyta — odpowiedział Henry wesoło.

— Najgorzej jest wtedy — mówiła dalej Amelia, jakby nie słyszała jego uwagi, pocierając oczy wierzchem dłoni i rozmazując przy tym tusz do rzęs — kiedy nie ma już na świecie nikogo, kto

by cię kochał najbardziej. Selma miała szczęście: przez wiele lat była kochana przez swoich rodziców, męża, dzieci; była centrum ich świata. A teraz spójrz na nią: co zostało z całej tej miłości i poczucia bezpieczeństwa? O zmierzchu życia człowiek staje się taką, nikomu niepotrzebną, starą zabawką.

— Jest zawsze Bóg, który nie przestaje kochać — odpowiedział Henry cokolwiek zaskoczony przemową Amelii.

— Ach, czyżbyś należał do którejś z tych nowych sekt chrześcijańskich?

— Nic podobnego — odparł Henry. — Jestem kapelanem marynarki — i usiadł na trawie obok ławki.

— O mój Boże — Amelia zobaczyła go wreszcie we właściwym świetle. — Ależ to musi dawać dobre samopoczucie.

— W gruncie rzeczy to powinno dawać lepsze samopoczucie innym — uśmiechnął się do niej łagodnie.

W takim razie pociesz Selmę, pomyślała Amelia nieco poirytowana tą łagodnością. Ale zapytała uprzejmie: — Czy twój ojciec jest tu szczęśliwy?

Henry wyciągnął nogi na trawie i podparł się na łokciach patrząc w niebo. — Nie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Przywykł w swojej służbie do życia wśród ludzi, do instytucji, jeśli wolisz użyć tego słowa. Dartmouth, okręty, bazy wojskowe... Tak naprawdę to nie Cherryfield mu doskwiera, a starość.

— Moja babcia jest tu bardzo nieszczęśliwa. — Amelia spojrzała na pochrapującą z otwartymi ustami Selmę. — Jest pewna, że wkrótce wróci do domu. Możesz sobie wyobrazić... — Obróciła się teraz w stronę Henry'ego, skłonna przelać na niego całe swoje oburzenie. — Jej syn nie powiedział jej o tym, że dom został sprzedany. A teraz wyniósł się do Brazylii, po prostu zwiął na cholerny koniec świata i nic go nie obchodzi, w jaki sposób Selma dowie się o tym. — Zaczerwieniła się na myśl o niewidocznej koloratce Henry'ego, która powinna chronić go przed tego typu słownictwem. — Przepraszam — powiedziała.

— W porządku, jestem przyzwyczajony do gorszych rzeczy wśród marynarzy.

— Myślę — dokończyła z westchnieniem Amelia — że to miejsce jest okropne. Wszystko mnie tu denerwuje. Wiem, że to nieładnie, bo obsługa najwyraźniej stara się jak może, ale po prostu

wyobrażam sobie wciąż takie tytuły w gazetach. Przy okazji, jestem dziennikarką i czasami w myślach też używam tłustego druku: „Brutalność w domu starców: pielęgniarka podciera staruszki”. — Nie warto nawet o tym mówić.

Chrapanie obok nich nagle zamieniło się w czkawkę i Selma przebudziła się. Patrzyła zdezorientowana to na Amelię, to na Henry'ego, w końcu zatrzymała wzrok na wnuczce. — Kochanie, jak to miło cię znów widzieć, kiedy przyjechałaś? A cóż to za miły młodzian? Musisz nas zapoznać ze sobą — wyciągnęła pulchną dłoń i uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Henry wstał i ujął jej rękę. — Jestem Henry Mallett. Sądzę, że zna już pani mojego ojca — admirała Malletta.

Amelia uśmiechnęła się. Była mu wdzięczna. Chociaż sama raczej nie chadzała do kościoła, to odziedziczyła po Selmie respekt dla duchownych, zarówno kapelanów, jak i rabinów. Oczekiwała od nich dobrego serca i tego właśnie dał przykład Henry. Spodobało jej się to.

— Babciu, Henry jest kapelanem marynarki.

— Aa, bardzo ciekawe — Selma rozpromieniła się patrząc po kolei na każde z nich. — A teraz, powiedz mi młody człowieku, w jaki sposób poznałeś moją wnuczkę?

ROZDZIAŁ 4

I to jest właśnie najbardziej niepokojące. — Amelia mieszała zupę jarzynową w glinianym garnku na kuchence. — W jednej chwili potrafi być taka jak dawniej; rozsądna, spokojna, ten rodzaj człowieka, którego poprosiłyś o radę w trudnej sprawie. A potem nagle, ciach... i zamiast niej siedzi przed tobą duże, nie do końca normalne dziecko. — Spojrzała przez kuchnię na Geralda. — To jest naprawdę tak irytujące.

— No i proszę, sama widzisz, że to była jedyna słuszna decyzja, żeby umieścić ją w tym domu — stwierdził Gerald biorąc do ręki świeży numer „Independent” i szukając rubryki sportowej.

Amelia upuściła łyżkę z głośnym brzękiem; Gerald drgnął i skrzywił się. — Jeszcze tak niedawno urządziła dla znajomych recitale fortepianowe i oczarowywała wszystkich swoją grą. A wiesz, kiedyś w Szwecji, pewien młody chłopak całkiem na serio postrzelił się pod jej balkonem, bo jej rodzice nie pozwolili im się pobrać. A teraz? Teraz jest kimś, kogo się „pcha” albo „sadza”. Co, do cholery, pomoże, jeśli powiemy sobie, że to była jedyna słuszna decyzja?

— Zmieni bardzo dużo — mruknął kwaśno Gerald.

Irytował go jej brak zdecydowania i nieuchwytnie rozumowanie. Nawyk robienia bezsensownych uwag tym powolnym, pełnym namysłu głosem; głosem, który podobnie do gry Selmy niegdyś potrafił go oczarować. Nawet jej uroda ostatnimi czasy była

źródłem irytacji. Szare oczy i miękkie, faliste włosy łagodnie ujmujące owalną twarz w piękną ramę, to wszystko przypominało mu jak bardzo był w niej kiedyś zakochany.

Amebo, Amelio, myślał przyglądając się jej podczas gdy chodziła po kuchni, wycierała kuchenkę i próbowała zapalić świeczkę na stole zużywając już trzecią zapałkę. Jesteś zbyt powolna, zbyt rozwlekła i całkiem bezużyteczna. Nagle opanowała go wściekłość. — Więc dlaczego nie zrobisz czegoś, skoro uważasz, że sytuacja jest aż tak tragiczna? — Cisnął gazetę na podłogę i wyszedł demonstracyjnie z pokoju.

Amelia płakała mieszając wciąż zupę na kuchence. Płakała gorzko, bo nagle przyszło jej na myśl, że Gerald już jej nie kocha, ale płakała też ostrożnie, żeby nie rozmazać makijażu, bo jeszcze nie wszystko było stracone i w każdej chwili mógł znów pojawić się w kuchni.

— Jest w tobie tyle słodczy — powiedział kiedyś, niedługo po ich pierwszym spotkaniu i potrząsnął głową z wyrazem oszołomienia na twarzy, jakby chciał dodać: być może wyglądam na kogoś mocnego, ale przy tobie jestem całkiem bezradny. Wydawało się jej, że miał takie miłe usposobienie. Nigdy nie okazywał swojej irytacji. Jak choćby w tamtej sytuacji z pozowaniem. Był wtedy tak poważnym i pochłoniętym swoją pracą malarzem, jak teraz radcą prawnym. Pewnego razu Amelia obiecała pozować mu do ważnego płótna, a zjawiła się w jego pracowni tylko po to, żeby zmarnować jego cenny czas. Oczywiście nie miała takiego zamiaru. Podczas gdy przygotowywał sztalugi rozebrała się i usiadła tam, gdzie jej kazał. Jednak gdy poprosił, aby przełożyła jedną nogę przez poręcz fotela wybuchła nagle przerażonym płaczem. Ale on był wtedy łagodny i pełen zrozumienia. Ukląkł przy fotelu, na którym siedziała skulona z kolanami ściśniętymi tak mocno, jakby były zrośnięte. — Wybacz, moja słodka, delikatna, mała dziewczynko, nie powinienem być cię o to prosić — mówił jej wtedy.

— Słodka, delikatna, mała — sarknęła Amelia rozchlapując zupę na prawo i lewo drewnianą łyżką. — A może raczej mokrawa, naiwna i nielogiczna.

Zupa podgrzewała się tak długo, że z pewnością nie miała już krztyny aromatu. Amelia zdjęła ją z kuchenki i poszła poszukać Geralda. Był w sypialni i rozmawiał przez telefon. Gdy stanęła

w drzwiach powiedział głośno rzeczowe „do widzenia” i odłożył słuchawkę. Amelia wzięła głęboki wdech i podeszła do łóżka. Usiadła obok mego uśmiechając się nieśmiało i pogłaskała jego włosy przebijając w nich palcami. Cofnął głowę zirytowany, ale Amelia zignorowała to i pocałowała go delikatnie w policzek. — Kocham cię.

Gerald patrzył w jakiś punkt nad jej lewym ramieniem. — Ja też cię kocham — wymamrotał.

Wdzięczna, objęła go i po chwili poczuła jego ramiona wokół siebie.

W małym, choć pięknie urządzonej mieszkaniu niedaleko katedry w Exeter, Dagmar Lindsay poświęciła latarką w głąb szafy, żeby upewnić się, czy smuga, którą zauważyła wcześniej była cieniem, czy może brudem. Któryś już raz z kolei pociągnęła palcem po tylnej ścianie szafy. Jej piękne, smukłe dłonie — dłonie pianistki, co z upodobaniem podkreślała zawsze Selma — były w wielu miejscach otarte, a skóra spierzchnięta i szorstka nie pasowała do jej delikatnej, kremowej karnacji i miękkiej skóry na ramionach.

— Zupełnie nie mam kiedy wybrać się do Kingsmouth — mruknęła do siebie wycierając kolejny wyjęty z szafy wieszak szmatką ze środkiem odkażającym. — Nie widzę powodu, żeby Robertowi uszło to płazem, naprawdę nie widzę... — Podeszła do umywalki i dokładnie wypłukała szmatkę w gorącej wodzie, a potem umyła ręce. Odgarnęła z czoła kosmyk jasnych włosów, wzięła głęboki oddech i obciągnęła niebieską, jedwabną spódnice, po czym uśmiechając się wróciła do saloniku, gdzie jej goście pili kawę.

— Bardzo was przepraszam, musiałam zadzwonić i dowiedzieć się jak się miewa moja matka.

— Panna Lindsay, panna Amelia Lindsay? Mam nadzieję, że pani nie obudziłam. — Głos w słuchawce był nosowy i przepraszający. — Mówiłam pani babci, że jest stanowczo za późno, żeby gdziekolwiek dzwonić, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Panno Lindsay, jest tam pani?

— Tak. Nie, nie spałam jeszcze, nic się nie stało. Czy dzwoni pani z Cherryfield?

— Och, przepraszam, nie przedstawiłam się. Mówi siostra Kelly, mam dzisiaj nocny dyżur. Pani babcia potrafi być całkiem stanowcza, jeśli chce dopiąć swego — głos zaśmiał się niepewnie. — Oddaję pani słuchawkę...

— Amelia? kochanie... — głos Selmy brzmiał jakby z daleka, potem rozległ się jakiś trzask i za chwilę: — O, psiakrew!

— Panno Lindsay? Pani Merryman upuściła słuchawkę, ale już wszystko w porządku.

— Amelia? — głos Selmy był cichy i przestraszony. — Chciałam się tylko upewnić, że mam dobry numer do ciebie. — Na chwilę zaległa cisza i Amelia słyszała, jak Selma oddycha ciężko w słuchawkę. — To jest 0962 3628... a niech to, nie widzę ostatniej cyfry, czy to jeden... czy dziewięć?

— Wykręciłaś dobry numer, babciu, przecież właśnie rozmawiamy.

— No tak, masz rację, ale ze mnie głuptas. Jaka, powiedziałaś, jest ta ostatnia cyfra?

Mimo swojej irytacji Gerald nie mógł przestać interesować się Amelią, udzielać rad i próbować uporządkować jej myśli. Nazajutrz wieczorem podniósł się znad papierów z ostatniej rozprawy sądowej i wyjaśnił jej, że to chyba przesadna buta każe jej sądzić, że nikt poza nią samą nie potrafi opiekować się Selmą. — Przecież nie będziesz jeździć do Devon co drugi tydzień. Masz swoje własne życie, obowiązki, dom. A poza tym jest jeszcze kwestia kosztów wszystkich tych przejazdów, hoteli... — Przewrócił stronę swojej rozprawy. — Nie jesteś formalną opiekunką swojej babci, prawda?

Jednak Amelia nie mogła przestać myśleć o Selmie. Widziała ją samotną i nie mogącą odnaleźć się w życiu, które toczyło się w Cherryfield. Przyjaciółki, które miały małe dzieci mówiły często, że świat wydawał im się nagle zapełniony dziećmi w wózkach. Amelia pomyślała, że posiadanie w rodzinie kogoś, kto nie wkraczał na ścieżkę swego życia, lecz właśnie zmierzał na chwiejnych nogach ku jej zakończeniu wywoływało nieco podobny efekt. Starzy ludzie nękani zmieniającymi się światłami na przejściu, nie nadążający za

mrugającym, zielonym człowieczkiem, który zbyt prędko zamieniał się we wściekłe czerwonego i wyprężonego, przechodzili tuż przed maską jej samochodu. Na każdym rondzie widziała ich sparaliżowanych strachem we własnych samochodach, gdy próbowali połapać się w ruchu aut bezlitośnie pędzących we wszystkich kierunkach. I znów obserwowała ich w ogromnych sklepach samoobsługowych, gdy przy okienku z reklamacjami przepaszali zakłopotani za swój staromodny sposób noszenia pieniędzy, a nie czeków.

Dwa tygodnie po swojej pierwszej wizycie w Cherryfield Amelia ponownie wsiadała do pociągu jadącego w kierunku Plymouth. Szukając odpowiedniego miejsca, zastanawiała się, dlaczego Gerald wydał jej się odprężony, a wręcz uradowany tą nagłą decyzją wyjazdu. Czyżby dlatego, że udało jej się sprzedać kilka kolejnych artykułów i była w stanie sfinansować ten wyjazd z własnej kieszeni?

Jakiś dość leciwy jegomość przypominający duże, przybrudzone patzysko usadowił się naprzeciwko. Stary, ciemnobrażowy płaszcz nieprzemakalny zwisał z jego kościstych ramion. — No dobrze już, dobrze, nie potrzebuję więcej upomnień. Przecież jadę tam, prawda? — Amelia mówiła do siebie niesłyszalnym głosem.

Gdy pociąg mijał duży i ciasno wypełniony cmentarz, obydwój, Amelia i jej sąsiad przyglądali się w milczeniu.

Nagrobki, w większości marmurowe wyrastały z ziemi, jak ogromne, błyszczące zęby. Niektóre, te stare i rozsypujące się, były pokryte bruzdami i szarymi smugami po deszczach, niczym upudrowane policzki ze śladami łez. Amelia spojrzała znad otwartej książki na starego człowieka siedzącego naprzeciwko. Zastanawiała się, czy w jego wieku myśli się o śmierci, jak o wkrótce mającym nadejść wezwaniu, czy wciąż jest ona tylko czymś, co przydarza się innym ludziom?

Jegomość zauważył jej wzrok i uśmiechnął się ukazując komplet idealnie białych zębów. — Piękny mamy dziś ranek.

— Śliczny dzień, prawda? — powiedziała młoda pielęgniarzka otwierając Amelii drzwi w Cherryfield.

Selma siedziała w świetlicy, bokiem do telewizora, w którym nadawano program o trudnościach uczenia się w dojrzałym wieku. Na jej kolanach leżał otwarty tom dzieł zebranych Jane Austen. Amelia musiała podejść tuż, tuż i położyć rękę na jej ramieniu, żeby

podniosła głowę. Przyglądała się wnuczce z niezadowoloną miną i zmarszczonymi brwiami. Dopiero po dłuższej chwili jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu. — Amelio, kochanie, co za przemiła niespodzianka!

— Dzwoniłam, żeby uprzedzono cię o moim przyjeździe. Powinni byli ci przekazać.

— Pokojówka wpadała dziś rano co chwila do mojego pokoju, ale nie powiedziała mi ani słowa! — nachmurzyła się Selma. — Taka szkoda, że nie wiedziałam. W tym tygodniu w ogóle nie byłam w sklepie.

— Możemy pójść gdzieś na obiad — szybko zaproponowała Amelia. — Jak się miewa twoja noga? Możesz troszkę chodzić?

— Odrobinę boli, ale oczywiście, że mogę chodzić. Tylko pomóż mi wstać, kochanie.

Amelia delikatnie pociągnęła babcię do przodu. Przez moment Selma stała niepewnie na obu nogach z sukienką niezgrabnie podciągniętą, odsłaniającą brzeg jej różowych reform. Ale po chwili z okrzykiem bólu usiadła gwałtownie z powrotem.

— A może dałybyśmy nodze trochę odpocząć i pożyczylabym dla ciebie wózek. Tylko na dzisiaj?

— Nie, to przecież śmieszne — mruknęła Selma niezadowolona. — Nic mi nie jest, jakieś małe skaleczenie i tyle.

Wchodząc do świetlicy parę minut potem z wózkiem inwalidzkim przed sobą, Amelia usłyszała śmiech Selmy: radosny i filuterny, jak śmiech dziewczynki. Obok niej stali gawędząc admirał i jego syn. Henry stał swobodnie, opierając się niedbale ramieniem o prawie pustą, niską biblioteczkę, obok jego ojciec, próbując przybrać podobnie niedbałą pozę stał cały napięty. Jego łokieć opierał się o biblioteczkę, jak hak powstrzymując go od upadku.

Amelia przyspieszyła kroku. — Może usiadzimy? Proszę się do nas przyłączyć. — Admirał rzucił jej spojrzenie pełne wdzięczności i chętnie przystał na taką propozycję.

— Szybko się męczę, kiedy stoję zbyt długo — dodała zastanowiwszy się, czy aby trochę nie przesadziła.

— Amelio, kochanie, nic mi nie powiedziałaś, że twój młody przyjaciel jest z tobą — Selma uśmiechnęła się łaskawie do Henry'ego.

— Babciu, to jest Henry Mallett, syn admirała Malletta.

— Co za zbieg okoliczności! — Selma wyglądała na szczerze uradowaną. — A więc i admirał przyjechał tu z tobą?

— Skoro już i tak tu jesteśmy, może wybralibyśmy się razem na obiad? — zaproponował Henry.

Amelia nie zauważyła marki samochodu Henry'ego. Był duży, w kolorze czerwonego wina. Wszyscy usadowili się wygodnie. Selma pachnąca swoimi perfumami, ze szminką na ustach, została przetransportowana z wózka na przednie siedzenie, zaś Amelia i admirał siedzieli z tyłu.

Henry zaproponował jako punkt docelowy hotel z restauracją w Dartmoor. Jechali jakieś pół godziny, mijając pobliską osadę Totnes, potem znów wąską, krętą drogą porośniętą po obu stronach wysokimi żywopłotami. Selma opuściła szybę swego okna, wychyliła głowę i westchnęła z zadowoleniem, kiedy wiatr rozwiął jej cienkie loczki. Admirał patrzył na przesuwały się za oknem krajobraz.

— W Cherryfield można prawie zapomnieć, że istnieją takie stworzenia, jak dzieci — uśmiechnął się obserwując trzy małe dziewczynki na rowerach.

Henry zaparkował samochód naprzeciwko hotelu. Przy wysiadaniu rozegrała się mała scenka z Selmą w roli głównej: nie mogła poradzić sobie z odpięciem pasa bezpieczeństwa. — Głupi pas — fuknęła czerwieniąc się. — Zupełnie się zaciał. Nie... — powiedziała, gdy Henry pochylił się, żeby jej pomóc. — Nie chce pójść w żadną... och, dziękuję. — Została wyciągnięta w końcu z samochodu i posadzona na rozklekotanym wózku. — Już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę mogła normalnie chodzić — powiedziała przez ramię do admirała, podczas gdy Henry popychał wózek w kierunku wejścia.

Przy stoliku admirał był w prawdziwie szampańskim nastroju. — Pozwól, że wybiorę wina, chłopcze — powiedział rzucając okiem na listę win w karcie.

Na początek zamówili zupeł stilton ze szklaneczką wytrawnej sherry. Potem na stół wjechały kotlety z jagnięcia z młodymi ziemniakami, a do tego trunek, który admirał nazywał „krzepkim Bordeaux”. Na koniec obydwój z Selmą zamówili tradycyjny biszkopt w winie z kremem. — Żadnych nowomodnych frykasów! — mruczał zadowolony. — Można przy nich umrzeć z głodu.

Proszę nie żałować kremu — upomniał kelnera i mrugnął do Selmy, która, cała w skowronkach, zachichotała radośnie.

— Co za niemożliwy człowiek. — Jej pulchne ramiona trzęsły się od śmiechu.

Amelia pomyślała, że w Cherryfield atmosfera jest zbyt nijaka, zbyt rozrzedzona, żeby mogło się tam toczyć normalne życie. Teraz, z powrotem w normalności, Selma i admirał wydawali jej się jacyś pełnijsi i bardziej wyraziści. Przestali nagle być starymi ludźmi, byli po prostu ludźmi.

Przeniosła wzrok na Henry'ego; uśmiechał się. — Jak długo będziesz jeszcze na lądzie? — zapytała.

— Prawdopodobnie większą część lata, potem płyniemy do Zatoki Perskiej na sześć miesięcy. Ojciec będzie miał czas, żeby zadomowić się w Cherryfield.

— Chciałabym mieszkać gdzieś bliżej Devon — westchnęła Amelia. — Co prawda moja matka mieszka w Exeter, ale bez samochodu to również nie jest krótka droga do Cherryfield. — Amelia nie wspomniała o tym, że na samą myśl o zamieszkaniu z matką przechodziły jej po plecach ciarki i czuła się, jak zbieg z więzienia, który nagle znowu miałyby się w nim znaleźć.

— ... i oczywiście Najwyższa Komisja nie wierzyła własnym oczom, kiedy wskoczyłem do basenu tak jak stałem, w zapaskudzone tropikalnym ubraniu. — Admirał roześmiał się głośno na wspomnienie z dawnych lat i podniósł do ust łyżkę z kremem zwieńczonym wiśnią. Nagle zrobiło się cicho i jego szczupła twarz zaczerwieniła się, potem zaczęła purpurowieć. Amelia utkwiała w nim przestraszone spojrzenie. Rozległ się zduszony kaszel, jego wybałuszone, jasnoniebieskie oczy zaszyły łzami. Henry zerwał się ze swojego miejsca.

Przy stoliku naprzeciwko jakaś dziewczynka wytrzeszczyła oczy, trąciła łokciem matkę i nagle cała rodzina zaczęła prowadzić nieco głośniejszą konwersację, jakby chcieli okazać, że są zainteresowani wyłącznie swoimi sprawami.

Admirał siedział sztywno, krztusząc się, podczas gdy Henry próbował otworzyć mu usta. Przestał kasłać, wydając urywane, chrapliwe odgłosy, jego twarz nabrała odcienia sinawego.

Selma siedziała bez ruchu z palcami wbitymi w brzeg stołu.

— Karetka, szybko! — krzyknęła Amelia do kelnera.

Krople potu ukazały się na twarzy Henry'ego, który próbował wcisnąć palce do ust ojca. Nagle admirał szarpnął się, odpychając Henry'ego i z głośnym czknięciem wyrzucił z siebie sztuczną szczękę wprost na talerz z deserem.

Henry przyłożył mu do twarzy serwetkę zwilżoną wodą mineralną. — Już wszystko dobrze, tatku — wyszeptał. — Jestem tutaj.

Goście przy stoliku obok wstali i zabierając ostrożnie swoje filiżanki z kawą przenieśli się nieco dalej. Dziewczynka z naprzeciwka zaczęła chichotać.

— To nie jest śmieszne — wyszeptała bliska łez Amelia. — To wcale nie jest śmieszne.

— Już wszystko w porządku — Henry rzucił jej uspokajające spojrzenie. — Nie sądzę, żeby karetka była potrzebna. Już dobrze, nic się nie stało.

ROZDZIAŁ 5

Admirał poleżał trochę na szezlongu w damskiej toalecie z mokrym, różowym ręcznikiem na czole. Teraz siedział już na przednim siedzeniu samochodu, obok Henry'ego. Odchyłoną głowę opierał na zagłówek i słońce wpadające przez okno oświetlało jego podbródek z kępkami bezbarwnego zarostu, którego widocznie nie zauważył przy goleniu.

Henry przesunął swoje siedzenie maksymalnie do przodu, żeby Selma mogła wyciągnąć wygodnie swoją chorą nogę. Siedział więc teraz skulony, z kolanami niemal przyciśniętymi do kierownicy.

Amelia gadała jak najęta. Była przekonana, że to najzgrabniejszy sposób zatuszowania przykrego wspomnienia.

— Zobaczcie! — wykrzykiwała. — Tylko spójrzcie na te owieczki, czyż nie są cudowne? Wiosna jest naprawdę wspaniała, taka... pełna obietnic — urwała z nagłą myślą, że właśnie popełniła nietakt.

— To znaczy niezależnie od czyjegoś wieku, wiosna jest zawsze taka obiecująca. — Zerknęła na twarz Henry'ego w lusterku. W jego oczach błąkał się wesoły ognek.

W Cherryfield admirał został od razu położony do łóżka, a Selma i Amelia rozmawiały na dole. — Nie odjeżdżaj — poprosiła Selma biorąc rękę wnuczki. Po chwili milczenia dodała: — Właściwie, czy nie mogłabyś zabrać mnie na parę dni do siebie?

Gdyby Selma miała dziesięć lat, pomyślała Amelia, trzymałaby pewnie za sobą skrzyżowane palce.

— Potrzebuję paru dni odpoczynku — mówiła dalej z udaną nonszalancją. — Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam wakacje.

— Babciu, chciałabym bardzo, żebyś przyjechała, ale... cóż... w tej chwili mam tyle nie uporządkowanych spraw w domu, byłoby to trudne.

— Och, nie przejmowałabym się zbytnio na twoim miejscu. Henry jest takim miłym chłopcem, na pewno nie miałyby nic przeciwko temu.

Amelia wzięła głęboki oddech. Była zmęczona całym dniem. Nagle przyszło jej do głowy, że zawsze, od kiedy pamiętała, drzwi domu w Ashcombe były dla niej szeroko otwarte. Jeśli kiedykolwiek im przeszkadzała, Selma i Willoughby nigdy jej tego nie powiedzieli.

— Byłoby cudownie, gdybyś przyjechała — powiedziała pewnym głosem. — Postaram się wszystko urządzić, jak tylko wrócę. W każdym razie zobaczymy się jeszcze jutro rano, przed moim wyjazdem. Mama też przyjedzie. — Oswobodziła rękę i odeszła w stronę drzwi, czując na sobie wzrok Selmy.

Następnego ranka, koło dziesiątej Amelia spotkała się z matką przed hotelem. — Świetnie wyglądasz. — Dagmara trzymała przez chwilę córkę na odległość wyciągniętych ramion przyglądając się uważnie jej twarzy. Potem, uśmiechając się, przyciągnęła ją do siebie i ucałowała.

— Ty też — zrewanżowała się uśmiechem Amelia, mile zaskoczona pełnym otuchy brzmieniem głosu matki. Dagmara rzeczywiście wyglądała ładnie. Wysoka, elegancka z jasnymi włosami, w swoich luźnych spodniach i granatowym żakiecie nie sprawiała wrażenia kobiety już dobrze po pięćdziesiątce. Najwidoczniej ciągłe, obsesyjne zamartwianie się całkiem dobrze jej robiło, pomyślała Amelia.

— Jest taki śliczny dzień, może nie będziemy zamawiać takśówki?

Po drodze Amelia opowiedziała jej całą historię o katastrofalnej wyprawie na obiad i o tym jak bardzo nieszczęśliwa i zagubiona czuje się babcia w domu opieki.

— No tak, no tak — mamrotała Dagmara.

— A poza tym — Amelia zawiesiła głos, sądząc, że wywoła to żywsze zainteresowanie — Robert okłamał babcię, chcąc, żeby zgodziła się na Cherryfield. Ona cały czas sądzi, że Ashcombe należy do niej i w każdej chwili może tam wrócić. Musiał użyć wszystkich swoich adwokackich talentów.

— O mój Boże, to fatalne — głos Dagmary dobiegał z niejakiej odległości. Amelia obejrzała się i zobaczyła matkę ładnych parę metrów za sobą. Z dużą wprawą balansowała najpierw na jednej, potem na drugiej nodze sprawdzając z uwagą podeszwy swoich botków.

Amelia zagryzła wargi. — Co się stało? Nie wdepnęłaś w nic, jeśli o to ci chodzi. Poczuję to. — Narastająca przez lata irytacja nagle zawładnęła jej uczuciami i sprawiła, że miała ochotę zrobić coś okrutnego. — Czy mogłabyś skupić się przez chwilę na czymś innym niż ty sama, dobrze? Nie wdepnęłaś ani nie usiadłaś w psim gównie i żaden przelatujący ptaszek nie spuścił ci nic na głowę....

— Kochanie, proszę — przerwała jej Dagmara — nie mów do mnie w ten sposób. Wiesz, że nic na to nie mogę poradzić.

Nagle ogarnęła Amelię przemożna chęć uderzenia jej w twarz. Chlast, po bladym, gładkim policzku, i po drugim, aż pojawiłyby się na nich czerwone pręgi. Jeszcze nigdy, nigdy w życiu nie udało jej się zwrócić całkowitej uwagi matki na coś ważnego. Jej uwaga była zawsze, choć w części pochłonięta brudami po psie, zarazkami, robakami i rzeczami, które ni stąd ni zowąd, w środku nocy musiały być wytarte.

— Przepraszam cię, możesz powtórzyć to, co mówiłaś? — Zaczzerwieniona dłoń Dagmary dotknęła ramienia córki. I jak zawsze, gdy zdarzało jej się być niemiłą, czy to w stosunku do Dagmary, Geralda, jakiegoś znajomego, lub sprzedawcy, który perswadował jej na przykład, że czternaście miesięcy, to w naszych czasach całkiem normalny czas dobrego funkcjonowania pralki, zawsze wtedy odzywał się głęboko utajony pod warstwami złości cichy głos, który szeptał: „To przecież twoja wina, Amelio”. Obawiała się, że ten cichy, lecz triumfujący głos był głosem rozumu.

— Nie, to ja cię przepraszam — i po chwili milczenia znów zaczęła opowiadać matce o nieszczęsnym lunchu z admirałem Mallettem i Henrym.

Kiedy otworzono przed nimi drzwi w Cherryfield, Dagmara przepuściła Amelię a sama dokładnie wytarła nogi; sześć razy każdy but.

Selma była w świetlicy. — Proszę spocząć, pani Lindsay — zaprosiła Dagmarę siostra Williams i zniknęła natychmiast, gdy zadzwonił dzwonek.

Dagmara jednak podziękowała uprzejmie, twierdząc, że ma ochotę rozprostować nogi. Potem pochyliła się, żeby ucałować Selmę w policzki na powitanie czujnie unikając dotknięcia poręczy fotela. Dagmara zawsze podkreślała, że nie obawia się zarazków ze względu na siebie, ale napawa ją przerażeniem myśl, że przeniesie je na kogoś innego. Amelia pomyślała, że być może rozsądnie z psychologicznego punktu widzenia byłoby zwrócić jej uwagę, że przez starania, żeby nie splamić się zarazkami z poręczy krzesła ryzykowała jego przewrócenie się i połamanie swojej wątłej, starej matki. Wzięła ją pod rękę i wskazując na pobliski fotel zapytała: — Dlaczego nie usiądziesz?

— Tak, kochanie, usiądź, proszę — nastawała Selma. — Kiedy *stoisz*, mam wrażenie, że chcesz wychodzić, a ja tak się cieszę, że tu jesteś.

Dagmara z bólem w oczach przysiadła na poręczy. — Siadaj, Amelio — powiedziała do córki tonem nie znoszącym sprzeciwu.

— Czy widziałas się już dziś z admirałem? — zapytała Amelia robiąc, co jej nakazano.

— A o co chodzi? — Selma wyraziła uprzejme zainteresowanie.

— Admirał Mallett, jak on się dzisiaj czuje?

— Nie było go na śniadaniu. Ale oczywiście mnie też tam nie było — zaśmiała się swobodnie. — O, spójrz, idzie twój młody przyjaciel — kiwnęła w stronę Henry'ego, gdy ten zatrzymał się w drzwiach. — Zapytaj go. Wydaje mi się, że jest najlepiej poinformowany w tej kwestii.

— Gerald? Jest tu Gerald? — ucieszyła się najwyraźniej Dagmara. — To przemiło z jego strony, że przejechał taki kawał, żeby odwiedzić tu mamę. Całkiem do niego niepodobne.

— Dzień dobry wszystkim. — Henry szedł w ich kierunku.

— To nie jest Gerald — syknęła Dagmara wprost w ucho córki. Amelia oparła głowę na rękach.

— Pozwoli pani, że przyniosę krzesło, pani Lindsay — za-

proponował grzecznie Henry. — Pewnie nie jest pani najwygodniej na tej poręczy. — Henry przystawił mały fotelik, obity perkalem. Dagmara uśmiechała się, ale jej oczy czujnie badały nierówną płamę na siedzeniu w różyczki. Henry również się uśmiechał, czekając. Bardzo wolno Dagmara zagłębiła się w fotelu.

— Któregoś dnia widziałam taką piękną suknię ślubną w „Vogue'u”. — Selma spojrzała znacząco na Amelię. — Coś bardzo w twoim stylu, kochanie. Prosta, ale ślicznie skrojona.

— Babciu, jesteś doprawdy bardzo delikatna — speszyła się Amelia.

— Zastanawiam się, gdzie może być toaleta — mamrotała Dagmara.

— Wychodzisz za męża? — zainteresował się Henry.

— I ty o to pytasz? — Selma zaśmiała się przyglądając mu się karcąco.

Amelia zwróciła się do nic nie rozumiejącego i trochę zmieszanego kapelana pewnym głosem, oznajmiając: — Nic mi o tym nie wiadomo. — Miała ochotę potrząsnąć babcią. Do tej chwili Alzheimer cię chronił, ale teraz... myślała ze złością. Potem jej spojrzenie spoczęło na rękach Selmy. Prawa dłoń, mimo, że oparta na przegubie lewej nie przestawała drgać. Ale ze mnie złośliwa idiotka... skarciła się w myśli.

Uśmiechnęła się do Selmy. — To moja wina, babciu. Ciągle zmieniam zdanie.

Dagmara podniosła się ze swego miejsca jak gość, który zbyt długo znosił siedzącego mu na stopach, śmierdzącego psa gospodarzy. — Gdzie jest ubikacja, Amelio? — zapytała podenerwowanym głosem.

Amelia wyjaśniając jej wiedziała, że Dagmara nie idzie tam wcale po to, po co zwykle chodzi się do ubikacji. Ona chodziła tam, żeby poprawić spodnie, sprawdzić, czy nie ma jakiejś plamy, albo przykrego zapachu na ubraniu. Zawsze potem namydłała ręce aż do przegubów i płukała je w prawie wrzącej wodzie uważając cały czas, żeby nie dotknąć brzegów umywalki.

Amelia widziała to tyle razy. Dagmara miała zwyczaj wtrącania uwag w stylu: — Och, ta bułka strasznie się lepi — albo — nie wiem dlaczego nie robi się druku, który nie brudzi palców. — Ludzie nie uważali jej zachowania za dziwne. Jeśli jesteś zadbana i dobrze

ubrana, uprzytomniła sobie Amelia, o wiele bardziej dziwaczne i zwariowane zachowanie przechodzi bez echa.

Dagmara wróciła odprężona i uśmiechnięta. Całe napięcie nagle gdzieś zniknęło. — Mamusiu, może wybrałybyśmy się na przechadzkę, jest taki cudny dzień? Idziesz kochanie? — zwróciła się do Amelii.

Amelia stwierdziła, że dopije kawę i dogoni je na dworze. Pielęgniarka pomogła przesadzić Selmę na wózek. Podczas gdy kręciły się przy niej, podsadzały, podciągały i pomagały, Amelia starała się mówić bez przerwy, żeby odwrócić uwagę babci od całej tej zawstydzającej procedury. Całkiem jak ginekolog, zaśmiała się gorzko w duchu.

W końcu Selma była gotowa i Dagmara ostrożnie trzymając rączki wózka wywozła Selmę na zewnątrz.

Henry nachylił się do Amelii. — Śmiało, nie bój się, teraz możesz zakląć — uśmiechał się do niej zachęcająco.

Spojrzała na niego zaskoczona taką spostrzegawczością. Ale zamiast zakląć zapytała: — Czy twój ojciec miewa się dziś lepiej?

— Nie najgorzej, dziękuję. Ale jeszcze dzisiaj ma leżeć w łóżku. Zostawiłem go śpiącego.

— Amelia, AMELIA! — głos Selmy dochodził z tarasu, gdzie została ustawiona. — Właśnie przyszedł mi do głowy cudowny pomysł. — Wyglądała zza drzwi na taras, pochylona w swoim wózku, wpatrując się w ciemny pokój, gdzie siedzieli. Na ścieżce pod tarasem Dagmara patrzyła w rozmarzeniu na kwitnące drzewa wiśniowe. — Wydam, proszę cię, prawdziwe przyjęcie urodzinowe. Takie, jak te, które bywały u nas zawsze. — Selma wyciągała ręce w kierunku Amelii, żeby do niej podeszła.

— Nim zaczniesz się sierpień, będę z powrotem w domu. Wiem, że to nie to samo bez kochanego Willoughby'ego — przez moment cień smutku padł na jej twarz, ale po chwili znów się uśmiechała. — Życie musi toczyć się dalej, nie można pozwolić sobie na apatię.

Amelia zwolniła hamulce i zaczęła powoli popychać wózek wzdłuż tarasu, potem po drewnianej rampie w dół, na trawnik. Pomachała do Henry'ego, który siedział przeglądając pisma.

— Zaproszę też admirała Malletta. Poznałaś go, prawda? — To te ciągłe powtórzenia są najbardziej denerwujące, pomyślała Amelia, a Selma mówiła dalej: — I nie możemy zapomnieć o małej pani

Finch; i jeszcze Sheila i Mark, oczywiście i Tony Bellamy... — Dagmara przyłączyła się do nich, gdy okrążały róg trawnika i zwracały w kierunku tarasu.

— ...no i koniecznie Violet. Nie wybaczyłyby nam, jeśli by nie została zaproszona. — Twarz Selmy jaśniała szczęściem.

Przechodząc obok drzwi od tarasu widać było pustą świetlicę. Henry gdzieś zniknął.

Później, kiedy podano już obiad, Amelia pożegnała się z babcią i zwracając się do Dagmary spytała głosem wyrażającym absolutną pewność: — Zostajesz tu na resztę dnia, prawda mamo?

Dagmara przytaknęła z wyrazem męczeństwa na twarzy.

— Muszę pojechać do Devenport — na schodach pojawił się Henry — mogę podwieźć cię na stację, jeśli chcesz.

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. To zabiera parę ładnych chwil, pomyślała Amelia, zanim człowiek zdoła otrząsnąć się z Cherryfield. Kiedy wjeżdżali na szosę do Plymouth przerwała ciszę. — Czy miałbyś coś przeciwko temu, żebym podokuczała trochę Panu Bogu?

— Dawaj śmiało — uśmiechnął się Henry. Prowadził dosyć szybko jadąc środkowym pasem.

— Ale teraz poważnie. — Było jej gorąco, więc odgarnęła włosy z czoła i odetchnęła. — Chodzi o to, w jaki sposób Bóg jedną ręką nam daje, a drugą zabiera. Spójrz tylko na życie. Dostajemy je, wspaniale, hura! A koniec zawsze jest smutny. Wiesz, co mam na myśli... słyszałeś kiedykolwiek o szczęśliwej, dobrej śmierci?

Henry nic nie mówił, ale zdawało jej się, że słucha z uwagą. Wyrzadzili długi szereg ciężarówek jadących poboczem.

— Wydaje ci się, że przynajmniej narodziny będą całkowicie szczęśliwym wydarzeniem, ale wcale nie są. Nawet dzisiaj, kiedy są wszelkie udogodnienia i zabezpieczenia, ciągle jest to bolesne i w gruncie rzeczy poniżające. To kpina ze wszystkiego, czego każda dziewczynka jest uczona od czasów Ewy: „Nie pokazuj pupki nikomu, kochanie”. — Takie zdanie rozlega się echem poprzez wieki. A potem biedna dziewczyna musi znosić grupę facetów wpatrujących się w jej... — Amelia przerwała. — Znow to robię — powiedziała zawstydzona. — Bardzo cię przepraszam. Jestem beznadziejnie ordynarna.

— Nic się nie przejmuj. Naprawdę. — Henry wziął ostry zakręt

w lewo za drogowskazem informującym o stacji kolejowej. — Mów dalej.

— To, oczywiście, tylko mały przykład — zastrzegła się potulnie — ale, mówiąc szczerze, wolałabym, żeby sprawy intymne i sprawy publiczne były sprawiedliwiej rozdzielone pomiędzy organy naszego ciała. A nie skoncentrowane mniej więcej w jednym rejonie — Amelia zakończyła nieco chaotycznie.

— Myślę — odpowiedział Henry — że jesteś trochę niesprawiedliwa w stosunku do Boga. Dał większości z nas perfekcyjne i efektywne narządy rozrodcze, które przy okazji pełnią też inne, równie istotne funkcje. I tyle. Nie możesz go winić za to, że straciliśmy naszą niewinność, zaczęliśmy się wstydzić i robić z tych spraw obiekt wyrafinowania. Nieprawdaż? — Zahamował tuż przy wejściu na stację. — W innym wypadku, pomyśl, musiałybyś mieć na przykład nieproporcjonalnie duże uszy... — I wysiadł z samochodu, żeby otworzyć drzwiczki z jej strony.

ROZDZIAŁ 6

Z czerwonego, plastikowego wiaderka wypełnionego topniejącym lodem wystawała, jak peryskop, szyjka od butelki szampana. Była to pierwsza rzecz, jaką zauważył Gerald wchodząc do kuchni po powrocie z biura, spóźniony dwie godziny. — A to z jakiej okazji? — Cisnął teczkę na krzesło i poluzował krawat.

— Z żadnej szczególnej. — Amelia uśmiechnęła się i zarzuciła mu ramiona na szyję. — Po prostu miałam ochotę na małą uroczystość. I tyle.

— Nie sędzę, żebyś to zauważyła, ale mamy obecnie recesję... no cóż — jego głos nieco złagodniał — jakiego typu uroczystość miałaś na myśli?

— Proponuję uczcić to, że nie jesteśmy starzy i panujemy nad swoimi potrzebami fizjologicznymi. To, że mogę sobie wstawać nawet cztery razy w nocy i iść do własnej łazienki. I to, że mamy nasze małe mieszkanko, że możemy robić to, na co mamy ochotę, siedzieć z nogami na stole, pić wino, nie kłaść się spać w nocy, albo wylegiwać się w łóżku przez cały dzień. I to, że możemy robić przyjęcia... — Wreszcie oswobodziła go z uścisku. — Wszystko! — Postawiła przed nim wysoki kieliszek.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakim luksusem jest wejście do własnej kuchni i przygotowanie sobie potrawy, na jaką, konkretnie w tej chwili, masz ochotę? Przyniesienie sobie tego do pokoju i może włączenie telewizora?

— Wiesz, że nie znoszę obiadów przy telewizorze — przerwał jej Gerald i usiadł z westchnieniem.

Ale Amelia nie poddała się. Już całkiem poważnie dokończyła: — A przede wszystkim uczcijmy to, że mamy siebie.

Wyjęła butelkę z wiaderka zachlapując sobie przy okazji spódnicę khaki i białą koszulę. Jedną z jego koszul, zauważył natychmiast Gerald i pomyślał, jak właściwie ona to robi? Jak ktoś tak niezdecydowany i... kruchy jak Amelia, z nadspodziewaną siłą potrafi przyłgnąć do jakiegoś złudzenia. Z ociąganiem przyjął kieliszek, który mu podała, oczywiście przepełniony. Upił trochę i pomyślał, z jaką rozkoszą napiłby się teraz prawdziwego Chablis.

Przed paroma godzinami Gerald miał wizytę. Do biura przyszedł jego ojciec. — Gerald, mój chłopcze — zaczął, kładąc rękę na ramieniu syna w sposób, który przypominał raczej gest kogoś, kogo zachęcano do pogłaskania oswojonego węża. — Wiem, że wiele się zmieniło od moich czasów; w końcu mamy już koniec dwudziestego wieku. Nie można włączyć ostatnio telewizora, żeby od razu nam o tym nie przypominano.

W tym momencie Gerald nie mógł powstrzymać się od uwagi: — Czy to jedyne źródło, z którego dowiadujesz się w jakich latach żyjemy?

— Och, nieważne. — Norman Forbes przesunął środkowy palec za kołnierzykiem koszuli. — Mam na myśli inną rzecz. Wydaje mi się, że ty i Amelia powinniście się pobrać. Innymi słowy, czas już, żebyś założył rodzinę. Może nie powinienem się wtrącać w twoje sprawy, jednak biorąc pod uwagę, że Amelia przekroczyła już trzydziestkę... — Ich spojrzenia na chwilę się skrzyżowały, potem rozbiegły w różnych kierunkach. Norman odchrząknął. — Czas buntu i bohemy masz już przecież za sobą. To było coś w rodzaju młodzieńczego zauroczenia, prawda?

Na moment twarz Normana posmutniała.

Gerald bębnił palcami o biurko.

— Życie w nieformalnym związku... Ludzie spodziewają się takiego modelu od artysty, z całą pewnością zresztą mają rację. Ale spójrzmy prawdzie prosto w oczy, teraz jesteś radcą prawnym i to całkowicie zmienia twoją sytuację, w każdym razie tu, w Hampshire.

Gerald westchnął — Amelia powtarza dokładnie to samo.

— No cóż, jest rozsądną dziewczyną. Teraz, w każdym razie,

znasz mój pogląd na ten temat. Czułem się w obowiązku wyrazić to jako ojciec i współnik. Choć, oczywiście decyzja należy całkowicie do ciebie. — Norman odkaslnął dla otuchy i zadowolony z siebie opuścił pokój.

Gerald stanął przed zamkniętymi drzwiami i uderzył pięścią o framugę, kilka razy, bardzo mocno. Potem odwrócił się i poszedł do pokoju obok, żeby dać Clarissie trochę dodatkowej pracy i tym sposobem zatrzymać ją dłużej w biurze.

Kiedy znalazł się znowu u siebie, usiadł w starym, skórzanym fotelu, który odziedziczył po dziadku i zatonął w myślach. Tak bardzo zgadzał się z tym, co mówił ojciec i Amelia. Naprawdę nadszedł już czas na małżeństwo i rodzinę.

Jednak w jednym punkcie jego poglądy zdecydowanie odbiegały od ich wyobrażeń. To nie z Amelią, lecz z Clarissą chciał dzielić swoje nowe życie. To Clarissa powinna być jego żoną i matką jego dzieci. Tak, Clarissa z jej poczuciem odpowiedzialności i niezależnością osoby zarabiającej na swoje utrzymanie. Z takim dobrym charakterem i, Gerald nie mógł tego nie przyznać, z respektem dla niego samego. Amelia, pomyślał, jest żywym świadectwem wszystkich jego minionych marzeń, które rozbiły się w zderzeniu z twardą rzeczywistością.

— Nie jesteś zbyt błyskotliwym kompanem. — Amelia wychyliła się zza kuchennego barku i uśmiechnęła do niego starannie usuwając ze swego głosu nutkę skargi. Gerald siedział nieruchomo i ponuro wpatrywał się w olbrzymi wazon żonkili. Wciągnęła powietrze i wyprostowała się. — Twój zapach gryzie się chyba z moim.

— Co? Och — Gerald odchrząknął. Miał teraz świetną okazję. Los podawał mu tę chwilę jak na talerzu, żeby mógł wreszcie wyrzucić z siebie to wszystko. — Przykro mi, moja droga — powiedziała by. — Jest ktoś trzeci. To jej perfumy, „Diorissimo”, czujesz zapewne na klapach mojej marynarki.

Wypił duszkiem prawie pełen kieliszek szampana. — Ach, to — zaczął niedbale. — Jedna z koleżanek, czasowo zatrudniona, wylała prawie całą buteleczkę swoich perfum na papiery, które akurat miałem w ręku. — I to było na tyle. Zmarnował szansę. — Całkiem miły zapach, nie powiem... — dodał pewnym głosem.

Później, tego samego wieczora Gerald leżał na swojej części szerokiego, mosiężnego łóżka. Nie mógł spać; dręczyło go wszech-

ogarniające poczucie, że los jest wobec niego niesprawiedliwy. Jak można spokojnie zasnąć, gdy świat dookoła był tak całkowicie bezsensowny? Abstrahując od wszystkich innych niedorzeczności oto leżał tutaj, on, młody mężczyzna, świetnie zapowiadający się i coraz bardziej znany radca prawny, który nie był w stanie poślubić miłej, szanowanej i przede wszystkim rozsądnej współpracownicy, którą była Clarissa. Nie był w stanie ze względu na swoją kochankę.

Odrzucił na bok kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. Głośno nalał wody mineralnej do szklanki stojącej na nocnym stoliku. „Kochanka” to staromodny wynalazek, wiedział to. Wychylił wodę dużymi haustami, do dna. Ale Amelia właśnie nią była. Można by dodać „utrzymanka”, ale to nie byłoby całkiem w porządku. W końcu zarabiała sporo na swoim pisaniu i poza tym miała ładną sumkę odłożoną ze sprzedaży mieszkania.

Ale za to ma mentalność utrzymanki, pomyślał ze złością rzucając się z powrotem na poduszkę. Sam nie mógł zrozumieć, dlaczego właściwie odnosiła w swojej pracy takie sukcesy, jak ostatnio.

Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie na wernisażu. — Mogłabyś mi pozować? — zapytał chwilę po tym, jak zostali sobie przedstawieni. — Mam w planach duży akt — zakomunikował patrząc głęboko w jej skośne, szare oczy. — To będzie coś w rodzaju zderzenia dwóch rzeczywistości: rubensowskiego przepychu przeszłości i geometryzującego efektu, jaki da akt bardziej kanciastej kobiety naszych czasów. — Wychylił do dna swoje wino spodziewając się wybuchu śmiechu, lub też wyrazów oburzenia.

Ale ona tylko się uśmiechnęła i powiedziała: — Świetnie, z przyjemnością. Kiedy?

Typowe zachowanie Amelii, pomyślał z goryczą. Najpierw nieoczekiwana i natychmiastowa zgoda, a nazajutrz po południu w jego pracowni, gdzie zjawiła się cała w uśmiechach, równie nieoczekiwana panika, gdy poprosił, aby położyła swoją szczupłą, nagą nogę na poręczu fotela, tak jak to zaplanował w obrazie.

— Przepraszam, bardzo przepraszam — szlochała — ale mogę pozować tylko ze złączonymi nogami.

Gerald podniósł się i oparł na łokciu spoglądając na śpiącą obok niego Amelię. Jej falujące, kasztanowate włosy leżały swobod-

nie na białej pościeli, policzek pokryty jasnymi piegami spoczywał na ręce. Przez moment, całkiem mimowolnie, czułość zajęła miejsce złości. Pochylił się i pieszczotliwie musnął ustami jej policzek, po czym wdychając głęboko odwrócił się na plecy i zamknął oczy.

Dagmara wyczytała gdzieś, że i Hitler i Stalin bardzo skrupulatnie przestrzegali czystości, a szczególnie często myli ręce.

Niejestem w zbyt miłym towarzystwie, pomyślała i uśmiechnęła się smutno. Siedziała w łóżku otoczona swoimi zmartwieniami jak drugim kocem. Te zmartwienia nie były wynikiem niczego szczególnego, wiedziała o tym; były też całkowicie niepotrzebne, ale świadomość tego była mniej więcej tak pomocna, jak świadomość, że nie powinno się nigdy wpaść pod autobus.

Zamartwiłam na śmierć mojego męża. I straciłam szacunek córki. Dagmara wytarła łzę, sięgnęła po następną husteczkę higieniczną i głośno wydmuchała nos. Jak w ogóle jakiegokolwiek dziecko mogłoby szanować taką matkę? Kiedy inne matki martwiły się zimną wojną, albo zastanawiały się jak ustrzec swoje córki przed zgubnym wpływem modnych ust Micka Jaggera, ona spędzała godziny i dni rozpatrując wszystkie argumenty przeciw i za tym, że klamka od drzwi może przenosić śmiertelne choroby.

Mam pięćdziesiąt pięć lat i wciąż martwię się niewłaściwymi sprawami, myślała. Na całym świecie kobiety interesowały się i niepokoiły siłami nuklearnymi, AIDS, bezpieczeństwem terapii hormonalnych. Ale Dagmara nie znajdowała się nigdy wśród nich. Owszem, jej myśli krążyły czasami wokół tych niepokojących tematów. Wyciągała z nich rozsądne konkluzje, a nawet podejmowała mocne postanowienia. „Zmusz go, żeby używał prezerwatywy, nawet jeśli nic nie podejrzewasz” — mówiła Amelii. Albo: „Możesz brać mnie za zimną i nieczułą, ale radzę ci pomyśleć dwa razy, zanim pocałujesz kogoś w usta. A szczególnie, kiedy w grę wchodzi krwawiące dziaśła”.

To akurat były normalne troski i zmartwienia, jednak kiedy spędza się cały dzień dezynfekując spinacze do bielizny, to na normalność nie pozostaje wiele czasu.

Siedziała teraz na olbrzymim małżeńskim łóżku, którego jakoś nigdy nie była w stanie wyrzucić i myślała o wszystkich tych

roztrwonionych latach, o wszystkich samolotach, które odlatywały nad jej głową, podczas gdy ona tkwiła wśród swoich niepotrzebnych bagaży. Zastanawiała się nad tym przez moment, po czym postanowiła zająć się czymś, bo w przeciwnym razie myśl o wszystkim, co straciła bezpowrotnie stałaby się nie do zniesienia.

Sięgnęła po książki leżące na nocnym stoliku. Postanowiła poczytać trochę Wodehouse'a, który zawsze niezawodnie ją rozweselał. Było to nowe wydanie wybranych opowiadań w miękkich okładkach, oczywiście jej własność. Przestała korzystać z biblioteki, kiedy przekonała się, że ludzie naprawdę dłubią w nosie przy czytaniu.

Otworzyła książkę na drugim opowiadaniu. Przeczytała kilka linijek, ale jakoś nie mogła się skupić. Jej ręce wymagały umycia. Powiedziała sobie, że przecież nie ma najmniejszego powodu, aby je myć. „Spójrz” — próbowała sama się przekonać — „spójrz tylko, są idealnie czyste”. Ale wciąż nie mogła się skoncentrować i ani łzawe przemowy Madeleine Basset, ani prześmieszne boje, jakie toczył Bertie ze swoimi ciotkami nie były w stanie jej rozweselić. Miała uczucie, jakby jej żołądek wypełniły tresowane pchły.

Ponownie wyciągnęła przed siebie szorstkie ręce. „Zobacz, ty idiotko, nic na nich nie ma, sama widzisz” — błagała samą siebie, ale bez skutku. Pchły wykonywały właśnie triumfalny taniec brudu w jej wnętrznościach. Bliska płaczu odłożyła po raz kolejny książkę na dawne miejsce i powlokła się do łazienki.

I to jest właśnie cały kłopot z zarazkami, prychała pogardliwie namydlając i szorując ręce pod strumieniem gorącej wody, że nie są widoczne. O ile świat byłby czystszy, gdyby można było dojrzeć te małe łachudry! Mogłyby nosić czerwone koszulki z napisem na piersi: „Jestem niebezpiecznym zarazkiem”.

Wróciła z powrotem do łóżka i zadowolona, wyciągnęła nogi. Pchły w brzuchu uspokoiły się. Wzięła do ręki książkę i obiecała sobie, że następnym razem nie podda się tak łatwo.

W Cherryfield Selma też leżała w łóżku już od dziewiętej. Zasnęła na jakiś czas, teraz rozbudziła się i drzemała. Było jej ciepło i miękko, w pokoju panował mrok. Palec u nogi przestał ją boleć. Gdyby Willoughby mógł przyjść teraz do niej, to powiedziała by mu

to. Zawsze się o nią martwił. Wiedziała o tym ze sposobu, w jaki na nią patrzył, kiedy sądził, że go nie widzi; z czułością, a zarazem z troską.

— Koniecznie wybierz się do doktora Scotta, moja kochana — powiedział, gdy palec zaczął jej poważnie doskwierać, a skóra wokół nabrała niepokojąco szarawego odcienia.

Ale Selma nie poszła do doktora i Willoughby, świeć Panie nad jego duszą, wiedział o tym dobrze.

Uśmiechnęła się do siebie w ciemności. — Kochany, drogi Willoughby — mamrotała sennie. Jakież miała szczęście, że go spotkała. Poślubił ją, kiedy jedyną rzeczą, którą mogła z nim podzielić był smutek i żałoba. Stał się kochającym i cierpliwym ojcem zarówno dla Dagmary, jak dla własnego syna.

— Pojechałem do Szwecji w poszukiwaniu twardego żelaza, a odkryłem tam prawdziwe, czyste złoto — mówił każdemu, kto pytał go jak to się stało, że wrócił ze Szwecji z piękną, żydowską żoną i małą jasnowłosą córeczką.

Selma powoli odpływała w krainę snów kołysana miłymi wspomnieniami. Kiedy otworzyła na chwilę oczy jej wzrok padł na jakieś nieznanne przedmioty. Spróbowała usiąść. Gdzie, u licha, jest duże, ozdobne lustro, które zwykle stało na jej toaletce? I szeszlony jej matki? Gdzie jest Willoughby?

Poczuła pod palcami brzeg nieznanego, wąskiego łóżka. — Willoughby! — krzyknęła w ciemność.

Na korytarzu rozległy się kroki, potem drzwi otworzyły się wolno wpuszczając do środka strumień białosrebrnego światła. Szurające kroki zbliżyły się do łóżka. Z ciemności wyłoniła się ręka i zaczęła niepewnie badać blat nocnego stolika. Mruczając coś do siebie admirał sięgnął do szklanki, gdzie leżała sztuczna szczeka Selmy. Wytarł ją wyćwiczonym ruchem o jedwabne klapy swojego szlafroka i wrzucił do wytartej torby, gdzie zaklekotała o inne pięć par sztucznego uzębienia zebrane do tej pory.

— Kto tam? — głos Selmy drżał, z kocem podciągniętym pod samą brodę, kiedy szukała włącznika lampki. — Kto tam? Co się dzieje?

Ale admirała już nie było.

ROZDZIAŁ 7

Następnego ranka Amelia obudziła się ze strasznym kacem i w ponurym nastroju. To była wina Geralda. Wczoraj wieczorem zmusił ją do wypicia prawie całej butelki szampana. On sam odmówił nawet drugiego kieliszka. Przycisnęła chłodne ręce do tętniących skroni. Z tymi ciągłymi wzmiankami o recesji, pomyślała ze złością, jak mógł nie spodziewać się, że poczuje się w obowiązku wypić całą resztę szampana. A dzisiaj wyszedł nawet jej nie obudzwszy.

W trakcie mycia zębów, trzydzieści sekund każdy, jak życzył sobie tego jej dentysta (sprawiało jej to mniej wysiłku, niż podjęcie decyzji, czym powinna się teraz zająć) przyglądała się swojej twarzy w lustrze. Nie jest najgorzej, pomyślała ocierając z ust resztki pasty do zębów, biorąc pod uwagę swoje aktualnie paskudne samopoczucie. Podejrzewała, że Gerald już właściwie na nią nie patrzy tak, jak dawniej, a szkoda. Wkrótce wszystkie te młode i dobrze odżywione komórki staną się wysuszone i zużyte, a skóra będzie podtrzymywać jej ciało nie lepiej niż znoszony stanik, albo jedna z tych siatek do zakupów, które wyciągają się w dół z każdym dodanym kilogramem.

Prostując plecy zastanawiała się leniwie, czy ołówek włożony pod jej piersi nadal spadałby na podłogę. Wolała oszczędzić sobie dzisiaj takiego sprawdzianu.

To nie dlatego, że trzydzieści jeden lat było już starością, nie,

ale jakoś ostatnio zauważała na ulicach wiele młodszych od siebie kobiet.

Ściągnęła przez głowę koszulę nocną i weszła pod prysznic.

Nawet czterdzieści lat to jeszcze nie tak dużo, po prostu trochę bliżej pięćdziesięciu. Próbowwała bez skutku zapienić na ciele truskawkowy żel do kąpieli. Życie jest ciągłym wyścigiem od jednych urodzin do następnych, przyszło jej do głowy. Rodzisz się, odtaneczysz krótki taniec wokół ogniska, a potem — Cherryfield.

A może, myślała wycierając się ręcznikiem Geralda — jej był wciąż na stosie ubrań w sypialni — może on przechodził męską menopauzę? Różne zameżne przyjaciółki często używały tego wyrażenia w odniesieniu do swoich mężów. Oczywiście było to tylko marne usprawiedliwienie, choć skutecznie działające: zasnuwało mgłą nie tylko różne ich grzeszki, ale i ich samych. Począwszy od wybuchów furii i niegrzecznych uwag typu: — I co z tego, że zawsze przepadałem za pieczonymi żeberkami? Ale, do diabła, teraz za nimi nie przepadam! — skończywszy na dziwnym zachowaniu w łóżku.

Ubrała się i wklepała w twarz trochę kremu przeciwsłonecznego, czekając, aż dwie aspiryny rozpuszczą się w szklance z wodą mineralną Geralda. Poczowała, że jest w stanie zrozumieć, przez co przechodzili ci mężczyźni. Nie usprawiedliwiać, tylko zrozumieć. Mogła ich sobie wyobrazić młodych, pewnych siebie i całkiem przekonanych o swoim znaczeniu, wierzących, że świat jest jednym wielkim bałaganem, który tylko czeka, żeby go uporządkowali. A potem, wszyscy za wcześnie, stali i stukali do drzwi wieku dojrzałego, bezsilni, żeby zmienić cokolwiek wokół siebie, może z wyjątkiem swoich żon.

Ale Gerald był wciąż jeszcze młody. Spojrzała na jego fotografię sprzed roku spryskując się obficie wodą toaletową Shalimar. Uwielbiała ten zapach, zwłaszcza, gdy pracowała w ogrodzie: był całkowicie nieodpowiedni do tego typu czynności.

Ciągle miał czas na zrobienie kariery, na ukazanie się w telewizji śniadaniowej, jako lokalny ekspert od konfliktów prawnych, albo podjęcie walki o ochronę dżungli amazońskiej.

Dlaczego Gerald wciąż był taki niezadowolony? Amelia wzięta do ręki ciężkie widły ogrodowe i spróbowała wykopać z czarnej i wilgotnej ziemi ostatnie w tym roku pory.

W nocy padał deszcz i krople wody zebrane w załamaniach

bladzielonych liści mieniły się w promieniach słońca. Ciężki zapach powoli nagrzewającej się ziemi mieszał się z gorzkawą wonią porów, a parę kroków dalej, na skraju ogródka warzywnego kwitł cyprys małymi różowymi koniuszkami swoich igieł.

Amelia wyprostowała się trzymając łubiankę ciężką od uwalanych w wilgotnej ziemi warzyw. Rozejrzała się wokół siebie wsłuchując się w uspokajające, dalekie odgłosy ruchu ulicznego z melodią ptasich świergotów w pierwszym planie. — Uwielbiam to miejsce — szepnęła do siebie.

Kiedy wracała z powrotem do domu, akurat zadzwonił telefon. Pośpiesznie odstawiła koszyk i nie przejmując się ubłoconymi butami wbiegła do kuchni, a potem do hallu.

— Tu Henry Mallett — jego głos brzmiał jakoś lekko, inaczej niż go zapamiętała. — Mam twój numer od sióstr w Cherryfield; mam nadzieję, że nie gniewasz się za taką bezczelność?

— Ależ skąd — Amelia przysiadła na brzegu stolika i bezradnie przyglądała się, jak czarne błoto ścieka z podeszew jej butów na płowy dywan.

— Siostra Morris stwierdziła, że z pewnością się nie obrazisz. Jest pan poza tym duchownym, panie Mallett. — Henry z powodzeniem naśladował głos siostry Morris. — Właśnie zastanawiałem się, czy się wkrótce tutaj nie wybierasz. Moglibyśmy zjeść razem obiad — nastąpiła krótka pauza. — To by mi dodało otuchy.

— Obawiam się, że Gerald nie jest zachwycony, jak jeżdżę zbyt często do Devon — odparła Amelia. — Miałam zamiar odwiedzić babcię jakoś w przyszłym tygodniu — przerwała na moment. — Czy coś się stało, że potrzebujesz dodania otuchy?

— Nie, właściwie nic takiego. Były ostatnio jakieś problemy z ojcem, nic wielkiego, coś związanego z protezą. W każdym razie do zobaczenia przy następnej okazji — pożegnał się i odłożył słuchawkę. Amelia trzymała przez chwilę swoją słuchawkę w ręku z niejasnym, ale nieprzyjemnym uczuciem, że kogoś zawiodła.

Dokładnie w tym czasie siostra Morris siedziała w kuchni, w Cherryfield i patrzyła zdesperowana na stosik protez zębowych leżących przed nią na stole. Z jadalni dochodziły odgłosy zniecierpliwienia.

— Po prostu nie mam zielonego pojęcia, w jaki sposób kiedykolwiek będzie można ustalić, które należą do kogo.

— Może zamień się w księcia z bajki? — Siostra Williams weszła właśnie z paroma pustymi dzbankami w rękach.

— Słucham? — Siostra Morris spojrzała na nią pytająco.

— Po prostu będziesz musiała objechać całe królestwo przemieszczając je... i siostry Williams już nie było.

— Bardzo śmieszne. — Przełożona spojrzała znów z dezaprobatą na piętrzące się przed nią sztuczne szczęki. Pokręciła głową i zwróciła się do kucharki: — Nie ma rady, Ruth. Trzeba dać im dzisiaj tapiokę na mleku.

— Tapioki brak — oznajmiła kucharka, racjonując swoje słowa tak, jakby były odejmowane od jej mizernego wynagrodzenia. — W środy chrupki Ali Bran.

— Ale co mamy do wyboru? — jęknęła pielęgniarka. — Wyobraź sobie, co te twarde i ostre chrupki zrobią z ich dziąsłami!

— Może nic — odpowiedziała Ruth.

Gdy Gerald wrócił tego wieczoru z biura, zmuszając Amelię do szybkiego rozrzucenia papierów na biurku tak, aby wyglądało na to, że pracowała przez cały dzień, oznajmił wchodząc: — Biorę tydzień urlopu i jadę na ryby. Z Nickiem i Tomem. — Wymówił te słowa tonem pretensji, pomyślała Amelia przyglądając mu się uważnie, jakby z góry reagował na jakieś nie wypowiedziane zarzuty z jej strony.

— Och — odparła tylko.

— A więc dobrze, mów śmiało, jesteś zła! — Patrząc na nią groźnie rzucił marynarkę na krzesło. — Nie jestem twoją własnością, chyba o tym wiesz.

— I nigdy...

— Doprawdy, musisz być trochę bardziej niezależna!

— ...tego nie powiedziałam.

— Naucz się trochę radzić sobie sama. — Gerald podniósł czasopismo z biurka Amelii, spojrzał na stronę, na której było otwarte, rzucił je z powrotem i wyszedł do kuchni.

Amelia również na nie spojrzała. Było otwarte na całkowicie niewinnym tekście dotyczącym religijnych festiwali.

Z kuchni dobiegł dźwięk otwieranej butelki z tonikiem. Potem

soczyste przekleństwo, gdy tonik wytrysnął na blat stolika z różanego drewna. — Ktoś potrząsał tę cholerną butelkę — powiedział wolno.

Amelia miała dosyć. — To ja! — odparła. — Zabrakło mi nagle marakasów do potrząsania! A co do twojej wyprawy na ryby, to jesteś w pełni uprawniony, żeby jeździć gdzie ci się podoba. W końcu nie jesteśmy nawet małżeństwem.

— No proszę — Gerald odwrócił się do niej, niemal z zadowoleniem. — Wiedziałem, że prędzej, czy później poruszysz tę sprawę.

Amelia była bliska łez. — To mi przypomina rozmowę z Królową Kier w „Alicji w krainie czarów”. Chciałam tylko powiedzieć, że zgadzam się z tobą i nie mam zamiaru cię zatrzymywać. A jeśli w jakimś stopniu i mnie to dotyczy to dlatego, że nie chciałabym pojechać na wakacje w tym roku bez ciebie i być może trochę mi przykro, że nie uważasz tak samo. — Wytarła oczy rękawem swetra. — To wszystko — dodała nieprzekonująco.

W niedzielę Gerald wyjechał na swoją wyprawę. Piątek i sobotę spędził hałasując w składziku i ściągając przeróżne puszki, wędki i kalosze z różnych części domu do hallu. Nie rozmawiali ze sobą, z wyjątkiem kwestii związanych z codziennym życiem. Amelia żywiła skrytą nadzieję, że jej nietypowe milczenie w końcu zacznie go martwić, ale doszła ostatecznie do wniosku, że albo je polubił, albo po prostu nie zauważał. W tych dniach spędziła dużo czasu szukając w lokalnych dodatkach ogłoszeniowych jakiś ofert wynajmu, lub sprzedania lokalu nadającego się na kawiarnię, ale również zajmowała się swoim nowym artykułem dotyczącym wprowadzenia w miejscowych szkołach spotkań młodzieży różnych kultur. — Mam wyjątkowe kwalifikacje, żeby o tym pisać — mruknęła do siebie obserwując, jak Gerald szuka swojego egzemplarza „Łowienie na muszki: poezja w ruchu”. — Jako półszwedzka, półangielska Żydówka wyznania anglikańskiego żyjąca w nieformalnym związku ze świnią.

— Co mówisz? — Gerald zajął do pokoju z prawdziwie przyjaznym uśmiechem. Czując się zawstydzona uśmiechnęła się w odpowiedzi. — Nic, nic. — Instynkt posiadania jest jednak

bardzo nieładną cechą, pomyślała i dodała cicho: — Mam nadzieję, że ryby gryzą.

— Gdzie? — nie dosłyszał Gerald, co spowodowało, że wybuchnęła śmiechem.

Jego pożegnalny pocałunek był zaskakująco serdeczny, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że w jednej ręce trzymał walizkę, a w drugiej dwie wędki. — Jedziesz do Cherryfield w piątek, tak? — zapytał na odchodnym. — Chciałbym wiedzieć na wszelki wypadek, gdzie cię mogę złapać telefonicznie.

— Trzymaj się — zawołał jeszcze z samochodu i odjeżdżając trzymał rękę za oknem w pożegnalnym geście. Amelii wydało się, kiedy tak stała przed drzwiami machając mu na do widzenia, że samochód wyskoczył na drogę, jak wiosenne jagniątko na widok świeżej, zielonej trawy.

ROZDZIAŁ 8

Amelia zamknęła drzwi za Geraldem i wyciągnęła ramiona z mocnym postanowieniem dobrego wykorzystania nadchodzącego tygodnia jego nieobecności. W gruncie rzeczy, myślała podchodząc do biurka, to całkiem niezła perspektywa: tydzień dla siebie. Mogła spokojnie skończyć artykuł, zrobić porządki w szafie, może umówić się na lunch z jakąś przyjaciółką, albo odwiedzić Selmę.

Ale każdego wieczoru, kiedy cierne w ogrodzie kładły się na grządkach i klombach róż, jak duchy w powłóczystych, szarych szatach, Amelia czuła się samotna. Tak, jakby potrzebowała jakiejś żywej istoty obok siebie, aby upewnić się, że istnieje naprawdę, a nie tylko w świecie swojej wyobraźni.

Kiedy wprowadzili się wraz z Geraldem do Abbotslea, wyobrażała sobie mieszkających tu przed nimi zatroskanych wikariuszy, którzy odwiedzali ludzi z nadzieją na szklaneczkę sherry i nawrócenie grzeszników na łono Kościoła, dawne gospodynie żyjące plotkami o wszystkich mieszkańcach miasteczka i wścibskich sąsiadów. Zawsze miała słabość do wścibskich sąsiadów. Tak naprawdę zależy im, żeby wszyscy byli szczęśliwi, myślała. Ale miasteczko nie było takie, jak to sobie wyobrażała, choć wyglądało, owszem, jak bajeczna bombonierka. Dawni mieszkańcy, ci wścibscy, plotkarscy i bywający regularnie w kościele odchodzili już na tamten świat, a młodzi wspinali się na dachy porośniętych pnąciami różami ślicznych domków i zawieszali, jak flagi, tablice „na sprzedaż”.

Prawdziwy kolektywizm, pomyślała Amelia, istniał nie gdzieś w gospodarstwach krajów socjalistycznych, ale wśród starych mieszkańców małych, angielskich miasteczek; „Mam w tym roku wyjątkowy urodzaj bobu, weź sobie ile chcesz, a ja nie odmówiłbym łubianki tych ślicznych buraczków”. Albo takie ogłoszenia na szybie sklepiku: „Jeżdżę do miasta w każdy pierwszy czwartek miesiąca i mam trzy wolne miejsca w samochodzie. Każdy, kto chce z nich skorzystać niech stoi na starym przystanku przy głównej ulicy o wpół do dziewiątej”.

Ale to wszystko należało już do przeszłości. Było pochowane na małym, ślicznym przykościelnym cmentarzyku, wraz ze starą panią Creig, z panną Payne znaną niegdyś ze swego niemożliwie władczego usposobienia i majorem Stapletonem, w ostatnich czasach członkiem Strzelców Królewskich. Po nich nadeszli nowi mieszkańcy miasteczka obwiniający się nawzajem za brak życia towarzyskiego i poczucia wspólnoty. Codziennie rano wsiadali do pociągu do Londynu o siódmej piętnaście albo, Amelia musiała to przyznać gwoli sprawiedliwości, siedzieli za zamkniętymi drzwiami pisząc artykuły do prasy krajowej na temat upadku ducha kolektywizmu w małych miasteczkach.

W środowy wieczór siedziała przed telewizorem oglądając sześć kolejnych, nagranych na kasetę odcinków „Sąsiadów” i jadła naprędce przygotowaną kolację. Jestem prawdziwym pasożytem, pomyślała, bez drugiego człowieka jakoś podupadam na duchu, moje myśli wyparowują, wszystkie postanowienia blakną.

Oglądała wideo rozgrzebując na talerzu kleisty i stygnący makaron. Gdzieś, daleko czekało na nią Cherryfield kiwając zapraszająco, jak stara wymalowana kokota: „Daj mi parę groszy, a sprawię, że poczujesz się, jak w niebie”.

— Oto — powiedziała do siebie — jak zamierzam spędzić mój cenny czas, zanim poczuję, że przyszła pora na oddanie się w jej ręce. — Kiedy mówiła wydawało jej się, że słowa wypływają z jej ust i płyną po pokoju, wzdłuż listwy przy podłodze, między sofą i fotelami w poszukiwaniu jakiegoś słuchacza, wreszcie wracają do jej ust w postaci cienkich wstążeczek.

Mam chyba dość, pomyślała, idę spać.

Następnego ranka, kiedy odsłoniła okno, niebo wyglądało, jak pomalowane przez kogoś, kto miał do dyspozycji tylko jedną,

ponurą, szarą farbę. Amelia ubrała się, zakleiła dużą, brązową kopertę ze swoim nowym artykułem, wzięła torebkę i wyszła do miasteczka.

Przeostało już padać, ale wiał chłodny wiatr. Zapięła pod szyję swoją starą i trochę już wytartą pikowaną kurtkę. Zawsze nosiła ją do miasteczka. To było jak deklaracja: faktem jest, że żyję w grzechu z waszym miejscowym doradcą prawnym, ale w głębi duszy jestem nieszkodliwym i dość konwencjonalnym stworzeniem. Była zdania, że noszenie pikowanej kurtki absolutnie wykluczało bycie kimś podejrzanym, albo groźnym.

Gdy zbliżała się do sklepów usłyszała za sobą wołanie. Z naprzeciwka nadchodziła pchając dziecinny wózek Rosalinda Hall, najbliższa przyjaciółka Amelii. Miała na sobie kanarkową zładwestkę i z rozmachem pokonywała kałuże tak, że woda rozpryskiwała się pod dużymi kołami staromodnego wózka.

Amelia poczekała na nią, zadowolona, że znalazła przyjazną osobę, z którą można pogawędzić. Chociaż, przyznała sama przed sobą, od czasów, kiedy Rosalinda urodziła synka, RONALDA, ich przyjaźń zatraciła nieco ze swojego dawnego nieskrępowania. Rosalinda większość czasu ubolewała nad złymi stronami posiadania dziecka, zaś Amelia nad tym, że go nie posiada.

— Szczęściara z ciebie — usłyszała teraz. — Zakładasz sobie kurtkę i wychodzisz z domu, kiedy chcesz. Żebyś wiedziała, ile czasu zajmuje wychodzenie z domu z małym.

Z małym czym? Powstrzymała się od pytania i zamiast tego objęła ją serdecznie i powiedziała, że brakowało jej jakiejś przyjaznej duszy, która podtrzymałaby ją na duchu.

— Gerald jest jakiś wyjątkowo radosny ostatnimi czasy, co takiego z nim robisz? — zapytała Rosalinda, żeby coś powiedzieć i uśmiechnęła się do RONALDA, który pokazał właśnie swoje bezzębne zęby w porywającym i promiennym uśmiechu. — Kto jest kochanym maluszkim mamusi? — zaszczebiotała i zabujała wózek nogą w kaloszu.

Amelia popatrzyła na nią z miłym zaskoczeniem. — Nie sądziłam, że robię coś odpowiedniego jeśli chodzi o GERALDA. Zresztą akurat teraz nie ma go w domu — westchnęła. — To takie głupie, wyjechał raptem na tydzień, a ja już za nim tęsknię. — Mówiąc te słowa musiała kiwać się to w dół, to w górę, żeby

utrzymać oczy na poziomie twarzy Rosalindy, której głowa co chwila zniknęła pod daszkiem wózka.

— Jeśli to właśnie jest cecha wolnego związku — stwierdziła prostując się w końcu — to może powinniśmy z Chrisem zdecydować się na rozwód. W końcu Londyn jest tylko o godzinę jazdy pociągiem.

— Co rozumiesz przez: Londyn jest o godzinę jazdy pociągiem?

Kanarkowa ziuwestka znów wyłoniła się spod daszku wózka. — Rozumiem przez to, że Londyn nie jest daleko od Abbotslea — mówiła tonem wyćwiczonej cierpliwości, jakim przemawiała do małego RONALDA. — Skoro widziałam Geralda wczoraj po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko Royal Academy, a ty właśnie mi powiedziałaś, że wyjechał na tydzień i, jako że urodzenie dziecka nie stepiło jak dotychczas mojej zdolności logicznego rozumowania, to dodałam do siebie te dwie informacje i wyciągnęłam wniosek, że Gerald przebywa właśnie w Londynie. A my pojechaliśmy tam na wystawę Moneta. — Głowa Rosalindy znów zanurkowała pod daszek i dobyło się stamtąd nieco przytłumione: — Co, kwiatuszku?

— Gerald był wczoraj w Londynie? — Amelia osłupiała. Widziała wyraźnie poruszające się usta Rosalindy, słyszała słowa, które wypowiadała, ale, niech ją diabli, jeśli cokolwiek do niej docierało. — Rozmawiałaś z nim?

Rosalinda zaczynała się niecierpliwić. — Nie, prawdę mówiąc pomachaliśmy sobie tylko przez ulicę. Tak, mała, tłusta łapka pomachała panu Forbesowi, prawda?

— Jesteś pewna, że to był Gerald?

Ronald wydał z siebie nagły bolesny jęk. Rosalinda spojrzała spieszenie na zegarek i zręcznym kopnięciem zwolniła hamulce u koła. — Nie patrzyłam ani w jego prawo jazdy, ani na linie papilarne, ale wyglądał na Geralda. A teraz już naprawdę musimy jechać i dać małemu jego jedzonko o jedenastej. Moja biedna kruszyna umiera z głodu.

Przynajmniej tym razem wchodząc do sklepiku Amelia była zadowolona, że już nie spotka jego dawnego właściciela podpułkownika lotnictwa Stephensa, kawalera orderu Imperium Brytyjskiego i Krzyża Lotniczego. Był dla niej źródłem nie kończącego się ubawu, gdy wykonywał swój zawód, zawsze z obawą, że prowadzenie sklepu uraga jego prawdziwemu powołaniu.

Odnosił się chłodno do wszystkich, którzy mieli małe dzieci, albo loda w ręce, lub też pochodzili z nieodpowiedniej dzielnicy miasteczka. W stosunku do wszystkich innych był zawsze jowialny i nazbyt gorliwy. Ten sposób zachowania wysyłał większość miejscowych do sklepu samoobsługowego w niedalekim Alresford, który zapewniał im spokój i anonimowość. Czasami w sklepiku Stephensa pokazywała się jego żona w kombinezonie z poliestru i opowiadała Amelii o czasach, kiedy obydwoje byli związani z Ambasadą Brytyjską w Peru; o wspaniałych przyjęciach, jakie wydawali i poznanych tam ludziach. Na koniec jednak nawet cosobotnie wyprzedaże przeterminowanych towarów nie były w stanie uratować podpułkownika Stephensa od twardej rzeczywistości ciągłych dostaw i rosnących potrzeb. W końcu sprzedali sklepik, zresztą zdaniem wszystkich mieszkańców było to tylko kwestią czasu, gdyż inspektor higieny zamknąłby go tak czy inaczej.

Magazyny zostały przejęte przez młode, przedsiębiorcze małżeństwo z pobliskiej wioski. Mieli oni zamiar stworzyć w okolicy całą sieć minimarketów. Oprócz sprzedaży zwykłych towarów, jak słodczyce, ciasteczka, zupy w puszkach, sery, budynie, herbaty i tym podobne, wprowadzili mrożonki i specjalne dietetyczne potrawy, a także otworzyli wypożyczalnię wideo i okienko z usługami pocztowymi. Zainstalowali też kasę i wynajęli specjalnie dziewczynę, która przyjmowała opłaty z taką obojętnością w stosunku do klientów, jaką ogrodnik darzył gąsienice; były potrzebne, jako gatunek, ale pojedynczo nie przedstawiały sobą nic godnego uwagi.

Amelia zaskarbiła sobie onegdaj sympatię podpułkownika dzięki ładnej buzi i koneksjom z rodziną Forbesów. Pomimo swoich krótkich spódniczek i nieformalnego związku z synem Forbesów na pewno musiałyby teraz wyjaśnić przyczynę nieobecności Geralda oraz ponurego wyrazu twarzy. Zamiast tego nadała w okienku pocztowym swoją przesyłkę i kupiła chleb oraz żółty ser prawie nie otwierając ust.

— Znaczek pierwszej klasy, tak? To będzie trzydzieści jeden pensów — usłyszała przy okienku pocztowym, i dokładnie dwa funty, dziękuję bardzo — przy kasie.

Przez resztę poranka Amelia próbowała uporządkować to, co

powiedziała jej Rosalinda. Nie znosiła niedopowiedzeń i niejasności. Wpędzały ją w gorączkowe i nieefektywne działania powodując, że zachowywała się jak ktoś, kto ma sufit ciekący w pięciu miejscach i tylko jedno wiaderko. Najpierw zadzwoniła do biura Geralda, żeby zapytać jego ojca, gdzie on właściwie jest. Lubiła Normana i on także darzył ją sympatią. Nie obawiała się przed nim przyznać, że nie wie gdzie jest jego syn. Ale Norman wyszedł na jakieś spotkanie, a sekretarka nie wiedziała, gdzie można złapać pana Geralda Forbesa. — Czy to panna Lindsay?

— Nie, niestety nie — odpowiedziała Amelia próbując dopiero teraz zmienić trochę brzmienie swego głosu.

Potem zadzwoniła do Toma, z którym Gerald miał jechać na ryby. Odezwała się tylko automatyczna sekretarka: — Tom nie może podejść do telefonu w tej chwili...

Nie mogła zadzwonić do Nicka, bo nie miała jego telefonu ani adresu. Usiadła obok aparatu i próbowała się uspokoić. Gdyby coś się stało, Gerald na pewno skontaktowałby się z nią. Musi istnieć jakieś racjonalne wyjaśnienie, dlaczego był widziany w centrum Londynu podczas swojej wyprawy do Szkocji. Gerald był zawsze uczciwy. Nigdy nie kłamał. Właściwie w każdej chwili mógł wejść do hallu wyjaśniając, że wyprawa z pewnych względów została skrócona.

Ale nie wrócił do domu i nie było od niego najmniejszej wiadomości ani tego dnia, ani następnego. Amelia zdenerwowana i wściekła siedziała przy kuchennym stole z uczuciem, że jej wnętrzości są skręcone, jak spaghetti wokół widelca. Oddychała głęboko, wdech, wydech, wdech i wydech. Wyobrażała sobie, że jest gigantycznym czajnikiem z zapchanym dziobkiem i że gotująca się woda wytwarza coraz większe ciśnienie w środku [chodziła kiedyś razem z Dagmarą na treningi autorelaksu]. — A teraz musisz usunąć korek — w jej głosie zabrzmiał lekkoamerykański akcent. — Czujesz jak para wydobywa się ze środka?

— A niech to wszyscy diabli — wrzasnęła głośno, kiedy wizja wrzącej wody w czajniku i jej samej mocującej się z zablokowanym korkiem nabrała zbyt realnych barw. — Jasna cholera, niech to jasny szlag trafi! — stała bijąc powietrze wokół siebie zaciśniętymi pięściami i krzycząc aż do bólu gardła.

To pomogło. Przemierzyła pośpiesznie pokój i stanęła w otwar-

tym na ogród oknie. Wychyliła się i z zamkniętymi oczami wdychała chłodne, wilgotne powietrze.

— Amelio? Czy to ty? Przy niskim kamiennym murku stała pani Jenkins, sąsiadka z domu obok. Uśmiechała się, ale prawdę mówiąc jej uśmiech był dość niepewny. — Wydawało mi się, że usłyszałam twój głos.

— Pani Jenkins, ach tak... właśnie ćwiczyłam swoje kwestie do... do sztuki, którą mamy wystawiać w lecie dla domu starców w Cherryfield. Teraz jest tam moda na nowoczesne rzeczy. — Skinęła pani Jenkins na do widzenia i znikła szybko za oknem.

Dwadzieścia cztery godziny później Amelia spakowała swoje rzeczy i zostawiając wiadomość dla Geralda, żeby skontaktował się z nią w razie, gdyby wrócił wcześniej, wyjechała do Kingsmouth.

ROZDZIAŁ 9

Selma uwielbiała rośliny. W domu w Ascombe była nimi zawsze otoczona. Salon wypełniały zielone rośliny w doniczkach, a za oknem kwitł różnokolorowy dywan kwiatów. Kiedy przybyła tu pierwszy raz trzymając za rękę swoją małą, bladą córeczkę wyszły w nocy przez taras do skąpanego w świetle księżyca ogrodu. Rumianek pod ich stopami wypełniał powietrze sennym zapachem, a ona patrzyła poprzez ogród na oddalone, połyskujące łuną księżyca morze.

Gdy późnym popołudniem Amelia zbliżała się do domu w Cherryfield, z otwartego okna na pierwszym piętrze dobiegł jej uszu głos Selmy.

— Wyoś się ty głupia wariatko! — Zatrzymała się zaszokowana rozpoznając niewątpliwie głos babci wykrzykujący przekleństwa w taki sam sposób, jak ona sama robiła to dziś rano. Nagle pochyliła gwałtownie głowę, cudem unikając uderzenia beżowym sandałem Scholla lecącym wprost na nią.

Begonia w doniczce dzieląc los sandała, roztrzaskała się tuż u jej stóp, na całe szczęście omijając jej prawą skroń. Spojrzała do góry, ale nie zobaczyła nikogo, oprócz ramienia w fartuchu zatrzasującego okno. Pochyliła się znowu, tym razem, żeby podnieść spomiędzy ziemi i kawałków rozbitej doniczki sandał Selmy.

Otrzepała go starannie i wolno ruszyła w kierunku wejścia. Zaczzerwieniła się na samą myśl o minie siostry Morris i jej pouczającym tonie, kiedy będzie jej wymyślać na czym świat stoi.

— Jestem przekonana, że tego nie chciała — ćwiczyła w myślach swoją odpowiedź. — Na pewno nie zdawała sobie sprawy, że okno było otwarte...

— Ach, Amelia, moja kochaniutka!

Zrobiła krok do tyłu i zobaczyła babcie wychylającą się z okna, całą w rumieńcach i uśmiechniętą. — Ale miła niespodzianka, zaraz zejść na dół, jeśli... jej głos ścichł, kiedy odwróciła głowę w kierunku pokoju mówiąc coś ciągle — jeśli mi będzie wolno.

Kiedy Selma, wyprostowana i uważna zjeżdżała windą dla wózków inwalidzkich zamocowaną równolegle do schodów, Amelia zastanawiała się, czy ma wspomnieć, choćby mimochodem, że omal nie została znokautowana przez spadającą doniczkę. Może powinna poprosić babcie o jakieś wyjaśnienie, które mogłoby usatysfakcjonować wciąż nieobecną siostrę Morris. Ale Selma wyglądała tak normalnie i była taka szczęśliwa widząc swego gościa, że po prostu nie powiedziała nic.

— Jeśli mogłabyś mi podać tę paskudną rzecz — Selma wskazała ruchem głowy na balkonik do chodzenia stojący w kącie pod schodami. Powoli, wyuczonym ruchem ręce staruszki odnalazły uchwyt balkonika, potem całe ciało ostrożnie uniosło się z trudnością łapiąc równowagę. Amelia ruszyła za szurającą niepewnie babcia w kierunku oranżerii. Od czasu do czasu Selma nieoczekiwanie stawała, jakby zapominając o wysunięciu nogi do przodu. Jak chore dziecko, które zapomina oddychać. Potem zaczęła iść znowu.

— Świetnie sobie radzimy z balkonikiem! — siostra Williams uśmiechnęła się z aprobatą, gdy wreszcie dotarły do świetlicy. Nie wspomniała o scenie, która rozegrała się przed chwilą na górze. — Mówiłam przecież, pani M., prawda, że mówiłam? Nic się nie stanie jak spróbujemy, tak?

Amelia pomogła babci usiąść w wiklinowym fotelu. Przyjrzała się jej twarzy. Wydawała się taka mała, niepewna i zmęczona. — Macie tu dobrą kuchnię? — zapytała.

— Już mi się okropnie znudziło to jedzenie. — Odpowiedź była zdecydowana. — O wiele bardziej lubiłam jeść gdzie indziej.

Amelia nie mogła zmusić się do pytania: — To znaczy gdzie? — więc milczała.

— Oczywiście nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do własnej kuchni. — Selma przestała nagle grzebać w torebce i poprawiać bolącą nogę, ale spojrzała prosto w oczy wnuczki. Jej wzrok zdawał się prosić: graj ze mną w tę grę.

— Z każdym dniem jesteś w lepszej formie — powiedziała wymijająco Amelia.

— Nie będę w lepszej formie, dopóki będę musiała tutaj mieszkać — głos Selmy był zdecydowany. Pochyliła się, jak daleko mogła w stronę Amelii i mówiła dalej półgłosem. — To miejsce jest dziwne. Nie można tu nic zaplanować. Wiesz, na przykład już od wieków nie byłam na basenie. — Wyprostowała się i zamknęła na chwilę oczy. — Nie ma tu też żadnych zwierząt.

Przed każdą wizytą Amelia drżała na samą myśl o tym, że mogłoby paść pytanie o koty. Ale Selma nigdy o to nie zapytała i nagle olśniło ją, że babcia nie pytała o wiele innych rzeczy tylko dlatego, że bała się usłyszeć odpowiedź.

— Żyję chwilą, kiedy będę mogła wrócić — powiedziała babcia w zamyśleniu.

Amelia poczuła, że się czerwieni. Tym razem ona nachyliła się w kierunku Selmy i wzięła jej nieustannie trzęsącą się rękę w swoje dłonie. — Jestem pewna, że to już niedługo.

— Obiecujesz? — uśmiechnęła się Selma.

— Obiecuję — odparła Amelia. Robiło jej się już niedobrze.

Selma zamknęła oczy i wkrótce zapadła w drzemkę, pozostawiając wnuczkę w rozterce wyobrażającą sobie przeróżne, niemożliwe scenariusze wypełnienia tej obietnicy. Być może, myślała zmęczona, Selma zapomni i o tym, jak zapominała o tylu innych rzeczach.

Amelia usiadła wygodnie i uspokoiła się. W trochę przegrzanym pokoju czas zdawał się stać w miejscu. Tyle razy patrzyła na babcię drzemiącą po obiedzie w swoim fotelu. Drzemka sprawiała jej zawsze olbrzymią przyjemność. — Posiedź chwilkę przy mnie, kochanie — mówiła siadając na swoim stałym miejscu w wykuszu salonu w Ashcombe. Fotel stał naprzeciwko okna, z którego widać było morze. — Na chwilkę tylko zmruję oczy. — Odchyłała głowę i zasypiała natychmiast. Selma kochała morze i mogła bez końca obserwować przez okno jego zmieniające się twarze. Nie miała żalu, że zabrało jej pierwszego męża, prawdziwego dziadka Amelii.

— Stałam każdego ranka na pomoście w Goethenburgu i czekałam na okręt, który przywiezie go, wraz z rodziną z Niemiec — powiedziała kiedyś wnuczce.

— Byłam jak pomnik Żony Marynarza: wpatrzona w wejście do portu, nieruchoma, czekająca i pełna nadziei. Przypływały duże parowce i mniejsze statki z uciekinierami i emigrantami, ale Daniela wśród nich nie było. Postanowił popłynąć z powrotem do Niemiec, choć wiedział, jak to się mogło skończyć. On był bardzo odważnym człowiekiem.

Selma nigdy nie chciała mówić o tym, co się wydarzyło później. Ale któregoś dnia, na dnie starego kredensu z drewna orzechowego, w obitym jedwabiem pudełku, w którym leżały listy miłosne od Daniela, Amelia znalazła kartkę napisaną po niemiecku, jakimś nieznanym charakterem pisma. Jego wygląd wyraźnie odbiegał od tego, jakim pisane były listy. „Zostałem zabrany do obozu dla uchodźców dla własnego bezpieczeństwa. Jestem zdrowy i czuję się dobrze”.

Ale Daniel zginął w Belsen i w szufladzie Selmy leżał list w pożółkłej kopercie od jego matki, zanim i jej tam nie zabrano. Tylko Selma była w stanie odczytać staroświeckie pismo z kanciasnymi, wydłużonymi literami, choć wszyscy znali już treść tego listu, ostatniego listu Tante Magdy. Było też kilka fotografii, zrobionych w czasie jakichś wakacji dawno temu. Na jednej z nich był Daniel, wysoki o kasztanowatych włosach, jakie miała Amelia, z uśmiechem obejmujący ramiona młodziutkiej Selmy. Na innej w cieniu parasola siedziały Tante Magda z małą córeczką Ellą, młodszą siostrą Daniela. Kilka listów, parę wyblakłych fotografii to wszystko, co pozostało po tamtej rodzinie.

Amelia siedziała w Cherryfield rozmyślając o swoim dziadku, Danielu, który zmarł, kiedy był młodszy od niej. Zdawała sobie sprawę, że w porównaniu z jego cierpieniem chwilowe zagubienie Geralda ważyło tyle, co piórko.

Kiedy jako mała dziewczynka płakała z żalu nad sobą, mówiono jej, jak większości małych dzieci, żeby pomyślała o tych, którzy cierpią jeszcze bardziej. To zawsze ją niepokoiło: takie zbieranie w myśli obrazów cierpienia, które miałyby jej ulżyć, sprawiając, że i tak lekkie brzemie wydałoby się jeszcze lżejsze?. Czymże to było, jak nie żerowaniem na czyjejś tragedii? Kogo mogła wtedy o to

zapytać? Selma raczej próbowała odwrócić jej uwagę od różnych niepokojów, kierując ją na miłe rzeczy: pokazując piękną roślinę, ładną twarz, albo próbkę materiału, który świetnie pasowałby na obicie mebli w jadalni. Za to Dagmara była przekonana, że cierpienie czało się za każdą ładną rzeczą i za każdą przyjemnością, toteż wolała świadomie wydobyć je od razu na powierzchnię życia, zamiast nieświadomie je lekceważyć. Potem, siedząc w fotelu, powiedziałaaby z ulgą: — No proszę, mówiłam ci, nikt i nigdy nie jest całkowicie bezpieczny.

Amelia przesunęła swoje krzesło kawałek dalej, aby promienie zachodzącego słońca nie świeciły jej prosto w oczy.

— Co się dzieje, kochanie? — Selma wzdrygnęła się i spojrzała na wnuczkę zaspanymi oczami.

— Powinam już niedługo iść, wkrótce będzie kolacja — odpowiedziała Amelia. — Będę z tobą jutro prawie cały dzień; może wybierzemy się razem gdzieś do miasta?

— Jeszcze nie idź — jak zwykle poprosiła Selma. — O, zobacz! — wskazała na szklane drzwi do świetlicy. — Tam jest admirał Mallett, musisz koniecznie go poznać. — Uniosła się lekko na wózku i pomachała w jego stronę. Kiedy admirał zauważył ją, uśmiechnęła się promiennie i nie zmieniając wyrazu twarzy szepnęła: — Biedny, stary admirał Mallett jest naprawdę uroczym, przemiłym człowiekiem, ale, mówiąc między nami, mam wrażenie, że troszeczkę zbzikowanym.

Admirał tymczasem, ciężko wspierając się na swoich kulach odwrócił głowę mówiąc coś i w tej samej chwili w drzwiach pojawił się Henry, pomagając ojcu wejść do świetlicy.

Selma powitała ich z daleka donośnym — jak się miewa nasz drogi admirał? Chodźcie, proszę do nas. Wyciągnęła zdrową rękę wskazując na puste fotele obok. Kiedy się poruszyła, Amelia zauważyła mimochodem, że bandaż, zwykle owinięty wokół kostki, teraz wspinał się aż do kolana, jak błądy wąż. Wzdrygnęła się i spojrzała na twarz babci szukając oznak bólu. Jednak Selma uśmiechała się i wyglądała na rozluźnioną.

— Właśnie przed chwilą obiecałam mojej babci, że wkrótce wróci do domu... — Amelia nachyliła się w stronę Henry'ego i mówiła cichym głosem, który był skutecznie zagłuszany przez głośną rozmowę admirała i Selmy.

— To miło — odpowiedział prosto Henry. — Dlaczego mnie nie zawiadomiłaś, że masz zamiar przyjechać?

— Nie znałam twojego numeru telefonu ani adresu.

— I nadal nie znasz — uśmiechnął się Henry.

— Cała rzecz polega na tym — Amelia przerwała trochę zirytowana oczekiwaniem, z jakim Henry na nią patrzył, tak jakby czekał, że zaraz zrobię jakąś sztuczkę, pomyślała. — Cała rzecz w tym — zaczęła jeszcze raz — że nie ma już żadnego domu. Został sprzedany. Teraz rozumiesz?

Henry spoważniał. — Tak, rozumiem.

— Tylko nie zaczynaj kazań na temat grzechu nieuczciwości — sapnęła Amelia. — Nie zniosłabym tego.

— Tym razem nie masz racji — Henry poprawił ją łagodnie. — Mówię kazania tylko w środy i niedziele. Wszystkie inne dobre rady są nadobowiązkowe. Ale chciałem powiedzieć coś innego... — Wyciągnął przed siebie swoje długie i nieco przyciężkie nogi. — Mianowicie, że w takim razie powinnaś zacząć zastanawiać się nad planem akcji.

Amelia zachnęła się. — Co masz na myśli? Jaki plan akcji?

— Mam na myśli to, że czas już zastanowić się, w jaki sposób zabierzesz babcię z powrotem do domu. I odwrócić się do ojca, który od jakiegoś już czasu próbował zwrócić na siebie jego uwagę powtarzając: — Mówię, chłopcze...

Amelia patrzyła przez chwilę w zamyśleniu na jasny profil Henry'ego, jego mocny, pewny podbródek, trochę zadarty nos i pomyślała, że musi być chyba nieco tępawy.

Selma położyła swoją pulchną rękę na jego ramieniu. Zawsze lubiła dotykać, opierać się, czuć blisko drugiego człowieka. — Twój ojciec właśnie obiecał przyjść na moje małe przyjęcie. Ty również musisz koniecznie przyjść, Amelia cię zaprowadzi. Pamiętaj, szesnastego sierpnia. Zapisz sobie w kalendarzu.

Amelia słuchała szczebiotania babci przerywanego od czasu do czasu pełnym emoci komentarzem panny White, która, kiedy tylko przyłączyła się do nich, zamówiła sobie zaproszenie na urodziny. — W życiu nie dostaje się nic, jeśli się nie poprosi — mruknęła pod nosem.

— Może zjedlibyśmy dzisiaj razem kolację? — głos Henry'ego był niedbały, ale jego oczy z uwagą śledziły reakcję Amelii.

Była spragniona opieki i podziwu, jak jedna z jej nieszczęsnych roślin doniczkowych. Dobrze, pomyślała, jestem takim biednym fiołkiem afrykańskim, który powinien być nawożony raz na dwa tygodnie, ale ma szczęście, jeśli dostanie małą kropelkę co drugi miesiąc. Miał coraz mniej bladych kwiatków, aż zostały na nim tylko ciemnozielone liście.

Uśmiechając się odpowiedziała, że byłoby świetnie zjeść dzisiaj razem kolację i natychmiast została wynagrodzona szerokim uśmiechem wdzięczności i ulgi.

Ona również czuła się wdzięczna. Uratowało ją to od smętnego czekania na telefon Geralda, który i tak nie zadzwoniłby wieczorem oraz od wątpliwej przyjemności zjedzenia kolejnej samotnej kolacji w małej restauracyjce hotelowej. Te posiłki w hotelu, kiedy siedziała sama przy stoliku, przypominały jej czasy, gdy będąc nastolatką musiała uczestniczyć w szkolnych zabawach tanecznych. Krótka obcięta, rude włosy i mały biust nie przysparzały jej popularności, zwłaszcza w porównaniu z blond lokami i okrągłymi piersiami rówieśniczek. Kiedyś, na jednej z takich zabaw ulgę przyniosła jej zostawiona gdzieś przez nieuważę broszurka o walce z leśnymi szkodnikami. Czytała ją zachłannie, strona po stronie udając, przynajmniej przed sobą samą, że ostatnią rzeczą, na którą miałaby ochotę był taniec i, że byłoby cudem, gdyby ktoś, widząc osobę tak pochłoniętą lekturą chciał z nią zatańczyć. Gdy dotarła do rozdziału 0 dżdżownicach, podszedł do niej chłopiec z dużymi plamami potu pod pachami i w ramach eleganckiego wprowadzenia zapytał, co czyta.

— Prousta — odpowiedziała Amelia i nie zatańczyła także i tego tańca.

Teraz przy okazji każdego samotnego posiłku, siedząc pochłonięta kartą dań z napisem pod menu informującym na przykład, że jadał tu Cromwell, czuła unoszący się w powietrzu ulotny odór pestycydów.

Z ciepłym uśmiechem zwróciła się do Henry'ego: — Miałam zamiar powiesić sobie dzisiaj na szyi tabliczkę z napisem: jem sama, ponieważ jestem trędowata. Ale na szczęście nie będę musiała tego robić.

Szybko nadeszła godzina szósta i podano podwieczorek, lub, jak nalegała Selma: „dużo — za — wczesną — kolację”.

— Zostawiamy ich z tym — powiedziała Amelia do Henry'ego, gdy stali w drzwiach jadalni i wskazała roznoszone talerze z porcjami konserwy z wołowiny na listku sałaty.

Henry nic nie odrzekł, ale zauważyła, odwracając głowę, że jego twarz zaczerwieniła się.

Spojrzała jeszcze raz na jadalnię i starszków podnoszących w skupieniu widelce do ust, rozgrzebujących jedzenie na talerzach, pijących wodę z grubych szklanek. W jadalni było tak cicho, że przez chwilę miała wrażenie, że ogląda program z wyłączonym dźwiękiem. Codzienna walka, żeby obudzić się żywym jeszcze następnego dnia, pobierała swój haracz: nikt nie miał już siły nawet na rozmowę.

Wyszli przez pustą świetlicę do hallu, za nimi ciągnął się cień winy, jak duży, wielkooki kundel, który odmawiał wyjścia na spacer.

— Obawiam się, że trochę popłaczę — stwierdziła cienkim głosem Amelia, gdy tylko stróż zamknął za nimi drzwi. — Ale życie wydaje się dzisiaj jakieś smutniejsze, często smutne, a nigdy poważne, kto to powiedział? — Otarła ukradkiem oczy haftowaną szwedzką husteczką, którą dostała kiedyś od Selmy.

— Winston Churchill, Bernard Shaw, Oscar Wilde? — Henry wyliczał z uśmiechem, ale jego głos brzmiał jakoś niepewnie, jakby też płakał.

Amelia próbowała powiedzieć coś podnoszącego na duchu. — A Jezus? Co on powiedziałby w takiej sytuacji?

— Nie drwij sobie ze mnie — poprosił łagodnie otwierając samochód i pomagając jej wsiąść. — Przynajmniej nie teraz. — Zatrzasnął drzwiczki, zanim zdążyła coś odpowiedzieć.

Zostawili samochód niedaleko portu i weszli do pubu na małego drinka, a potem wolno szli brukowanymi uliczkami i rozglądali się za jakimś miejscem, gdzie można by coś zjeść.

— Na pewno nie Wimpy — stwierdził Henry, gdy mijali jedną z restauracji tej sieci. — Ani Kentucky Fried Chicken. Potrzebujemy czegoś w stylu francuskim i pretensjonalnym, albo włoskim i niemodnym. Tak, raczej włoskim, z ociekającymi stearyną świeczkami wetkniętymi w zielone butelki.

Ale Kingsmouth o tej porze było całkiem pozbawione jakiegokolwiek niemodnego lub pretensjonalnego lokalu i jakiegokolwiek miejsca, gdzie można by coś szybko zjeść.

— ...artofle nadziewane — przeczytał Henry na jakiejś tablicy. — Nie, raczej nie to. — Ale kiedy skręcili w uliczkę prowadzącą z portu pod górę, usłyszeli z daleka ciche dźwięki melodii granej na fortepianie.

— Kiedyś był tam dosyć nędzny hotelik. — Amelia spojrzała na oświetloną fasadę budynku. Z żelaznych krat w oknach zwisały donice z pnącym geranium. Muzyka ucichła, ale gdy weszli do środka Henry triumfalnie wskazał okrągłe stoliki nakryte serwetami w kratkę z butelkami po winie w roli świeczników.

— Doskonale — westchnął zadowolony.

Kiedy siedzieli już przy stoliku szącąc wino, z tylnych drzwi restauracji wyszedł drobny, elegancko ubrany człowiek z nienaturalnie czarnymi włosami. Kroczył torując sobie drogę między stolikami, obok zastawionej deserami gabloty w kierunku podestu z fortepianem. Usiadł, podniósł prawą rękę wysoko i uderzył w klawisze pierwszy akord „Nad pięknym, modrym Dunajem”.

Henry, aż usiadł głębiej na swoim krześle i zachwycony zauważył:

— Czy można chcieć więcej?

Drobny pianista grał i grał a restauracja wypełniała się ludźmi. Grał walce, polki i marsze, podczas gdy Amelia i Henry zjedli porcję smażonych, młodych rybek i pieczeń rzymską z wieprzowiny [— Zauważyliśmy, że nasi brytyjscy klienci wykazują pewien opór w stosunku do potraw z cielęciny — zauważył wyjaśniająco szef kuchni.]. Wreszcie pod koniec ostatniego utworu ze swojego muzycznego potpourri znowu uniósł ręce i zaatakował klawisze pełnym impetu ostatnim akordem. Potem wstał zaskakująco szybko ze swego taboretu, a kiedy Amelia i Henry zaczęli klaskać skłonił się z wdzięcznością i błyskawicznie opuścił lokal tą samą drogą, którą przyszedł.

— Na pewno spodobałby się Selmie — zamyśliła się Amelia i umilkła na chwilę. — To śmieszne, że muzyka klasyczna, poezja, albo obrazy są zwykle uważane za luksus, za coś dla elity, a tymczasem one właśnie najbardziej zrównują wszystkich ludzi. To znaczy... — spostrzegła, że Henry słucha jej z uwagą, przerwała na chwilę i uśmiechnęła się do niego. — Nie musisz być pełnosprawny fizycznie ani zatrudniony, ani nawet przy zdrowych zmysłach, żeby zachwyć się tymi rzeczami tak samo jak inni. Moja babcia jest bezproduktywna, nikogo już sama nie wyżywi, nic zapewne nie

odkryje. Nie ma za wiele do powiedzenia nawet w kwestii swojego życia i wątpię, czy przetrwałaby zdana na swoje siły dłużej niż tydzień. Ale Mozart i Strauss, głośno czytany wiersz i piękne malarstwo otworzą te same drzwi, dotrą do niej tak samo jak do nas, dadzą podobne zadowolenie i ukojenie, taki sam powiew nieśmiertelności. — Poczwała, że mówi za dużo, więc umilkła trochę zawstydzona, jej policzki nabrały bardziej niż zwykle różowego koloru. Wypiła do końca swoje czerwone wino.

— Może dlatego tak wielu żołnierzy na froncie pisze wiersze — zauważył Henry. — Nie chciałbym prawić kazań, ale jak powiedziane jest w Biblii: „Przypatrzcie się liliom polnym, jak rosną: nie pracują ani nie przędą” — mówił te słowa miękko, a jednak z pewną siłą, co sprawiło, że Amelii było przykro gdy zakończył szybkim: — Itd, itd.

Chciała także, żeby nie pomyślał, iż nie zna zakończenia; nie znała dokładnie i z pewnością nie sprawdzi go później, była na to za leniwa. — No dobrze — zaśmiała się — a więc nie jestem zbyt oryginalnym myślicielem.

Mały człowieczek ponownie usadowił się na okrągłym taborecie przy fortepianie i zaczął grać „Błękitną Rapsodię”.

Słuchając muzyki Amelia rozglądała się dyskretnie po sali. Przy stoliku za plecami Henry’ego siedziało pięć kobiet rozgadanych i zaśmiewających się nieustannie. Przy innych stolikach siedziały przeważnie pary dość rzadko wymieniające w trakcie jedzenia uwagi i komentarze. Tu słówko, tam zdanie lub dwa, jak ona sama, kiedy karmiła ziarnem kukurydzy swoje karłowate koguciki.

Może właściwą miarą dynamizmu związku między mężczyzną a kobietą nie jest ilość czasu, jaką spędzają razem w łóżku, ale właśnie to, z jakim zaangażowaniem rozmawiają ze sobą w restauracjach, zastanawiała się Amelia. Jeszcze nie tak dawno temu była zadowolona i dumna z poczucia nieprzebranego bogactwa tematów, jakie mogła poruszyć z Geraldem, kiedy gdzieś razem szli. Siadali blisko siebie i zdarzało się, że pochłonięci rozmową, zapominali nawet o stygnącym jedzeniu. Ale ostatnio... ostatnio zachowywali się raczej tak, jak te żujące w ciszy pary, którym w głębi duszy współczwała.

Całkiem nieoczekiwanie dla siebie samej Amelia powiedziała nagle: — Gerald, ten, z którym ciągle myli cię moja babcia, on

chyba ma romans. — Podniosła oczy zdziwiona, że tak łatwo przyszło jej wypowiedzieć na głos to, do czego bała się dotychczas przyznać przed samą sobą.

Henry jednak nie wyglądał na zaskoczonego, ale patrzył na nią w zamyśleniu z głową pochyloną trochę w bok, jak olbrzymi ptak przysłuchujący się pieśni innego ptaka.

Amelia uśmiechnęła się słabo. — Właściwie to trochę mnie to złości, bo wciąż kocham go z całego serca, wiesz... — Spojrzała na niego ze zmarszczonymi brwiami. — Przypuszczam, że dla ciebie i w ogóle dla większości ludzi już sam jego związek ze mną jest po prostu przygodą, ale na ile to upoważnia go do nowych romansów, nie wiem. Powiedz mi, Henry, jak oceniłby to Kościół? Czy grzeszna kochanka ma w ogóle jakieś prawa? Czy jest faktycznie wyklęta czy po prostu będzie ukarana?

— To nie ma w tej chwili znaczenia — nieoczekiwanie przerwał jej Henry. — Musisz zapytać go prosto z mostu, czy rzeczywiście jest ci niewierny. Jeśli tak, to odejść od niego.

Amelia spojrzała na niego. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Jesteś młody... — Dotknęła dłonią jego policzka. — To śmieszne, w jaki sposób widniejące na ludzkiej szyi atrybuty, jak stetoskop, mikrofon, czy koloratka powodują, że inni oczekują od nich nadludzkiej mądrości.

— Przepraszam. — Henry wyglądał na zawstydzonego.

Amelia uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. — Nie, to ja przepraszam, byłam niedelikatna. To bardzo miło, że mnie słuchasz. Czasami tak mi tego brakuje; czuję się wtedy trochę samotnie. Moja matka jest w porządku, dopóki coś szczególnie interesującego nie zajmie jej uwagi. Na przykład to, że jakiś pies nabrudził na ulicy. Uwielbiałam Willoughby'ego, ale on już nie żyje. Czasami mam wrażenie, że Selma również. — Popatrzyła na Henry'ego. — Jakie jest twoje zdanie o eutanazji?

— Nie — odparł krótko.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ tylko Bóg ma prawo odbierać życie.

— Bóg daje, Bóg bierze — mruknęła pod nosem, a potem powiedziała*. — Ale on nie decyduje o dawaniu życia. To my, ludzie, decydujemy o tym, czy mieć dziecko. Kobieta i mężczyzna.

- Bóg daje nam taką możliwość.
- Daje też możliwość zabrania życia.

— Możliwość tak, ale nie prawo. — Wesoła do tej pory twarz Henry'ego nabrała poważnego wyrazu. — My mamy prawo i powinniśmy tylko łagodzić ból; zrobić wszystko, co jest możliwe, żeby czyjeś życie było znośne do samego końca.

— Ale to co mówisz znaczy, że usprawiedliwiasz zabijanie całkowicie zdrowych, młodych ludzi na wojnie i zapewne tak jest, skoro sam jesteś w marynarce wojennej. A dlaczego nie możesz zaakceptować skrócenia cierpienia i ułatwienia śmierci bardzo starym już ludziom?

Henry rozlał resztę wina do kieliszków. — Trzeba przeciwstawić się złu, a czasami to wymaga użycia siły. Tak mówi doktryna świętego Augustyna dotycząca sprawiedliwej wojny. Mogła być kiedyś wykorzystana do usprawiedliwienia wojen kolonizacyjnych Imperium Rzymskiego, owszem, ale idea sama w sobie jest słuszna. Tylko ludzie są niedoskonalą. — Uśmiechnął się. — A niektórzy są jeszcze bardziej niedoskonalą od reszty. Kiedy po Europie szalał Hitler, czy ludzie, tacy jak ja mieli prawo stać z boku i mówić „nie zabijaj”, do mężczyzn i kobiet, którzy ryzykowali swoje życie, żeby położyć kres największemu cierpieniu w historii ludzkości? — Henry potrząsnął głową. — Nie sądzę. Musimy budować swoje życie na pewnych, niepodważalnych zasadach, ale godziłoby to w zwykłego śmiertelnika, jeśli te zasady, wyrze na kamiennych tablicach byłyby przestrzegane zawsze i wszędzie bez względu na okoliczności.

— Czy to Bernard Shaw powiedział kiedyś do kobiety siedzącej obok niego przy obiedzie, „Teraz to tylko kłócenie się o cenę”?

Henry patrzył na nią poważnie. — Nie, bynajmniej. Teraz kłócimy się o to, czy mamy takie prawo, czy nie i jak je postrzegamy, uczciwie i w głębi serca. Wierzę, a nawet jestem pewien, że mam prawo obronić dziecko przed brutalnym mordercą, nawet jeśli to znaczy użycie przemocy; minimalnej przemocy potrzebnej do ocalenia dziecka. A czemu zagraża twoja babcia? Twojemu spokojnemu sumieniu? — Henry pochylił się bliżej i położył rękę na dłoni Amelii. — Jeśli spytałabyś jej samej, czy chce umrzeć, to jak sądzisz, jaka byłaby odpowiedź?

Amelia spłoszona odsunęła rękę, zaczerwieniła się i spojrzała na niego z wyrzutem, jakby to on był odpowiedzialny za całą nie-

sprawiedliwość tego świata. — I to właśnie jest jeszcze jeden, brzydki mały dodatek do życia — powiedziała. — Końcowy potrzask, ta absurdalna woła przetrwania mimo wszystko. Żałosne pragnienie pozostania jeszcze, chociaż wiemy, że przyjęcie się dawno skończyło. Chociaż czasami i tak nie bawimy się na nim zbyt dobrze.

— Ho, ho — Henry uniósł brwi — ale z ciebie cynik.

— Wcale nie. — Amelia nie mogła powstrzymać uśmiechu. On jest jak gąbka, pomyślała, każda złość rzucona mu w twarz mięknie i rozpuszcza się. — Nie cynik. Po prostu jestem opanowana przez coś, co Selma nazywa „czarnym dnem”. Myślę, że nazwała tak pewną skłonność do melancholii.

— Wolę jej określenie. „Czarne dno” brzmi bardziej fantazyjnie. Ale tak, czy inaczej, nie pozwól mu sobą zawładnąć.

— Nie pozwalam. Trzymam je przyzwoicie głęboko schowane, przynajmniej przez większość czasu. I nie zabiłabym Selmy, jakkolwiek bardzo ją kocham. W moim przypadku przekonania nigdy nie łączą się z odwagą działania.

— I dzięki Bogu — powiedział po prostu Henry.

Nie było żadnej wiadomości do panny Lindsay. — Nie, żadnego telefonu od pana Geralda Forbesa — zapewnił nocny portier spoglądając znad rubryki sportowej „Evening Herald”. — Tak. — Był całkowicie pewny.

ROZDZIAŁ 10

Dagmara była z siebie całkiem zadowolona, parkując samochód przed Cherryfield. Obudziła się dzisiaj rano z poczuciem siły i optymizmu, gotowa do walki. Zmarnowała większą część swojego życia, ale teraz — koniec z tym. Uśmiechnęła się na myśl o interesującej rozmowie, jaką odbyła ostatnio z nowo przybyłym ze Stanów profesorem na temat znaczenia urojeń w społeczeństwie. Zaskoczyła jego i siebie samą, jak wiele miała do powiedzenia na ten temat.

— Nie ma ryzyka, nie ma zabawy — mamrotała pod nosem złotą myśl, którą zasłyszała dawno temu, gdy spotkała pierwszy raz, na stoku narciarskim, swego przyszłego męża. — Nie ma ryzyka, nie ma zabawy — pomyślała i przewyciężyła pierwszy impuls, żeby wytrzeć chusteczką kluczyki od samochodu przed wrzuceniem ich do torebki.

Właśnie kiedy zadzwoniła do drzwi, z drugiej strony nadeszła Amelia. Ucałowały się na powitanie, ale nie zdążyły zamienić ani słowa, bo drzwi akurat się otworzyły i z dalekiej świetlicy dobiegł je oburzony, niemal histeryczny krzyk Selmy. — Mordercy, brutale, naziści!

Matka i córka spojrzały na siebie i natychmiast ruszyły biegiem w stronę, skąd dobiegał zgiełk. Amelia omal nie wpadła po drodze na pielęgniarkę niosącą nocnik.

— Nie podchodź do mnie, słyszysz? — głos Selmy był teraz

cichszy i drżący. — Skąd mogę wiedzieć, że mnie też nie zamierzacie zamordować? Jestem stara i chora!

W końcu dobiegły do świetlicy i przed ich oczyma roztoczył się taki obraz: Selma siedziała na swoim fotelu wciśnięta jak najdalej mogła w oparcie, jej ręce kurczowo ścisnęły poręcze. Na środku stała siostra Morris, a z fotela obok pustego akwarium podnosił się właśnie z wysiłkiem admirał Mallett.

— Uspokój się, moja droga, spokojnie. — Próbował opanować swój głos, który brzmiał tak niepewnie, jakby należał do wystraszonego nastolatka. — Za pozwoleniem siostry przełożonej — stał naprzeciwko pielęgniarki próbując wyprostować się na swoich kulach — muszę przyznać, że gotowanie tych małych i niewinnych stworzeń wydaje mi się odrobinę przesadne.

— Co, na miłość boską, tu się dzieje, pani Morris? — Dagmara zapytała zdenerwowana, podczas gdy Amelia ukłękła przy babci i objęła ją.

Siostra odwróciła się cała czerwona i dysząca ze wściekłości.

— Nic nie warto fochy z jakiegoś śmiesznie głupiego powodu, oto co się dzieje; i, jeśli mogę zauważyć, pani Lindsay, to znów, jak zwykle zresztą, prowodyrem jest pani matka.

— Teraz ja coś powiem — admirał zachwiał się lekko, ale jego głos brzmiał pewnie. — Nie wolno nazywać tych biednych stworzeń śmiesznie głupim powodem. Lubiłem je, jak również pani Merryman je lubiła. I nie ma tu żadnych prowodyrów!

Amelia z ramionami opiekuńczo otaczającymi Selmę, próbowała łagodnie dowiedzieć się o powód całego zamieszania. — Co cię tak bardzo zdenerwowało, spróbuj nam wyjaśnić.

Selma zdołała dźwignąć się nieco z fotela i podpierając się jedną ręką, wyciągała drugą ze wskazującym palcem oskarżycielsko utkwionym w pielęgniarkę. — Weszłam do kuchni, żeby zobaczyć co za ohydztwo tam przygotowywały, bo zapach był całkiem nieznośny i zobaczyłam, jak ona... — Selma opadła na fotel, ale jej palec wciąż był utkwiony w pielęgniarkę — stała jak czarownica z „Makbeta” nad parującym garem i wrzucała do bulgocącego wrzątku, jeden za drugim biedne, małe gupiki admirała. Nie

powtarzała zaklęć, ale wyglądało to bardzo podobnie; jej usta się poruszały.

— Dosyć tego. Idę teraz do mojego pokoju — w cichym głosie siostry Morris słyszalna była tłumiona histeria. — Jeśli ktoś będzie miał potrzebę zasięgnięcia informacji, co naprawdę zaszło, czekam u siebie. — I wyszła z dumnie podniesioną głową; jej drewniane chodaki klapały energicznie, gdy ze złością maszerowała korytarzem.

— Chyba powinnam się czuć trochę winna — Clarissa zręcznie i szybko wymieszała ręką zieloną sałatę. — Chodzę po kuchni Amelii, używam jej naczyń... — rzuciła Geraldowi nieśmiały uśmiech i znaczące spojrzenie spod gęstych rzęs. — Sypiam z tobą w jej łóżku.

— Moja złotowłosa — Gerald pieszczotliwie targał jej loki.

Przez moment patrzyła na niego obojętnie, potem jej szerokie czoło rozjaśniło się i roześmiała się z aprobatą. — W pewien sposób wcale mi to nie przeszkadza — stwierdziła. — To tak, jakbym była na swoim właściwym miejscu, a ona byłaby tu intruzem, wiesz, o co mi chodzi? — Zlizała z palców oliwę. — A w każdym razie niedługo nim będzie. To właściwie nawet nie jest rozbitcie małżeństwa.

Podejrzany cień winy przesłonił na chwilę umysł Geralda, ale jak samotna chmura na czystym niebie nie pozostawił po sobie na długo przykrego wspomnienia. — Ubóstwiam twoją trzeźwość umysłu — powiedział.

Stawiając salaterkę z sałatą na stole Clarissa upewniła się jeszcze. — Masz całkowitą pewność, że Amelia nie wróci do poniedziałku, prawda? To dlaczego tak nalegałeś, żeby koniecznie odstawić samochód? — spojrzała na niego poważnie. — Bo to ważne, żeby załatwić to uczciwie.

Gerald wyobraził sobie nagle Amelię na stole operacyjnym, której on w asyście Clarissy fachowo usuwa serce. Otrząsnął się; jej bujna wyobraźnia była chyba zaraźliwa. — Jestem całkowicie pewien — odpowiedział z przekonaniem. — Ona naprawdę jest bardzo dobra dla swojej babci, to trzeba jej przyznać. Nawet za dobra — dodał pośpiesznie na widok Clarissy, której i tak już mocna szczeka nagle wysunęła się jeszcze bardziej do przodu. — Przypuszczam zresztą, że staruszka zawsze była bardziej matką dla Amelii, niż biedna Dagmara.

— Czy ona naprawdę jest szurnięta? Mam na myśli matkę Amelii. — Clarissa podniosła do ust liść sałaty i zaczęła skubać go niedbale.

Gerald nic nie mówiąc otworzył butelkę Chablis. — Nie jest to właściwie potwierdzone, nie. Ale jest niewątpliwie neurotyczką. Kiedyś nieźle się zapowiadała jako pianistka, zresztą Selma również. Ale, według Amelii, spędzała za dużo czasu odkażając klawisze fortepianu i w związku z tym nie pozostawało go wiele na ćwiczenie — mówiąc to czuł się odrobinę nieswojo, jakby zawodził właśnie zaufanie Amelii, ale zaraz przypomniał sobie, jakim potrafiła być utrapieniem. — Ona też jest trochę taka.

— Jaka? Odkaza wszystko dookoła?

— Nie! Wielkie nieba, rozejrzyj się tylko! Nie, miałem na myśli to, że nie potrafi doprowadzić niczego do końca. Wielkie idee, dobre pomysły, trochę talentu, ale to nigdy nie zostało wykorzystane do czegokolwiek.

— No, dopóki nie przyjedzie tutaj — Clarissa zadowolona ze swojego dowcipu objęła Geralda swoimi silnymi ramionami.

Zaśmiał się z nieznacznym zażenowaniem i nagle przysłała mu na myśl uwaga Amelii na temat zakochanych. Powiedziała kiedyś, że kogoś zakochanego można łatwo poznać po tym, jak śmieje się nawet z najbardziej płaskich dowcipów swoich, lub swojej ukochanej.

W tym samym czasie do Cherryfield przyjechał Henry Mallett. Martwił się o ojca, którego nie zostawiał samego od czasów katastrofalnego popołudnia z Amelią i panią Merryman. Wydawało się, że po tym wydarzeniu admirał spuścił nagle z tonu, jakby przestał się o cokolwiek starać. A potem zdarzył się ten idiotyczny wypadek z ukradzionymi protezami. Henry westchnął i odgarnął nerwowo opadające na czoło włosy. Kiedyś jego dziewczyna powiedziała, że doskonale można się zorientować, kiedy się denerwuje, jeśli zna się ten jego nawyk. Oczywiście, gdy parę miesięcy później postanowił zakończyć ten związek, powiedziała mu, jak bardzo ją to zawsze irytowało. I proszę, znowu to robił: przeciągał palcami po włosach, jakby chciał odgarnąć wraz z nimi dręczące go problemy. Ale teraz nie był właściwy czas na oddanie się udrękom i niepokojom; nie teraz, kiedy ojciec go potrzebował.

Znalazł admirała w świetlicy, siedzącego z niewyraźną miną przy pustym akwariu. Obok niego Selma Merrymann kiwała się w przód i w tył na swoim fotelu szlochając przy tym jak dziecko. Po jej wynędzniałych policzkach łzy ciekły nieprzerwanym strumieniem. Amelia klęczała obok sama we łzach próbując uciszyć babcię. Do tego wszystkiego dołączył się głos stojącego w rogu pokoju, nastawionego na maksymalną głośność telewizora, w którym nadawano akurat jakiś australijski serial.

Amelia spojrzała na niego swoimi skośnymi oczami, teraz rozszerzonymi i pełnymi łez. — Zabieram ją do domu, do Abbotslea. Nikogo tutaj nic nie obchodzi.

— Ale co, na Boga, się stało? — głos Henry'ego był kojący jak balsam. Położył rękę na ramieniu ojca. Admirał bez słowa potrząsnął głową i wskazał kulą na puste akwariu. Henry zwrócił się do Amelii.

— Zapytaj tę okropną Morris — powiedziała wstając.

Henry popatrzył na nią przeciągle. — Dobrze — odezwał się w końcu. — Pójdę z nią porozmawiać — oznajmił uroczyście wychodząc ze świetlicy.

— Jest w swoim pokoju — zawołała za nim Amelia. — Ale na twoim miejscu nie próbowałabym.

Henry znalazł siostrę Morris w jej apartamencie na drugim piętrze. Gdy otworzyła drzwi uderzyła go fala niemal gorącego powietrza. Piec węglowy palił się ostro, drzwiczki były otwarte. Wchodząc zawadził o dyndający nad jego głową sznur od dzwonka.

Siostra Morris, w pełnej godności ciszy wskazała mu miejsce na miękkiej sofie upstrzonej niesłychaną ilością poduszek o różnych kształtach i wzorach. Sama również usiadła odsuwając z fotela różową poduszeczkę w kształcie serca, z wyszytym napisem: „Tam dom mój, gdzie serce moje”.

Półkę nad kominkiem zajmowała kolekcja świnek z chińskiej porcelany przebranych w stroje symbolizujące różnorakie zawody. Któraś miała krawat i melonik, inna nosiła pielęgniarzki kitel, jeszcze inna była strażakiem. Henry zauważył z rozbawieniem, że jedna miała na szyi nawet koloratkę.

Siostra Morris usadowiła się w fotelu pomiędzy dużym misiem, gałgankowym kotem i ogromnym wypchanym jeżem. Na stoliku do kawy stała śmieszna puszka na ciasteczka z obrazkami przed-

stawiającymi misia Paddingtona. W tej enklawie starości, jaką było Cherryfield starała się zachować trochę równowagi przez dziecinne fanaberie. Jak czarownik, pomyślał Henry, zawieszający w swoim szałasie totemy i amulety w obawie przed złymi duchami.

Odcchrząknął i starannie dobierając słowa zaczął mówić: — Przed chwilą, na dole, jak mi się zdaje, wynikł jakiś problem. Pomyślałem, że może pani mogłaby mi coś wyjaśnić.

Broda pielęgniarki drgała od emocji, a policzki były jaskrawo-czerwone. — Cieszę się, że ktoś widzi potrzebę, żeby mnie o to zapytać. Oczywiście jest pan duchownym... — jej głos zmiażdżył na moment. — Ta cała sprawa została wyolbrzymiona i strasznie zniekształcona...

Pięć minut później Henry wrócił do świetlicy na dole. — A więc dobrze — powiedział siadając pomiędzy ojcem a Selmą — mam doskonałe wyjaśnienie tego, co się stało. Nie ma się już czym niepokoić. Widzicie, te rybki były chore — kontynuował z poczuciem groteskowości sytuacji, kiedy wokół zbierało się coraz więcej rezydentów, słuchających go uważnie, aby nie uронić ani krztyny skandalu, jak potworne dzieci w odwróconej wersji „Poczytaj mi mamo”.

— Ale gotowanie ich nie wydaje mi się najwłaściwszą kuracją. — Panna White właśnie manewrowała, aby przenieść się z wózka na fotel. — A jeśli to jest metoda uzdrawiania stosowana przez siostrę Morris, to żadne z nas nie może odtąd spać spokojnie. Nie mówię tego, żeby ktoś pomyślał, że tak zdrowo sypiam. — Jej wyraz twarzy zasugerował niezmiernie cierpienia. — Przewracam się z prawego boku na lewy i z lewego...

— Weterynarz powiedział siostrze Morris, że już nic nie można dla nich zrobić — mówił dalej Henry starając się, żeby jego głos brzmiał pewnie. — Myślę, że jedynym wyjściem było skrócenie im cierpienia. — Spojrzał na Selmę, która zapadła się w swoim fotelu w różyczki i uśmiechnął się żeby dodać jej trochę otuchy. — A wrzucenie ich do gorącej wody jest najszybszą i najmniej bolesną formą, jaką mogła się posłużyć.

— Jadłam kiedyś kraba — wtrąciła panna White. — Zdecydowanie przereklamowany.

Postawna kobieta o rumianych policzkach, której Henry dotychczas nie widział pochyliła się na swoim krześle i szeroko otworzyła

oczy. — Nie ma znaczenia, co ta Morris mówi. Ja nie zamierzam jeść tych biednych gupików na podwieczorek!

— Ja też nie ani ja — zgodnie zabrzmiał chór głosów. — Nie będę jeść odpadków.

Henry zacisnął zęby, zmartwiony i zawstydzony nagłą chęcią potrząśnięcia nimi i wrzaśnięcia, żeby się wreszcie wszyscy zamknęli. Patrzył na stare twarze, obwisłe, bezzębne i przestraszone i w oczach ojca dojrzał upokorzenie, gdy siedział tak wyprostowany obok pustego akwarium. Przebac mi, Boże, pomyślał. Podniósł się z krzesła i stanął obok admirała kładąc mu rękę na ramieniu. — Co powiesz na przejażdżkę i małego drinka, może w zajeździe Anchor?

Amelia zeszła ze schodów z małą, nieporządnie zapakowaną walizką, z której wystawał kawałek niebieskiego materiału. Chciała podejść, żeby pomóc Selmie wstać z fotela, ale zatrzymała się na chwilę szukając balkonika.

— Sądzę, że trochę przesadzasz — Henry mówił spokojnie podchodząc do ciągle włączonego telewizora, który wydawał z siebie beczenie jakiejś przypadkowej muzyki. W kącie za nim znalazł balkonik i postawił go przy fotelu Selmy. Potem odwrócił się do Amelii i zauważył spokojnie: — Nie powinnaś podejmować decyzji, kiedy jesteś w takim stanie. Zabierz teraz babcię na górę, na pewno jest zmęczona, a sama usiądź spokojnie, żeby to przemyśleć. — Jego spojrzenie przeniosło się z bladoszarej, pozbawionej wyrazu twarzy Selmy na różowione policzki i wilgotne oczy Amelii. — Czy wyobrażasz sobie w jaki sposób dowieziesz ją do domu? A tam, jak sobie z nią poradzisz? Nawet nie jesteś na tyle silna, żeby ją podnieść.

— Jakoś damy sobie radę — odparła Amelia uśmiechając się machinalnie. — Nie jedziemy na długo. Ona potrzebuje po prostu odpoczynku od tego miejsca. — Henry nie powiedział już nic więcej, tylko pomógł Selmie wstać z fotela. — Przynajmniej pozwól mi się zawieźć na stację — poprosił otwierając przed nimi drzwi.

— To bardzo miło z twojej strony, ale zaraz powinna przyjechać moja matka. Ona nas zawiezie.

Selma również zatrzymała się w drzwiach i przez chwilę Henry'emu wydało się, że widzi w jej oczach wyraz triumfu. Gdy odjechały, wrócił zamyślony do świetlicy i usiadł obok ojca na pustym fotelu Selmy.

— A ty, tato, czy ty też chciałbyś się stąd wynieść?

Admirał spojrział synowi w oczy i spróbował się uśmiechnąć, ale jego ręce, pomarszczone i czarne od siniaków kurczowo zacisnęły się na uchwytach kuli. — Wszystko jest tak, jak ma być, chłopcze. Nie martw się o mnie. Rzecz nie w tym, że to miejsce jest złe. To starość jest taka i z nią nie ma żartów. — Położył rękę na dłoni syna. — Ale takie jest życie w granatowym mundurze; nawet ktoś z takimi znajomościami jakie ty masz, nic na to nie poradzi.

Dagmara zawiozła córkę i matkę na staq'ę w Plymouth.

— To ładnie z twojej strony, że zabierasz mamusię — szepnęła przez ramię. — Ja też chciałam ją zabrać, ale nie dostałabym wolnego. — I dodała normalnym głosem: — Cóż, przynajmniej znalazłam ci jakąś odpowiednią sukienkę, mamusiu, a nie to wiecznie wygniecione szkaradzieństwo, jakie ciągle wmuszali ci w Cherryfield.

W trakcie podróży Amelia trochę się uspokoiła; czuła, jak wypieki ustępują z jej twarzy i tętno wraca do normy, ale gdy Dagmara podjechała pod stację zaczęła się znowu martwić, tym razem z innych powodów. Henry miał chyba rację: jak dadzą sobie radę? Rosalinda opowiadała jej kiedyś jakie miała uczucie, gdy wracała ze szpitala z małym Ronniem. Amelia podejrzewała, że wie teraz, na czym polegała ta mieszanina paniki i poczucia niefachowości. Przeliczyła w myślach czekające ją obowiązki: mycie i ubieranie, przygotowywanie jedzenia jednocześnie pożywnego i odpowiedniego dla osoby z protezą. Jak, na miłość boską czyści się takie protezy? Całe szczęście, że w przebłysku poczucia obowiązku upomniała się w Cherryfield o lekarstwa. No i wreszcie — Gerald. Amelia spojrzała bezradnie na matkę, ale było już za późno, żeby zmienić decyzję.

„Przewóz inwalidy” napisała Dagmara na kartce papieru i umocowała pod szybą samochodu, potem wysiadły wszystkie i prowadząc Selmę dotarli przez peron do stojącego pociągu. Amelia weszła pierwsza i trzymając mocno przeguby babci próbowała wciągnąć ją do wagonu. Z tyłu, Dagmara popychała ją ostrożnie, uważając żeby nie ubrudzić spodni o zabłocony schodek. — Zupełnie, jak Puchatek zaklinowany w wejściu do nory

Królika— wołała wesoło podsadzając odzianą w bawełnianą sukienkę pupę Selmy. Staruszka udawała, że nie słyszy.

Konduktor przemaszerował zdecydowanym krokiem obok biednej Selmy oferując pomoc kobiecie z wózkiem spacerowym dla bliźniąt w następnym wagonie. Dzieci uśmiechały się słodko pokazując różowe dziąsła. Małe, złotowłose cherubinki, pomyślała Amelia z goryczą, podczas gdy Selmie wreszcie udało się wejść do środka. Stała na chwiejnych nogach i również się uśmiechała: z ulgą i zawstydzeniem także pokazywała dziąsła w uśmiechu. O Boże, Amelia zamknęła na moment oczy, całkiem zapomniałam o protezie!

Gdy pociąg ruszył pomachały Dagmarze na do widzenia i usiadły wygodnie naprzeciwko siebie. Amelia snuła gorzkie myśli o tym, jak niesprawiedliwie urządzony jest ten świat. Bezzębne dzieci były słodkie, ich tłuściutkie ciała aż prosiły się o przytulanie i pieśczoły. Wypluwały jedzenie albo wymiotowały, odbijało im się głośno, słowem nie miały żadnej kontroli nad funkcjami swojego organizmu, ale wszystko to otoczone było taką rozkoszną słodyczą, że mało ktoś potrafił nie opiekować się nimi i nie rozpieszczać. A poza tym, podsumowała Amelia, czy kto zna jakieś domy opieki dla dzieci w przeciętnym małym miasteczku?

Spojrzała na babcię zapadniętą w swoim siedzeniu, z niezgrabnie podciągniętą sukienką ukazującą grube kolana, z niepewnym uśmiechem na mizernej, pomarszczonej twarzy. Nie, to wszystko nie było w porządku. Poczowała niemal bolesny żal. Dlaczego świat został tak stworzony, że ludzie nie zostawiają nigdy bezbronnych dzieci na pastwę losu, a tak łatwo jest im opuścić bezradnych starców?

Wręczyła Selmie egzemplarz „Dobrej Gospodyni”. Usłyszała szczerze „Och, jak to miło” i babcia zatoneła z radością w tematach domowych. Odkąd pamiętała, Selma zawsze prenumerowała „Dobrą Gospodynię”, nawet po odejściu Willoughby'ego na emeryturę, kiedy musieli zacząć oszczędniej planować wydatki.

Czy ona zdaje sobie sprawę czytając te wszystkie przepisy, że już nigdy w życiu nie przygotuje sama żadnego dania, zastanawiała się Amelia.

— Muszę zrobić siusiu — Selma odłożyła pismo.

Gdy pomagała babci wstać z głębokiego siedzenia, prawie ją

podnosząc, bolały ją plecy. Przez chwilę stały naprzeciw siebie, Amelia zgięta w pół, Selma próbująca złapać równowagę na chwiejnych nogach. Ich ręce były mocno zaciśnięte. Amelia zastanawiała się, co teraz. Dagmara pomogła przy wsiadaniu doholować Selmę na siedzenie, bo przejście było za wąskie, żeby posłużyć się balkonikiem.

— Musimy się odwrócić — powiedziała wreszcie. — Ubikać'a jest w tamtą stronę — wskazała kierunek za plecami babci. Wciąż ściskając mocno ręce powoli odwróciły się, jak niezbyt dopasowana para w dziwnym, powolnym tańcu.

Kiedyś, w Ashcombe, gdy Dagmara grała w salonie, do którego wpadało popołudniowe słońce przez w pół zasunięte story, Selma wzięła małe rączki wnuczki w swoje dłonie. — Dansa min docka — zaśpiewała po szwedzku — Tańcz, tańcz, laleczko, póki jesteś młoda, już niedługo będziesz stara i ciężka. — I śmiejąc się i śpiewając tańczyły wkoło, po słonecznych wzorach na dębowej podłodze.

Pociąg z turkotem wjechał na stację, szarpnął i zatrzymał się. Selma zerknęła na Amelię, której cudem udało się utrzymać je obie na nogach. — Nie mogę teraz pójść — wyszeptwała. — Jesteśmy na stacji.

— Przejdźmy tylko przez korytarz, będzie nam wygodniej dopóki pociąg stoi.

Idąc do tyłu, bardzo ostrożnie, krok za krokiem Amelia przeprowadziła babcię przez wagon. Ludzie spoglądali na nie i natychmiast odwracali wzrok z zażenowaniem. Kilkoro dzieci zachichotało. Selma patrzyła przed siebie oczyma bez wyrazu.

— Usiądź tu na chwilę. — Usadziła ją na miejscu przy końcu wagonu, a sama próbowała z wysiłkiem otworzyć ciężkie, zasuwane drzwi. Jedną odciągniętą połowę musiała przytrzymać tułowiem, podczas gdy rękoma pomagała babci wstać i przejść na drugą stronę. Mój kręgosłup zaraz pójdzie w rozsypkę i spędzę resztę życia na wózku, jako niedołączna kaleka, pomyślała zagryzając dolną wargę. Kiedy pociąg miał już ruszyć, pociągnęła Selmę trochę mocniej i w końcu przedostały się do pomieszczenia, w którym znajdowały się drzwi z napisem WC. Przytrzymując się ścian dotarły przed nie i Amelia zaczęła kolejną przeprawę, gdy nagle Selma zatrzymała się.

W Ashcombe był kiedyś seter angielski, który, gdy musiał być wyprowadzony na spacer w deszczu, zapierał się wyprostowanymi łapami w ziemię, zupełnie tak, jak teraz zrobiła to Selma.

— Nie chcesz wejść? — zapytała Amelia łagodnie.

Selma spojrzała na nią bezradnie. — Już nie potrzebuję.

Amelia odwróciła oczy gdzieś w stronę zdrowej nogi babci. Prędzej umarłabym na jej miejscu, prędzej bym umarła... Ale opanowanym głosem, brzmiącym troszeczkę, jak głos siostry Morris, rzuciła: — Nic się nie stało — i z wykrzesanym nie wiadomo skąd uśmiechem na twarzy zaczęła prowadzić Selmę z powrotem na jej miejsce.

Gdy jechały taksówką z Basingstoke, Selma, zadowolona z siebie, gawędziła wesoło i z radością przyglądała się zmytym deszczem ulicom Alresford, miasteczka, przez które przejeżdżali. Znała je jeszcze z czasów dzieciństwa, gdy przyjeżdżała tu odwiedzać swoją ciotkę; wszystkie jej wspomnienia dotyczyły właśnie tamtych, dawnych czasów. Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, jakaś dość gruba staruszka w wysokich, zamszowych butach i plastikowej czapeczce przeciwdeszczowej na siwych włosach pospiesznie przeszła przez jezdnię.

— Na miłość boską, niektórzy ludzie naprawdę są szkaradni — zauważyła wesoło Selma. Siedziała w samochodzie, bez swoich zębów, z włoskami sterczącymi z brody, w zaplamionym sweterku i jeszcze patrzyła na przechodzącą kobietę z rozbawioną przyganą. Selma była kiedyś bardzo piękna. Dzięki Bogu, że we własnej pamięci wciąż taka jest.

Taksówka zakręciła i stanęła przed bramką Starego Probostwa. Kierowca wysiadł, żeby pomóc Selmie wydostać się z samochodu, co potrwało dłuższą chwilę. W końcu udało się ją wyciągnąć na zewnątrz. Gdy stanęła na własnych nogach jej brzuch najwyraźniej odmówił posłuszeństwa i dał się słyszeć głośny tego dowód. Przez chwilę nikt się nie poruszył. Wzrok Amelii i taksówkarza krążył to tu, to tam, w dół i w górę, rozpaczliwie unikając spotkania. W końcu obydwójce zaczęli mówić naraz. On, oglądając z zajęciem swoje paznokcie, ona, kontrolując zawartość portmonetki.

— Ile jestem panu winna?

— To będzie dziewięć funtów, osiemdziesiąt pensów, miła pani.
— Nie, pozwól, że ja zapłacę, kochanie. — Selma sprawiała wrażenie tak swobodne, jakby mały incydent sprzed chwili nie wywarł na niej żadnego wrażenia. Oparła się ciężko o samochód i zagłębiła rękę w torebce. Wręczyła kierowcy banknot pięcioletni i wyjęła monety. Kiedy je przeliczała jej ręka nieustannie drgała. — Jeden, dwa, trzy, cztery funty — uśmiechnęła się do kierowcy — i dwie półfuntówki. Proszę zatrzymać resztę — dodała łaskawie.

Amelia zapomniała przed wyjazdem poprosić listonosza o przechowanie jej korespondencji na poczcie, więc teraz wyjęła ze skrzynki gruby plik papierów i kopert. Rzuciła okiem na okna pracowni. — Musiałam zostawić zapalone światło — mruknęła do siebie.

Usadziła babcię na fotelu w salonie i wyszła po walizki. — Zaraz przyniosę ci herbatki — uśmiechnęła się zachęcająco.

Kiedy Selma siedziała tak sama rozglądając się dookoła po salonie, wydawał jej się jak znana niegdyś twarz. Było coś znajomego w tym kwadratowym kształcie, w pewnej regularności szczegółów wyposażenia, ale do kogo on należał? Siedziała zmartwiona i przeszukiwała zakamarki swojej pamięci, która coraz częściej jawiła jej się jako skrzynia skarbów, do której zgubiła kluczyk.

Z sąsiedniego pokoju usłyszała jakieś szuranie i mruki. Tak, przyjechała tutaj z Amelią, ale gdzie jest to „tutaj”?

Dźwięki z pokoju obok stały się głośniejsze i zaczęły ją niepokoić: przytłumione, bolesne jęki, dziwnie znajome. Gdzie jest Amelia? Spróbowała podnieść się z głębokiego, miękkiego fotela, ale za każdym razem, gdy jak tonącemu udawało się wydostać na powierzchnię i zaraz głębia wciągała go z powrotem w swoje odmetry, tak ona z wysiłkiem podnosiła się na pewną wysokość i ciepła miękkość fotela przywoływała ją z powrotem w dół.

Ale w końcu Amelia zjawiła się w drzwiach, uśmiechnięta, z tacą w rękach, dokładnie w chwili, gdy z drugiego pokoju ktoś zawołał głośno i powtórzył parę razy: — Gerry, och, Gerry, Gerry, Gerry!

Amelia zastygła w pół kroku, słuchając, a potem wciąż z uśmiechem na twarzy, jakby z ręką podniesioną i machającą komuś, kto

już dawno odszedł, przeszła przez pokój. Jej policzki były jasnoróżowe, kiedy stawiała na stoliku przed Selmą tace z herbatą.

Parę kroków, teraz trochę szybszych i stanęła przed drzwiami do pracowni. Energicznym ruchem otworzyła je na oścież.

Wysokie oparcie obracanego krzesła Geralda kołysało się wydając ciche skrzypienie, a po obu jego stronach, z poręczy zwisały dwie grube nogi; palce u małych stóp zginały się i prostowały w ekstazie.

Krzesło powoli obracało się odsłaniając taki oto obrazek: dziewczyna w podciągniętej wysoko spódnicy, spod której ukazywały się potężne, nagie pośladki siedziała okrakiem na Geraldzie. Jego twarz była wykrzywiona, oczy zamknięte.

— Witaj, Geraldzie — powiedziała Amelia. — Nie sądziłam, że jesteś w domu.

ROZDZIAŁ 11

Przyglądanie się nerwowym wysiłkom Geralda, który próbował wstać, mimo otaczających go nóg i ciężaru potężnego tyłka Clarissy, dało Amelii parę chwil porządnej uciechy. Zakryła ręką usta i zgięta wpół śmiała się do rozpuku.

Otrzeźwił ją rozpaczliwy szept Geralda. — Spróbuj zejść, kochanie. — To „kochanie” przywołało ją nagle do porządku.

— Przecież próbuję — jęknęła Clarissa i niezgrabnie przekładając nogę obróciła się i zeskoczyła na podłogę. Spódnica zsunęła się i zakryła dyskretnie wysiłki jej właścicielki, która balansując na jednej nodze starała się trafić drugą w odpowiedni otwór swoich majtek.

Amelia stała cicho przyglądając się potężnie zbudowanej młodej kobiecie. Jej jasnoblond loki swobodnie opadające na ramiona, okalały szeroką, niemal kwadratową twarz, która nabrała w międzyczasie delikatnego koloru lodów truskawkowych. Kobieta wciąż wiła się i mocowała ze swoją garderobą. Amelia odwróciła wzrok.

Gerald stał przy biurku. Był już ubrany, tylko przez niedopięty suwak u spodni wystawał kawałek niebiesko-białej koszuli. Tej, co zabiera masę czasu w prasowaniu, przeleciała jej przez głowę myśl, równie nieodpowiednia, jak papierowy samolocik w czasie pogrzebu.

— Kim jest ta kobieta? To Clarissa, tak? — odpowiedziała sobie sama na pytanie. Jej głos był zrównoważony i cichy. Tylko

spokojnie, powtarzała sobie w myśli; jeszcze chwila, a podejdzie do mnie i powie, że strasznie mu przykro i że to nie powinno się nigdy zdarzyć. Wkrótce ta solidna panienska o wyjątkowo ślicznej buzi będzie odesłana do drzwi, a ja będę mogła zacząć to wszystko ogarniać. Przynajmniej teraz wiedziała, kto w ostatnim czasie wyciskał sok z cytryny do słodkiej śmietanki jej życia. A jednak fikcyjne wyobrażenia były dość trudne do zwalczania. Jakoś łatwiej byłoby sobie wyobrazić dziewczynę o prostych włosach i małych, różowych pośladkach.

— Tak, oczywiście, to Clarissa — wysapał Gerald. — Przepraszam — jego głos zmiękł. — Zapomniałem, że się nie znacie.

Zachowuje się, jakbyśmy byli na jakimś, trochę dziwnym przyjęciu, pomyślała Amelia. Teraz ta cała Clarissa powinna zacząć mnie przekonywać, że czuje się, jakbyśmy się znały od wieków. Zagryzła wargi i czekała, aż Gerald zacznie realizować jej scenariusz.

— Posłuchaj, kochanie — zaczął i zrobił krok w jej stronę, ale to, co nastąpiło potem było całkiem nieoczekiwane. — Jest mi okropnie przykro, że musiałaś dowiedzieć się o tym w ten sposób. To ostatnia rzecz, jakiej chcieliśmy. Ale widzisz, miałem zamiar powiedzieć ci o tym od tygodni... Tylko, cholera, z tobą człowiek nigdy nie może być niczego pewny. — Rozłożył bezradnie ramiona i zerknął w stronę Clarissy w oczekiwaniu poparcia.

— Czuję się teraz okropnie. — Jej głos był znów pod pełną kontrolą, stanowczy, choć trochę drżący. Najwyraźniej poczuła się pewnie mając na sobie majtki. Gerald podszedł bliżej i objął ją.

Ten niemy znak porozumienia uderzył Amelię, jak potężny cios w splot słoneczny. Usiadła szybko na krześle przy drzwiach, zgięta wpół, próbując powstrzymać odruchy wymiotne.

— Amelia? Kochanie, czy przedstawiś mi naszych gospodarzy? — W drzwiach stała Selma. Zdołała wstać i przejść z salonu aż tu, przytrzymując się mebli i ścian. — Amelio, dobrze się czujesz?

Amelia wstała wolno z krzesła. — Tak, oczywiście. Doskonale, po prostu znakomicie. — Spojrzała bezradnie na Geralda, który odwrócił wzrok.

— Babciu, może sobie przypominasz Geralda. A to jest... jego przyjaciółka Clarissa.

Selma miała zadowoloną minę, kiedy uprzejmie odpowiedziała

na ukłon Geralda i skinienie głowy Clarissy. — To naprawdę miło z waszej strony, że zgodziliście się gościć moją wnuczkę i mnie. — Zachwiała się chcąc postąpić krok do przodu i przytrzymała się drzwi, które niebezpiecznie ustąpiły. W ostatniej chwili Amelia chwyciła krzesło i podstawiła je w momencie, gdy wyglądało na to, że staruszka się przewróci. Zamiast tego opadła na krzesło z głośnym kłapnięciem.

Gerald rzucił jej współczujące spojrzenie. — Myślę, że będzie lepiej, jak już sobie pójdziemy.

— Możesz wrócić tu za jakiś czas, Geraldzie — łaskawie oznajmiła Clarissa. — Kiedy wszyscy zdołamy trochę ochłonać.

— Pozwól jej odejść, Geraldzie, ale sam zostań, proszę. Nie możesz tak po prostu wyjść, zrozum. — Głos Amelii przybierał na sile, aż wreszcie, buch! Jej pięść uderzyła głośno o półkę z książkami.

Policzki Clarissy zaczerwieńczyły się ponownie, jak papier zalany nagle jasnoróżową farbą. — Gerald, chyba nie chcesz mnie stąd odprawić, jak jakaś... ulicznice!

Na to znajome, staromodne słowo Selma zareagowała podniesieniem głowy. — No, dzieci, przestańcie się kłócić — rozkazała ze swojego krzesła.

— Och, nie widzisz, że nie ma sensu teraz rozmawiać? — Gerald był coraz bardziej zdenerwowany. — Możesz tu teraz zostać, Amelio. Oczywiście twoja babcia również — skłonił się lekko w stronę zdezorientowanej Selmy. — A ja wpadnę tu jutro, albo pojutrze.

Zanim Amelia zdążyła cokolwiek powiedzieć, żeby go zatrzymać, obydwójce byli już przy drzwiach. — Naprawdę, mówię serio, nie ma pośpiechu z wyprowadzaniem się. Na razie mogę mieszkać u Clarissy. — Spojrzał na nią, wyciągnął rękę i pieszczotliwie musnął jej policzek wskazującym palcem. Wyszedł szybkim krokiem doganiając Clarissę na ścieżce do bramki. Amelia stała przez chwilę patrząc, jak wychodzili i wyobrażała sobie, że jakaś eteryczna zjawą nagle oddziela się od jej ciała i wlatuje między tych dwoje, wsuwając swoje niewidoczne ręce w ich dłonie. Drżąc jeszcze z emocji powoli zamknęła drzwi za nimi i krok po kroku szła w stronę salonu. Zanim weszła zobaczyła z daleka przygarbiony profil Selmy zapadniętej w fotelu. Czuła się kompletnie osamotniona.

„Trzeba wziąć się w garść przez wzgląd na dzieci”. Tyle razy czytała takie zdanie w piśmie, słyszała wśród znajomych lub w filmie, albo też w wywiadzie telewizyjnym wypowiedane przez jakąś smutną, bladą postać. Od tego wieczora Amelia wiedziała dokładnie, co czuli ci wszyscy ludzie. Nie mogła rzucić się na łóżko i popłakać porządnie, nie mogła wykrzykiwać i pieklić się, albo szarpać kaszmirowy sweter Geralda. Nie mogła nawet upić się jakimś jego najdroższym winem; nie teraz, kiedy była Selma. Toteż dwie godziny po wyjściu Geralda Amelia kończyła dusić marchewkę z cebulą; w garnku bulgotał gęsty, pożywny sos, łatwy do pogryzienia, zęby niekonieczne. Potem było trochę sprzątanania, bo Selma upuściła porcelanowe naczynia, które chciała wstawić do zlewu w kuchni. Patrzyła zdziwiona na białoniebieskie kawałki potłuczonych talerzy u swoich stóp. — Jestem ostatnio strasznie niezdarna. Ale to fakt, że nigdy nie lubiłam urzędować w cudzej kuchni.

O dziewiątej Selma siedziała drzemiąc w fotelu. Amelia obudziła ją po godzinie. — Nie sądzisz, że już czas do łóżka? — zapytała uśmiechając się w wypracowany już sposób.

Balkonik musiał zostać u stóp schodów. Amelia rozpoczęła mozolną wędrówkę tyłem, podtrzymując przedramiona Selmy, jednocześnie ciągnąc ją do góry i za każdym krokiem nakłaniając pieszczołliwie do zrobienia następnego. W połowie drogi na górę zatrzymały się, żeby zrobić mały odpoczynek i z oczu Amelii nieoczekiwanie pociekły łzy. Selma patrzyła na nią załamana. — Nie płacz, Amelio, moja kochana. Nie mogę znieść, jak ty płaczesz.

Amelia wzięła głęboki oddech i spróbowała znów się uśmiechnąć.

— Przepraszam cię, to głupie z mojej strony. Po prostu jestem dzisiaj trochę zmęczona.

Pomogła Selmie w rozbieraniu, ściągając z niej warstwy spodniej garderoby, które nadawały kształt obwisłej, szarawej skórze. Prostując obolałe plecy zaproponowała: — Dajmy sobie spokój z kąpielą; dziś wyjątkowo.

Wreszcie Selma znalazła się w łóżku. Ułożona wygodnie na dwóch poduszkach patrzyła wyczekująco na wnuczkę. — Wiesz co, zejdę jeszcze na chwilę na dół i zrobię sobie kubek gorącego mleka.

— Ja ci przyniosę. — Amelia schodziła na dół tupiąc nogami po drewnianych schodach tak mocno, że aż ją bolało. Podgrzewała mleko stojąc cały czas nad garnkiem i pilnując, żeby nie wykypiało. Nagle wydało jej się, że słyszy wołanie babci. Gdy wróciła po paru chwilach mleko tworzyło nad garnkiem malowniczą pierzynkę spływającą majestatycznie po ściankach na rozgrzaną fajerkę.

Kiedy ostatecznie weszła na górę z kubkiem mleka Selma leżała na plecach pogrążona w głębokim śnie.

Trzy dni po tym, kiedy Gerald opuścił Stare Probostwo wraz z Clarissa, zadzwonił upewniając się, czy zastanie Amelię i zjawił się tym razem sam. Usiadł przy dużym stole kuchennym, na swoim zwykłym miejscu. Amelia siedziała naprzeciw niego z głową opartą na odwróconych do góry dłoniach, z łokciami na stole.

— Wszystko w porządku? — zapytał, jakby nie wiedział, że odpowiedź brzmiała: nie.

Amelia patrzyła na jego twarz, którą znała tak dobrze. Z podłużną brodą, z szarymi oczami trochę podobnymi w kolorze do jej oczu, z małą, białą blizną nad górną wargą. Przyszło jej do głowy, że wie teraz, jak czują się bohaterowie filmów science fiction, w których jacyś obcy przybysze potrafili ować umysłami i pamięcią ludzi. Człowiek, który siedział naprzeciwko niej, przy kuchennym stole, wyglądał jak Gerald, pocierał oczy pięściami zupełnie jak Gerald, miał głos Geralda, ale w środku z pewnością był zmieniony przez jakiegoś małego, zielonego ludzika.

— Tęsknię za tobą — powiedziała cicho.

Gerald wyglądał na lekko zirytowanego. — No, proszę... — odchrząknął i ukradkiem zabębnił palcami o brzeg stołu.

Ciekawe, co by zrobił, gdybym podeszła teraz do niego i włożyła mu rękę pod spodnie. Amelia przechyliła lekko głowę przyglądając mu się cały czas uważnie. Ten mężczyzna, myślała, parę razy w tygodniu leżał nagi i słaby w moich ramionach przez blisko dwa lata. A teraz, nagle jest terenem zakazanim. Jeśli wyciągnę rękę i pogłaszczę go po policzku, wkroczę na cudzy grunt.

Starając się nadać swemu głosowi chłodny, konkretny ton,

zamiast błagalnego zapytała: — Czy naprawdę nie mogę zrobić ani powiedzieć nic, co by cię skłoniło do powrotu?

— Nie, Amelio. Nic. — W jego głosie pobrzmiwała cierpliwość, nawet trochę współczucia, choć ton był raczej formalny. To pewnie tym tonem, pomyślała Amelia, przekonywał jakąś panią Smith, że podjęto wszystkie środki, żeby skłonić jej sąsiada, by nie pozostawiał kosiarki do trawy blokującej dojazd do jej garażu.

Gerald pochylił się nad stołem w jej stronę. — Naprawdę bardzo mi przykro, że dowiedziałas się o tym w ten sposób. To była ostatnia rzecz, jakiej Clarissa i ja chcieliśmy. Ale to i tak nie powinno być dla ciebie szokiem. Jeśli byłaś wobec siebie uczciwa, musiałaś być też świadoma, że nie układało się między nami tak, jak powinno.

— Nie byłam.

— Słucham? — Gerald wyprostował się. — Co chcesz przez to powiedzieć? — Znow była między nimi ta wstrętna irytacja. Amelia zamrugała, żeby powstrzymać napływające jej do oczu łzy wstydu i upokorzenia.

- Ż e nie byłam widocznie uczciwa.

Gerald westchnął. — Naprawdę nie widzisz, że jesteśmy całkiem różni? To nie jest ani twoja, ani moja wina, ale mówiąc szczerze...

Szczerze i uczciwie, zadrwiła w duchu Amelia. Dwa hasła używane zwykle do poparcia najokrutniejszych twierdzeń.

— ..ja po prostu cię nie rozumiem. Wszystko, co robisz wydaje się nieustanną grą, czymś, co zajmuje ci czas, który spędzasz dryfując swobodnie i czekając na początek prawdziwego życia. Pociągnąłem cię za sobą, a ty potulnie na to przystałaś, chociaż cały czas miałem wrażenie, że odpływasz w całkiem innym kierunku w poszukiwaniu Bóg wie czego — Gerald mówił z pasją. — Potrzebowałem kogoś... kogoś rzeczywistego, namacalnego. — Spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, jakby prosił o zrozumienie i wybaczenie.

Amelia wpatrywała się w niego, przerażona. Dała mu całą swoją miłość, dzieliła z nim życie przez dwa lata i oto, jaka była w jego oczach: nierzeczywista, dryfująca po życiu, nie całkiem normalna. Zamrugała i przełknęła ślinę. Przed oczyma pojawiła jej się znow scena sprzed trzech dni, z Geraldem i Clarissą na krześle

w pracowni. Spojrzała teraz na niego, wzruszyła ramionami i zauważyła: — Clarissa jest z pewnością namacalna — to wszystko, co jej przyszło do głowy.

— Na miłość boską, jesteś beznadziejnie niedojrzała! — Z płonącymi policzkami uderzył pięścią w stół. — Stoisz w obliczu poważnej sytuacji i jedyną rzeczą na jaką cię stać są dziecinne żarty!

— Przepraszam — odpowiedziała mając jednak dziwne uczucie ulgi. W końcu była beznadziejna, bezkształtna i nie oczekiwano po niej za wiele.

— Napijesz się czegoś? — wstała od stołu.

— Dziękuję — kiwnął głową nieco ułagodzony.

Amelia wyjęła z lodówki butelkę Chablis. Korek pokruszył się, kiedy próbowała wkręcić korkociąg.

— Daj, ja to zrobię — powiedział Gerald jak zawsze, biorąc z jej rąk butelkę. Potem, jakby właśnie dopiero co przypomniał sobie o istnieniu Selmy, zapytał: — A gdzie twoja babcia?

Amelia wskazała na trawnik przed domem, gdzie siedziała na fotelu wymoszczonym poduszkami, owinięta szmaragdowym szalem ze złotymi frędzelkami, odwrócona do niech tyłem. — Musiałam przynieść jej balkonik ze sobą do domu. To jedyny sposób, żebyśmy mogli być sam na sam.

Wyjazd z Cherryfield ostatecznie pozbawił Selmę resztek orientacji przestrzennej. Jak małe dziecko, zdezororientowane zbyt częstymi przeprowadzkami z miejsca na miejsce, trzymała się blisko wnuczki, jedynego pewnika w jej życiu. Tak więc teraz Amelia, gdziekolwiek się nie ruszyła, słyszała za sobą stukanie drewnianych nóg balkonika. Czasem uderzały o drzwi albo o meble i wtedy, oprócz szurania, słychać było gniewne mruczenie albo przekleństwa.

Gerald obrócił butelkę wina w rękę. — Czy to nie lekka przesada, Chablis rocznik 1983?

— Nie — padła prosta odpowiedź.

Gerald westchnął i zmienił temat. — Być może nie znajdziesz powodów, żeby szczególnie polubić Clarissę, ale powinnaś wiedzieć, że to ona zaproponowała, żebym pozwolił ci tu zostać do końca lata. Będziesz miała mnóstwo czasu, żeby znaleźć jakieś własne mieszkanie.

On wyraźnie potrzebuje wymieniać jej imię w rozmowie, zauwa-

żyła Amelia. W telewizyjnych debatach politycy, albo inni rozmawiający zwykle popijają ukradkiem wodę ze szklanki stojącej obok. A on odświeża się małymi łykami jej imienia.

— Jest doprawdy wspaniałym przyjacielem — rzuciła kwaśno. — Co bym bez niej, biedaczka, zrobiła... Nalej sobie jeszcze wina.

— Dziękuję, ale prowadzę samochód.

— Możesz zawsze zostać na noc — zaproponowała przyglądając się, jak przez moment Gerald rozważał, czy była to prowokacja czy po prostu zaoferowanie pomocy. Odczekał dyplomatycznie i odpowiedział: — Jest dopiero wpół do siódmej.

Amelia spojrzała niepotrzebnie na zegarek. — Rzeczywiście — uśmiechnęła się promiennie. — Mamy tyle czasu na pogawędkę.

Dziesięć minut później Gerald wstał i zaczął zbierać się do wyjścia. — Przyjdę jeszcze kiedyś — zapewnił. — Jest jeszcze kwestia podziału wszystkich rzeczy. — Trochę skrępowany musnął wskazującym palcem jej policzek na pożegnanie, gestem, który już zaczęła nienawidzić. — Zawsze pozostanę twoim przyjacielem, Amelio. Jeśli kiedykolwiek będziesz czegoś potrzebowała, to po prostu powiedz.

— Właściwie — stwierdziła Amelia. — Jest coś takiego.

Gerald odwrócił się na schodkach. — Tak?

— Przydałby mi się jakiś radca prawny.

— Bardzo śmieszne. — Kąciki jego ust podniosły się, co przy odrobinie dobrej woli, oceniła Amelia, mogłoby zostać wzięte za uśmiech.

Obeszła dom i przystanęła na trawniku, obok Selmy śpiącej wśród poduszek, w cieniu jabłoni. Usiadła cicho na suchej trawie opierając się o pień drzewa. Zachodzące słońce nadawało wszystkiemu dookoła złocisty, ciepły odcień. W krzewach buszowały króliki, początkowo nieufnie, potem gdy nic się nie poruszało coraz odważniej wychodziły na nie skoszony trawnik.

Boże, jak ja kocham to miejsce! — pomyślała i wtuliła twarz w zgięte ramię. Do tej ostatniej wizyty Geralda nie mogła wyżyć się przekonania o swojej władzy nad nim. A teraz widziała go oczyma wyobraźni, jako tańczącego i podskakującego z radości pstrokatego kobziarza, który odchodził zabierając ze sobą jej życie: dom, ogród, nadzieję na dziecko. Podniosła głowę i spojrzała na

taras i rosące pod nim sadzonki róż burbońskich, które posadziła, kiedy wprowadzili się tu dwa lata temu. Souvenir de la Malmaison, Honorine de Brabant, Mme Isaac Pereirę, Louise Odier...wszystkie te wielkie damy o wspaniałych barwach i odurzających zapachach roztoczą swoje jesienne wdzięki przed oczyma Clarissy.

Amelia wzdrygnęła się czując na ramieniu rękę babci.

— Dobrze się czujesz, kochanie? Wyglądasz jakoś tajemniczo — staruszka pochyliła się w fotelu i patrzyła na nią z zaciekawieniem. W szmaragdowym, hinduskim szalu na ramionach, z włosami zaczesanymi gładko do tyłu wyglądała tak bardzo podobnie do dawnej Selmy, tej z czasów przed Cherryfield, że Amelia miała okropną pokusę, żeby opowiedzieć jej wszystko o Geraldzie i Clarissie. Przez tyle lat przychodziła do babci ze swoimi troskami i problemami wyznając je tylko jej, nikomu innemu. A ona słuchała wyciągając wszystkie smutki, jak ciernie, radziła i kołała ból.

O nie, powiedziała sobie Amelia prostując się i opierając o nagrany słońcem pień drzewa. Nie łudź się i nawet nie próbuj. Ta Selma kusząca do wyznań to miraż. Twoje słowa ulecą w pustkę.

— No, kochanie, widzę przecież, że coś jest nie w porządku.

Popatrzy na mnie, myślała Amelia, i powie, że nic takiego by się nie zdarzyło, gdybym przestała wreszcie ssać palec, albo poprosi, żebym zagrała z nią w warcaby albo jakąś inną grę. Ale wzrok Selmy spoczywał wciąż na niej, nieustępliwy i czujny.

— To przez Geralda. Zostawił mnie. A ja wciąż go kocham. Jego, ten dom i to wszystko — nieokreślonym gestem głowy wskazała na otaczający je letni ogród. — Teraz muszę stąd wyjechać, spróbować gdzie indziej — przerwała w środku zdania, bo przyszło jej do głowy, że to mogło zabołeć Selmę, której jedynym wyjściem było Cherryfield.

— Tak mi przykro, kochanie, ten, ten... jak powiedziałaś, że się nazywa?

— Gerald.

— No tak, Gerald, oczywiście. Nie wiem dlaczego, ale wciąż wydaje mi się, że nazywa się Henry. No cóż, przykro mi, że nie jesteście już przyjaciółmi. — Wyciągnęła rękę do wnuczki. Amelia wzięła ją w swoją dłoń i trzymała próbując stłumić jej drzenie. —

Wiem, że to nie za dobre pocieszenie w tej chwili, ale znajdziesz kogoś lepszego. Na razie zapomnij o nim i skup uwagę na tym, żeby znaleźć jakieś miłe mieszkanie. Własny dach nad głową to teraz najważniejsza sprawa.

Amelia spojrzała na nią ze łzami. Jeżeli Selma podniosłaby się z fotela i ściągnęła z twarzy gumową maskę ukazując dawną siebie: mądrą, spokojną i piękną nie zaskoczyłaby Amelii bardziej, niż zrobiła to teraz mówiąc całkowicie sensownie. Z głębokim westchnieniem zadowolenia Amelia przysunęła się bliżej niej.

— W każdym razie — Selma zacisnęła usta — to naprawdę nieładnie z jego strony, że wyjechał tak wcześnie zostawiając cię z tym wszystkim na głowie.

ROZDZIAŁ 12

Poczułam się urażona — powiedziała Amelia i mówiąc to zastanowiła się, dlaczego zawsze oscylowała między przesadą a umniejszaniem faktów nie mogąc wcelować nigdy pomiędzy te dwa bieguny.

— Tak? — Rosalinda przestała wpatrywać się z uwielbieniem w Ronalda i spojrzała z wyczekiwaniem na Amelię.

— Przepraszam bardzo — zaczęła ponownie. — To on powiedział, że jestem chwiejna i niekonkretna. To nie było w porządku. Być może nie jestem nieustannie skoncentrowana na kolejnym, zaplanowanym szczególe mojego życia, ale przecież miałam różne plany. Może niezbyt modne plany. Przyznaję, że artykuły w „Cosmopolitan” o młodych kobietach próbujących naśladować Marię z musicalu „The Sound of Music” są raczej nieczęste...

Rosalinda wyglądała na trochę zdziwioną. — Nie wiedziałam, że umiesz śpiewać.

— ... nawet powiedziałabym więcej; ja zamierałam mieć te wszystkie dzieci sama. — Podniosła oczy znad kubka z kawą. — Śpiewać? Nie, nie umiem. — Zmarszczyła brwi. — Tu chodziło o dużą, ciepłą, szczęśliwą rodzinę, taką jaką chciałam mieć. Marzyłam o tym, żeby być twórczą i inspirującą matką. Robienie przetworów na zimę, przyjęcia i podwieczorki dla przyjaciół, zwierzęta, związany z pracami domowymi rozgardiasz w kuchni,

pikniki w ogrodzie.... Nawet myślałam o przerobieniu zasłon z salonu cioci Edith na dziecinne ubranka.

Rosalinda pochyliła się nad stołem, mówiąc cichym, zaniepokojonym głosem. — Bardzo źle stoisz z kasą?

Teraz z kolei Amelia wyglądała na zaskoczoną. — Nie, nie jest najgorzej. Mam cały czas zainwestowane pieniądze ze sprzedaży mieszkania i odsetki przynoszą całkiem niezły zysk. A za nasz dom nie płaciliśmy podatku gruntowego, więc nie było żadnych większych wydatków. Umowa była taka, że ja będę zajmować się wszystkimi gospodarczymi sprawami, uprawiać nasze własne warzywa, hodować kury, a on miał wspierać nasze gospodarstwo dochodami ze sprzedaży obrazów. — Nagle olśniło ją niezwykle odkrycie. — To było dla niego swoiste odwrócenie panujących w świecie artystycznym trendów. Czuł się oryginalny, może nawet wyrotowy. No i musiała być też porządna, malownicza, staromodna muza w mojej osobie, biegająca po domu w powiewnych sukniach. — Przetarła dłonią oczy. — Przypuszczam, że razem z tym całym malarskim sztafażem należałam do pewnego okresu, fazy artystycznej. Ale on był dla mnie całym moim życiem.

— Czy ta Clarissa to nie urzędniczka z jego firmy? — zapytała Rosalinda. — Wiesz, mam na myśli to, że jest kobietą sukcesu.

Amelia westchnęła. — Wiem, wiem. Dawanie ludziom tego, czego pragną jest bardzo niebezpieczną rzeczą. — Pochyliła się i pogłaskała satynowy policzek RONALDA. Miał najpierw zdziwioną minę, ale zaraz jego buzia rozjaśniła się w promiennym uśmiechu.

— I co teraz zamierzasz? Wracasz do Londynu?

— Naprawdę nie mam pojęcia. Nie mogę jeszcze o tym myśleć. A Londyn jest taki... — wzruszyła bezradnie ramionami — ... taki duży.

Rosalinda podniosła dziecko z kocyka rozłożonego na podłodze i wstała. Ułożony wygodnie na ramieniu mamy RONALD odwracał głowę w stronę AMELII próbując znów się uśmiechnąć. Jego duża głowa chwiała się jak kwiat peonii na cienkiej łodyżce.

— W każdym razie wpadnij na kawę w przyszłym tygodniu. — Rosalinda mówiła wychodząc. — Pewnie coś już będziesz miała w planach. Muszę lecieć, Ronnie powinien już dostać swoją butelkę.

Kiedy wyszli, Amelia stwierdziła konstruktywnie: — Lepiej też

się zabiorę za obiad babci. Kiedy budzi się z drzemki ma zawsze wilczy apetyt.

Amelia, cała rumiana od gorąca bijącego z kuchenki, otworzyła szeroko okno w kuchni, wpuszczając świeży wietrzyk do środka. Stała tak przez chwilę rozkoszując się chłodnym powiewem na twarzy i świergotem jaskółek gnieźdzących się pod dachem.

— Soczewica? — Selma siedział już przy stole. — Soczewica w czerwcu?

Amelia odwróciła się niechętnie. — Przepraszam, ale pomyślałam, że potrzebujesz trochę proteiny i nie wymyśliłam nic innego. Na zupę oczywiście. Byłoby dobrze, żeby te zęby wreszcie przyszły. Jestem prawie pewna, że siostra Morris naumyślnie zwleka z ich wysłaniem. — Usiadła naprzeciw babci i uśmiechnęła się zachęcająco wkładając łyżkę do swojego talerza. — Mmmm — zachwyciła się pokazowo. — Umieć robić całkiem dobrą zupę z soczewicy.

— Skoro tak twierdzisz, kochanie — Selma patrzyła na nią z badawczo uniesionymi brwiami. Podniosła łyżkę i zanim drżąca ręka miała okazję wychlapać zawartość z powrotem do talerza chwyciła ją szybko ustami. Próbując łagodnie znów włożyć łyżkę do zupy, co jej się zresztą nie udało, powiedziała tonem odkrycia: — Wiesz, całe wieki nie byłam na basenie. Na pewno dlatego czuję się taka zeszywniała.

Amelia przełykała gęstą zupę zastanawiając się co ma odpowiedzieć. — Rodzice Rosalindy mają basen w ogródku. Mieszkają tuż pod miasteczkiem — przypomniała sobie. — Na pewno nie mieliby nic przeciwko temu, żebyśmy trochę popływały.

— Mama Rosalindy była zachwycona tym pomysłem. Zaoferowała ci nawet pożyczenie swojego kostiumu — oznajmiła Amelia, gdy czekały na przyjazd taksówki. Całe szczęście była dość potężną kobietą, pomyślała wdzięczna losowi za taką przysługę.

Basen był oddzielony od reszty ogrodu niskim murkiem porośniętym clematisami i bladymi różami. Balkonik nie zdał egzaminu na nierówno wybrukowanej ścieżce, ale krok po kroku Amelia przeprowadziła babcię do małej furtki zamkniętej na kłódkę na wypadek nieoczekiwanej wizyty wnuków. Pani Rowlands nadeszła cała w uśmiechach, miło gawędząc otworzyła bramkę i wręczyła Selmie szokująco różowy kostium o monsturalnych wymiarach. Amelia zabrała Selmę do małego domku, który pełnił funkcję przebieralni.

— A to — wyciągnęła z torby plastikową torebkę i gumkę — ... na twoją nogę.

Woda była przyjemnie ciepła i Selma trzymając się jedną ręką barierki leżała na plecach pozwalając wodzie unosić swój ciężar. Miała zamknięte oczy i uśmiechała się z rozkoszy. Amelia pływała wzdłuż krótszego brzegu basenu uważając, żeby ani na chwilę nie stracić jej z oczu.

— Cudowna woda! — zawołała do pani Rowlands, która z robótką w ręku siedziała na leżaku nieopodal. — W ogóle nie szczypie w oczy, ani nic takiego.

— To dlatego, że prawie jej nie chlorujemy dzięki tej farbce — odkrzyknęła Pani Rowlands.

Amelia podpłynęła do brzegu i uniosła się na łokciach. — Jakiej farbce?

— Nie chcieliśmy wlewać tu tej masy różnych chemikaliów, Ambrose nie mógłby tego znieść, więc wynaleźliśmy taką całkiem nieszkodliwą farbkę do basenów. Jeśli któreś z dzieci zrobi siusiu, to woda dookoła nabiera jaskrawofioletowego koloru. Mogę ci ręczyć, że żadne z nich od tej pory nie susia do basenu. — Zaśmiała się hałaśliwie.

— Przepraszam — Amelia wskoczyła z powrotem do wody i podpłynęła do Selmy. — Robi mi się zimno, może już wyjdziemy?

Selma, wciąż leżąc na plecach otworzyła oczy. — To wyjdź, kochanie. Mi nie jest ani trochę zimno. — Zamknęła oczy unosząc się na czystej, przyjemnej wodzie z rozanieloną miną.

— A jak tam twój palec?

Tym razem Selma otworzyła tylko jedno oko, które rzuciło w stronę Amelii zniecierpliwione spojrzenie. — Miewa się znakomicie.

Amelia pływała dookoła niej zataczając małe, nerwowe kółka i wyciągała szyję w oczekiwaniu pierwszych jasnofioletowych plam na wodzie. To nie jest w porządku, to po prostu nie jest w porządku. Zatrzymała się i stanęła na dnie.

— Robi się już późno. Zamówiłam taksówkę na wpół do czwartej, a jest już dziesięć po.

Pani Rowlands zamachała do nich ze swojego miejsca na brzegu basenu.

— Proszę się nami nie przejmować; jest pani pewnie bardzo zajęta... — zawołała Amelia.

— Nigdy zbyt zajęta dla ciebie! Nie mamy okazji cię za często oglądać, od kiedy urodził się mały Ronnie. Rosalinda nie ma czasu dla nikogo innego, oprócz tego szkraba. — Pani Rowlands dokończyła rządek i opuściła robótkę na kolana. — Ronnie jest oczywiście za mały na pływanie. Nie jesteśmy za tą metodą wychowywania dzieci w basenie. Ambrose twierdzi, że to okropnie niehigieniczne i nieprzyzwoite. — Podeszła do nich i stała teraz przy brzegu basenu patrząc w dół na Amelię. Uśmiech na jej okrągłej jak księżyc w pełni twarzy wyźłobił miłe dołeczki w obu policzkach. — Powiedziałam mu, że przecież w wieku dwóch miesięcy dzieci nie rozumieją, co to wstyd.

Amelia chwyciła Selmę pod pachy. — Pomogę ci teraz wyjść — syknęła i podsadziła ją na pierwszy schodek. Wijący się wężyk fioletu pojawił się nagle w wodzie wokół kolan Selmy. Amelia zerknęła ukradkiem do góry i jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem pani Rowlands. Odgarnęła włosy opadające na czoło i uśmiechnęła się nerwowo. — No, czas już wychodzić.

— Na pewno masz rację, Amelio. — Pani Rowlands nie uśmiechnęła się w odpowiedzi, tylko schyliła się po swoją robótkę. — Proszę, nie zakładajcie pokrywy. Są pewne rzeczy... — przerwała patrząc niedwuznacznie na zdeorientowaną staruszkę i rozpluwające się w wodzie fioletowe kółeczka — ...które jeszcze musimy zrobić. — Odwróciła się i odeszła w stronę domu małymi, oburzonymi kroczkami, które zdawały się wystukiwać o wybrukowaną ścieżkę: — Czekaj, czekaj, niech no Ambrose zobaczy.

Kiedy, tego wieczora, Amelia weszła do sypialni niosąc kubek gorącego mleka, Selma spała już głęboko, od czasu do czasu pochrapując. Stała przez chwilę przyglądając się. Zmęczona matka spoglądająca na swoje monstualne dziecko. Zgasiła światło i zeszła na dół, do swojego biurka. Pół godziny później podniosła się zniechęcona i poszła do łóżka. Było tak, jak zawsze podejrzewała: cierpienie nie zawsze czyni ludzi lepszymi poetami.

Na sznurze przed domem trzepotały dwa komplety białej pościeli z podwójnego łóżka Selmy. Amelia wieszła właśnie obok dwie pary reform z wszywanymi koronkami czując się jak lilipucia

niania, która nagle znalazła się przy dziecku olbrzyma. Zadzwonił telefon. Dagmara znów chciała się dowiedzieć jak miewa się babcia.

— Dobrze — odpowiedziała Amelia nasłuchując szurania i odgłosów drewnianego balkonika objającego się o meble i drzwi, co zwiastowało zbliżanie się Selmy. — Bez większych problemów — dodała.

— A ty? — głos Dagmary był trochę zaniepokojony.

Chciała powiedzieć jej o Geraldzie, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język. Wiedziała, że w momencie, w którym to zrobi będzie od razu żałować. Zwierzanie się Dagmarze było mniej więcej tak pocieszające, jak wkładanie głowy do paszczy lwa. Wyszarpowała ostatni skrawek twojego kłopotu, wgryzając się, przeżuując go i wreszcie zostawiając cię jeszcze bardziej zmartwioną nad jego nędznymi szczątkami. A potem, następnego dnia pochłonięta własnymi zmarwieniami nie miała czasu nawet pomyśleć o kimś innym.

— Obie czujemy się dobrze — odpowiedziała machinalnie.

— To świetnie. Amelio, chyba nie uwierzysz, ale spotkałam wspaniałego człowieka. Jest profesorem literatury amerykańskiej i przyjechał tu na gościnne wykłady. Mniej więcej w moim wieku, rozwiedziony. Wiesz, kochanie, naprawdę mam poczucie, że coś z tego będzie.

— Wspaniale — powiedziała Amelia szczerze ucieszona.

— Musisz się postarać przyjechać do Exeter i poznać go. Może jak będziesz odwoziła mamusię.

Amelia odchyliła się gwałtownie unikając zmiążdżenia nosa przez drzwi, które Selma nieoczekiwanie otworzyła dość dynamicznym pchnięciem. Niedawno odkryła niezwykle wygodny sposób otwierania wahadłowych drzwi na Starym Probostwie popychając je balkonikiem, podczas gdy sama opierała się o framugę.

— O, babcia jest tu właśnie, chcesz zamienić z nią słówko? — wręczyła Selmie słuchawkę. Wychodząc z pokoju usłyszała jeszcze słowa: — Bardzo dobrze, dziękuję. Może oprócz tego przekłętego palca, który ciągle pobolewa. W ogóle nie mogłam grać w tenisa. Ale za to miałyśmy z Amelią cudowną wyprawę na basen. Nie, nie dzisiaj, chyba... w zeszłym tygodniu — odparła z wahaniem.

W zeszłym tygodniu, myślała Amelia wychodząc z powrotem do ogrodu, wierzyła jeszcze, że czeka mnie tutaj jakaś przyszłość.

Gerald zwykł był zarzucać jej pesymizm. Ale to nie była prawda. Pod ochronnym płaszczykiem pesymizmu krył się całkiem niepoprawny optymizm, różana wizja rajy na ziemi. Jednak zbyt wiele szczęścia powodowało, że czuła się zagrożona i niepewna. Tak, jak akrobatka na trapezie dolatująca do najwyższej platformy, tej pod samym sklepieniem namiotu cyrkowego. Zbyt wielkie szczęście mogło kusić Boga, tego Boga, który uznał, że Hiobowi należy się lekcja pokory.

Teraz nie musiała się już obawiać. Myśląc o tym spojrzała w górę, na niebo poprzez purpurowe jak owoce granatu liście czerwonego buka. — Wcale mnie nie zaskoczyłeś, wiesz, Boże? — I dalej rozwieszała pranie.

Po drodze z powrotem do domu zatrzymała się przy ogródku warzywnym i jednym, wprawnym ruchem wyrwała z grządki duży chwast. Co mnie to właściwie obchodzi? — westchnęła. Powinnam raczej wynająć samolot, żeby rozpylił nad tym ogrodem jakieś żrące substancje.

W środku domu unosił się gryzący zapach dymu. Przebiegła przez sień i wpadła do kuchni. Na jednej z fajerek stał kopcąc niemiłosiernie pusty garnek. Czarne plamy dookoła były zapewne niegdyś mlekiem. Amelia chwyciła garnek za ucho i zaraz puściła go sycząc i przeklinając szpetnie. Sięgnęła po rękawicę kuchenną, zdjęła go szybkim ruchem z kuchenki, zgasiła grzanie i wsadziła oparzoną rękę pod kran z zimną wodą.

— Co za paskudny zapach — balkonik Selmy walnął z całej siły o drzwi kuchenne powodując, że musiała zatrzymać się nagle i przez moment łapać równowagę pochylona, ze zgiętymi łokciami. — Nie byłabym zaskoczona, gdyby coś się przypaliło.

— Wydaje mi się, że zostawiłaś na kuchence garnek z mlekiem — odparła Amelia spokojnie, upychając swoją irytację głęboko do zakątka brzucha, gdzie mogła się jątrzyć niewidoczna na zewnątrz. — Wybieram się do miasteczka po zakupy. Chcesz iść ze mną? Pojechałybyśmy autobusem, a na powrót zamówiłabym taksówkę, dobrze?

Selma przeszła bez problemu przez drzwi supermarketu, ale utknęła w obrotowym przejściu. Zanim Amelia zdołała ją odblokować z tyłu ustawiła się nieduża kolejka czekających. Posuwały

się wolno przez zatłoczone, wąskie przejścia, Selma potrącając i zahaczając nóżkami swojego balkonika o kostki kupujących, Amelia uśmiechając się nerwowo i przeprasząc wszystkich dookoła. Słowa i uśmiechy wypływały z jej ust, jak cukierki spadające z pasa ładunkowego w fabryce słodczy. Bliska łez patrzyła zazdrośnie na matki z małymi dziećmi, które siedziały na fotelikach wygodnie wpasowanych w wózki na zakupy. Potem spojrzała na Selmę, która stała wyczekująco z ogromną paczką wędzonego łososia w ręku. Przez wszystkie te lata, pomyślała, łagodnie wyjmując paczkę z rąk babci i wkładając z powrotem do chłodziarki, marzyłam o dzieciach i szczęśliwym rodzinnym życiu. I oto, co mam. Jak gdyby Pan Bóg odczytał moje pragnienia w krzywym zwierciadle I postanowił obdarować mnie Selmą.

— Chodźmy dalej, dobrze? — Uśmiechnęła się zachęcająco mając przed oczami obraz babci wepchnętej do wózka za zakupy, z grubymi nogami sterczącymi przez otwór pod uchwytem.

Chodząc to tu, to tam pomiędzy półkami, jak robot zaprogramowany na przypadkowość, Amelia brała to puszkę groszku, to masło, soczewicę, konserwę z tuńczyka. Głupio jest zapewne, oczekiwać od życia czegoś tak prostego i łatwego do pokochania oraz utrzymania, jak dziecko. W końcu historia wypełniona jest postaciami kobiet, których młodość upłynęła w tandemie ze starością i rozkładem. Odstawiła na półkę cieknącą butelkę płynu Mr. Muscle, ale zaraz pomyślała, że to przecież nieładne zostawiać ją następnemu kupującemu, więc wzięła i oddała przy najbliższej okazji pilnującemu chłopcu w niebieskim uniformie.

— W porządku? — zapytała babcię, która wyglądała na zmęczoną i przytłoczoną tą żmudną wędrówką wśród obcego i nieprzyjaznego otoczenia.

Będę głosować za specjalnie zaprojektowanymi wózkami dla osób starszych w każdym sklepie, obiecała sobie w duchu, i domagać się wygodnych krzeseł pokrytych folią w każdej restauracji. A dlaczego miałyby nie powstać specjalne ochronki dla starszych ludzi w miejscach ich pracy? Dlaczego nie, do cholery! Wszystkie te matki zaplanowały swoje dzieci, albo przynajmniej przewidziały w akcie nierozważnej rozkoszy. Ale ona przecież nigdy nie usiadła i nie westchnęła z rozmarzonym wzrokiem: „Co o tym myślisz, kochany, co byś powiedział na nasz własny, na całkowicie nasz

własny, trzęsący się, ogłupiały, nie panujący nad sobą ludzki szczątek?" Selma nie była też wynikiem przypadkowej chwili rozkoszy, w każdym razie nie jej — Amelii.

Posadziła Selmę na krzesła, przy plastikowym wielbłądzie, który za dziesięć pensów wrzuconych do dziurki w garbie potrząsał szczęśliwymi dziećmiakami. Sama stanęła w kolejce do kasy. Spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że taksówka pewnie już czeka, więc kiedy przyszła na nią kolej zapłaciła szybko i nie bawiąc się w pakowanie, wrzuciła całe zakupy z powrotem do wózka. Po drodze do wyjścia zabrała Selmę i wystawiając wózek, a potem przytrzymując automatyczne drzwi tak, żeby nie zatrasnęły się na jej balkoniku zdołała w końcu wydostać się na zewnątrz, gdzie stała już taksówka. Kierowca patrzył niecierpliwie, jak ładowała zakupy do bagażnika, licznik był już włączony.

— Wiesz co, mam straszną ochotę na czekoladę. Kupiłyśmy może jakąś? — zapytała Selma z przedniego siedzenia.

— Nie.

— Czy byłby pan tak uprzejmy i pomógł mi wysiąść? — zapytała kierowcę, który stał gotowy do zatrasnięcia drzwiczek. Chwytiła balkonik i odwróciła się jeszcze do Amelii kończącej ładować zakupy do bagażnika. — Będę za momencik. — I zaczęła spieszenie dreptać w kierunku tylnych drzwi sklepu.

— Mam następną jazdę za dwadzieścia minut — mruknął niezadowolony szofer.

— Nie ma już czasu! — krzyknęła Amelia wychylając głowę z bagażnika.

Selma zatrzymała się patrząc na nią ze złością. — Naprawdę, kochanie, nie przesadzaj. Idę tylko po trochę słodyczy. Tobie też kupię. — I zniknęła w drzwiach przed jakimś innym starszym człowiekiem, który rzucił Amelii spojrzenie pełne dezaprobaty.

Dziesięć minut później kierowca poprosił uprzejmie o rozładowanie bagażnika i odjechał pozostawiając Amelię obok góry zakupów i bez wózka. Musiała najpierw znaleźć i przyprowadzić go tutaj, załadować i wreszcie wyruszyć na poszukiwanie Selmy.

Nie znalazła jej w samoobsługowym dziale słodyczy, ani przy mrożonkach i produktach mlecznych. Chyba nikt nie porywa staruszek? Czy jest tu jakieś tylne wyjście, które mogła pomylić z głównym? Amelia biegała od stoiska do stoiska, odnajdując wreszcie dział „Papierosy i alkohole” na samym końcu sklepu.

— A, tu jesteś, kochanie. Właśnie się zastanawialiśmy, gdzie się podziałaś. — Selma siedziała obok lady stoiska w towarzystwie młodego sprzedawcy w czerwonym uniformie. Machała w kierunku Amelii, trzymając w ręku nie zapalonego papierosa.

— Tak, proszę pani. — Młody człowiek o krostowatej twarzy i rzadkich wąsikach wypowiedział owo „pani” tonem obelgi. — Żeby tak zostawić babcię, kto to widział! Kiedy ją znalazłem była całkiem zagubiona.

Zwykle Selma nie miała dobrego zdania o ludziach, którzy, z wyjątkiem jej wnuczki oczywiście, nazywali ją babcią, ale tym razem przyłączyła się do sprzedawcy i obydwójce patrzyli na Amelię z wyrzutem i niesmakiem.

Potem młody człowiek ukłonił się Selmie. — Następnym razem proszę na siebie uważać. — I oddalił się.

Selma uśmiechnęła się za odchodzącym. — Co za przemiły chłopiec — powiedziała ciepło.

— Nie palisz papierosów, prawda? — głos Amelii był raczej chłodny.

— Oczywiście, że palę. — Spojrzała na wnuczkę, jakby usłyszała właśnie coś całkiem niedorzecznego. — Ale nie tutaj. Tu nie wolno. W sklepach Cullena nigdy nie było takich głupich zakazów.

Amelia zmrużyła oczy i już miała zauważyć, że Selma nie miała w ustach papierosa co najmniej od 1959 roku, faktycznie od roku jej, Amelii urodzenia, ale w ostatniej chwili pomyślała, że nie byłaby to honorowa gra. Zamiast tego bez słowa pomogła jej wstać i wymanewrować z powrotem na chodnik przed sklepem.

— Przepraszam szanowną panią, czy posiada pani rachunek na te towary? — Amelia spojrzała do góry. Nad nią stał mężczyzna w średnim wieku w czarnej, skórzanej kurtce. Wyjął z kieszonki na piersi identyfikator i machnął nim przed jej oczami.

— Przepraszam... co pan przez to rozumie? — Potem nagle rozjaśniła się. — Ach tak, wyszłam ze sklepu omijając kasy... — Mężczyzna skrzyżował muskularne ramiona o kształcie udek jagnięcych: szerokie u góry i wąskie u dołu i wysunął brodę. Amelia uśmiechała się cały czas. — Zaraz wszystko wyjaśnię. Zapłaciłam raz, ale musiałam wrócić do środka, bo zgubiłam gdzieś babcię, która poszła jeszcze kupić słodycze...

— Gdzie jest samochód, kochanie? Jestem już trochę zmęczona — głos Selmy brzmiał naprawdę słabo.

— Proszę mi tylko pokazać rachunek, dobrze? I będą panie mogły odejść.

— Rachunek, rachunek... — Amelia przetrząsała torebkę.

— Może być rachunek na kartę kredytową, ale wystarczy po prostu wydruk z kasy — wyjaśnił mężczyzna wężąc w powietrzu aferę.

Amelia uklękła i wysypała zawartość torebki na chodnik: klucze, tampony, pomadkę do ust, szczotkę, fotografię Geralda.

— Nie ma go tutaj, tak?

— Nie musi być pan z tego tak cholernie zadowolony — wysapała Amelia spoglądając kątem oka na bladą twarz Selmy. Zaczęła opróżniać wózek z nadzieją, że znajdzie rachunek gdzieś pomiędzy zakupami. W końcu wszystkie rzeczy leżały dookoła niej na chodniku, ale rachunku nie było ani śladu.

— Proszę pozwolić ze mną, szanowna pani. — Mężczyźnie trudno było pohamować swoją satysfakcję, a Amelia zastanawiała się, pakując wszystko po raz kolejny dzisiaj do wózka na zakupy, kiedy ostatnio ktoś nazwał ją „szanowną panią” nie mając przy tym złych intencji. Mężczyzna stał nad nią bez ruchu, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Nie powinnam z całą pewnością przy nim przeklinać, zganiła się w myśli kończąc pakowanie. Kiedy była gotowa, mężczyzna jedną ręką chwycił rączkę wózka, zaś drugą jej łokieć i zdecydowanym krokiem ruszył do środka.

— Zapewniam pana, że płaciłam. — Amelia zatrzymała się przy wejściu. — Niech pan zapyta kasjerkę.

— Która kasa?

— Skąd, do cho... skąd mam wiedzieć? — odpowiedziała z rezygnacją w głosie.

Mężczyzna popchnął ją lekko do środka i przytrzymał drzwi dla Selmy, która stanęła w połowie drogi blokując innym przejście. — Po co my tu znów wchodzimy? — zapytała.

— Wygląda na to, że pańska... wnuczka, prawda? Wyszła ze sklepu bez płacenia.

— Amelia? — To nonsens.

Ale mężczyzna zignorował jej uwagę i poprowadził Amelię do

miejsca dla nadzorcy, znajdującego się na czymś w rodzaju sceny przed ogromnymi oknami wystawowymi. Podniósł słuchawkę wewnętrznego radiowęzła. — Jeśli ktoś z obsługi pamięta pobranie pieniędzy od tej pani, proszę, żeby natychmiast zgłosił się do biura kierownika.

— Czy ktoś byłby uprzejmy powiedzieć mi co się tu właściwie dzieje? — Selma słaniała się na nogach, jej twarz nabrała szarzielonego odcienia.

— Przykro mi, ale naprawdę muszę już zabrać babcię do domu — oznajmiła Amelia.

Mężczyzna patrzył to na Selmę, to na Amelię. W końcu stwierdził oschle: Zaraz wezwę samochód policyjny, który odwiezie panią do domu. — A zwracając się do Amelii dodał: Na razie może poczekać razem z panią w biurze kierownika sklepu. Są tam fotele.

Szli przez sklep wolno, żeby zmęczona Selma mogła za nimi nadążyć. Amelia czuła na sobie spojrzenia innych klientów: wrogie, zawstyżone, rozbawione. Nie odwracała oczu, lecz patrzyła na nich z kamienną twarzą. Ogarnięta nagłym wstrętem do wszystkich tych ludzi, pomyślała, że właśnie tak czuli się żołnierze otwierający ogień z karabinów maszynowych w kierunku tłumu.

— No tak, teraz wszystko jasne — odezwał się oskarżycielski głos znajomego Selmy, sprzedawcy papierosów. — Nie dałbym tej kobiecie nawet psa pod opiekę.

Zdążyli wejść do małego biura na pierwszym piętrze, kiedy podjechał wóz policyjny i Selma została zabrana do domu przez sympatycznego policjanta. Nikt nie zgłosił się, żeby potwierdzić odbiór pieniędzy od Amelii. Policjant zerknął na biurko kierownika.

— A czy jest pani przekonana, że po prostu nie pomyślała pani w pewnej chwili o płaceniu i potem o tym zapomniała. To całkiem możliwe, kiedy trzeba cały czas mieć oko również na starszą osobę.

— Jestem przekonana, że nie. To niemożliwe — odparła Amelia zmęczonym głosem.

Wróciła do domu autobusem. Kasjerka z kasy numer pięć pamiętała Amelię, ale w czasie, gdy nadano komunikat przez głośniki miała właśnie przerwę śniadaniową. — Całe szczęście, że nadzorca mnie zapytał. — Dziewczyna uśmiechnęła się z zadowoleniem i pomogła Amelii spakować wszystko do poręcznych toreb.

— Następnym razem proszę zachować rachunek — zawołał za nią wesoło policjant, gdy wychodziła z biura.

Szła ociężale w stronę przystanku, ciągnąc za sobą wyładowane torby. Jedna z nich zostawiała za sobą różnokolorowy szlaczek: roztopione lody. Ciskając lepkie pudełko do śmietniczki w stylu wiktoriańskim stojącej na przystanku miała ochotę usiąść na chodniku i głośno krzyknąć, co dałoby wszystkim nareszcie trochę rozrywki, a ją zabrano by do jakiegoś miłego, odosobnionego miejsca. Stała tak z zaciśniętymi pięściami i otwartymi ustami, gotowa zawyć w każdej chwili. Ale nic się nie zdarzyło. Nerwowe załamanie nie przychodzi tak łatwo, pomyślała. Potem przyjechał autobus.

W domu Selma siedziała przed telewizorem z wyciągniętą wygodnie chorą nogą i oglądała Puchar Świata. W ręku trzymała zapalonego papierosa z długim ogonkiem nie strzepniętego popiołu. Gdy odwróciła się, żeby powitać Amelię popiół stoczył się na dywan.

— Posłuchaj tylko. — Wzięła rękę Amelii i przycisnęła do piersi. W telewizji pojawiła się twarz Luciano Pavarottiego śpiewającego na zakończenie transmisji. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty „Nessun donna” westchnęła ze łzami w oczach. — Rugby jest może grą dla prawdziwych mężczyzn, ale muzyka nie da się do tego porównać.

W nocy Amelia obudziła się nagle wyrwana ze snu, w którym Gerald namawiał ją do rozpalenia kominka, chociaż był upalny, letni dzień. Podniosła ciężkie powieki i usiadła na łóżku. W powietrzu unosił się zapach stęchlizny i dymu. Odrzuciła kołdrę i wybiegła z sypialni na korytarz, gdzie zapach spalenizny był już wyraźny. Biegła boso po zielonym dywanie, jej stopy dudniły w ciemności. Kiedy zapaliła światło zobaczyła smugę dymu wydobywającą się zza uchylonych drzwi babcinej sypialni.

ROZDZIAŁ 13

To mi zajmie moment, Alan — zawołała z łazienki Dagmara trochę podenerwowanym głosem. Zabierał ją dzisiaj do najlepszej restauracji w Devon, a ona właśnie teraz musiała przetrzymać go w drzwiach. Alan nie znosił niepunktualności. Nie znała go jeszcze zbyt dobrze, ale o tym akurat wiedziała od pierwszych chwil ich spotkania. Toteż tego dnia siedziała w fotelu przy oknie wypatrując jego samochodu, przygotowana do wyjścia na dobre dziesięć minut przed umówioną godziną.

Ubrała się z większą niż zwykle starannością. Przymierzając czarną, koronkową suknię zastanawiała się, czy aby nie wygląda w niej, jak wilk w owczej skórze? — Ta sukienka pasowałaaby raczej Amelii, pomyślała zirytowana i zsunęła ją wzdychając z niezadowolaniem. Potem wyjęła z szafy kostium w niebieską kratkę. Ale to był ten rodzaj stroju, który przeobrażał ją w całkiem przeciętną kobietę w średnim wieku. W kogoś tworzącego znakomite tło, po kim oczy sprzedawców w sklepie i kelnerów w restauracjach prześlizgiwały się gładko w poszukiwaniu czegoś ciekawszego, wartego chwili uwagi. Rzuciła kostium na łóżko.

W końcu zdecydowała się na półprzezroczystą, chabrową spódnice, która falowała przy każdym kroku oraz na jasnożółtą bluzkę. Alan uwielbiał Matisse'a. Siedząc wygodnie w szmaragdowozielonym fotelu, pomyślała, będzie mu przypominać jeden

z tych portretów z ospale rozciągniętymi na fotelach, niemal leżącymi kobietami.

Kiedy tak czekała, wyciągając szyję przez okno, na pojawienie się jego samochodu poczuła nagle jakąś przykrą woń. Niezbyt intensywną, raczej coś, co wprowadzało pewien mdły dysonans w świeży powiew jej perfum o zapachu róż i konwalii. Przechylając głowę wciągnęła powietrze, jak seter, który wietrzy w pobliżu zwierzyńę. W końcu zdecydowała, że dolatująca ją woń pochodzi z bluzki. Nie mogła dać głowy, że odnosiła ją ostatnio do pralni, a nawet jeśli tak, to w tych pralniach wrzucali wszystko razem do koszy obok lady: sterty poplamionych spodni, brudne płaszcze i delikatne, jedwabne bluzki. Spojrzała nerwowo na zegarek i pobiegła do sypialni, gdzie zrzuciła z siebie bluzkę i pośpiesznie wyciągnęła z szafy inną, którą niezbyt lubiła. Ale nic nie mogło popsuć jej dzisiejszego wieczoru. Zamierzała być tak nieskazitelna, jak świeżo wydana książka.

Alan zadzwonił dokładnie w chwili, gdy zapinała ostatni guzik. — Wejdz, proszę — otworzyła drzwi jednym szarpnięciem. — Jeszcze ostatnie poprawki — uśmiechnęła się przepraszająco i zniknęła w łazience.

— To mi zajmie moment, Alan — krzyknęła po paru minutach, wycierając ręce, wygładzając spódnice i rzucając ostatnie, kontrolne spojrzenie do lustra. Jeszcze rozciągnęła usta w sztucznym uśmiechu sprawdzając, czy nie ma na zębach śladów szminki i wzięła z półki grzebień, który jakoś niezręcznie wysunął jej się z palców i spadł za umywalkę. — A niech to... — mruknęła schylając się i macając kawałek podłogi zasłonięty postumentem.

— Już idę — krzyknęła, ale ręce zaczęły jej drżeć, a serce biło coraz szybciej. Nienawidziła i bała się niewidocznych powierzchni, zwłaszcza za różnymi przedmiotami, których nie można było odsunąć, tak, jak inni bali się ciemności, albo zamkniętych przestrzeni. W końcu namacała plastikową rączkę grzebienia. Wyciągnęła go i od razu włożyła pod strumień gorącej wody płuczac, namydlając i płuczac ponownie. Potem przyszła kolej na ręce. Myła je tak, jak zrobiłby to chirurg: szorując między palcami i wysoko, aż do nadgarstków. Piana mydlana zostawiła przeźroczyste ślady na mankietach bluzki. Na koniec umyła swój metalowy żółto-biały zegarek, na wypadek, jakby i on dotknął jakiegś podejrzaney

powierzchni za umywalką. Wytarła go jasnożółtym ręcznikiem, na którym pozostały szare plamy od utlenionego metalu.

— No, jesteś. Mam nadzieję, że stół jeszcze będzie czekał. — Alan zwykle uprzejmy i łagodny aż do przesady tym razem patrzył na Dagmarę z dezaprobatą, kiedy narzucała na ramiona swój szyfonowy szal w kwiaty.

Gdy schodziła za nim po schodach z zaczerwienionymi i pięknymi od gorącej wody rękoma, obiecała sobie solennie raz na zawsze skończyć z tymi nonsensownymi zwyczajami. Alan otworzył przed nią drzwiczki samochodu. Wsiadając uśmiechnęła się i pomyślała: „Nie pozwolę sobie na kolejną stratę. Nie tym razem”.

Gdy wyjeżdżali z miasta Dagmara gadała bez przerwy topiąc swoje utajone lęki w powodzi słów. Od czasu do czasu zerkała kątem oka na Alana, aby się upewnić, że słucha jej z zainteresowaniem.

Restauracja była mała i dość zatłoczona. Żeby usiąść na swoim miejscu, Dagmara musiała otrzeć się o sąsiedni stół. Zapach gotowanego jedzenia, pieczeni i sosu czosnkowego mieszał się z dymem papierosów tworząc lekką mgiełkę unoszącą się nad ciężkimi, dębowymi meblami w stylu rustykalnym. Na każdym stole stal wazon z pachnącymi goździkami polnymi i gałązkami lawendy oraz szklany świecznik z różową świecą.

— Hej, nie jest najgorzej. — Alan sięgnął ponad stołem i wziął rękę Dagmary w swoją dłoń. — Przepraszam, że wtedy tak na ciebie warknąłem... Mam chyba jakąś obsesję na punkcie spóźniania się.

Jak byłoby miło, gdyby wszyscy używali słowa „obsesja” tak naturalnie i niezobowiązująco, pomyślała Dagmara ściskając lekko jego rękę i uśmiechając się w odpowiedzi. Kiedy jej przyjaciółka Claudia nie miała ochoty opuścić swojego ciepłego łóżka w ostatni deszczowy poniedziałek ona, Dagmara, cierpiała wraz z nią prawdziwe męki wyczerpania i ogólnego zniechęcenia. A kiedy Penny dostała ataku histerycznego płaczu po trzech tygodniach remontowania domu, to ona również przeżywała głęboką depresję. Co właściwie Alan mógł wiedzieć o obsesjach, tym drapieżnym zwierzu, który trzymał ją w swoich łapach dzień i noc, nawet w snach?

— Doskonale cię rozumiem — skłamała gładko. — Nie ma nic bardziej irytującego niż czekanie na kogoś, kto się spóźnia. — Temat

wyraźnie ją pochłonał. — To jest, powiedziałabym nawet, pewna arogancja, jeśli zakłada się, że czyjś czas jest mniej cenny od twojego własnego.

— Tak, dokładnie tak! — Alan podkreślił swoją zgodę lekkim uderzeniem w stół. — Imogena, moja eks-małżonka nie mogła tego zrozumieć. Spóźniała się zawsze i wszędzie. — Rzucił okiem na menu. — Ponoć mają tu doskonale przyprawiane ślimaki.

Dagmara, która nie znosiła ślimaków stwierdziła, że z rozkoszą ich spróbuje. Była zaróżowiona i śmiała się trochę zbyt głośno wyginając długą, białą szyję.

— Jeśli pani woli — zaoferowała kelnerka — mamy również mięso indyka przyprawione niby na ślimaki.

— A czy mają państwo niby-żółwie? — zażartowała Dagmara, ale kelnerka nie zrozumiała.

— Nie mów, że też uwielbiasz „Alicję”... — Alan pochylił się nad stołem.

— Ależ oczywiście — skłamała Dagmara. Zawsze krępowała ją ta popularność „Alicji w krainie czarów” i prawdę powiedziawszy, wcale jej nie lubiła.

Alan opowiadał o swoich ulubionych pisarzach, a ona cały czas podążała za jego myślą, jak doświadczona tancerka, za swoim partnerem. Chyba ma mnie za kogoś wspaniałego, myślała zachwycona. Następna myśl człapała, jak cień za pierwszą: Mój Boże, pozwól, żeby to trwało. Pozwól mi panować nad sobą.

— Spodoba ci się Cape. — Alan odsunął talerz i wyprostował się z zadowoleniem opierając się wygodnie na krześle. — Mój dom jest nieduży, ale za to w najładniejszej części miasta. Domy dookoła są szalowane i wszędzie jest pełno zieleni.

Dagmara siadając przy stoliku upewniła się, że jej torebka stoi na błyszczącym i czystym kawałku podłogi, ale właśnie przed chwilą kelnerka, która przyszła zabrać talerze, potknęła się o coś i chcąc złapać równowagę postawiła drugą nogę wprost na niej. Trwało to mgnienie oka. Gdy Alan ciągnął swą opowieść o rodzinnych stronach, ona wpatrywała się z napięciem w brązową plamkę na czubku buta kelnerki.

— Zawsze chciałem pojechać do Stanów, zwłaszcza do Nowej Anglii. — Dagmara rzuciła mu nieprzytomne spojrzenie i uśmiechnęła się niepewnie.

— Jakie wspaniałe są tam święta Bożego Narodzenia. — Alan myślami był daleko stąd. — Śnieg pada dużymi płatkami, wygląda jak wata cukrowa, w ogrodach i na podwórkach jarzą się kolorowe światełka porożpinane na drzewach...

Ta dziewczyna mogła w coś wdepnąć. Na uliczkach wokół restauracji było napewno tak nabrudzone przez psy... Cały teren wokół nich upodobnił się nagle w jej oczach do niebezpiecznego pola minowego. Uśmiechała się i potakiwała Alanowi, ale jej myśli krążyły wokół jednej rzeczy. Przypominało to dziecinny sprawdzian na koordynację ruchów, jaki Robert zrobił jej któregoś dnia, bardzo dawno temu. Musiała głaskać się okrężnymi ruchami po brzuchu, a drugą ręką klepać po głowie. Tak więc jej usta uśmiechały się, głowa potakiwała, ale wszystkie myśli skupione były na całkiem innym, wewnętrznym dialogu.

— Uwielbiam białe Boże Narodzenie — powiedziała starając się, żeby jej głos brzmiał szczerze, ale nieustanne udawanie zaczęło być już nużące. Czuła wyraźnie, niemal fizycznie, jak jej umysł zostaje wypompowywany z entuzjazmu i błyskodiwości, a rozmowa zaczyna robić się banalna. Starła się ze wszystkich sił zatkać ten nieszczęsny przeciek.

— Którejś zimy, w czasie wojny, kiedy byłam małą dziewczynką, mieliśmy w Szwecji taką prawdziwą „wilczą zimę”, jak to się wtedy nazywało... — mówiła powoli, przez cały czas zerkając na torebkę w poszukiwaniu jakichś symptomów brudu. Wydawało jej się, że widzi niewielkie maźnięcie obok zapinki. — To było w czasie Świąt... — spróbowała znowu, ale to, co mówiła dalej było całkiem pozbawione błyskotliwości, jak tania biżuteria, z której odpadła błyszcząca warstwa ukazując matową imitację pod spodem. Chciała opowiedzieć Alanowi o olbrzymiej choince i o tym, jak jej żydowscy rodzice nalegali, żeby była udekorowana tak, jak w innych domach. Zależało im, by nie czuła się pozbawiona dziecięcych przyjemności i zabaw, jakie miały inne dzieci. Chciała też opowiedzieć, jak pewnej nocy wdrapała się na parapet i patrzyła przez szparkę w okiennicach na lśniące w świetle gwiazd płatki śniegu. I jak doszła do wniosku, zanim nie przyszła Selma i nie zabrała jej do łóżka, że Pan Bóg musi być bardzo nieuważny, skoro przepuszcza światło przez tyle dziurek w czarnym niebie.

Ale nie powiedziała nic. Zamiast tego, podniosła z ziemi torebkę

i szukała oznak zabrudzenia udając, że zaciął się zatrzask. — Chyba coś mi wpadło do oka. — Wyjęła w końcu puderniczkę i podniosła ją do twarzy.

Alan gadał i gadał, ale wkrótce i jego opuścił cały animusz. W ciszy dokończyli jeść gruszki w sosie porto, wymieniając od czasu do czasu rutynowe sentencje.

— Jesteś zmęczona, prawda? — Alan położył rękę na jej dłoni. — Zabiorę cię prosto do domu.

W mieszkaniu w Exeter wystawiła policzek na pożegnalny pocałunek i zamknęła za nim drzwi. Stała przez chwilę opierając się plecami o drzwi i rozmyślała nad tym, jak cały czar ich wieczoru został bezlitoście wyspany przez wielki i wciąż rosnący tumor strachu. Z cichym jękiem rozpaczy podniosła torebkę i przyjrzała się jej dokładnie. Jej twarz była biała i skurczona, a zęby zaciśnięte. Przykucnęła i wytrząsnęła całą zawartość torebki na podłogę, a potem pobiegła do kuchni i cisnęła ją ze złością do kubła na śmieci, zamykając drzwiczki szafki mocnym kopniakiem.

Jakiś czas po tym, siedziała w łóżku z kubkiem gorącej herbaty i talerzykiem herbatników czekoladowych na kolanach. Próbowała zobaczyć jeszcze raz wszystko w jaśniejszych kolorach. Zadzwoił telefon. Wstała szybko mając nadzieję, że stanie się cud i odezwie się ciepły głos Alana zapewniający, że wieczór z nią był naprawdę cudowny.

Ale to była Amelia. — Dzwonię ze szpitala — powiedziała spokojnie. — To Selma. Podpaliła się w swoim pokoju.

ROZDZIAŁ 14

Amelia spędziła większą część nocy wpatrując się w babcię, która, po dużej porcji środków uspokajających, spała w szpitalu w Basingstoke. Chrapliwy oddech dobywał się z wysiłkiem z jej zniszczonych przez dym płuc. Dookoła rozpięta była biała zasłona, jak kiedyś wokół łóżka Willoughby'ego. Amelia czuła się, jak w zamkniętej kabinie latającej gdzieś, w przestrzeni kosmicznej. Od czasu do czasu dobiegały do niej jakieś ziemskie odgłosy, szepty, albo przytłumione winylową wykładziną stukanie obcasów.

Zasłona uchyliła się ukazując twarz młodej pielęgniarki. Poprosiła Amelię, żeby poszła już do domu i trochę odpoczęła.

Kiedy wróciła na Stare Probstwo, zastała Geralda śpiącego w bujanym fotelu, naprzeciwko grającego telewizora. Ostrożnie wzięła z jego kolan pilota i nacisnęła wyłącznik. Stała przez chwilę przyglądając mu się i słuchając, jak regularnie i spokojnie oddycha. Czuła się, jak kanibal uczujący na jego młodości i zdrowiu. Uklękła obok i przytuliła policzek do jego twarzy; czuła na skórze ciepły, znajomy oddech. Gerald drgnął, otworzył oczy i szybko się wyprostował.

— Wyglądałeś tak, tak... blado — uśmiechnęła się zawstydzona.
— Dowiedziałem się o pożarze i od razu przyjechałem. — Odgarnął włosy z twarzy i usiadł wygodniej. — Zadzwoń mi do mnie

pani Jenkins. Byłem już na górze i sprawdziłem straty. Mogło być gorzej. — Ku jej zdumieniu uśmiechnął się i skrzyżował swoje długie nogi. — A co z twoją babcią? — Jak się czuje?

— Tak naprawdę to nie wiem. — Amelia przysiadła jak zwykle na poręczu fotela. — Paliła papierosa w łóżku. Powinam była o tym pomyśleć. W każdym razie, jakoś się trzyma. Lekarze twierdzą, że w tej chwili nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo, inna rzecz, czy uda jej się po tym całkiem dojść do siebie — mówiła spokojnie, potem nagle pochyliła głowę i uderzyła zaciśniętymi pięściami w czoło. Kiedy opuściła ręce i podniosła głowę w jej oczach były łzy. — Boże, ja nawet nie wiem czy tego chcę.

Gerald pociągnął ją, posadził sobie na kolanach i objął. Mruczał coś cicho i uspokajająco, żeby powstrzymać jej płacz. — Jesteś w szoku — mówił cicho — to tylko szok.

Ból, strach i poczucie winy, które jak pięść ścisnęły jej wnętrzności zaczęły powoli znikać. Czuła uspokajające odprężenie i prawie zasypiała, gdy Gerald puścił ją i spojrzał na zegarek.

— Psiakrew! Już prawie piąta. Muszę wracać do domu. — Podnosząc ją z kolan wstał szybko i wyprostował się.

Amelia spojrzała na niego zaspana. — Myślałam, że wróciłeś.

Gerald westchnął. — Musisz się pogodzić z tym, że już nie jesteśmy razem. — Zrobił krok w jej stronę. — O Boże, Amelio, nie chciałem, żebyś tak to odebrała. — Patrzył na nią z litością. — Przepraszam cię, naprawdę... przepraszam. — Musnął jej policzek szybko, żalostną pieśczołą.

Odkoczyła do tyłu wciągając powietrze ustami w długim, przestraszonym, drżącym oddechu. Mogła go sobie wyobrazić z powrotem przy Clarissie. — Biedna, mała Amelia — powiedziałaby — w gruncie rzeczy to żalostne, jak kurczowo trzyma się czegoś, co jest już złudzeniem.

— Jeśli moja głowa pękłaby teraz na dwoje wytrysnęłaby z niej taka fala wściekłości, że zatopiłaby nas i cały ten dom. — Zaciskała pięści patrząc, jak Gerald szedł sztywno w stronę drzwi, nie odwracając się ani razu, jakby jedno spojrzenie w tył miało go zamienić w słup soli. Następnym razem dam Selmie miotacz ognia, pomyślała ze złością. Ale zanim umrę w płomieniach, to pójde i powieszę to babsko z wielką dupą za te jej grube nogi i wepchnę jej w gardło tę jej cholerną spódniczkę od Laury Ashley.

— Nie, nie, przepraszam cię — zawołała za nim. — Nie wiem co mnie ogarnęło. To pewnie szok, jak mówię. — Zmusiła się do uśmiechu, który wykrzywił jej usta, ale nie zmienił wyrazu oczu.

Selma zaskoczyła wszystkich oprócz Amelii tym, że przeżyła. Tydzień po podpaleniu swojej kołdry co prawda kasłała boleśnie, a jej nogi pokryte były ciekącymi pęcherzami, ale była żywa, a jej serce pozostało tak mocne, jak dawniej. Zdawało się pracować według całkiem innego rytmu, niż reszta jej zużytego ciała.

Szpital potrzebował jej łóżka.

Amelia zadzwoniła do Cherryfield i poprosiła siostrę Morris.

— Kto dzwoni? — usłyszała przytłumiony głos zawołanej do telefonu przełożonej.

— Judasz — mruknęła. — Dzień dobry, mówi Amelia Lindsay.

— Tu siostra Morris.

Amelia wyrwała babcię ze szpon Cherryfield, a teraz, w przeddzień oddania jej tam z powrotem, czuła, że głos Szefa Straży działa na nią kojąco. Pielęgniarka poinformowała Amelię, że nie będzie najmniejszego problemu z przyjęciem pani Merryman, jako że płatności są wciąż regulowane.

— Czuję się odpowiedzialna za to, co się stało — Amelia czuła się poniżona, ale brnęła dalej w wyjaśnieniach. — Ona znowu pali. Myślę nawet, że nie pamięta tego, że kiedyś z tym skończyła. Ale nigdy nie sądziłam... och, to było straszne. Wyglądało to, jakby duża purchawka wydmuchiwała z siebie chmury dymu. Zaczęła też nosić swoją siateczkę na włosy. — Żywy obraz przed oczyma Amelii potrzebował także i tego szczegółu, który, nie bardzo wiedziała dlaczego, dodał mu jeszcze grozy. — Nie mam wątpliwości, że potrzebuje lepszej opieki, niż ta, którą ja mogę jej zapewnić. To wszystko moja wina. Naprawdę, nie powinnam była jej zabierać.

Siostra Morris była wielkoduszna w swoim triumfie.

— Niech pani nie będzie dla siebie zbyt surowa, panno Lindsay. Zrobiła pani to, co uważała za słuszne i najlepsze dla babci. Chociaż my, profesjonaliści, wiemy doskonale, że ze starszymi ludźmi to niestety nie wystarcza. A teraz proszę mi podać nazwisko lekarza prowadzącego panią Merryman.

— Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie stąd wyjdę. Nie znoszę szpitali. — W sobotę rano Selma przyjęła z radością wiadomość o wypisaniu jej. Uśmiechnęła się pobłażliwie. — Miałam w życiu gorsze poparzenia, niż to — wskazała zabandażowane nogi. — Naprawdę nie wiem, po co to całe zawracanie głowy.

Posłusznie podniosła ręce, żeby pielęgniarka mogła ją ubrać. Amelia przyglądała się jej wystającym kościom, które były podobne do gigantycznego wieszaka na zwiotczałą skórę. Rzuciła okiem na swoje ramiona w bawełnianej bluzeczce, jakby upewniając się, że wciąż są krągłe, a skóra na nich jest napięta i o złotawym odcieniu. Potem odwróciła oczy zawstydzona.

Citroen Geralda czekał zaparkowany przed szpitalem. Przed paroma dniami Gerald zjawił się w Starym Probstwie, żeby wymierzyć ściany pokoju na górze. Jechał kupować nowe tapety. Wtedy to Amelia korzystając z okazji poprosiła go o pożyczenie samochodu na podróż ze szpitala do Cherryfield.

— Jestem pewna, że Clarissa ma jakiegoś fiata uno, albo coś takiego i może cię parę razy podwieźć do pracy. Na pewno nazywa go Algie — dodała złośliwie.

— Właściwie Hughie — Gerald uśmiechnął się, zanim pomyślał o swojej lojalności.

Selma siedziała na przednim siedzeniu, maksymalnie odsuniętym do tyłu, z nogami wygodnie wyciągniętymi przed siebie. Gdy wyjeżdżały ze szpitalnego parkingu, Amelia pomachała na pożegnanie sanitariuszowi.

— Nienawidzę szpitali — powtórzyła po raz kolejny dzisiaj Selma i zanosła się długim męczącym kaszlem, który zgiął ją w pół, wyciskając śluz z gardła i nosa i pozbawiając ją całej energii. Kiedy znów usiadła prosto z twarzą poszarzałą i oczyma wilgotnymi od łez długo nie odezwała się ani słowem.

Amelia cierpiała razem z nią. Wjechała już na autostradę i nie mogła zatrzymać się, żeby objąć babcię choćby na chwilę, powiedzieć jej coś dla dodania otuchy.

Chopin umarł grając w natchnieniu swego poloneza. Kaszał krwią, aż na klawiszach fortepianu było jej więcej, niż w jego wąłym ciele. Tak opowiadała jej kiedyś Selma. Może, pomyślała, taka śmierć jest lepsza... Wielka fontanna agonii w kwiecie wieku I urody? To na pewno było lepsze, niż koszmar, przez który musiała

teraz przechodzić Selma: życie było jej odbierane małymi, boleśnie wyrwanymi kawałkami.

Były na autostradzie A303, gdy Selma znów się odezwała:

— Myślałam, że jedziemy do domu. Ale to trwa już strasznie długo.

— Potrzebujesz toalety?

— Ach, nie, kochanie. Powiedziałam, że to trwa już...

— Cherryfield — przerwała jej Amelia. Żal i wstyd sprawiły, że jej głos zabrzmiał szorstko. — Jedziemy do Cherryfield. Trzeba ci teraz porządnej opieki, a tam jest lepiej, niż w szpitalu. I tak masz szczęście, że to przeżyłaś. — Ostatnie zdanie wymknęło się Amelii niechcący i zawisło w powietrzu. Przez długą chwilę obydwie rozmyślały nad nim w ciszy.

— Pewnie rzeczywiście mam szczęście — odezwała się Selma ku zdziwieniu wnuczki. Czy to była automatyczna odpowiedź, czy rzeczywiście chciała przez to powiedzieć, że czuje się zadowolona z życia? Amelia zerknęła na jej profil. Zastanawiające, czy ona jeszcze pamięta Chryfield?

— Admirał Mallett na pewno się ucieszy z twojego przyjazdu — spróbowała, ale Selma wydawała się nie słuchać.

Matka Geralda powiedział kiedyś, że jeśli dożyje takiego wieku, że będzie stara i zgrzybiała, to życzyłaby sobie, żeby Gerald pomógł jej odejść. Mówiła całkiem poważnie. Amelia zapytała później Geralda: „Dlaczego ludzie tak się boją starości? Przecież, pomijając wszystko inne, to ty sam będziesz jedyną osobą nieświadomą tego faktu. To ty uczynisz życie swoich bliskich czymś trudnym i smutnym, ale nie będziesz o tym wiedział, albo nic cię to nie będzie obchodziło”. Umysł starca wydawał jej się podobny do skasowanej kasy wideo. Wszystko znika, pustka. Ale teraz wiedziała już, że to nie było tak, że się grubo myliła. Film cały czas był nagrany, ale jakaś złośliwa siła, poprzecinała sceny w przypadkowych miejscach, poprzestawiała je w czasie i przestrzeni, pozbawiła kontekstu i sensu. Znajome twarze pojawiały się teraz w dziwnych, nieznanym miejscach. Często fragmenty wspomnień były bardziej sensowne, niż pomyłona i pomieszana terażniejszość. Nie, starość nie oferowała ucieczki.

Przycisnęła pedał gazu obserwując, jak wskazówka licznika podjeżdża do osiemdziesięciu mil na godzinę. Człowiek był wtedy skazany na łapanie skrawków rzeczywistości, tak ulotnych i zwodniczych jak promienie słońca.

— Znam admirała Malletta. To miły człowiek — całkiem nieoczekiwanie oznajmiła Selma po paru minutach milczenia.

Amelia wyjrzała na chwile przez okno. Patrzyła na dojrzewające zboże na polach i soczyście zieloną trawę, tak jaskrawą, jak na kiczowatych pejzażkach z pchlego targu. Napawała się tą bujnością, jakby to nie Selmy, lecz jej spojrzenia na pejzaż angielskiego lata były policzone.

— Pamiętasz Cherryfield? — zapytała łagodnie.

Znów zapadła cisza, jakby komunikowały się przez satelitę.

— Oczywiście, że pamiętam. Okropne miejsce. Robert próbował mnie przekonać, żebym przeprowadziła się tam na dobre. — Odwróciła głowę i spojrzała na wnuczkę. — A gdzie jest teraz Robert? Nie widziałam go całe wieki.

— W Brazylii. Mieszka tam teraz... — miała właśnie dodać: pamiętasz? Ale zamiast tego powiedziała: — Wie o twoim wypadku i zadzwoni do Cherryfield, jak tylko tam przyjedziemy.

— Muszę go wreszcie kiedyś odwiedzić — stwierdziła Selma.

W Cherryfield siostra Morris powitała ich na progu domu. Za nią stał duży, rudy mężczyzna.

— Witamy z powrotem w Cherryfield, pani Merryman — rozciągnęła usta w oficjalnym uśmiechu, ale kąciki jej warg nie podniosły się, tylko rozsunęły w poprzek, po czym zaraz wróciły do dawnej, obronnej pozycji, ciasno zasnuwane i surowe. — To jest pan Jones. Przyszedł do nas w czasie pani nieobecności i od tej pory będzie nam pomagał przy podnoszeniu, przesadzaniu i tym podobnych rzeczach.

Amelia spojrzała na mocno zbudowanego, uśmiechniętego chłopaka i wyobraziła go sobie biegającego prężnie po korytarzach wszystkich pięter ze starszankami dyndającymi pod jego pachami, zwisającymi bezwładnie jak ranne ptaki z pyska psa myśliwskiego. Ale ku jej zdumieniu z dużą delikatnością pomógł Selmie wysiąść z samochodu i posadził ją ostrożnie na wózku, który czekał już przy trawniku.

Amelia wyciągnęła z bagażnika małą walizeczkę. — Zostawiłam większość jej rzeczy tutaj. Powinny być w jej pokoju. — Ruszyła w kierunku wejścia.

— Nie będzie już mieszkać w tamtym pokoju — siostra Morris ściszyła głos i ku zdziwieniu Amelii zaczerwieniła się jak dziecko, które coś zbroiło. Zaraz spuści głowę i zacznie szurać po żwirze swoimi białymi sandałami.

— Dlaczego? — zapytała zaskoczona.

Siostra Morris spojrzała na Selmę przewożoną na wózku przez pana Jonesa i poczekała aż je miną jadąc w kierunku domu. — W tym akurat momencie i w takiej sytuacji... — zaczęła niespiesznie, żeby odzyskać nieco zachwianą pewność siebie — zdecydowaliśmy, że pani Merryman powinna korzystać z trochę większej opieki. Otrzyma ją w tej części domu, do której ją przenosimy, w Honey-suckle. — Ostatnie zdanie powiedziała szybciej, jakby chciała uprzedzić wszystkie pytania i obiekcje.

— Ale... to jest Aneks — Amelia była przerażona. Czuła się, jak matka, która właśnie przekonała swoje dziecko, żeby dało sobie usunąć brodawkę, a teraz stwierdza, że chirurg zdecydował się na amputację. — Nie, nie możecie tego zrobić. Ona by tego nie zniosła! — A kiedy siostra Morris ruszyła w stronę domu, krzyknęła za nią: — Wiesz, jak ona to nazywa? Umieralnia!

Ale pielęgniarka nawet się nie odwracając ciągnęła spokojnym głosem: — To nie jest właściwe podejście do sprawy. — Wyrzucała z siebie pojedyncze słowa, jakby podkreślając ich wartość. — Robimy dla naszych rezydentów to, co uważamy za najślusniejsze. Jeżeli mogę pani przypomnieć, to podobna do tej, emocjonalna postawa wobec naszych wcześniejszych decyzji postawiła pani babcię w obecnym, żalonym położeniu.

Tym razem to Amelia spuściła głowę. Pielęgniarka miała rację. Zabranie Selmy z Cherryfield było pochopnym posunięciem i wyrządziło wszystkim tylko krzywdę.

— Mój pokój jest z całą pewnością na pierwszym piętrze. — Selma próbowała odwrócić się i spojrzeć na pana Jonesa. — Jestem przekonana. Amelio, jesteś tam? Mogłabyś łaskawie poinformować tego człowieka, że mój pokój jest na górze?

Po raz kolejny Amelia pomyślała o tym, o ile łatwiej byłoby teraz wykorzystać słabą pamięć staruszki i powiedzieć z przekonaniem, że myli się, i że jej pokój jest i zawsze był właśnie w Aneksie. Byłoby to tak łatwe, jak wyrwanie ostatniej deski ratunku tonącemu człowiekowi.

Pan Jones zatrzymał się u stóp schodów i bezradnie patrzył na nadchodzącą siostrę Morris. Amelia podbiegła do wózka i kucnęła przy Selmie.

— Wszystko w porządku, babciu. To tylko na jakiś czas.

— Ale co? — głos Selmy podniósł się niemal do pisku.

Amelia spojrzała z niemym wyrzutem na siostrę Morris i położyła rękę na kolanach babci. — Przenoszą cię do Aneksu, dopóki nie zagoją się twoje oparzenia. Tu nie chodzi o wiek ani nic takiego. To po prostu z powodu tego głupiego wypadku. Wiesz, gdybym ja była teraz poparzona, to też leżałabym w szpitalu.

— No to dlaczego ja nie leżę? Dlaczego nie jestem w szpitalu?

Amelia spojrzała na nią ze łzami w oczach. — Proszę, babciu — wyszeptała. — Staram się, jak mogę.

— Chcę wrócić do domu. — Selma odepchnęła rękę wnuczki. — Chcę wrócić do Ashcombe. Tęsknię do moich kotów. — Spojrzała twardo na Amelię. — A gdzie są koty?

Amelia podniosła się. I co mam teraz powiedzieć? Mam spojrzeć jej prosto w oczy i powiedzieć: „Ashcombe jest sprzedane. Twoje rzeczy czekają w przechowalni aż umrzesz, żeby mogły zostać podzielone pomiędzy twoje dzieci. A koty? Zostały uśpione. Próbowaliśmy znaleźć dla nich nowych właścicieli, ale były za bardzo śmierdzące i stare; nikt ich nie chciał”. Czy to właśnie miała jej powiedzieć? Westchnęła głęboko.

— Chodźmy do twojego nowego pokoju. Pomogę ci się urządzić, dobrze?

— Amelia — babcia złapała ją za łokieć, patrząc w oczy, jakby na świecie nie było nikogo innego, oprócz nich dwóch. — Wiem, że nie wrócę do domu na urodziny. I wiem, że to przez ten głupi wypadek.

Poddaje się, przyszło na myśl Amelii. Poczowała się trochę uspokojona i zaczęła nawet odzyskiwać nadzieję.

— Ale Boże Narodzenie... co, kochanie? To już całkiem inna sprawa. Wtedy już na sto procent będę w Ashcombe. — Poklepała rękę Amelii i dodała scenicznym szeptem: — Nie zniósłabym tego, żeby spędzić święta poza domem.

Amelia zatrzymała się na chwilę patrząc, jak pan Jones zwinnie pcha wózek w kierunku Aneksu.

— Amelia! — głos Selmy był teraz naprawdę przerażony.

— Tak, tak oczywiście — zreflektowała się szybko. — Oczywiście, że spędzimy święta razem w domu. — Małe, wesołe diabełki tańczyły jej po głowie zanosząc się śmiechem: „Kłamczucha, kłamczucha, co zjadła karalucha!”

Przeszła za panem Jonesem przez szklane drzwi na końcu długiego korytarza. Naprzeciw wyszła im młoda krępa pielęgniarzka w czepku sterczącym wysoko na sztywno ułożonych włosach. — Nie znamy się jeszcze — uśmiechnęła się szeroko do Amelii wyciągając rękę. — Jestem siostra Scott. — Potem schyliła się nad wózkiem zbliżając twarz do głowy Selmy. — Z opiekujejmy się panią, pani Merryman. O nic się proszę nie martwić.

— Och wynoś się — warknęła Selma.

Pielęgniarka udawała, że nic nie słyszy. Wzięła wózek od cichego pana Jonesa i wprowadziła go do jasno oświetlonego, dość pustego pokoju. Kiedy przejeżdżała obok pierwszego łóżka wskazała na nie i wyjaśniła: — Tu śpi pani Ambrose. Jej mąż mieszka w głównej części domu. Są tu dopiero od zeszłego tygodnia. — Zatrzymała wózek Selmy obok drugiego łóżka, przy niedużym oknie.

Stoliczek przy łóżku pani Ambrose był cały zarzucony zdjęciami. Część leżała luzem, część opierała się o szklaną karafkę i mały wazonik z różami. Dwa, oprawione w srebrne ramki ukazywały tego samego młodego człowieka w mundurze RAF-u. Obok leżała oprawiona w skórę Biblia, a na niej różaniec z mlecznobiałych paciorków. Nad łóżkiem przypięto obrazek z niezdatnym rysunkiem przedstawiającym patykowatego chłopca z ogromną głową bawiącego się na plaży. Pod rysunkiem zapewne ta sama ręka równie niezgrabnie napisała: Dla kochanej babci od Joego.

Amelia zrobiła krok w kierunku łóżka, ale gdzie była pani Ambrose? Przyszła jej do głowy potworna myśl o szkieleciku w różowej koszuli nocnej w kwiatki wyskakującym spod narzuty i rechoczącym: niespodzianka!

— Nie ma jej tu. — Amelia odwróciła się do siostry Scott z pytającym wzrokiem. — Nie ma tu pani Ambrose. Chyba nie wyparowała?

Pielęgniarka oderwała się od rozbierania Selmy, która nagle się uspokoiła i poddawała pokornie wszystkim zabiegom. — Jest

pewnie w świetlicy, razem z mężem. A teraz, zanim zrobię porządek z nogami pani Merryman, może przeszłaby się pani po ogrodzie? Proszę wrócić za piętnaście minut.

Przez otwarte drzwi pokoju admirał Mallett obserwował jedną z dziewcząt w biało-błękitnym uniformie, która zabierała ubrania z szafy i szuflad w pokoju pani Merryman. Jakiś pakunek, trzy letnie sukienki w kolorowe wzory, kilka swetrów, płaszcz z gabardyny, który już dawno przestał być beżowy, a przybrał kolor nieokreślonej szarości, wszystko to zostało przewieszane przez mocne, pokryte piegami ramię dziewczyny, która głośno człapiąc szła przez hall w kierunku schodów.

— Co się stało, siostrze? Pani Merryman wraca dzisiaj, tak? — W jego wyobraźni głos, jakim to powiedział był pewny, a ton raczej niedbały. Ale to, co dotarło do uszu admirała zaskoczyło jego samego. Starczy skrzek i błagalny, zalękniony ton. Cóż, pomyślał, ludzie żyją i umierają, taka jest kolej rzeczy, nic się na to nie poradzi.

Pielęgniarka nie odpowiedziała, więc krzyknął znowu: — Siostrze!

Teraz się odwróciła. — Admirał? Ach, tu pan jest. Nie zauważyłam pana. Tak, Selma Merryman wraca. Będzie teraz mieszkać w Honeysuckle. — Odwróciła się i głośno stukając obcasami zaczęła schodzić po wypolerowanych schodach.

Biedna pani Merryman. Łzy wezbrały w oczach starego człowieka. Jak będzie się czuła, gdy dowie się o takiej zmianie... Wstał i pokuśtykał w kierunku starej mahoniowej komody przywiezionej z domu. Kluczyki do rovera leżały w górnej szufladzie po prawej stronie. Wsunął je do kieszeni spodni i omijając ruchome krzesło, które znakomicie służyło za windę wjeżdżając i zjeżdżając po metalowej szynie przy schodach, zaczął schodzić o własnych siłach trzymając się obydwiema rękami poręczy i posuwając ostrożnie w dół.

W hallu stała siostra Morris wkładając do wazonu na stole recepcyjnym bukiet gladioli.

— Wychodzę się przejechać — powiedział od niechcienia przechodząc obok.

Siostra odwróciła się trzymając w ręku czerwony jak flaga rewolucyjna kwiat. — Tak, ale admirałe, czy to naprawdę mądrze...

— Absolutnie — odparł. — Posiadam przecież ważne prawo jazdy.

— Ale, admirale...

— Nie będę siostry już zatrzymywał. Miłego dnia.

Nie prowadził samochodu, od kiedy znalazł się tu, w tym przeklętym miejscu. A właściwie od kiedy tu był? Od jakiegoś końca kwietnia. Tak. Już dobre trzy miesiące. To głupie, powinien był to robić od czasu do czasu, myślał wyprowadzając samochód z parkingu. Jego reakcje nie były już może tak szybkie jak niegdyś, robił to jednak ostrożnie i z dużą wprawą. — Liczy się doświadczenie — powiedział sobie zjeżdżając z podjazdu na szeroką, prostą szosę. Na skrzyżowniu jakiś traktor wjechał przed jego samochód i posuwał się w ślimaczym tempie do przodu, ale admirał nie miał nic przeciwko temu; nigdzie mu się nie spieszyło. W gruncie rzeczy to było nawet wygodne, mieć powód do zwolnienia tempa. Henry świetnie mu poradził, żeby zamontować w samochodzie automatyczną zmianę biegów; to oszczędzało jego biodro. Pochylił się trochę i kontrolując cały czas drogę spoglądał na lewo. Na rozległym polu rosły trzy stare, piękne dęby, zapewne drwiąc sobie z poglądów jego właściciela na temat postępu metod uprawy i wzrostu zysków.

Nagle jakiś czerwony błysk przemknął obok i z piskiem opon skreślił wyprzedzając traktor, ledwo zdążywszy przed zakrętem. — Cholerny wariat — mruknął do siebie admirał.

Kilkadziesiąt jardów dalej traktor nieoczekiwanie zaczął skręcać w lewo. Admirał zahamował gwałtownie. Mógł przysiąc, że traktorzysta nie zasygnalizował skrętu. Tuż za jego samochodem, może centymetr, może dwa zatrzymał się metalicznoniebieski volvo estate. Za nim biały audi już nie zdążył wyhamować. Jego maska była porządnie wgnieciona w bagażnik volvo.

Admirał zobaczył to wszystko w bocznym lusterku i zjechał na pobocze. Pchnął drzwi i wyciągnął z trudem nogi na zewnątrz. Wziął kulę, wstał i zamknął drzwiczki. Zerkając na mijające go samochody ruszył do miejsca wypadku. Obok volvo stała zapłakana kobieta ściskając za rękę małą dziewczynkę. Kierowca audi w białej koszuli z podwiniętymi rękawami wpatrywał się w powyginany front swojego samochodu. Jego twarz była koloru buraka.

Chwiejąc się na nogach admirał stanął obok, współczująco pokręcił głową i gwizdnął. Potem odwrócił się do płaczącej kobiety.

— No, no, proszę pani, nie jest jeszcze najgorzej. Nikomu nic się nie stało. Zdarzają się gorsze katastrofy, he? — Uśmiechnął się do małej dziewczynki, która odpowiedziała mu nieśmiałym uśmiechem.

Mężczyzna utkwiał w nim spojrzenie pełne wściekłości. — Widzi pan, młody człowieku — admirał podniósł kulę i potrząsnął nią w jego kierunku. — Takie są efekty niezachowywania odpowiedniej odległości. — Znów odwrócił się do kobiety. — Na pewno czuje się pani dobrze? Mógłbym podwieźć panią do doktora. A co z małą? — Jeszcze raz się uśmiechnął, kompetentny, spokojny, oficjalny. Lata treningu w trudnych warunkach.

— Ty głupi stary przyku. — Potrwało chwilę, zanim te słowa dotarły do świadomości admirała. Odwrócił się wolno, przygarbiony nad swoją kulą, jego policzki poczerwieniały. — Stary, głupi sukinsynu, nie powinni cię w ogóle wpuszczać do samochodu. — Młody mężczyzna stał spokojnie ze skrzyżowanymi na muskularnej piersi rękami i rzucał mu obelgi prosto w twarz. Wszystko nagle wydało się admirałowi jego winą: płacząca kobieta, blada twarzyczka dziecka, pokiereszowany samochód. Wszystko przez niego. Zamrugał oczami i przełknął ślinę.

— Niech pan nie mówi tak do starszego człowieka — kobieta opanowała się i spojrzała teraz nienawistnie na kierowcę audi. Podeszła do admirała próbując załagodzić sytuację. — Nikomu nie stała się żadna krzywda, sam pan powiedział. Wszyscy jesteśmy zdrowi.

— Żadna krzywda, ty głupia krowo, a co, myślisz, że co to jest? — mężczyzna kopnął z wściekłością bezkształtny przód swojego samochodu. — Tobie nic się nie stało w tym cholernym czołgu, ale co powiesz o tym? Nikomu nie stała się żadna krzywda...! — rzucił, naśladując jej głos.

Nie wolno odzywać się w ten sposób do kobiety. Powinienem go powstrzymać, admirał zaczął się denerwować. Ale bał się. Po prostu się bał. Stary wystraszony dureń, nikomu nie potrzebny. Po raz drugi tego dnia łzy napłynęły mu do oczu.

— Niech się pan nie martwi, naprawdę — starała się go pocieszyć kobieta. — Czasami trudno jest dojrzeć kierunkowskaz w jasnym świetle dnia. — Odwróciła się do kierowcy audi, który usiadł na przednim siedzeniu swego samochodu, z nogami na ziemi,

chowając twarz w dłoniach. Potem podniósł oczy i popatrzył na nią załośnie.

— To nowy wóz. Mój własny, nie firmowy — jęczał nie spojrzawszy nawet na admirała. — Powiedz temu staremu, żeby stąd zjeżdżał i zostawił nas samych z całym tym kramem. Jesteś ubezpieczona? — powoli się uspokajał.

Kiwnęła głową, potem wzięła admirała pod rękę. Proszę już wracać do domu. My sobie tu jakoś poradzimy.

— Jakoś sobie poradzimy — powtórzyło za nią dziecko, odzywając się pierwszy raz. — Ale pan musi wracać do domu. Tatuś mówi, że starzy ludzie nie mogą jeździć samochodem.

Admirał odjechał. W uszach dzwoniły mu wciąż ciężkie obelgi skierowane pod jego adresem. Słowa, które sobie przypominał raniły go tym bardziej, że wypowiedziane były z obojętnością, z jaką daje się kopniaka staremu psu, przybłądzie. I jeszcze ta mała: Tatuś mówił, że starzy ludzie nie mogą jeździć samochodem... W oczach tych młodych ludzi on, kontradmirał John Mallett odznaczony orderem i krzyżem zasługi był po prostu jakąś inną formą życia. Jakby wraz z przekroczeniem swojej ósmej dekady jedocześnie wykroczył poza granicę ludzkiej rasy. Czy doprawdy nie zdawali sobie sprawy, że był takim samym człowiekiem, jakimi oni będą za kilka lat? W końcu nie wkroczył w to życie pokracznym, trzęsącym się starcem.

Minał dwóch chłopców na rowerach z przewieszonymi niedbale przez ramię plecakami. Jadący z przodu odwracał się do kolegi, krzyczeli coś do siebie i śmiali się. Ja jestem waszą przyszłością! Spójrzcie na mnie! Miał ochotę za nimi zawołać. Wy jesteście moja przeszłością. Tak już jest.

Skręcił z głównej drogi wiodącej w kierunku Totnes i jechał teraz wąską, boczną szosą do wioski Harbertonford. Nikt nie jechał ani za nim, ani przed nim. Odważył się więc odwrócić spojrzenie i przez chwilę napawać się soczystą zielenią i jasnym złotem okolicznych pól. Wziął spokojnie i z wprawą podwójny zakręt.

— Nie za szybko, Johnnie — usłyszał w pamięci głos sprzed lat. Miękki, trochę przestraszony, trochę zafascynowany głos Lydii, dziewczyny, która potem została matką Henry'ego. Gdy pierwszy raz jechali razem samochodem przyłgnęła do niego jak młody, cienki pęd winorośli. Londyński mieszczuch, ubrała się na wycieczkę

na wieś w bawełnianą, lekką sukienkę i biały kapelusz, który miękko układał się na jej prostych, długich włosach. Kręte drogi hrabstwa Devon sprawiły na niej wrażenie dzikich, przynajmniej tak mu powiedziała.

— Dzikie — uśmiechnął się do niej. — Nigdy tak o nich nie pomyślałem.

Miał wtedy czterdzieści dziewięć lat i był już admirałem. Ona miała dwadzieścia cztery i uwielbiała Beatlesów.

— Pan pewnie był na wojnie? — zapytała na przyjęciu w Londynie, na którym się poznali.

— Której? Światowej, czy w Korei?

— To znaczy, że był pan na obu? — Jej olbrzymie oczy o czarnych, gęstych rzęsach rzuciły mu błękitne spojrzenie. — Ale heca!

Gadała i śmiała się przez całą drogę powrotną do Devenport, a on, cichy jak zawsze, wcale nie był tym znużony. Jej głos był dźwięczny, mówiła z lekką zadyszką, a słowa wyfruwały z jej ust i łaskotały uszy admirała jak nasiona dmuchawca. Pogłaskała czarne włosy na jego nagim przedramieniu dłonią z pomalowanymi na różowo pazurkami. — Uwielbiam twoje ręce. Są takie... pewne i męskie. Chłopcy w moim wieku są wszyscy tacy wiotcy. — Jej szczupłe ramiona uniosły się, gdy westchnęła cicho: — Jesteś bardzo seksowny.

Samochód nagle skręcił w prawo.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu, że jestem z tobą szczerą, prawda? Bo jeśli ktoś czuje coś pozytywnego, co dotyczy drugiej osoby to ma chyba prawo to wyrazić. Nie sądzisz?

Serce biło mu szybciej, a usta powoli unosiły się w uśmiechu. Powiedział: — Tak, myślę, że tak.

Zniecierpliwione trąbienie ciężarówki, która jechała tuż za nim przywołało go do porządku. Rzucił okiem na licznik, którego strzałka wskazywała cyfrę dwadzieścia. Wystawił rękę przez okno, machając, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam, kolego, zaraz sobie z tym poradzę”. Przycisnął nieco pedał gazu. Ciężarówka cały czas jechała tuż za nim. Przyspieszył jeszcze bardziej, taka jazda nie była już żadną przyjemnością, zwłaszcza że w tylnym lusterku wciąż widział kabinę ciężarówki, niemal nad bagażnikiem rovera.

Za następnym zakrętem było skrzyżowanie. Chciał skręcić

wprawo, na główną szosę, żeby jechać już w kierunku Kingsmouth. Powoli robiło się ciemno, zapadał zmierzch. Stanął blisko środka jezdni, żeby lepiej widzieć nadjeżdżające samochody. Widoczność była dość kiepska, gdyż po obu stronach drogi rosły wysokie krzewy.auta na głównej szosie pędziły nieustającym strumieniem. Naprzeciwko jakiś samochód także czekał na przerwę w ruchu. Nie sygnalizował skręcania, a więc chciał jechać prosto. Miał pierwszeństwo. Admirał pochylił się, jak mógł najbardziej w przód, i obserwował sznur ciągnących wozów. W prawo, w lewo, w prawo... jak na meczu tenisowym. Wreszcie nadarzyła się okazja, ale musiał przepuścić najpierw samochód z naprzeciwka. Ciężarówka zatrąbiła. — No, dobrze, już dobrze — mruknął niezadowolony, zaczynał czuć się nieswojo. Samochód przejechał, ale za nim stał następny. A na szosie znów ani śladu jakiegokolwiek przerwy, jakby cała była monstrualnym pasem fabrycznym, wypychającym samochód za samochodem. Kierowca ciężarówki przycisnęła klakson i nie puszczała go. Admirał zerknął nerwowo w lusterko wsteczne, potem znów pochylił się nad kierownicą, wypatrując dogodnej przerwy między autami. Serce mu waliło, oczy przeskakiwały z jednej strony na drugą i jeszcze musiał obserwować sytuację naprzeciwko. W ustach miał słony smak, wargi spierzchnięte. Potrzebował też skorzystać z toalety.

Kierowca ciężarówki przestał wreszcie trąbić. Admirał usiadł na chwilę głębiej w fotelu i odetchnął. Napięcie w ramionach i karku trochę zelżało.

— Nie ma co panikować, staruszkule — powiedział sobie. — Jakoś przecież w końcu przejadę. A ten cham będzie musiał zaczekać.

— Biiip! — zaczęło się znowu, ale teraz odezwało się kilka klaksonów. Chór یشه z piekła rodem. Szok wycisnął mu z oczu łzy. Rozglądając się panicznie wyjechał w końcu na szosę. Kolejny klakson odezwał się z prawej strony. Odwrócił głowę i zobaczył tylko otwarte usta kierowcy nadjeżdżającej furgonetki. To jest to, zdążył pomyśleć. Potem wszystko zlało się w jeden, ogłuszający dźwięk: huk, łoskot, gruchotanie. Następnie zapadła cisza.

ROZDZIAŁ 15

Henry Mallett stał w ogrodzie przed domem w Cherryfield, odwrócony tyłem do tarasu. Stał tak bez ruchu pod drzewem wiśniowym z lekko uniesioną głową. Może rozmawia z Bogiem, pomyślała Amelia zbliżając się cicho. Odwrócił się i zobaczył ją. Uśmiech powoli rozjaśnił mu twarz, zmiękczył jego wyraziste rysy. Musiało kosztować wiele wysiłku, żeby znaleźć tak okropną koszulę, jak ta, pomyślała Amelia przyglądając mu się: turkusowe tło z czarnymi i jasnozielonymi asymetrycznymi wzorami.

Henry wyglądał tak, jakby chciał właśnie pocałować ją w policzek, ale potem widać zmienił zdanie i potrząsnął mocno jej ręką.

— Jak miło cię znów widzieć — Amelia uśmiechnęła się trochę sztucznie, próbując wdziękzyć się w nienaturalny sposób. Ale on zignorował to i powiedział spokojnie: — Słyszałem już o pożarze. Dzięki Bogu, że jesteście obydwie całe i zdrowe.

Amelia zrezygnowała z wdzięczenia się. — Ja tak, ale Selma jest w „umieralni”.

— O tym też słyszałem. Przykro mi. Jak ona to zniosła? — Czekał na odpowiedź, wysunawszy głowę nieco do przodu, jakby nie chciał uronić ani słowa. To zawsze powodowało, że czuła się w obowiązku wynagrodzić tę jego uwagę jakąś nowiną nie z tej ziemi, albo myślą o niespotykanej głębi.

— Żle — odparła.

Pełne oczekiwania milczenie Henry'ego, gdy tak wędrowali

przez trawnik, zdawało się wyciągać z jej głowy myśli, do których nie przyznałaby się nawet przed sobą samą.

— Chciałabym, żeby już nie żyła — spojrzała na niego, trochę w oczekiwaniu na potępiające słowa i wzniesioną rękę miotającą starotestamentowy ogień. Nic takiego nie nastąpiło. Po prostu słuchał dalej, więc ona nadal mówiła.

— Selma jest jedyną osobą, którą naprawdę kocham i która mnie także kocha. A mimo to, życzę jej szybkiej śmierci. Oto, jak bardzo źle to znosi. — Zatrzymała się gwałtownie i usiadła na suchej trawie. — Oczywiście, mogę się mylić — spojrzała na Henry'ego, kiedy siadał obok. Mogła spojrzeć tylko na Aneks i pomyśleć: tak, to z pewnością jest idealne miejsce dla mnie. Ale jakoś, jeśli się spojrzy na nich, skurczonych w swoich wózkach, ze łzami w oczach, z tymi nieszczęsnymi, drgającymi rękami, podobnymi do złośliwych pacynek, wtedy jakoś nie chce się wierzyć, że ktokolwiek z nich może być zadowolony. — Patrzyła na niego wyzywająco. Uśmiechnęła się. Spuściła oczy i zapytała ciszej: — Twój ojciec ma się dobrze?

— Nieźle. Właśnie wyjechał na przejażdżkę samochodem. To dobry znak, jak sądzę. Od kiedy tu jest, jeszcze ani razu nie próbował nawet sam wyjść. — Henry zakończył temat, po czym gładko wrócił do tego, co mówiła przedtem. — A twoja matka. Nie kochasz jej?

Amelia nie odpowiedziała od razu. W zamyśleniu wyrwała garść trawy i rozsypywała sobie na kolanach. — Być może... Tak, myślę, że tak. Ale to jest, jak promienie słońca, które muszą przebić się przez wiele warstw atmosfery. Kiedy w końcu przedostają się na ziemię, są tak słabe i nikłe... Selma była zawsze kimś, kto potrafił zachęcić do życia. A moja matka wręcz przeciwnie, zawsze mu zaprzeczała, przeszkadzała. Obawiam się, że ja sama jestem raczej podobna do niej.

— Biedna ta twoja matka. Musi być strasznie nieszczęśliwa — zamyślił się Henry.

Amelia rzuciła mu chłodne spojrzenie. — Tym razem obiecałam Selmie, że będzie w domu na święta Bożego Narodzenia. — To zabrzmiało, jak wyzwanie pod jego adresem: i co ktoś taki, jak ty, z twoją wiarą i z twoją energią, może zrobić z kimś takim, jak ja, chwiejnym i niezaradnym?

— Jak długo zamierzasz ciągnąć te kłamstwa?

Amelia nie miała już siły walczyć. — Och, Henry, ja po prostu nie wiem. Z tym jest tak, jak ze spłacaniem jednej karty kredytowej przy pomocy następnej. Prędzej czy później kończy się łzami.

— Ale co zamierzasz z tym dalej zrobić? — naciskał Henry.

— Ja nie wiem, co zamierzam z tym zrobić — jęknęła. — Zawsze pytasz: „a co zamierzasz z tym zrobić,” w taki wstrętne energiczny sposób. Ale ja jestem zmęczona — jej głos narastał niemal do pisku. — Jestem zmęczona martwieniem się o Selmę, ciągłym współczuciem dla niej. To nie jest sprawiedliwe. Kończąc wyrwała jednym ruchem płatkę stokrotce, którą od jakiegoś czasu trzymała w ręce i znów popatrzyła na niego. — Czy to nie w Biblii jest powiedziane: „Na wszystko jest właściwy czas”? No to dla mnie przyszedł czas na takie sprawy. Albo przynajmniej na to, żebym miała święty spokój i mogła być normalną, skoncentrowaną na swoich sprawach, trzydziestoparoletnią osobą, oddającą się swojej błyskotliwej karierze. Zamiast tego żal nad Selmą ujeżdża mnie, jak jakaś wiedźma starą szkapę. I za każdym razem, gdy próbuję ją strząsnąć wbija we mnie swoje pazury coraz głębiej.

Henry odchrząknął i Amelia dodała pośpiesznie: — I proszę cię bardzo, nie mów mi nic o czerpaniu przyjemności z pomocy innym ludziom i o radosnym oczekiwaniu absolutnie wspaniałego życia w wieczności. Nie mogłabym tego znieść w tej chwili. Okropnie boli mnie głowa. — Jej twarz, którą uniosła teraz była rzeczywiście blada i w ostrym świetle widać było dokładnie wszystkie piegi, złocistobrazowe na białej skórze.

— To oczywiste, że nie byłeś już dawno w kościele, skoro takie jest twoje wyobrażenie o kazaniu — powiedział Henry sucho, ale wyglądał na zaniepokojonego.

Mogłabym teraz obsypać tę jego miłą twarz pocałunkami, pomyślała Amelia. To na pewno odstraszyłoby go na dobre. Zostawiłby mnie przynajmniej w spokoju.

— Właśnie miałem udzielić ci pewnej konstruktywnej rady.

— Ja tego też nie potrzebuję. Chcę po prostu zostać wreszcie sama i sama radzić sobie ze swoim życiem.

— Raczej pograżać się w marzeniach na temat tego, jak poradzić sobie z własnym życiem. To masz na myśli, prawda? Czekać na to, że Gerald cię poślubi, czekając, aż przyjdą na świat dzieci, które

wreszcie zrobią w życiu te rzeczy, na które ty sama nigdy nie miałaś czasu, energii albo środków.

Amelia nawet nie miała siły wyglądać na obrażoną. — Gerald zostawił mnie dla niezależnej kobiety, robiącej karierę zawodową. W gruncie rzeczy dla takiej, jaką byłam ja sama, zanim wszystkiego nie rzuciłam właśnie dla niego. — I dodała po krótkim namyśle: — Choć byłam ładniejsza.

— Jesteś ładniejsza — sprostował nieoczekiwnie Henry. I po chwili dodał zawstydzony: — W każdym razie to smutne, co mówisz. — Po czym wracając do poprzedniego tonu, ożywionego nutką zapału, ciągnął: — Ale teraz już po wszystkim i powinnaś wykorzystać taką okazję i zrobić ze swoim życiem coś pozytywnego. Odpowiedz na wyzwanie. Zobacz, że ta wiedźma na twoim karku popędza cię i leje, jak dżokej konia. A Cherryfield jest w końcu nie tak odległe i od nas, więc wykorzystaj swoje życie teraz. Weź je za kark, przyciśnij do ziemi i powiedz mu prosto w twarz: to ja tu jestem górą... — Jasnobrazowe oczy Henry'ego zrobiły się okrągłe i intensywnie wypatrywały jej reakcji.

— To jest ta marynarska część kapelana, prawda? — Amelia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Podrapała się w zamyśleniu w kolano; było gorąco i uwierały ją rajstopy. Nigdy nie chodziła z gołymi nogami. Kiedy Gerald zauważył, że jest chyba jedyną kobietą chodzącą w lecie w rajstopach, odpowiedziała: „Takie piegowate nogi o odcieniu błękitnawym po prostu nie są ładne”. Oczywiście pończochy były lżejsze, pomyślała teraz wierząc się w miejscu, ale pas zawsze zsuwał się z jej bioder i kończyło się tym, że wszystkie pończochy po paru godzinach tworzyły przy kostkach malownicze obwarzanki. A pończochy samonośne były z całą pewnością niebezpieczne, skoro zostawiały na skórze takie pręgi, jak opaska uciskowa.

— Co cię tak pochłoneło? — Amelia otrząsnęła się i zobaczyła, że Henry przygląda się jej.

Rozprostowała spódnicę i uśmiechnęła się przyłapaną na bujaniu w obłokach. — Uwierzyłybyś, jeśli ci powiem, że pończochy i pasy do pończoch?

Roześmiał się. — Ponieważ dotyczy to ciebie, to owszem, uwierzyłbym.

— Wiesz, mam jednak pewne plany — spoważniała mówiąc te

słowa. — Chciałabym otworzyć kafejkę. Taką staromodną, w stylu kontynentalnym. Gdzie stare matrony mogłyby odetchnąć po męczącym dniu szukania w sklepach plastrów na odciski i igieł do cerowania. Gdzie mogłyby z ulgą odstawić swoje kosze z zakupami i zamówić tuczące ciastka. Wyobrażam je sobie w kapeluszach... — dodała — bo widzisz, myślę, że to istotne, taki kapelusz. Trzeba sprawować kontrolę nad swoim życiem, żeby nosić regularnie kapelusz. — Spojrzała na Henry'ego z uśmiechem. — Nie sądzę, żebyś miał na myśli podobne sprawy, kiedy pytałeś o to, co zamierzam zrobić w życiu...

Henry wyglądał na trochę zakłopotanego. Z rozbawieniem zauważyła, że usiłuje nie patrzeć na jej nogi.

— A co z twoim dziennikarstwem? — zapytał.

Wzruszyła ramionami. — Nie powinnam była nigdy przestać pisać. Nie jest tak łatwo ponownie się w to wciągnąć, zwłaszcza w obecnym czasie. Dostać miejsce w jakimś dzienniku albo magazynie to marzenie. Oczywiście mogłabym spróbować w jakichś lokalnych pismach, ale to byłby krok do tyłu. — Chcąc zrobić na nim choćby małe wrażenie dodała: — A jeszcze odnośnie kafejki; chciałabym organizować tam wieczory poetyckie i różne tego typu imprezy oraz urządzić mały antykwariat z książkami. Chciałabym, żeby ludzie mogli je przeglądać, kiedy będą jeść albo popijać herbatę.

W czasie gdy mówiła Henry cały czas patrzył na nią z zainteresowaniem. Przerwała na chwilę, jak zwykle trochę zbита z tropu, gdy zauważała, że ktoś jej naprawdę słucha. — Nie sądzę w gruncie rzeczy, żeby moje matrony kupowały jakieś książki. One wolą biblioteki i wypożyczalnie. Ale młodszy ludzie, wiesz, tacy, którzy uważają, że starsze panie i stare rzeczy są modne...

Zamilkła patrząc na ogród. Był dopiero lipiec, ale lekka, wieczorna mgiełka przyptywająca znad morza należała już do jesieni. Amelia lubiła jesień. Nie było wreszcie tych gorących dni, wymagających większej, niż zwykle aktywności.

— Dlaczego nie otworzysz swojej kafejki gdzieś w tym rejonie? — zapytał Henry. — Byłabyś blisko matki i babci. I mnie.

— Może — uśmiechnęła się do niego. — Lubię Londyn, ale nie czułam się dobrze mieszkając tam. Chyba wolę małe, przytulne miasteczka.

— Więc do roboty. Pojeżdż do paru biur wynajmu lokali w mieście i zorientuj się, czym dysponują.

Jestem taką oportunistką, pomyślała słuchając go Amelia, że mogę nawet być całkiem stanowcza, jeśli ktoś mi to tylko wyperswaduje. Spojrzała mu w oczy. — OK. Zrobię to. Sprawdzę co się dzieje u Selmy, a potem pojadę do miasta. — Wstała i strzepnęła ze spódnicy żdźbła trawy.

Henry również wstał. — Zastanawiam się, dokąd pojechał mój ojciec. — Spojrzył na zegarek i zmarszczył brwi. — Powinien być już z powrotem.

Podczas gdy Amelia włóczyła się po portowych uliczkach od jednej agencji lokalowej do drugiej w czasie gdy pokazywano jej domy z frontowymi wystawami sklepowymi, objaśniano korzyści płynące z wynajmu lokalu z zezwoleniem na hodowlę dwudziestu pięciu psów, kuszono malowniczymi domkami z pocztą w przyziemiu, Henry Mallett został poinformowany o śmierci swego ojca.

Policjantka przyjechała bezpośrednio z miejsca katastrofy do Cherryfield, żeby zawiadomić o wypadku siostrę Morris. — Powiedziano mi, że mogę znaleźć tu jego syna, pastora Malletta — powiedziała.

W ogrodzie mgła nieco opadła i trawnik zalany był teraz promieniami zachodzącego słońca.

— Czy umarł natychmiast? — zapytał Henry zginając się wół, jakby miał ochotę zwymiotować.

Wszyscy o to pytają, pomyślała policjantka. — Nie, nie natychmiast — powiedziała miękko dodając od razu to, co wiedziała, że chciał usłyszeć — ale nie cierpiał. Zmarł w karetce. Powiedziano mi, że stoczył prawdziwą walkę. Ale nie cierpiał. Jest teraz w szpitalu, jeśli chce pan go zobaczyć.

— Nie sędzę, żeby walczył o życie — odrzekł Henry przeciągając ręką po włosach. — On raczej walczył o śmierć.

Policjantka nie spodziewała się usłyszeć czegoś takiego od księdza. Z cienia pod drzewem wiśniowym dało się słyszeć chrząknięcie. To była siostra Morris. — Dlaczego pan tak sądzi, panie Mallett? Admirał był tu, wie pan, całkiem szczęśliwy.

— O tak, na pewno był — policjantka dodała cicho i łagodnie,

szykując się do odejścia. Pomyślała, że ksiądz Mallett miał dziwne dzikie spojrzenie, kiedy podniósł się, żeby ruszyć za nią. — Jestem całkiem pewna, że nie cierpiał — powtórzyła.

To, że śmierć ta nastąpiła tak nieoczekiwanie spowodowało, iż Amelia wybuchła płaczem, gdy dowiedziała się o wypadku admirała. Wróciła z miasta z plikiem przeróżnych broszur i nieprzeparłą chęcią, żeby pokazać je Henry'emu. Selma jeszcze spała, a świetlica pełna rezydentów była gniazdem narastającego zdenerwowania i coraz głośniejszych komentarzy. Admirał miał zawał. Został przejechany przez ciężarówkę. Zderzył się z traktorem.

Jedyną pewną osobą była panna White, przekonana o tym, że „to było KGB”. Potrząsając głową mówiła: — Ten facet musiał znać parę odpowiedzi na różne pytania.

Wkrótce przysłała siostra Morris i wyjaśniła, co się stało.

Panna White kiwała głową z pobłażliwością. — Tak, tak, kochanie. Można ich zawsze poznać po tym, że pozorują wypadek, kiedy mają do załatwienia swoje brudne sprawy — pokiwała głową w zamyśleniu. — Można by przypuszczać, że w naszych czasach wymyślą coś nowego.

— Rosjanie już nie są naszymi wrogami, panno White — starszy człowiek na wózku obok sprostował łagodnie.

— Są może pana przyjaciółmi, panie Ambrose — wysapała urażona. — Ale z pewnością nie moimi.

Amelia wymknęła się na świeże powietrze.

Z hotelu zadzwoniła do bazy marynarki w Devenport prosząc do telefonu Henry'ego. Czekając, aż podejdzie ćwiczyła sobie różne przydatne w takich okazjach słowa pocieszenia i współczucia. Jestem z tobą w tym trudnym czasie, nie, zbyt oficjalne. To musiało się stać i dobrze, że stało się w taki sposób, to z kolei zbyt okrutne. A może: jeśli mogę ci w czymkolwiek pomóc... nie, zbyt ironiczne. Potem, zanim zdążyła się powstrzymać, najgorsza myśl zerwała się z uwięzi w głębi jej duszy i wyłoniła się, jak nocna mara na światło dzienne. Jesteś wolny, Henry. Jesteś wolny. Drgnęła i zacerwieniła się; przełożyła słuchawkę z jednej ręki do drugiej. W końcu odezwał się głos dyżurnego, informujący że Henry'ego nie ma w bazie.

Zadzwoiła do Dagmary, ale z miejsca jakaś nutka w głosie matki, coś, co brzmiało jak lukrowane uprzejmością zniecierpliwienie, powstrzymało ją od zwierzeń. W jednej sekundzie poczuła się, jak wtedy, kiedy była małą dziewczynką i wszystko co mówiła, albo czego chciała było zawsze nie w odpowiedniej chwili, albo nie było na to dosyć czasu. Jej chęć opowiedzenia wszystkiego została zastąpiona ponurym pragnieniem przemilczenia, więc w końcu powiedziała tylko: — Jesteśmy z powrotem.

— Alan i ja planujemy przyjechać jutro z wizytą — zaszczebiotała Dagmara. — Przywieziemy szczeniaka. Mówiłam ci już, że kupiłam pieska? Alan uwielbia psy.

Po kolacji Amelia wybrała się na spacer. Dalej od portu małe uliczki były puste, księżyc w pełni świecił bardzo jasno na granatowym niebie, a wieczorny wiatr od morza był ciepły, jak bryza śródziemnomorska. Trochę zadyszana stanęła w końcu na szczycie wzniesienia i popatrzyła w stronę Ashcombe. W salonie było zapalone światło, ale po chwili zasunięto zasłony.

W domu dzieciństwa Selmy na obchody żydowskiego nowego roku, unoszono kieliszki w toaście Diaspory: „Następny rok w Jeruzalem!” Teraz Ashcombe stało się Jeruzalem Selmy. Przyniosło jej wszystko, czego w życiu pragnęła: męża, dzieci, spokojne, pełne kwiatów pokoje, salon z dużym fortepianem i oknami wychodzącymi na morze.

W Cherryfield była siostra Morris i panna White; pożywne szprotki na podwieczorek, muzyka z telewizora i widok na aleję z ozdobnymi drzewami wiśniowymi. Selma nigdy nie lubiła ozdobnych wiśni. — Następny rok w Jeruzalem — zanuciła pod nosem Amelia, odwróciła się i poszła z powrotem do hotelu. I jak, na Boga, mam tego dokonać?

Była druga nad ranem, kiedy obudziło ją pukanie do drzwi. Początkowo hałas wydawał się pochodzić z jej snu, w którym pchała Selmę na sklepowym wózku na zakupy po ulicach jakiegoś miasteczka, pełnego domów o frontonach ze szkła. Ale Selma wciąż potrząsała głową i powtarzała: „Nie, kochanie, to też nie jest

Jeruzalem". Amelia pukała w jeszcze jedne drzwi, głośniej i głośniej aż wreszcie się obudziła. Przeturlała się przez szerokie łóżko i jeszcze na pół przytomna postawiła stopy na podłodze. Potem podeszła zaspana do drzwi i zapytała: — Kto tam?

— Nocny portier, panno Lindsay. Przepraszam, że niepokoję panią o takiej porze, ale na dole czeka na panią ksiądz. Nie chce sobie pójść. Mówi, że nazywa się Mallett.

Amelia otworzyła drzwi. — Proszę go tu przysłać, dobrze?

Nocny portier najwidoczniej był wyrwany z równie mocego snu, co Amelia. Jego rzadkie, jasne włosy tworzyły śmieszne koguty, a oczy miał zaczerwienione i zaspane. Teraz otworzył je szeroko konotując króciutką koszulę nocną Amelii i jej długie, nagie nogi. — Tutaj, proszę pani?

— To jest kapelan. Kapelan potrzebujący pocieszenia.

— Sądziłem, że to oni powinni pocieszać innych — mruknął portier.

— No cóż, ten akurat działa na dwie strony. — Zniecierpliwiona zrobiła krok na zewnątrz.

— Już go wołam — odpowiedział szybko, najwidoczniej postanawiając, że jego szef również wolałby, żeby zamknąć grzech w czterech ścianach, a nie wypuszczać go na hotelowe korytarze.

Amelia stała w otwartych drzwiach słuchając przytłumionych głosów na dole. Potem szybkie kroki zadudniły po drewnianych schodach.

— Amelio, tak cię przepraszam. — Henry niemal wpadł w jej objęcia. Cofnęła się do pokoju trzymając go cały czas w ramionach. Płakał, czuła to. Powoli podniosła rękę i pogłaskała jego włosy, kark i ramiona, mamrocąc cicho kojące słowa pocieszenia. Czuła, jak drżał. Właśnie, kiedy doszła do wniosku, że jej kręgosłup już dłużej nie wytrzyma takiego ciężaru, Henry uwolnił ją z uścisku.

— Przepraszam — powtórzył i rzucił się na różowy fotel przy oknie.

— Cieszę się, że przyszedłeś. Próbowалам się do ciebie dozwonić cały wieczór.

— Wiem. Dziękuję. — Nie patrzył na nią. — Jest mu lepiej tam, gdzie jest teraz. Żal po zmarłych jest taki egoistyczny. — Zaszlochał próbując zagłuszyć szloch kasłaniem.

Amelia uklękła przy fotelu i wzięła jego rękę. — Nie ma w tym

nic złego — szepnęła. — Jesteś tylko księdzem, nie świętym. Kochałeś go.

Henry spojrział na nią uśmiechając się przez łyzy. — Byliśmy zawsze razem. On i ja. No i Winter oczywiście. Moja matka zmarła, kiedy miałem rok. Nawet jej nie znałem.

— Nie pamiętam prawie w ogóle mojego ojca. Tylko tyle, że miał jasnoniebieskie oczy i okazywał kompletny brak zainteresowania swoją córką. Matka mówiła „iryjskie oczy” i to wszystko co od niej słyszałam o ojcu. — Amelia zamilkła rozważając w duchu, czy tak błaha gadanina była czymś potrzebnym.

Henry uspokoił się trochę, gdy siedział przypatrując jej się uważnie. Wciśnięty w nieduży, obity różowym materiałem fotelik przypomniał jej boksera Willoughby'ego, który przez wiele lat żywił beznadziejne ambicje wpassowania się w małą, obitą jedwabiem poduszeczkę, należącą do syjamskiego kota Selmy. — Kto to był Winter? — zapytała łagodnie.

— Winter... — znów ten lekki uśmiech. — To był młodszy oficer i steward mojego ojca. Kiedy przeszedł w stan spoczynku, został i pracował dla nas. Pomagał ojcu mnie wychowywać, dopóki nie poszedłem do szkoły. Wtedy odszedł i zaczął prowadzić pub w Modbury. Ale wciąż byliśmy jak rodzina. Umarł pięć lat temu. Kochałem go.

Amelia westchnęła. — Nieraz wydaje się, że jest taki czas, kiedy w życiu jest więcej śmierci niż życia...

Henry zaśmiał się smutno. — On przynajmniej umarł jako szczęśliwy człowiek. Doktor powiedział mu, że powinien skończyć z piwem, a przynajmniej przetrzymać się na niskoprocentowe. Zmarł nagle od pęknięcia pęcherza w trakcie popijania ulubionego mocnego trunku. — Henry roześmiał się znowu, tym razem głośno i trwało to tak długo, że Amelia zaczęła się już martwić. A potem rozpłakał się nieoczekiwanie. Urywany szloch, hamowany wstydem potrząsał jego mocnymi ramionami.

— Już za nim tęsknię... bardzo. Widzisz, nigdy nie opłakiwałem mojej matki. Byłem za mały. Pewnie, że tęskniłem za wyobrażeniem, za ideą matki. Za tą jakąś miękkością i ciepłem... — Spojrzął na Amelię rozszerzonymi oczami. — Tym, co inne dzieci miały i traktowały jak naturalną rzecz. Ale strata ojca... To jest trochę tak, jakbyś spędziła całe życie w przytulnym pokoju, a teraz ściany

zawalają się i nagle stoisz całkiem sama, bezbronna i wystawiona na twardość i bezlitosność otaczającego cię świata.

Chwytał rękę Amelii. — Mam tylko nadzieję, że się nie bał. On był najodważniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałem. Jak pomyślę o nim przestraszonym i samotnym...

Chce go po prostu mieć z powrotem, pomyślała Amelia. Jak w ogóle można mieć nadzieję, że pocieszy się kogokolwiek po śmierci bliskiej osoby, skoro jedynym człowiekiem zdolnym to uczynić jest tylko ten, który odszedł. Nagle przyszło jej na myśl pewne zdanie, które kiedyś usłyszała od Selmy.

— Porzuć smutek, że nie ma go już wśród żywych, ale z wdzięcznością wspominaj, że był — szepnęła bardziej do siebie, niż do pochylonego nad nią płaczącego mężczyzny.

Henry uśmiechnął się, a ona usiadła wygodniej na podłodze opierając się ramieniem o jego kolana. — Opowiedz mi o swoim ojcu. — Zawsze wydawało jej się dziwne, dlaczego wokół kogoś, kto stracił bliską osobę tworzyła się jakaś konspiracja ciszy. Jakby wszyscy przyjaciele bezradni pod skorupą wstydu i skrępowania próbowali zabić najmniejsze wspomnienie o zmarłym, zapomnieć o tym, że był.

Rozmawiali o admirałach jeszcze długo, aż w pewnej chwili Amelia wstała i wyciągnęła rękę do Henry'ego. — Chodźmy do łóżka. — W tej samej chwili, gdy wypowiedziała te słowa, pożałowała tego. Niesmaczne, tak, po prostu było to niesmaczne. Poczowała gorąco na twarzy, kiedy Henry odchylił się w fotelu i spojrzał na nią. Jak dziecko, zawstydzone swoimi psotami powiedziała szybko: — Nie... nie chciałam tego naprawdę powiedzieć.

— A szkoda — uśmiechnął się i pociągnął ją na swoje kolana. — Chociaż musiałbym i tak powiedzieć: nie. Nie jestem przecież kapłanem dla ładnego stroju. — Podniósł do ust jej rękę i pocałował delikatnie. — Ale to było bardzo miłe, dziękuję.

Była piąta nad ranem, kiedy Henry wyszedł. Amelia stała w oknie i przyglądała się, jak szedł w kierunku parkingu, a w dali, zza morza wolno wstawało słońce.

ROZDZIAŁ 16

Pani Merryman spała bardzo dobrze całą noc — poinformowała Amelię siostra Williams, kiedy późnym rankiem otworzyła jej drzwi w Cherryfield. — Nalegała, żeby poczekać na panią w świetlicy. Naprawdę, uważamy, że byłoby bardziej wskazane, gdyby leżała w swoim pokoju, ale sama pani wie, że pani babcia potrafi być całkiem stanowcza, jeśli czegoś chce.

— Wiem — odparła Amelia. — Prawda, że to znakomicie, że przynajmniej wie, czego chce?

Obok nich przeszła siostra Morris z towarzyszącą jej parą w średnim wieku. — A to jest nasza świetlica. — Na chwilę zapadła cisza. — Oczywiście w normalnym trybie realizujemy listę oczekujących, ale w związku z tym, że zwolnił się pokój numer dwa... — Zniknęli za zakrętem schodów na pierwsze piętro.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek i w drzwiach ukazała się Dagmara. U jej boku stał wysoki, przystojny mężczyzna trzymający na smyczy czarnego szczeniaka, który wyglądał na labradora.

— Kochanie — usta matki musnęły policzek Amelii. Jej szczęśliwy uśmiech zdawał się promieniować i wypełniać cały hall. — A to jest Alan. — Jej oczy biegały pomiędzy nim i córką, a z ust płynęły potoczyste zdania. Alan wszedł do środka potykając się o smycz owiniętą dookoła nóg.

— Wczoraj zmarł admirał Mallett — szepnęła Amelia, kiedy

szli wszyscy w kierunku świetlicy. — Babcia może być nieźle zdenerwowana.

— Będzie płacz i zgrzytanie protez zębowych — powiedziała Dagmara i roześmiała się głośno. Potem nagle urwała. — Przeczajam, kochanie. To był taki miły staruszek. To dlatego, że wszystko to jest takie okropne. — Jej głos w miarę mówienia robił się natarczywie głośny i piskliwy. Amelia zesztyniała i zerknęła na Alana. Nie mogła znieść, jak matka robiła z siebie idiotkę.

— A wyglądał tak dobrze, zawsze tak uważałam — ciągnęła Dagmara już normalnym tonem. — He właściwie miał lat?

Kiedy umiera ktoś stary, nikt nie pyta, jak to się stało, zastanowiła się Amelia. Jakby uważało się, że to normalne, prawidłowe, zgodne z zasadami.

— Był trochę zbyt brawurowym kierowcą. Miał wypadek — powiedziała mając nadzieję, że on tak właśnie chciałby to widzieć.

— To był wasz bliski przyjaciel? — Alan stanął przed drzwiami przepuszczając najpierw panie. Miał miły głos, spokojny i z miękkim, amerykańskim akcentem.

— Lubiliśmy się, a poza tym dość dobrze znam jego syna. — Amelia podniosła rękę i zamachała do Selmy, która siedział przygarbiona w fotelu przy telewizorze. Fotel obok akwarium był pusty. Smutny syn i puste miejsce przy akwarium, czy to jedyne ślady, który zostawił po sobie na ziemi? pomyślała Amelia wzdragając się.

Selma patrzyła obojętnie jak do niej podchodzili. Jej starannie zabandażowane nogi leżały wyprostowane na małym stołeczku. Miała na sobie bezkształtną, żółtą sukienkę, która podkreślała jeszcze szarość jej skóry. Dopiero, kiedy Dagmara pochyliła się, żeby ją pocałować, uśmiechnęła się zaskoczona. — Cześć, kochanie — złapała ją za rękę. — Wiesz, zupełnie cię nie poznałam, jak szłaś tutaj. Zmieniłaś uczesanie?

Dagmara od dwudziestu lat upinała włosy w taki sam, gładki kok. — Nie, mamusiu. — Prostując się zerknęła na Alana. — Mamusiu, to jest profesor Blake. Prosił mnie, żebym ci go przedstawiła — oznajmiła z dumnym uśmiechem.

Amelia pomyślała złośliwie, że równie dobrze zamiast to mówić, mogła wyciągnąć ramiona obwieszając: oto następna sztuczka, bez ubezpieczającej siatki, przedstawię państwu moją matkę.

Alan wyciągnął rękę. — To wielka przyjemność poznać panią. — Selma nieufnie podała mu dłoń, przyglądając się raczej chłodno. Nigdy nie lubiła zbytniego akcentowania dobrych manier.

Szczeniak do tej pory zaabsorbowany lizaniem sobie podbrzusza, podniósł mordkę i nastawił uszy. Skoczył na Dagmarę, po czym nie uzyskawszy należytego zainteresowania usiadł u jej nóg i zaczął z taką samą pasją oblizywać jej łydki w gładkich, lśniących pończochach.

Alan zaproponował Dagmarze krzesło, ale ona stwierdziła, że właśnie wychodzi rozprostować trochę nogi po podróży.

Z grzecznym: — Czy mogę? — Alan sam usiadł obok Selmy. — Słodki mały psiak, nieprawdaż? — wskazał na szczeniaka. — Wie pani, nigdy nie spodziewałem się odkryć w pani córce takiej zwolenniczki wsi. Oczywiście, od dawna uwielbiałem zwierzęta, naturę, ten zdrowy brud pod palcami, tego rodzaju rzeczy. A teraz nagle zjawia się Dagmara i mówi, że to dla niej wymarzone życie. — Wyjął z kieszeni fajkę i założył nogę na nogę. — Oczywiście, dla jej matki to zapewne żadne zaskoczenie.

Selma otworzyła już usta, gotowa coś powiedzieć, ale Dagmara była pierwsza. — Już wystarczy tego — mówiła z zaciśniętymi zębami, wykonując skomplikowany taniec nóg, żeby uniknąć różowego języczka psiaka.

— Simon, ty szelmo... już wystarczy, Simon! słyszysz? Powiedziałam dosyć! — Rzuciła spojrzenie w stronę Alana, upewniając się, że nie patrzy na nią i lekko kopnęła pieska czubkiem pantofla. — Zabierz go ode mnie, Amelio, dobrze? — syknęła do ucha córki. — Widziałaś, gdzie on się przed chwilą lizał? Po całym swoim, wiesz czym...

Amelia przykucnęła na dywanie i rozłożyła ręce. Simon, wniebożnięty, z merdającym energicznie ogonkiem rzucił się w jej stronę.

— Dlaczego nie usiądziesz, moja droga? — powiolił pytanie Alan.

Dagmara uśmiechnęła się nerwowo, pospiesznie wyciągnęła z kieszeni chusteczkę, rzuciła ją na siedzenie i w końcu przycupnęła na samym brzegu fotela.

Pochylając się w stronę Amelii, szepnęła: — Szczeniaki są zawsze zarobaczone. Można je odrobaczać co tydzień i nie wiem jak pilnować... — po czym zapominając ściszyć głos dodała: —

I jak mogę miło spędzić ten dzień w takich zaślinionych pończochach?

Alan odwrócił się i spojrzał na nią unosząc jedną ze swoich krzaczastych brwi.

— Nie masz na nogach żadnych robaków. — Amelia nie chciała, żeby jej głos zabrzmiał tak ostro, jak zabrzmiał.

— Ciii — Dagmara nerwowo spojrzała na Alana, pogrążonego, na szczęście, w rozmowie z Selmą. — No wiesz — dokończyła półgłosem — to ich jajeczka są niebezpieczne. Nie można ich dojrzeć gołym okiem, a mogą dostać się praktycznie wszędzie. I nawet najsilniejszy środek dezynfekujący nie może ich zniszczyć. — To zabrzmiało niemal tak, pomyślała Amelia, jakby reklamowała te małe potworki.

Pochyliła się i szepnęła do ucha matki: — Nie wiem jak powiedzieć Selmie o admirałce. Wygląda na to, że jeszcze nic nie wie.

— Tak sądzisz? — Dagmara wyciągnęła przed siebie prawą nogę, wyginając stopę i przyglądając się jej uważnie. — Czy wiesz, że jeśli dziecko połknie takie jajeczka to może nawet stracić wzrok?

— Nie sądzę, żeby jakiś mały, słodki dzieciaczek mógł nagle spaść z nieba i zacząć lizać twoje nogi. Nie tutaj, nie w Cherryfield. — Zgorszona małodusznością matki i jej niepoprawnym egoizmem, Amelia podniosła się i nie zważając na jej zranione spojrzenie przesunęła krzesło, siadając bliżej Selmy.

Alan właśnie mówił, że on również przepada za Jane Austen i kiedy zapadła cisza, a wszyscy czekali na odpowiedź Selmy, Amelia postanowiła zmienić temat.

— Co nowego słyszać? Wszystko ostatnio w porządku? — starała się, żeby jej głos brzmiał niefrasobliwie, ale jednocześnie pilnie przypatrywała się babci. Była świadoma, że siedząca nieopodal panna White przysłuchuje się ich rozmowie z pełnym oczekiwania uśmiechem na ustach i tylko czeka na dobrą okazję, żeby wtrącić swoje trzy grosze. Zwiększyła jej szanse ze zrećznością wytrawnego spiskowca.

— Słyszę po akcencie, że jest pan jednym z naszych amerykańskich kuzynów. — Panna White nie zmarnowała okazji. Wychyliła się tak daleko w stronę Alana, iż Amelia przestraszyła się, że zaraz spadnie ze swojego fotela. Alan odwrócił się z uprzejmym uśmiechem, a Selma aż zatrzęsała się z wściekłości i nie przedstawiła ich sobie.

— Na pewno się pan ze mną zgodzi, to niemalże pewne, że to robota KGB?

— Przepraszam, słucham? — Alan skonfudowany odwrócił się do Dagmary w oczekiwaniu na wyjaśnienie. Ale daremnie. Jej nieobecny wzrok, tak intrygujący dla tych, którzy jej nie znali błądził gdzieś w oddali. Amelia wiedziała, co się za nim kryje: ona po prostu zastanawiała się intensywnie, jak pozbyć się pończoch nie zwracając na siebie uwagi.

— Admirał Mallett — głos panny White brzmiał niecierpliwie.

Amelia wyprostowała się na krześle, gotowa w każdej chwili pośpieszyć z pomocą i pocieszeniem babci.

— Podobno mają go pochować jutro rano. Mówią, że trzeba szybko takich chować, żeby powstrzymać ludzkie języki.

Nie udało im się w twoim wypadku, ty stara zrzędo. Amelia rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie i odwróciła się do Selmy ze słowami pociechy na ustach, ale zobaczyła, że wyraz obojętności na jej twarzy nie uległ najmniejszej zmianie. Jeszcze do niej nie dotarło, domyśliła się. Wzięła rękę babci i przygotowując słowa wyjaśnienia czuła, jak trzepece w jej dłoni niby przestraszone zwierzątko.

— Chciałam ci to powiedzieć już wczoraj, ale spałaś, jak przysłałam. — mówiła miękko. — Admirał miał wypadek samochodowy. Mówią, że nie...

— Wiem, wiem. — przerwała jej Selma. — Biedny, kochany staruszek. To okropna szkoda. Wszyscy będą za nim tęsknić — wypowiedziała te słowa gładko i następne zdanie skierowała do Alana, chcąc najwyraźniej uciąć jego konwersację z panną White. — No oczywiście, jej zakończenia zawsze mnie trochę rozczarowują.

Amelia wypuściła rękę Selmy i patrzyła na nią z otwartymi ustami.

— Zamknij buzię, kochanie — niepotrzebnie wtrąciła Dagmara, jedną nogą odpychając Simona. Rozczarowany piesek położył się na dywanie i dysząc przypatrywał się jej z uwielbieniem.

Amelia wciąż przyglądała się babci. Czy to kolejna demonstracja chłodnego opanowania i wyniosłości człowieka z pokolenia, które przeżyło wojnę, czy też po prostu starcze zobojętnienie, brak współczucia i jakichkolwiek emocji wywołane starczym otępieniem? Może Selma nie okazywała swojego żalu po utracie Willoughby'ego nie dlatego, że była dzielna, ale dlatego, że właściwie go nie czuła?

Czy wiek stępsiał ludzkie uczucia, jak morskie fale, które wyrzucają na brzeg okrągłe i wygładzone kawałki szkła, niezdolne już nikogo naprawdę zranić?

Selma wkładała dużo wysiłku, żeby zignorować pannę White i za każdym razem kiedy ta się odzywała, wyginała usta w lekceważącym uśmiechu.

Może i mnie już nie kochasz, pomyślała Amelia, pociągnęła nosem i łzy zakręciły jej się w oczach. Moja babciu, kim teraz jesteś?

— Mój Boże, on śmierdzi! — Dagmara zerwała się z krzesła wskazując na Simona, który właśnie postanowił położyć wygodnie swoje tłuściutki ciało na jej bucie. Teraz patrzył na nią wyczekująco, koniuszek ogona ruszał się nieśmiało po podłodze, jak wąż wypatrujący ofiarę. Dwie starszuszki przestały rzucać sobie wrogie lub wyniosłe spojrzenia i obie przeniosły zdziwiony wzrok na Dagmarę. W pokoju zrobiło się cicho, a jej policzki zaczęły powoli różowieć z emogi.

— Co się dzieje, moja droga? — zapytał chłodnym głosem Alan.

Amelia nie czuła najmniejszego zapachu, ale pośpiesznie wtrąciła: — Tak, rzeczywiście, odrobinę. — Dagmara była prawdziwym nałogowcem. Ale to nie narkotyki ani alkohol ją zniewalały, lecz strach. Amelia w gruncie rzeczy była do niej podobna, dziecko nałogowca. Matka mogła doprowadzać ją do białej gorączki, drażnić bardziej, niż torba pełna mrówek faraonek wypuszczonych na gołe ciało, ale nic nie było w stanie zniszczyć jej lojalności. Jej rola polegała na tym, żeby nie dopuścić do sytuacji, w której inni musieliby podzielić jej uczucia. — To dolatuje chwilami — dodała dla zrównoważenia sytuacji.

Alan pochylił się i zawołał Simona. — No co, kolego, mówi się tu o tobie, że nie za ładnie pachniesz. — Powąchał kark pieska, który uniósł pysk i zawarczał na niego pokazując czarne dziąsła i rząd białych zębów. Alan przeciągnął dłońią pod jego obrozą i powąchał palce. — Sądzę, że zafundował sobie małe tarzanie. Pewnie, jak wybiegł bez smyczy z samochodu — zwrócił się do Dagmary, a potem jeszcze raz zagadał do szczeniaka: — Ty, mały, pójdziesz pod prysznic, jak wrócimy do domu.

— Samochodem? — Dagmara jęknęła płaczkliwie.

— No cóż, chyba nie wyobrażasz sobie, że taki szczeniak pobiegnie za samochodem do Exeter? — Alan roześmiał się dobrotliwie.

— Na pewno jest tu jakiś kran na zewnątrz — Selma wyszła z niespodziewaną inicjatywą. — Dlaczego nie umyć go tutaj? — Amelia i Dagmara obydwie spojrzały na nią zaskoczone sensownością tej propozycji.

Alan zaczął: — Och, to nic takiego, możemy przecież...

— Zrobię to od razu. — Dagmara już była gotowa do wyjścia. Uśmiechała się trochę zbyt radośnie. Wzięła smycz z ręki Alana i lekko szarpnęła. — Choć, Simon, kochanie. — Jej głos był tak napięty, zauważyła Amelia, że można by z niego strzelać, jak z łuku.

Ale Simon siedział bez ruchu.

— On wcale nie chce — skonstatowała panna White.

— Och, zamknij się wreszcie — zdenerwowała się Selma.

— Pani Merryman, naprawdę! — Panna White rozejrzała się wokół, jakby chciała powiedzieć, proszę bardzo, a nie mówiłam, jaka to nieznośna osoba?

— Dagmaro, na miłość boską, czy nie możemy go zostawić na chwilę? Denerwujemy tylko całe towarzystwo. — Alan patrzył surowo spod grubych brwi.

Dagmara starała się nie zwracać uwagi na te słowa, choć widać było, że wolałaby nie być do tego zmuszona. — No chodź Simon, wychodzimy. — Szarpnęła smycz z całej siły tak, że szczeniak wciąż siedząc na pupie pojechał kilkadziesiąt centymetrów po błyszczącej podłodze; obroża podjechał mu wysoko pod same uszy fałdując śmiesznie jego luźną skórę na tłusciutkim karku. Potem nagle wstał i pobiegł wesoło, jakby przez cały czas właśnie na to miał ochotę.

— Ale charakterek — cmoknęła panna White.

Wiek zrobił z ciebie starą jędzę, Amelia zacisnęła zęby nie patrząc na ubawioną staruszkę.

Siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, które przerwała pielęgnarka popychając na wózku panią Ambrose, damę w średnim wieku. Przyjechała spotkać się ze swoim mężem, który z dala od ich grupy siedział przez cały czas cicho, jakby zlał się ze swoim fotelem.

Amelia podniosła się. — Pójdę pomóc mamie z Simonem.

— Stój spokojnie; spokój mówię! — Dagmara stała z szeroko rozstawionymi nogami ściskając w jednej ręce wąż do podlewania ogrodu, w drugiej smycz Simona. Piesek szarpał się we wszystkie

strony próbując uniknąć ostrego strumienia zimnej wody. Białka jego oczu były wyraźnie widoczne, jakby wytrzeszczał oczy, choć ogon próbował merdać.

— Jeśli ruszysz się jeszcze raz...

Z piskiem przerażenia szczeniak szarpnął się ponownie i schował za nogami Dagmary. — Och, wynoś się, wynoś się, ty mały sukinsynu, słyszysz?—Dagmara złapała końcówkę smyczy i zaczęła smagać jego pulchny grzbiet. Simon zawył piskliwie i wyrwał się razem ze smyczą, jak czarna błyskawica przelatując obok Amelii.

Dagmara z czerwoną twarzą, dysząca i rozczochrana ruszyła za nim, ale nagle stanęła, jak wryta: zamiast szczeniaka zobaczyła Alana, który przyglądał się całej scenie z drzwi tarasu. — Złaś takiego małego psiaka — powiedział tylko i odwrócił się, żeby pobiec za Simonem.

ROZDZIAŁ 17

Dla dziecka nieobliczalność neurotycznego rodzica była czystym horrorem. Nawet teraz, w wieku trzydziestu jeden lat Amelia trzęsła się cała prowadząc szlochającą matkę do łazienki. Kiedy siedziała na brzegu wanny patrząc, jak Dagmara wyciera twarz ze smug rozmazanego makijażu, wciąż czuła serce w gardle i skurcz w żołądku.

Przykładając brzeg grubego ręcznika do cienkiej jak papier skóry pod oczami Dagmara odwróciła swoją wciąż pokrytą smugami twarz do córki. — Naprawdę nie chciałam go uderzyć. Nie wiem co mnie napadło — rozszłochała się znowu, opierając ramię o ścianę i chowając w nim twarz.

Jak zwykle, pomyślała Amelia. Czuła tylko trochę współczucia dla matki. Tylko trochę i na dodatek mocno rozcieńczonego współczuciem dla Simona i dla siebie samej. Czekając aż Dagmara się uspokoi snuła myśli o tym, jak kiedyś powie o tym Henry'emu. „Jakbyś się czuł” zapytam go „gdyby twój Bóg zaczął nagle rzucać w ciebie kamieniami, w trakcie twojej pełnej oddania modlitwy? Co stałoby się z twoją pewnością siebie, gdyby odpowiadał na twoje modlitwy stekiem przekleństw? Bo tak właśnie czuje się dziecko, którego bliski dorosły człowiek zaczyna wariować”.

Z głębokim westchnieniem wstała i podeszła do Dagmary. — Już wszystko dobrze — powiedziała łagodnie obejmując szczupłe ramiona matki, tak podobne do jej własnych. — Już dobrze.

Alan czekał w hallu z mokrym i błyszczącym szczeniakiem zwiniętym u jego nóg. Nie uśmiechał się. Kiedy Dagmara zeszła ze schodów nie powiedział nic, tylko spojrział wymownie na zegarek. Simon podniósł się i podszedł kawałek w kierunku Dagmary pytająco merdając ogonkiem. Spojrzała na Alana, potem kucnęła i wyciągnęła rękę. Piesek ostrożnie wyciągnął szyję i obwąchał ją prychając, jakby coś szczypało go w nos.

— Pojedziemy już, dobrze? — głos Alana był chłodny. — Pożegnałem się z twoją mamą.

— Ja jeszcze nie. To mi zajmie moment. — Niemal wybiegła z hallu.

— Cóż, miło mi było cię poznać. — Alan wyciągnął rękę do Amelii uśmiechając się wystarczająco szeroko, żeby być uprzejmym, jednak za mało, żeby można było mówić o ciepłym pożegnaniu.

— Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy — Amelia zakpiła sobie troszeczkę ze złości Alana, sprawdzając jego opanowanie.

Alan wzruszył ramionami i powiedział tylko: — Być może.

Dagmara szybko wróciła do hallu. Była tak przybita ostatnim zdarzeniem, że wyglądała, jak swój własny cień przemykający się pod ścianami. Kiedy całowała Amelię na do widzenia przytrzymała dłuższą chwilę swój chłodny policzek przy policzku córki.

— Myśleliśmy, że pojedziemy razem na obiad do miasta, ale w tych okolicznościach, może lepiej nie — szepnęła. Odwróciła się jeszcze w drzwiach, wzruszyła ramionami ze smutnym uśmiechem i pomachała na pożegnanie, po czym ruszyła w ślad za Alanem.

Wsiadła do samochodu, potem Simon został zręcznie podszedzony na tylne siedzenie, wreszcie Alan zajął miejsce przy kierownicy. Kiedy odjeżdżali Amelia pomyślała ze smutkiem: znów to zrobiła... Zobaczyła przed sobą perspektywę szczęścia, złapała ją obydwiema rękami... i sama zdusiła. Pomachała jeszcze za odjeżdżającym się samochodem i zamknęła drzwi.

W świetlicy obok pana Ambrose siedziała na wózku chudziutka osoba, z głową wciąż opadającą bezwładnie w przód, jakby stanowiła zbyt ciężar dla cienkiej szyi. Właśnie dostawała pożeg-

nalnego całusa od odwiedzającej ją młodej kobiety. — Trzymaj się, mammo. Do zobaczenia jak zwykle w przyszłym miesiącu. — Synowa państwa Ambrose skinęła głową i uśmiechnęła się do panny White, która siedziała przed telewizorem pochłonięta programem o wakacjach i wycieczkach, potem ruszyła w stronę drzwi małymi, pospieszными krokami tak, że prawie wpadła na Amelię.

— Och, przepraszam bardzo — powiedziała, ale na jej twarzy malowała się nie skrywana ulga: koniec tego na dzisiaj.

Co może zrobić ktoś stary, żeby uniknąć tego wyrazu na twarzach najbliższych, zastanowiła się Amelia. Opowiadać dowcipy? Stepować? Rozdawać duże sumy pieniędzy?

Przygarbiona na swoim wózku pani Ambrose nieustannie mamrotała coś pod nosem, marniała w ustach nie dające się zrozumieć zdania, jakby coś przeżuwała. Urwane słowa, nie dokończone frazy. Amen. Amelia musiała ostrożnie przejść nad cienkimi jak patyczki, wyciągniętymi nogami pani Ambrose, żeby dostać się do Selmy śpiącej przy drzwiach na taras.

— Nie depcz po mnie! — głos był pewny i donośny. — Powtarzam, nie po to płaci się te wszystkie pieniądze, żeby siedzieć tu i być ciągle potrącanym i deptanym.

Przestr&szona Amelia obejrzała się. Twarz pani Ambrose była podniesiona, a jej duże, niebieskie oczy zdawały się uśmiechać.

— Przepraszam, tak mi przykro — wymamrotała.

Pan Ambrose podniósł wzrok znad swojej krzyżówki. Wziął rękę żony. — Wszystko w porządku, Dorothy. Jesteś absolutnie bezpieczna. — I znów głowa pani Ambrose opadła na piersi, jak głowa nakręcanej lalki, która odegrała już swoją kwestię i skończyła się ruszać.

Ciekawe, czy Gerald opiekowałby się nią tak, jak tamten starzec swoją żoną, kiedy ona, Amelia zestarzałaby się i otepiała, zastanawiała się siadając obok Selmy. Chyba nie, nie podejrzewała go o to. Powtarzał często z odcieniem pewnej przymilnej kokieterii: „Wiem, że to głupie, ale nie ma ze mnie żadnego pożytku przy łóżku chorego”. Niewiele osób mogłoby się przyznać, że byłby z nich jakiś pożytek w takiej sytuacji. Jednak przy Clarissie powinien być bezpieczny. Trudno wyobrazić ją sobie, jako kogoś chorego, albo słabego. Jak dobiegnie dziewięćdziesiątki będzie zapewne trzymać się równie dobrze, jak teraz.

Selma nadal spała. Myśli Amelii popłynęły teraz w stronę matki. Ciekawe, czy nieszczęsny wybryk zostanie jej wybaczony. Może właśnie teraz godzą się ze sobą w łóżku? Amelia zaczerwieniła się mimo woli, choć myśl wydała jej się raczej przyjemna. Nastolatki zawsze wydają się być przekonane o tym, że od momentu ich poczęcia organy seksualne ich rodziców znajdują się na właściwym miejscu tylko na pokaz; że są czymś w rodzaju pozornej kieszeni, albo ozdobnego guzika, do którego brakuje pętelki. Jak się ma trzydzieści jeden lat, to wie się już nieco więcej na ten temat, co nie oznacza tym samym, że może się to podobać. Amelia spojrzała ukradkiem w stronę siedzących w ciszy państwa Ambrose. A właściwie, kiedy to się kończy? Czy dzieje się to nagle, czy stopniowo? Czy sytuacja dojrzewa jednocześnie u obu osób, czy też u jednej strony szybciej?

Właśnie w tej chwili pani Ambrose podniosła głowę, co na moment dało Amelii nieprzyjemne poczucie, że ostatnie pytanie wypowiedziała na głos. Ale nie. Dorothy Ambrose spojrzała tylko na swojego męża olbrzymimi, błękitnymi oczami, a on, jakby poczuł na sobie wzrok żony, również podniósł oczy, a potem jeszcze raz wziął jej rękę i lekko uściśnął.

Wzruszona tą małą, cichą scenką Amelia uśmiechnęła się ukradkiem, ale właśnie w tej samej chwili pani Ambrose ze wzrokiem utkwionym w oczach męża podniosła jego rękę i wbiła zęby w miękką stronę dłoni.

Panna White znudziła się już telewizją. Cichy okrzyk bólu pana Ambrose i przestraszone „ach!” Amelii było dobrym pretekstem do małej przerwy. Kiedy nieszczęsny mąż już całkiem spokojny, łagodnie uwalniał swoją rękę z zębów własnej żony, panna White wyciągnęła swoją łaskę w kierunku Amelii i potrząsając nią powiedziała scenicznym szeptem: — Obawiam się, że pani Ambrose gryzie. Nie mam pojęcia, dlaczego.

Pani Ambrose uśmiechnęła się promiennie do męża. — Ty głupi stary przyku — rzuciła radośnie.

Selma wreszcie się obudziła i panna White z miejsca zwróciła się do niej w poczuciu niezwykle ważnej roli do spełnienia. — Pytałam właśnie: dlaczego pani Ambrose gryzie?

Amelia skurczyła się w sobie, próbując nie patrzeć w ich

kierunku, ale Selma wydawała się być mało zaskoczona. Pokiwała głową patrząc na nią poważnie wyblakłymi oczami. — Te są najgorsze — stwierdziła groźnie. — Ludzkie ugryzienia są najgorsze.

Przez pierwszych parę mil ich podróży Dagmara łudziła się jeszcze, że Alan jej wybaczy. Rozmawiali całkiem miło. Chwalił Selmę i Amelię aż pomyślała, że mógłby zostawić trochę miłych słów dla niej. Uśmiechała się tylko skromnie, mówiąc, że starała się jak najlepiej ułożyć sobie życie bez męża.

— Samotne wychowywanie dziecka nie jest wcale lekkie — dodała i jej pewność siebie trochę wzrosła. — Czytałam wiele takich książek, w których młode kobiety rzucały się z klifów, albo pod pociąg z powodu zdrady ukochanego. W pierwszej chwili wydało mi się to całkiem dobrym wyjściem, ale potem popatrzyłam na to rude, pucułowate stworzonko, moją córkę i pomyślałam, że to właśnie byłaby największa zdrada. — Roześmiała się, jak zwykle, gdy mówiła o poważnych sprawach.

Kiedy Alan nie odpowiedział, ani nie spojrział na nią, wiedziała, że już go straciła. Przez dalszy ciąg podróży mogła równie dobrze występować w telewizji z wyłączoną fonią. Jej usta poruszały się, starała się ze wszystkich sił, ale nic nie dochodziło do uszu jej jednoosobowego audytorium.

Kiedy zajechali pod dom w Exeter, Alan jak zawsze wysiadł pośpiesznie i otworzył przed nią drzwiczki samochodu. — Proszę bardzo. Jesteśmy na miejscu.

To zabrzmiało w jej uszach tak finalnie, że automatycznie przypomniała sobie horror, w którym stary woźnica zatrzymywał konie przed zamkiem duchów mówiąc: „Oto jesteśmy na miejscu, panienko”. Dagmara zaczęła głośno chichotać.

Alan nawet nie wysiłał się, żeby zapytać, co się stało. Wypuścił Simona z tylnego siedzenia i wręczył jej smycz.

Dagmara potrząsnęła nerwowo głową i cofnęła rękę. — Ty go zabierz. Proszę. — Simon właśnie próbował podnieść nóżkę przy furtce, ale stracił równowagę.

Alan pokiwał głową i spojrział w jej oczy z pewnym odcieniem żalu, a może litości, jakby już zawiadomił ją o swoich postanowieniach. — Do widzenia, Dagmaro — wypowiedział jej imię, jak

zwykle, podkreślając dźwięczne „r” tak, jakby wymawiał je podwójnie. — Uważaj na siebie.

Czy mam krzyczeć, pomyślała. Rzucić się do jego stóp i błagać o wybaczenie? Obejmować jego nogi, kiedy będzie odchodził? — No to... do widzenia.

Alan odwrócił się bez słowa, wszedł do samochodu i zapalił silnik.

Dagmara rozejrzała się nie bez satysfakcji po swoim saloniku: stoliki lśniące woskiem, dywan bez najmniejszej plamki, odkurzone bibeloty i ramy obrazów. Wielu ludzi wybierało kolory ścian w swoim mieszkaniu według kryterium nieekspozowania brudu. Dagmara stosowała wręcz przeciwne kryterium. Wybierała gołębie szarości, róże i żółcienie, które pokazywały go jak najwyraźniej. W ten sposób mogła łatwo zidentyfikować wroga. W sklepie meblowym długo zastanawiała się nad przepięknym złoto-brązowym płótnem na obicia, ale pomyślała w końcu, że Bóg raczy wiedzie, ile brudu może w nim zostać nie zidentyfikowane, i zdecydowała się na praktyczne perkale.

Przeszła przez kuchnię, w której szafki błyszcząły bielą. Zaparzyła sobie dzbanek herbaty i wróciła do saloniku siadając przy wypolerowanym blacie stołu. — No proszę — mruknęła odkładając łyżeczkę na spodek. — Zdołałam zrazić do siebie wszystkich tych, na których mi kiedykolwiek zależało, ale przez ten cały czas utrzymałam moje mieszkanie w czystości i porządku.

Potem podniosła pustą już filiżankę i rzuciła nią z całej siły przez pokój.

Gdy tylko Amelia weszła na klatkę schodową, usłyszała dźwięki fortepianu dobiegające z mieszkania Dagmary.

Im dłużej siedziała w świetlicy w Cherryfield, myśląc o matce, tym bardziej była przekonana, że Alan nie był dla niej pobłażliwy. — Oby chociaż zależało mu na tym, żeby z nią porozmawiać — mamrotała wykręcając numer jej telefonu. Ktoś podniósł słuchawkę, po czym od razu ją odwiesił. Amelia zaczęła martwić się całkiem

poważnie i w końcu wsiadła do samochodu Geralda i pojechała do Exeter.

Teraz wbiegała po schodach, podświadomie konotując, że te, jak i większość innych stopni na innych schodach były zaprojektowane dla ludzi o dużym rozkroku, przynajmniej półtora stopniowym. Nagle dotarło do niej, że dobiegająca ją muzyka była jakaś obca. Dagmara zwykle grała bardzo po kobiecemu, miękko, nigdy nie pozwalając sobie na nieumiarkowanie. To, co Amelia słyszała w tej chwili było właśnie nieumiarkowane. Dźwięki zdawały się ścigać ze sobą w zadyszce, jakby uciekały z instrumentu, potykając się i błakając w popłochu.

Zasapana dobiegła na drugie piętro i zadzwoniła do drzwi, ale granie nie ustawało. Zadzwoniła znowu i znowu nie było odpowiedzi. Nacisnęła klamkę, drzwi były otwarte, więc weszła do środka. Przeszła przez przedpokój i w drzwiach salonu stanęła jak wryta.

Jej matka siedziała skulona nad klawiaturą, jak drapieżny ptak rozszarpujący swoją ofiarę. Całe kule zbitego kurzu zdawały się wyrastać z jej głowy i ramion. Z włosów zwisały zielono-szare kawałki puszystej, ohydnej materii. Triumfalnie odrzuciła spadające jej na ręce długie szare pasma i uderzyła klawisze w końcowym crescendo.

— O mój Boże... — Amelia ruszyła w stronę nieszczęsnej Dagmary, która odwróciła się wolno ze słodkim uśmiechem na ustach.

— Proszę, zobacz sama — powiedziała otwierając szeroko oczy. — To naprawdę nic takiego być brudnym.

ROZDZIAŁ 18

Tydzień później w jednym ze sklepów w Kingsmouth Amelia usłyszała coś takiego, co kazało jej właśnie teraz kucać za żywopłotem okalającym dom w Ashcombe.

— Ach, ci Hamiltonowie. Nigdzie nie zagrzeją miejsca. Jak tylko się gdzieś wprowadzą, to od razu niesie ich na jakieś wakacje. A jak już o tym mówimy, powiedziała mi ta Hamilton, to proszę zatrzymać prenumeratę także na Boże Narodzenie. Wybieramy się na święta do naszego małego domku w Antigua.

Pani Hodges, właścicielka kiosku z gazetami i magazynami starała się naśladować mimikę i ton głosu pani Hamilton przed znajomymi stojącymi w kolejce. — Wyjeżdżają na Boże Narodzenie? — Amelia zapłaciła za „Dobrą Gospodynię” dla Selmy.

Pani Hodges przytaknęła i wydeła wargi. — Tak. Na całe trzy tygodnie. Ci Hamiltonowie ciągle przeprowadzają się do innego domu i wciąż są niezadowoleni. Nie to, co pani babcia. Ona naprawdę kochała to miejsce.

— Ona naprawdę kochała to miejsce — powtórzyła półgłosem Amelia kucając niewygodnie i obserwując zza żywopłotu, jak Doreen Hamilton zamyka drzwi frontowe na klucz. Sądząc po wyglądzie staromodnego, dużego klucza w jej ręku, zamki nie zostały zmienione.

Kiedy Doreen człapała drogą w dół wzgórza z wiklinowym koszykiem na ręku, Amelia pośpiesznie wydołała się zza krzewu

oleandrowego i przebiegając przez ciężką, drewnianą bramę prowadzącą do głównego ogrodu i wbiegła na taras rozglądając się czujnie, czy aby ktoś jej nie obserwuje. Przycisnęła nos do szyby i osłoniła twarz rękoma, żeby lepiej widzieć. Stała tak dobrą chwilę wpatrując się we wnętrze salonu, potem zrobiła krok do tyłu i wyjęła z tylnej kieszeni džinsów czarny notesik i ołówek. Pisała coś szybko przez jakąś minutę, czy dwie, potem jeszcze raz zerknęła do środka sprawdzając swoje zapiski. Schowała notes i pośpiesznie odeszła w stronę drogi.

Po pięciu minutach marszu znalazła znajomą ścieżkę, skrzyła więc w lewo i poszła w kierunku płaskiej skały. Wdrapała się na nią i usiadła wygodnie wyciągając przed siebie nogi. Po drugiej stronie miasteczka widać było inne zielone wzgórze i Cherryfield. Jakie miękkie jest światło tu, w Devon, zauważyła. Tak, jakby deszcz nigdy nie oddalał się na dobre, tylko wisiał gdzieś w powietrzu, filtrując promienie słoneczne, gotów w każdej chwili pojawić się z powrotem. Odchyliła się do tyłu opierając łokcie na ciepłej skale i zamknęła oczy. To był trudny tydzień i była zmęczona.

Dagmarę siedzącą przy fortepianie zdziwiła panika córki, ale pozwoliła jej zaprowadzić się do łazienki. Przy okazji Amelia odkryła leżący za sofą rozpruty i opróżniony worek od odkurzacza. Brud i śmiecie walały się po całej podłodze. Każdy krok wzbudzał wielkie chmury kurzu.

— Bycie czystym jest przyczyną tylu kłopotów — stwierdziła Dagmara nadzwyczaj sensownie, obserwując, jak szykuje się jej kąpiel. Rozebrana do majtek i stanika została lekko popchnięta w kierunku wanny.

Amelia opróżniła pół butelki płynu do kąpieli o zapachu brzoskwińowym. Kiedy na powierzchni ukazała się piana, zakręciła kurki. — A teraz cię zostawiam — oznajmiła cichym głosem.

Znalazła numer telefonu lekarza domowego Dagmary. — Obawiam się, że dzisiaj wizyta jest niemożliwa. O żadnej porze — sekretarka mówiła z cichą satysfakcją, jak się wydawało Amelii.

— Ale to pilna sprawa. Moja matka jest naprawdę chora.

— Proszę poczekać chwilę, przyjmę tylko telefon na drugiej linii. Amelia nasłuchiwała odgłosów z łazienki, ale panowała tam

taka cisza, że przez moment wyobraziła sobie Dagmarę, unoszącą się bez ruchu na wodzie, jak podstarzałą Ofelię w wianku ze śmieci i kurzu, zamiast z kwiatów.

— No szybko, szybko — szeptała bezgłośnie do słuchawki.

— Tak? — sekretarka wróciła i jej głos brzmiał tak, jakby miała nadzieję, że Amelia już zrezygnowała.

— Chodzi o moją matkę. Ona zwariowała. — Niektórzy ludzie w stresowych momentach kłamią, jak z nut. Amelia wręcz przeciwnie, miała potrzebę bycia w takich sytuacjach maksymalnie dokładną i nieskazitelnie uczciwą. Dodała: — A właściwie, zrobiła się jeszcze bardziej zwariowana.

Przyszedł doktor. Do tego czasu Dagmara zdażyła usnąć, czysta i otulona ciepło w swoim ogromnym łóżku. — Proszę. — Amelia otworzyła przed nim drzwi sypialni, a sama została w pokoju chodząc w tę i z powrotem, jak oczekujący rozwiązania ojciec w komediach z lat pięćdziesiątych.

— I co pan o tym sądzi? — Podskoczyła w jego stronę, gdy tylko pojawił się z powrotem w drzwiach sypialni.

— Jest już całkiem spokojna. — Doktor, odziany w tweedy młody mężczyzna, przysiadł na poręczy najbliższego fotela.

Całkiem spokojna! Amelia miała wizję rozwścieczonego szympansa szarpiącego kraty swojej klatki, a potem z rezygnacją siadającego na zadku, wciąż kurczowo trzymając pręty. Całkiem spokojna.

— Dam jej skierowanie na oddział psychiatryczny, od jutra. Na obserwację. Nie pochwalam w zasadzie dozowania tabletek moim pacjentom, ale tym razem proszę przypilnować, żeby te brała regularnie przez następny miesiąc. Pomogą jej przejść ostrą fazę choroby. — Doktor Noreland wyciągnął receptę.

Amelia stała przez cały czas. Nie chciała wystraszyć go myślą, że zamierza go tu długo trzymać.

— Mam jedno pytanie, na które przez całe życie chciałam usłyszeć odpowiedź. Na jaką właściwie chorobę cierpi moja matka?

Doktor Noreland zamknął swoją torbę i wstał. — Nic bardzo poważnego. Ma oczywiście obsesję, a dzisiejszy wypadek był krańcową reakcją na stres. Wątpię, żeby mogło się to powtórzyć. — Ruszył w stronę wyjścia.

— Ale, doktorze Noreland.

Odwrócił się. — Tak?

— To coś, jakkolwiek to **na2wać**, ta obsesyjność, rujnuje jej życie, a także moje. Dzisiaj wysypała na siebie zawartość odkurzacza grając „Koncert Warszawski”. Czy można powiedzieć, że to nic poważnego?

— Według kryterium medycznego to nie jest poważne schorzenie. — Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. — Lęk jest czymś naturalnym. Potrzebujemy go, żeby przetrwać. Nasi przodkowie zajmowali się właśnie tym, walką o przetrwanie, a dzisiaj przeróżne zagrożenia, te, które moglibyśmy zobaczyć, dotknąć, zidentyfikować, zostały usunięte z naszego życia. Martwimy się i niepokoimy w naszych czasach sprawami tak odległymi i niemal zawsze znajdującymi się poza naszą kontrolą. Lęk rośnie, choć jego przyczyna jest niejasna. To właśnie, samo w sobie powoduje stresy. Pani matka jest z natury osobą lękliwą, prawdopodobnie z dość niską samooceną i jej nie ukierunkowane lęki czasami przejmują władzę nad całą resztą osobowości. W stosownym czasie nie zaszkodziłoby jej jakieś parę spotkań z psychoterapeutą. — Otworzył drzwi, ale odwrócił się jeszcze raz. — Na pewno słyszała pani o buntownikach bez powodu. Cóż, prawdę mówiąc mój gabinet jest pełen zmartwionych bez powodu.

Uśmiechnął się skłaniając głowę i zszedł prędko po schodach.

Amelia oczekiwała po matce radykalnej zmiany. Na gorsze, czy na lepsze, tego jeszcze nie wiedziała. Ale z całą pewnością nikt nie mógłby przejść przez taki wir i pozostać tą samą osobą, co przedtem. Jednak Dagmara po powrocie ze szpitala była może trochę spokojniejsza, ale poza tym dokładnie taka sama, jak przedtem: trochę spięta, łatwo irytująca się, zajęta zamartwianiem się swoimi małymi kłopotami.

Jednak Amelia została z nią. Na wszelki wypadek. Na wypadek czego, oczywiście nie miała pojęcia, ale mimo to, kiedy wybrała się w srodę na pogrzeb admirała, nie przestawała rozmyślać o filmach, na których zabiera się wszystkie liny i ostre narzędzia z otoczenia samobójców i zastanawiała się, czy nie powinna była schować gdzieś odkurzacza.

Henry asystował wikaremu z Kingsmouth w odprawieniu żałobnej mszy. Był błydy, ale uśmiechnął się do Amelii, gdy zobaczył ją wchodzącą do kościoła i w czasie czytania jego głos

brzmiał spokojnie i pewnie. Tylko kiedy miał później przeczytać kilka wersów z Tennysona, głos mu się załamywał.

Leżąc na znajomej, ciepłej skale i patrząc w chmury pojawiające się nad wzgórzami, Amelia przypomniała sobie kawałek tego cudownego wiersza:

**„Zmierzch nadszedł, wschodzą nocy zorze,
Jasnego głosu echa przypływają nagle,
Nie płacz, tak woła moje morze,
w bezniar rozwijam żagle”.**

Później wikary poprowadził wszystkich na cmentarz przy kościele. Zerwał się silny wiatr i zaczęło padać. Po chwili strugi ulewy smagały żałobny pochód. Na pogrzebie Willoughby'ego w lutym, słońce świeciło radośnie najasobliwiejszym niebie i Amelia przypomniała sobie, że wtedy zdawało jej się to prawdziwym nietaktem ze strony matki natury. Jak podarowanie obrazu komuś niewidomemu od urodzenia. Nie, Amelia zdecydowanie wołała deszcz i wiatr na takie okazje. Idąc za wikarym przyglądała się, jak suta, czarna szata tańczy wokół jego kostek wraz z przedwcześnie opadłymi liśćmi. Oto właśnie, myślała, gdy opuszczano trumnę w dół, oto cały wszechświat żegna Johna Malletta.

Była niedziela, dokładnie tydzień od czasu załamania Daggmary. — Załamanie — mruknęła do siebie Amelia wstając ze skały. Sprawdziła zawartość tylnej kieszeni [notesik tkwił tam posłusznie] i ruszyła w dół, w stronę przystani, gdzie zaparkowała samochód Geralda. Dagmara czuła się całkiem dobrze i świetnie radziła sobie ze wszystkim, więc nie było sensu, żeby Amelia nie wróciła wreszcie do Abbotslea; w końcu jeszcze przez dwa tygodnie to był jej dom.

„Pięć parterowych domków pod stałą opieką. Kup teraz — zapłać później”. Czy to prawda? Wjeżdżając do Abbotslea obejrzała się przez ramię. „Pięć parterowych domków na sprzedaż”, przeczytała na dużym znaku przy jakiejś budowie, obok której właśnie przejechała. Zwolniła i skręciła w ślepią uliczkę. Chyba zaczynam wariować, pomyślała całkiem spokojnie, wolno prowadząc samochód. To była w gruncie rzeczy całkiem wygodna myśl. Selma

stawała się zwariowana na starość, ale proces był bardzo wolny. Dagmara po prostu była zwariowana. Może jakaś biblijna klątwa, albo, jeśli takie rozwiązanie jest zbyt pretensjonalne, zwykły urok cyganki ciążył na jej rodzinie. Jeśli tak, to dlaczego po prostu się nie poddać? Żadnych więcej obowiązków, żadnej odpowiedzialności. Całkiem miły pomysł.

Zahamowała nagle. Tuż przed samochodem nic sobie z niego nie robiąc spacerował stary Mike Aylard ze swoim myśliwskim psem i w lisim kołnierzu żony na wypadek chłodu w lipcowym dniu. Daleka od uczuć braterskich miała nagłą ochotę go przejechać. Może to jest współzawodnictwo? Kupiłaby sobie jakiś miły domek w Abbotslea, ale czy znalazłoby się miejsce dla dwóch wariatów w miasteczku? Czy mogła mieć nadzieję zastąpienia starego Mike'a w jego roli miejscowego głupka?

Przejeżdżając obok sklepów zobaczyła Rosalinde z Ronniem i pomachała do nich wesoło.

Dlaczego, na przykład pani Wetherburn-Pryce nigdy nie prosiła Amelii na któreś ze swoich, znanych w miasteczku, porannych spotkań przy kawie? Co prawda Amelia nie poszłaby na takie spotkanie, ale czuła się dotknięta nie będąc nigdy o to poproszoną. W Abbotslea nie było prawdziwego ziemiaństwa z krwi i kości, więc Wetherburn-Pryces'owie z racji swojego podwójnego nazwiska i faktu, że zamieszkiwali najokazalszy dom w miasteczku, nazywany Topolowym Dworem byli powszechnie cenieni i uważani za reprezentantów śmietanki towarzyskiej. Gdy Amelia zamieszkała w Starym Probostwie z Geraldem, Rosalinda wytłumaczyła jej, jak umiała najtaktowniej, że nie chodzi o to, że ta miła, stara pani Janet jej nie lubi. Nic podobnego. Amelia ją po prostu zawstydza. Nie wie, jak się do niej zwracać, jaką ma pozycję.

— Ona naprawdę uważa, że jesteście tacy sami, jak inni ludzie — Rosalinda wymamrotała to zdanie odrobinę nieswoim głosem, nie patrząc w oczy Amelii. — Po prostu nie może pogodzić się z myślą, że mieszkacie razem nie będąc małżeństwem. Kiedyś była bliską przyjaciółką ciotki Geralda.

No tak, ale z drugiej strony, myślała Amelia rozbawiona, wjeżdżając na teren Starego Probostwa, mogłabym sprawić, że przyleciałaby jak na skrzydłach z tym zaproszeniem, jeśli posypałabym głowę popiołem i spacerowała po ulicach ubrana w worek ze

śmietnika, niniejszym kwalifikując się, jako Ciekawy Przypadek. W gruncie rzeczy, przez fakt absolutnego zwariowania, mogłabym osiągnąć społeczną akceptację, która, jak dotychczas, wykluczała mnie ze swego rejestru. Zaciągnęła mocno ręczny hamulec i wysiadła z samochodu. Na stoliku, w hallu leżała kartka od Geralda: „Proszę o natychmiastowy zwrot samochodu. Całuję. Gerald”.

Zgniotła biały kawałek papieru i zostawiła go na stoliku. Miło było posiadać znowu coś, na czym mu zależało. Wciągnęła powietrze odnajdując w nim nieprzyjemną woń mokrej farby. Czyżby Gerald już odremontował wolny pokój na górze? Podeszła do drzwi salonu i zapach stał się intensywniejszy. Otwierała je ostrożnie, jakby spodziewała się zobaczyć za nimi gnijącego trupa leżącego na dywanie. Zatrzymała się w progu, jak wryta. Pokój, jaki zobaczyła nie był już ich dawnym salonem. Delikatny kremowożółty kolor znikł ze ścian a zamiast niego były powleczone, a może raczej zachlapano żywym odcieniem koralowym, który zdawał się sam otwierać jej oczy coraz szerzej i szerzej w miarę, jak się w niego wpatrywała. No i książki. Gdzie są książki? I małe półeczki stojące zawsze po obu stronach kominka? Amelia przemierzyła pokój szybkimi krokami, patrząc czujnie dookoła, zaglądając nawet pod sofę, jakby spodziewała się, że są tam ukryte. Wreszcie zobaczyła następną kartkę [ten sam, gruby, biały papier] leżącą na zielonym półmisku z chińskiej porcelany w kształcie spłaszczonej kapusty. Półmisek Clarissy, przemknęło jej przez myśl, gdy podnosiła kartkę. „Myśleliśmy, że skoro nie będzie cię dłużej, to wykończymy też salon. Książki w garażu. Całuję. Gerald”.

Siadając w starym, znajomym fotelu nie odrywała oczu od tych paru zdań. „Książki w garażu. Całuję. Gerald”.

To było na tyle. Naprawdę koniec. Głęboko, w najdalszym i pilnie strzeżonym zakamarku jej umysłu, gdzie przechowywane były tylko największe marzenia, Amelia wciąż hołubiła nikłą nadzieję, że Gerald wróci. Jego słowa na białym papierze wysadziły nagle, jak dynamit wejście do owego sekretnego miejsca i nikła nadzieja wypłynęła ze środka, wydała ostatnie tchnienie i umarła.

— To ty przegrałeś, Geraldzie Forbes — powiedziała na głos. — Już na zawsze utknąłeś w spokojnym, banalnym życiu z tą kobietą urodzoną w służbowym uniformie. — Potem rozpłakała się.

Po jakimś czasie, kiedy zaczęły ją boleć skronie od płaczu, a za

oknem robiło się ciemno, zaczęła ostrożnie szukać w pamięci jakiegoś kojącego zdania. Cała ta rozpacz powinna zaowocować jakimś ładnym kawałkiem poezji. Wytarła nos wierzchem dłoni i wstała, żeby poszukać notesu i ołówka. Przynajmniej jej biurko pozostało nietknięte. Nie odnowione.

Uśmiechnęła się do siebie: po szwedzku „serce” i „ból” się rymują. Prawdziwy dar boży dla słabych poetów. Ale żadne słowa ani piękne, ani banalne nie przychodziły jej do głowy. Przypomniała sobie tylko pewien wieczór niedługo po tym, jak zamieszkali razem na Starym Probostwie. Rozpakowywali drewniane skrzynie ze swoimi ulubionymi książkami, porównywali gusta literackie, chwalili się pięknymi wydaniem i seriami.

— Strasznie podoba mi się Proust — pamiętała swoje słowa, kiedy Gerald podniósł jej nowiutkie wydanie „Miłości Swanna”. — Tylko, kiedy raz go odłożę, to trudno mi wrócić do niego z powrotem.

Pomyślała o tych wieczorach, kiedy siadali, trochę zakłopotani przy rozpalonym kominku i czytali sobie na głos fragmenty powieści, bawiąc się przy tym doskonale. Amelia westchnęła i zaczęła bazgrać w notesie.

„Kochać...? Szlochać. Dlaczego wciąż szlocham, jeśli cię nie kocham”.

Zadzwoił telefon. To był Henry.

— Dziękuję ci jeszcze raz, że przysłaś na pogrzeb. To było dla mnie bardzo ważne. — Przez chwilę słyszała tylko jego oddech. — A co słyszać u ciebie?

— Clarissa i Gerald usilnie pracują nad zamienieniem całego domu w pozbawioną książek mieszankę stylu Laury Ashley i buduaru kokoty.

— To katastrofa — zaśmiał się Henry. — Właściwie dzwonię, żeby ci powiedzieć, że widziałem pewne miejsce w Kingsmouth, które nadawałoby się chyba na twoją kafejkę. Kiedyś była tam mała mleczarnia.

— Czy to jest to obok portu?

— Tak.

— No, nie wiem. — Amelia nie była usatysfakcjonowana i czekała, aż Henry zapyta: Co to znaczy, że nie wiesz?

Jednak zamiast tego usłyszała: — Na pogrzebie ojca, w samym

środku tego całego smutku przyszła mi do głowy myśl, że bardzo ci do twarzy w czerni. Muszę przyznać, że mam wyrzuty sumienia z tego powodu.

— Wiesz, że nie powinieneś. Przecież twój ojciec mnie lubił. Dlaczego miałby mieć coś przeciw temu, że wyglądam ładnie na jego pogrzebie? — Nie było odpowiedzi, więc zapytała: — Henry, jak sobie z tym wszystkim radzisz?

Słyszała, jak przełknął ślinę. — Jak umiera ktoś, kogo kochasz — powiedział cicho — to jest tak, jakby zostawało tylko pół dawnego ciebie. Druga połowa umiera razem z tym kimś. — Zamilkł i kiedy Amelia zastanawiała się, co odpowiedzieć, żeby złagodzić jego ból i jednocześnie nie zabrzmieć banalnie, dodał: — Po prostu za nim tęsknię. W każdym razie zadzwonię jeszcze, żeby dać ci znać na temat mleczarni. — Odłożył słuchawkę tak szybko, że Amelia ledwo zdążyła powiedzieć mu do widzenia.

Cały wieczór spędziła na pakowaniu swoich rzeczy. Ubrania zajęły trzy walizki i dwa plastikowe worki na śmiecie. Jedną walizkę i oba worki postawiła w garażu obok książek porządnie poukładanych w zgrabne stosiki. Potem wygrzebała w szufladzie samoprzylepne etykiety, na każdej z nich narysowała duże, czerwone „A” i poprzyklejała do wszystkiego w Starym Probostwie, co było jej własnością. Dwa szwedzkie obrazy olejne, podarunek od Selmy, trzy angielskie akwarele, które kupiła kiedyś sama, kilka małych stoliczków, krzesel, bibelotów, jakieś urządzenia kuchenne. Na rzeczach, które dostali lub kupili wspólnie nakleiła etykiety ze znakami zapytania. Do dziesiątej wszystko było gotowe. Weszła na górę do sypialni zastanawiając się ile razy Gerald i Clarissa kochali się w tym łóżku.

— Przecież nie mogli zawsze używać krzesła — powiedziała na głos próbując bezskutecznie poprawić sobie humor. Przed zgaszeniem światła zadzwoniła jeszcze do Dagmary. W słuchawce odezwał się jej cichy, obojętny głos, wszystko było w porządku.

Odłożyła słuchawkę i zamarzyła o tym, jak miło byłoby mieć taką matkę, której powiedziałyby: — Wiesz, wróciłam do mojego domu i zobaczyłam, że jest właśnie w trakcie metamorfozy w dom kogoś całkiem innego. W salonie i w jednej z sypialni przemiana jest już niemal zakończona. Nie mogę odważyć się na zaśnięcie, bo boję się rano obudzić w obcym, panieńskim pokoiku, z ozdobną toaletką i draperiami w oknach.

Leżała jeszcze długo na plecach przyglądając się ceniom na suficie, potem nagle odrzuciła kołdrę i zbiegła na dół. Zapaliła wszystkie światła w salonie i otworzyła szeroko drzwi na taras. Przez moment stała bez ruchu wdychając chłodne nocne powietrze, potem zbiegła do ogrodu i ruszyła przed siebie po jasnej smudze światła padającego z okien na trawnik. Drżąc w swojej lekkiej koszuli nocnej obeszła dom i wsiadła do samochodu zaparkowanego przy drzwiach. Włączyła silnik i zapaliła długie światła, po czym ruszyła wzdłuż frontowej ściany, skręcając za dom przez przejście w żywopłocie. Zatrzymała się na chwilę pod tarasem, ale za chwilę włączając wysokie obroty zmusiła samochód do pokonania stopnia i znalazła się przed szeroko otwartymi drzwiami tarasowymi. Wolno i ostrożnie wprowadziła samochód do środka i zaparkowała dokładnie przed kominkiem. Zaciągnęła ręczny hamulec, zgasiła silnik i wysiadła.

Cała drżała, kiedy wskoczyła z powrotem pod kołdrę. Ale otuliła się starannie i po chwili już spała.

Naz jutrz rano zamówiła taksówkę i po raz ostatni zamknęła drzwi Starego Probstwa. Na stoliku w hallu zostawiła karteczkę: „Samochód w salonie. Całuję. Amelia”.

ROZDZIAŁ 19

Amelia pojechała do Londynu i przez dwa tygodnie mieszkała u swojej dawnej koleżanki Kate. Od kiedy wyprowadziła się na wieś, ich przyjaźń straciła dawną zażyłość, ale gdy człowiek jest w potrzebie, usprawiedliwiała się przed sobą, nie należy unosić się dumą. Pomogła Kate w jakichś badaniach i przy okazji napisała artykuł do szwedzkiej gazety na temat współczesnej powieści angielskiej. Pytanie otwierające artykuł, „Co to jest współczesna proza angielska?”¹¹, było o tyle wygodne, że nikt w zasadzie nie oczekiwał na nie wyczerpującej odpowiedzi. Amelia dostała za to czek na dwieście pięćdziesiąt funtów. A potem wyjechała do Dagmary, wmawiając sobie, że to z jej strony prawdziwe poświęcenie.

Dagmara opowiedziała jej o Selmie. Oparzenia goiły się ponoć bardzo dobrze. Bąble przestały ciec i były ładnie podeschnięte już od tygodnia. Na tyle długo, że Amelia poczuła się w obowiązku zagadnąć siostrę Morris o powrót Selmy do starego pokoju w głównej części budynku.

— Babcia nienawidzi być odsuwana od towarzystwa i od spraw codziennych — wyjaśniała pielęgniarka, próbując dotrzymać jej kroku w szybkim marszu przez lśniący korytarz. — To dla niej takie ważne, żeby czuć wokół siebie puls życia. Jakkolwiek byłoby ono słabe i mizerne. Sostro, proszę, nie umiem rozmawiać z ruchomymi obiektami.

Pielęgniarka odwróciła się i stanęła z ręką na klamce od drzwi kuchennych.

— Proszę siostry, moja babcia nie czuje się częścią tego domu opieki...

— Niektórzy się jednak czują, panno Lindsay.

— ...pozostawiona sama sobie w Aneksie. Ona jest przekonana, że nie gra w tenisa wyłącznie z powodu swoich oparzeń.

W tym momencie zaafierowana siostra Williams wypadła z dyżurki chcąc się dowiedzieć, czy przełożona wie, gdzie się podziały czyste prześcieradła na czwartek.

— Może ktoś postanowił uciec przez okno — zasugerowała Amelia.

— Bardzo śmieszne — odrzekła sucho siostra Morris. — Proszę mi wybaczyć na moment. — Ruszyła w głąb korytarza.

— Zaraz wracamy — rzuciła przez ramię siostra Williams i poszła za nią.

Amelia zatrzymała się w hotelu The Anchor. Wieczorem była umówiona z Henrym na kolację, a jutro rano zaplanowała spotkanie w sprawie starej mleczarni. Westchnęła. Nie chciała żadnej mleczarni, chciała mieć własny dom! Wszystkie te rzeczy uważała dotychczas niesłusznie za swoją własność: mój dom, mój samochód, mój Gerald, moje wszystko!

Poza tym, takie życie w hotelach zaczynało się robić drogie. Co prawda dla podreperowania budżetu podjęła znów pracę w agencji wydającej kartki z życzeniami. Pisała krótkie wierszyki okolicznościowe, ale każdy zabierał jej tyle czasu, że nigdy nie udało jej się przyzwoicie zarobić. Każdego tygodnia wypisywała czek na czterdzieści albo więcej funtów dla różnych recepcjonistek, które nie miały nic wspólnego ze staromodnym urokiem obitej dębowymi deskami recepcji w hoteliku. Myśl o pieniądzach nie dawała jej spać. Czek za czekiem przelatywał jej przed oczami, gdy tylko kładła się do łóżka. To było gorsze niż liczenie owiec, coś, czego zawsze szczerze nienawidziła.

— Licz owieczki, kochanie — powtarzała Dagmara zawsze, gdy jakiś szczególnie jadowity, dziecięcy potwór czał się w kącie pokoju. Posłusznie, bo Amelia była bardzo posłuszną dziewczynką, zamykała oczy i już po chwili była uwikłana w sprawy związane z owcami. Owce tłoczyły się za ogrodzeniem, wpychały głowy

miedzy sztachety i potraçały się, chcąc jak najprędzej przeskoczyć płot w poszukiwaniu zielonej trawy po drugiej stronie. No i zawsze było jagniątko. Białe z czarną łatką, zostawione gdzieś z tyłu, i beczące rozpaczliwie, które wymagało od Amelii odnalezienia jego matki, tłoczącej się gdzieś w pierwszym rzędzie przy płocie.

Amelia była pogrążona głęboko we własnych myślach, kiedy nadeszła z powrotem siostra Morris wyrzucając z siebie skape przeprosiny za tak długą nieobecność i szybko wracając do tematu.

— ... Gangrena — oznajmiła. — Obawiamy się, że w tej nodze jest gangrena. Więc, sama pani widzi, przeprowadzka w takich okolicznościach...

Amelia wpatrywała się w nią zaskoczona. — Ale to przecież niemożliwe. To znaczy gangrena. Takie rzeczy dotyczyły ludzi w „Przeminęło z wiatrem”, wie siostra w jakiś szpitalach polowych, jak na przykład ten, w którym Scarlett szuka Ashleja.

Opanuj się, idiotko, rozkazała sobie w myślach i pośpiesznie wyjaśniła: — Chodzi mi o to, że nie sądziłam, że to jest coś dopuszczalnego w dzisiejszych czasach.

— Tu nie chodzi o dopuszczalność, panno Lindsay, zapewniam panią. Obawiam się, że nawet pod najlepszą opieką — położyła nacisk na słowo „najlepszą” — zgorzel zdarza się wciąż, a zwłaszcza w starszym wieku. Wie pani, jej palec był już w dość złym stanie, kiedy do nas przyszła.

— Ale... co robicie, żeby ją wyleczyć?

— Wszystko, co tylko jest możliwe, zapewniam panią. To chyba rozumiały, że przeprowadzka nie wchodzi obecnie w grę. A teraz proszę mi wybaczyć, ale obowiązki mnie wzywają. — Pielęgniarka odeszła pośpiesznie.

Selma spała na swoim wózku. Kup wózek, nie będziesz musiał podróżować, przeleciało jej przez myśl, kiedy schylała się nad babcią, całując ją w czoło. Było wilgotne i zimne, a ocknięcie się zajęło Selmie więcej czasu niż zwykle. Kiedy wreszcie otworzyła oczy spojrzała na Amelię, jakby widziała ją parę minut temu.

— Och, przepraszam cię, kochanie. Musiałam trochę podrzemać. Powinnaś mnie była obudzić.

Loczki stopniowo znikają z jej włosów, farba również, pozostawiając je proste i w kolorze naturalnej wełny, niepodobne do Selmy, ale oczywiście jej naturalne. Miała na sobie sukienkę

w nieregularne wzorki, która podjechała trochę do góry, marszcząc się na udach. Amelia zaczęła rozumieć, dlaczego w Aneksie nie było innych luster, niż małe, przymocowane wysoko nad umywalkami. Kiedy siostra Morris poprosiła Amelię o kupienie paru nowych ubrań dla Selmy, koniecznie ze sztucznego włókna, chciała wiedzieć, co się stało z jej dawnymi bawełnianymi sukienkami, które przywiozła ze sobą do Cherryfield. — Moja babcia nie znosi nienaturalnych włókien — wyjaśniła — i sądzę, że to ważne, żeby pozwolić jej wybrać to, co lubi.

Samo słuchanie dokładnych wyjaśnień siostry Morris, dlaczego pani Merryman powinna mieć ubrania wygodne do prania i nie wymagające prasowania, było tak jakby zdradą i zbyt dalekim wtargnięciem w prywatność Selmy, toteż Amelia kiwnęła tylko głową i odeszła nie dając pielęgniarce skończyć przemowy. Pojechała do miasteczka, żeby przekonać się, jak niewielki wybór ubrań „non iron”, rozmiar 18 posiadały lokalne sklepy i magazyny.

Pchając wózek Selmy przez oranżerię słuchała jej gawędzenia. — Jest tu taka jedna kobieta, która trzyma królika w klatce. To dziwne, prawda?

— Prawdziwego królika? — zdziwiła się Amelia czując się trochę głupio.

— Na pewno. Cały czas zabiera z obiadu sałatę i surowe warzywa. Przynajmniej próbuje.

Amelia ustawiła wózek w najdalszym kącie oranżerii, przy oknie. — Przyniosłam ci coś. — Pochyliła się i wyjęła z torebki małą paczuszkę. — Disc-man'a.

— Co takiego, kochanie?

— Disc-man'a. To taki mały przenośny gramofonik na baterie. Masz tu też małe słuchawki, żeby nie przeszkadzać innym, jak zachcesz posłuchać muzyki. Pomoże ci to nie słuchać na okrągło tej diabelnej telewizji. Przywiozłam ci też parę płyt kompaktowych: Koncert na dwoje skrzypiec Bacha, „Pastorał” i „Finlandię” Larsa-Erika Larssona i...

— O, idzie ta wariatka, ta z królikiem. — Selma pokazała palcem wysoką kobietę, która przy pomocy kul próbowała sama wejść do oranżerii. Miała długie i kościste kończyny, a jej duża głowa była zwieńczona grubym, siwym warkoczem owiniętym naokoło, jak wianek. Rozejrzała się szukając wolnego fotela

i zobaczyła Amelię. Ruszyła w jej stronę szurając pośpiesznie po podłodze z terakoty.

— Pomyślałam, że może pani byłaby tak miła i kupiła dla mnie trochę owsa. Mogą być nawet płatki owsiane — mówiła głębokim, niskim głosem, a jej oczy w czasie mówienia nerwowo przenosiły się z Amelii na drzwi wejściowe. I trochę marchwi. — Sięgnęła do kieszeni swojego wyciągniętego swetra i podała Amelii monetę funtową.

Biedna starowinka, pomyślał Amelia, ale wzięła monetę i kiwnęła głową. — Oczywiście, nie ma sprawy. — Zastanawiała się przez moment, czy nie zagrać wraz z nią w tę zabawę i nie zapytać, jak tam miewa się królik.

— Nigdy nie przepadałam za zwierzętami — powiedziała kobieta, jakby na swoje usprawiedliwienie. — Koty... uuch! Podstępne, śmierdzące stworzenia. Ale króliki są całkiem inne. Nie ma w nich nic niedobrego. — Odwróciła się i odeszła bez pożegnania.

— Głupia wariatka — syknęła za nią Selma.

Komplet chińskiej porcelany, pomyślał Henry: filizanki, spodeczki, talerze, wszystko w takie same wesołe wzorki i bez obtłuczonych krawędzi. To jest coś, na czym powinny być wychowywane jego dzieci. Czekał na Amelię w restauracji The Anchor, bawił się popielniczką stukając i obracając ją w palcach.

Zastanawiał się, czy będzie choć trochę zmartwiona, gdy jej powie, że odpływają już wkrótce do Zatoki. Upił duży łyk wódki z tonikiem. Ostatnio czuł jakieś niebezpieczne podniecenie na samą myśl o wojnie; więc modlił się o pokój z większą niż zawsze gorliwością, a parę dni temu został nawet w kaplicy na całą noc. Wyszedł o wschodzie słońca. Myślał o ludziach ze swego szwadronu i chciał wyprosić ich przebaczenie. Nie przestawał się o to modlić. Właśnie myśl o tym, że będzie naprawdę potrzebny wywoływała tę niepokojącą ekscytację. W czasie wojny ludzie stają w obliczu świata podstawowych wartości. Pozostaniesz żywy, albo nie, i tutaj otwierało się pole dla jego działania. Tu mógł pomóc. Wszystkie lata pracy i przygotowań będą wreszcie mogły być wykorzystane, jak nigdy dotychczas. Westchnął. Myśli rozbiegały się po jego głowie jak mali ulicznicy na widok policjanta, wędrowały i uciekały

nie chciane i wypędzane z różnych zakątków, odwracając i zmieniając niektóre pomysły, wysypując własną zawartość w różnych, niepożądanych miejscach. Potarł oczy kłykciami, mocno, aż do bólu, przyciskając kostkami gałki oczne. Słyszał bicie własnego serca w pulsujących tętnicach.

Kiedy wreszcie rozluźnił uścisk i podniósł wzrok, Amelia wchodziła właśnie do restauracji. Była blada, zauważył podnosząc się, żeby pomachać jej na powitanie. Mimo że lato dobiegało już końca, na jej twarzy nie było ani śladu opalenizny. Potrzebowała go. Może jeszcze nie zdając sobie z tego sprawy, ale z całą pewnością potrzebowała go. Szła nie śpiesząc się przez salę. Zawsze było dla niego zaskoczeniem, kiedy obserwował, jak prosto i śmiało chodziła. Podejrzewał, że psychicznie raczej przemykała się przez życie skulona i przygarbiona. Uśmiechnął się do siebie: w głębi serca jest jednak sfrustrowanym starszym bratem. W domu nie miał młodszego rodzeństwa, ani choćby psa, albo kota. Tylko dwóch, dużych, wciąż zajętych, choć pragnących jak najlepiej, mężczyzn.

Amelia przyjrzała mu się badawczo, zanim pocałowała go na powitanie. — Masz nieco zaczerwienione oczy. Dobrze się czujesz?

— Ja? — uśmiechnął się. — Absolutnie znakomicie. — Poszedł do baru, aby zamówić dla niej whisky z wodą, a kiedy wrócił zapytał bez zbędnych wstępów: — Oglądałaś już starą mleczarnię?

— Nnie... Jeszcze nie — odparła czując, że jej wzrok mimowolnie bada okolice podłogi. — Właściwie nie jestem pewna co do tej kafejki. Albo raczej, martwię się, że Kingsmouth nie jest właściwie dobrym miejscem. — Pociągnęła mały łyk i poczuła do siebie pretensję za to ciągłe używanie różnych, niepotrzebnych „właściwie”, „w gruncie rzeczy”, „chyba właśnie”, albo „całkiem”, kiedy tylko miała do powiedzenia coś niezbyt przyjemnego, jakby próbując rozcieńczyć daną myśl w potoku akceptowalnej nijakości.

— Chyba się już nie poddajesz, co? — Henry przyglądał się jej wyczekująco. Miała ochotę spojrzeć na niego w taki sam sposób, ale zamiast tego spuściła oczy w poczuciu winy. Tak samo, jak na różnych uroczystych kolacjach, przyszło jej na myśl. Nagle wśród dziesięciu osób zapadała cisza i Amelia czuła się wtedy w pełni odpowiedzialna za to, żeby jakoś ją przerwać.

— A zresztą może to by się nawet udało — dodała z ociąganiem. — Sama nie wiem.

Henry uśmiechnął się do niej. — Czego nie wiesz?

Amelia roześmiała się. — Od czego trzeba zacząć? A zresztą i tak nie sądzę, że znajdę w sobie dość wiary, żeby cokolwiek doprowadzić do końca. No wiesz... jako dziecko mówisz: Chcę grać na gitarze, chcę nauczyć się jeździć konno, chcę zbudować z zapalek model wieży Eiffela. A dorośli kiwają głową i odpowiadają: W porządku, kochana, wszystko pięknie, ale czy będzie ci się chciało to skończyć? A teraz sama potrafię się o to zapytać. Nie potrzebuję pośredników. Zawsze, kiedy mam jakiś nowy plan, kiedy daję się porwać fantastycznym projektom mówię sobie: Dobrze, moja miła, to jest naprawdę kapitalne i wspaniałe, ale czy kiedykolwiek doprowadzisz to do końca? I to zwykle pomaga. Jestem z natury maniaczką planów i marzeń. Zawsze dostrzegam za jakimś fantastycznym pomysłem następny, jeszcze lepszy, choć nie za bardzo sprecyzowany — przerwała. I znów widziała jego wzrok utkwiony w sobie z taką uwagą, jakby to, co mówiła naprawdę miało znaczenie. Trochę zbита z tropu, zaczęła bawić się naszyjnikami z pereł. Wygrała go kiedyś w bożonarodzeniowej loterii i Gerald wyraził nadzieję, że nie będzie go zakładać. Ale ona sądziła, że jest bardzo ładny.

— Wciąż myślę, że to ciekawy pomysł — zaczął Henry. — Tylko musisz się raz zdecydować i podjąć odpowiedzialność. Masz tu w okolicy wielu emerytów, są też turyści. Wszystko, czego teraz potrzebujesz to zapełnić półki z książkami Hardym, Dickiem Francisem i Jackie Collins, no i już.

Amelia dokończyła whisky z wodą wykrzywiając się trochę. Trenowała ostatnio picie różnych takich „męskich” drinków, po prostu dlatego, że uważała świat za przepełniony kobietami zamawiającymi zawsze wytrawne, białe wino.

— W sklepiku z czasopismami naprzeciwko jest bardzo dużo książek, ale są starannie schowane pod różnymi kolorowymi magazynami specjalizującymi się w przeróżnych dziedzinach i pod komiksami z żółtymi Ninja. Musiałabym mieć specjalnie tresowanego gończego psa, żeby je tam znaleźć. Mogłabym też zakupić trochę dziwacznych załączników, jakieś nagrania klasyki, „Recytacje. Poezja klasyczna”. Ale w zasadzie chciałabym mieć tam same książki. Będę jednak liberalna w wyborze: „Seks i zakupy”, „Seks i cierpienie”, „Seks a twój intelekt”, „Brak seksu i nadmiar intelektu”. Wszystko tam będzie. Widzę siebie na szczycie roz-

klekotanej, bibliotecznej drabiny, próbującą wydostać jakieś zakurzone tomiszcze z górnej półki a przy okazji zjednującą sobie klientelę moim intelektualizmem i zgrabnymi nogami.

— A co z ciastkami?

— Och, tym się nie martw. Jakoś je tam zmieszczę. Oczywiście, jeśli zdecyduję się na ten cały kram — westchnęła. — A nie sądzę, żebym się kiedyś zdecydowała.

— To zabrzmiało tak, jakbyś w ogóle nie panowała nad swoim życiem. — Henry wyglądał na lekko zirytowanego.

— Niektórych ludzi Bozia obdarowała samokontrolą — oznajmiła Amelia sztywno — a niektórych nie. Więc nie szydź z biedaków dotkniętych takim nieszczęściem.

— Bzdura — uciął Henry. — Zamówimy coś?

Za każdy razem, kiedy Amelia jadła w tej restauracji, zastanawiało ją konsekwentne użycie brązowej barwy w wystroju wnętrza. Ciemnobrązowe belki stropowe, brązowe krzesła i stoliki na brązowej podłodze. Nawet zasłony i tkanina obiciowa miały brązowe wzory. Zastanawiała się, co to za mały, złośliwy diabełek podrzucił tu czerwone serwetki...

Podano im ogromnych rozmiarów menu, z nieprawdopodobnymi wprost potrawami. „Sola z Dover smażona na maśle, z bananem”, „Pierś dzikiej kaczki w sosie kiwi”, „Filet Mignon garniowany szczypcami kraba”.

— A więc musi to być... sola z Dover z bananem — uśmiechnęła się znad karty do Henry'ego, który, zamyślony, bawił się serwetką. Składał ją, rozkładał i znów składał.

Wyciągnęła rękę i położyła ją na niespokojnych palcach Henry'ego. — To było cudowne, mieć takiego przyjaciela jak ty, przez ten cały czas. Wśród zbnikowanych staruszek, zdradliwych kochanków i całej reszty. Tylko strasznie żal mi twego ojca. Nie mogłam być dla ciebie wielką pomocą.

Na początku wydawało jej się, że Henry nie słuchał. Po chwili milczenia wziął głęboki oddech, jakby miał zamiar skoczyć do morza z dziesięciometrowej skały. — Odpływamy za tydzień, w poniedziałek. Na jakieś sześć miesięcy. Jeśli będzie wojna, to może i na dłużej. — Patrzył na nią z poczuciem winy wymalowanym wyraźnie na twarzy, jakby podejrzewał, że ta wiadomość będzie dla niej katastrofą.

Gdy Amelia nie odpowiadała przez długą chwilę, zapytał: — Dobrze się czujesz?

— Dobrze — uśmiechnęła się. — Myślę, że przez jakieś dziwne zrządzenie losu jestem uodporniona na mężczyzn, którzy odchodzą. A przynajmniej tego bym się po sobie spodziewała. — Zdała sobie sprawę, że to, co zaczęła mówić dla efektu, było prawdą. Daniel, jej ojciec, Willoughby i Gerald. Wszyscy w jakiś sposób odeszli. Skrzywiła się lekko i dodała: — To tak, jakby było zapisane w karcie zawodu: Mężczyzna — nie rodzący dzieci członek rasy ludzkiej. Owłosienie na całym ciele. Jeden fiutek. Często odchodzi.

W jego śmiechu była jakaś nutka pobłażliwości, pomyślała Amelia. Wziął jej rękę i podnosząc do ust całował po kolei koniuszek każdego palca.

Początkowo oddała się miłemu doznaniu jego ciepłych, suchych warg na skórze, ale potem zaczęła zastanawiać się co można by powiedzieć w ciszy, która, jak podejrzewała, zapadnie, kiedy już skończą się palce do pocałowania.

— Wszyscy księża w radio i telewizji każą nam się modlić o pokój. Oczywiście całkiem się z tym zgadzam, ale...

Henry przestał całować palce Amelii i odłożył rękę na jej dawne miejsce na stole. — Ale co?

— Nie rozumiem tego. Właściwie nigdy nie rozumiałam. Mówi się, że Bóg jest wszechmogący. Więc wszyscy zadają wciąż te same pytania: dlaczego zgadza się na mordowanie i torturowanie niewinnych dzieci? Dlaczego pozwolił, żeby ludzie masowo ginęli z głodu? A wojna, a holocaust? I wciąż słyszymy tę samą odpowiedź: Bóg dał nam wolną wolę. Nie jesteśmy kukiełkami. Jeśli nie moglibyśmy wybrać zła, nigdy nie poznalibyśmy znaczenia dobra. On cierpi wraz z nami, ale nie miesza się do naszych spraw. To dobrze, mówimy i mądrze kiwamy głowami. I jest tak, dopóki nie przyjdzie ktoś, kto każe nam się modlić. Ale po co, zadaję sobie pytanie: po co się modlić w obliczu takiej ostatecznej polityki Boga o nieingerowaniu w ludzkie życie?

— Ha, to by było łatwo, lekko i przyjemnie. — Henry podniósł rękę robiąc miejsce dla nadjeżdżającego talerza zupy ze stiltona i jabłek.

Amelia wbiła łyżeczkę w miąższ swojego awokado a'la Mary Rose o konsystencji miękkiej gumy. — Czekam. I żadne „Bóg raczy wiedzieć” mi nie wystarczy.

Całkiem niespodziewanie Henry spoważniał. — Nie mogę ci udzielić nieprzemakalnej, żelaznej, kuloodpornej odpowiedzi. Ale tyle wiedziałas sama. Natomiast najważniejsze jest to, żeby nie traktować modlitwy jak listy zakupów: długie życie, szczęście, zaraza na ciotkę Karolinę itd., ale jako coś, co pozwala na utrzymanie stałego kontaktu, stałych linii łącznościowych gotowych i otwartych. W obie strony. — Spóbował trochę zupy i szybko sięgnął po kieliszek wina.

— Biblia opisuje modlitwę jako coś w rodzaju pochodni w ciemności. — Przez chwilę siedział bez ruchu. — Może ci się to wyda wymijającą odpowiedzią w stylu „Bóg raczy wiedzieć”, ale spróbuję — odezwał się w końcu. — Kiedy byłem w szkole przygotowawczej, mój mistrz podarował mi książkę. Jej główną myślą było, że ludzie nie powinni zawsze i wszędzie dopatrywać się przyczyny, szukać powodów. Dlaczego mielibyśmy się spodziewać, że zrozumiemy Boga? W ostateczności, żeby być prawdziwym chrześcijaninem trzeba posiadać pewną umiejętność, podobną do tej jaką ćwiczą w sobie skoczkowie w cyrku. Być przygotowanym na przeskoczenie przepaści pomiędzy tym, co wiemy, a tym, w co wierzymy, że jest. Odsunąć zabezpieczającą siatkę pewnej racjonalnej wiedzy i po prostu skoczyć. Kiedy to zrobisz, zawisniesz nagle niebezpiecznie na tych wierzeniach, ale z czasem, po trochu, boży zamiar będzie ci objawiony. — Patrzył na nią i uśmiechał się. Potem dotknął palcem jej czoła i delikatnie przesunął w dół po Unii nosa, do ust. — Ja właśnie tak skoczyłem.

Po obiedzie, kiedy spacerowali nad brzegiem morza w letniej bryzie, Amelia zapytała: — Czy, jeśli wybuchnie wojna, będziesz się bał?

Nie odpowiedział od razu. — Prawdopodobnie. — Objął ją ramieniem i dokończył z właściwą mu witalnością: — Ale strach może być bardzo użyteczny, może wywołać wiele dobrej energii.

Amelia zatrzymała się gwałtownie. — Nie mówiłbyś tak, gdybyś znał moją matkę. Strach zrujnował jej życie. I prawdę mówiąc, nie dodał wielu radosnych chwil mojemu dzieciństwu.

Henry popchnął ją lekko i kiedy szli znów obok siebie zaczął mówić. — Strach musi być ujarzmiony, opanowany, dopiero potem robi się użyteczny. Z tego, co mi opowiadałaś, twoja matka walczy ze złudzeniami, z cieniami prawdziwego życia i wyrzuca z siebie swój strach we wszystkich kierunkach, nic na tym nie zyskując.

Amelia wysunęła się z jego objęcia. — Mówisz to tak, jakbyś sądził, że ona ma jakiś wybór. Ze zniszczyła swoje życie przez zwykłą nieuwagę.

— Przepraszam — odpowiedział cicho. Zatrzymał się i pociągnął Amelię do siebie. Otoczył jej twarz dłońmi, pochylił się i pocałował ją.

W świetle latarni ulicznej zobaczył, że Amelia się uśmiecha.

— Z czego się śmiejesz? — Henry opuścił ręce.

— Na pewno nie chcesz tego wiedzieć — odpowiedziała rzeczowo.

— Owszem, chcę.

Westchnęła i położyła mu ręce na ramionach. — Uśmiecham się, ponieważ bardzo mi się podobał twój pocałunek. Jesteś chyba najsympatyczniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. No i... — spojrzała w dół na czubki swoich niebieskich pantofli.

— No i...?

— No i poza tym podoba mi się to uczucie, kiedy silny mężczyzna nagle słabnie w moich ramionach. A jest to tym mocniejsze, że ów mężczyzna jest osobą duchowną — dokończyła szybko zdanie. — No właśnie. Mówiłam, że nie będziesz chciał wiedzieć, o czym naprawdę myślałam — zaczerwieniła się. To był błąd, pomyślała, niemal zawsze popełniam błędy, kiedy chcę być szczerą.

Henry patrzył na nią bez uśmiechu.

— No proszę, już jesteś obrażony.

— Nie, wcale nie. — Obeszli dookoła budynek i stanęli przed wejściem do hotelu.*— Jak długo tu zostaniesz?

— Wracam do mieszkania matki już jutro. Pobędę tam jakieś parę tygodni, a potem... — wzruszyła nieznacznie ramionami, jakby planowanie życia wymagało od niej, doprawdy, zbyt dużo wysiłku.

Henry zapisał sobie jej numer telefonu w Exeter i po chwili wahania pocałował ją jeszcze raz na pożegnanie i odprowadził do drzwi.

W jednej rzeczy jestem podobny do księżniczki Walii, pomyślał Henry jadąc szeroką szosą do Devenport rozbawiony tym dziwnym porównaniem. Żeniąc się będę wiedział, że cokolwiek się stanie nigdy nie będę mógł się rozwieść.

ROZDZIAŁ 20

Nazajutrz rano Amelia dostała w agencji handlu nieruchomościami klucze od starej mleczarni i właśnie chodziła po pustym wnętrzu słuchając Bacha na swoim walkmanie. Lubiła Bacha, ten spokojny ład, który nagle wybuchał prawdziwą pasją. Nie odziedziczyła po babci i matce ich zdolności do gry na fortepianie, ale odziedziczyła zamiłowanie do słuchania muzyki. Mozart, Chopin, Bach, Beethoven, ich muzyka zawsze towarzyszyła jej w momentach podejmowania ważnych decyzji i atakowania nowych pomysłów, jak werble towarzyszą bitwie. Skoro ludzie potrafią stworzyć coś tak pięknego i wzniosłego, to z całą pewnością wszystko jest możliwe. A przynajmniej myślała, że jest możliwe, dopóki słyszała te dźwięki.

Przeciągnęła wskazującym palcem po drewnianej półce pokrytej grubą warstwą kurzu. Wyobraziła sobie scenę, która rozegra się kiedyś, gdy Henry wróci z morza. Zaskoczy ją, kiedy będzie akurat obsługiwać jakiegoś gościa, albo układać książki na półkach. I co potem, pomyślała gorzko. Co wtedy zrobić? Rzucę się na niego? Czy przyznam mu się kiedykolwiek, że potrzebuję miłości, jak żołądek potrzebuje jakiegoś pożywienia, żeby móc normalnie funkcjonować, żeby w ogóle coś robić?

Wspięła się po skrzypiących, drewnianych schodach zasłuchana w swój ulubiony fragment koncertu. Myślała o Selmie, której starzenie się było wolnym i łagodnym procesem do momentu

śmierci Willoughby'ego; a potem, jakby wszystkie tamy zostały zerwane...

Przypomniała sobie, jak niegdyś przychodziły razem do mleczarni, żeby uzupełnić zapas jajek. Babcia pozwalała jej wybierać po jednym duże, białe jajka, sprawdzając, czy nie mają gdzieś pęknięcia. Amelia mogła teraz niemal poczuć pod palcami chłodną szorstkość skorupki, jakby pokrytych gęszą skórka. Potem kupowały śmietanę, żółtą, gęstą śmietanę, prawie tak tłustą, jak miękkie, niewyrobione masło. Westchnęła. Może to powinna być nadal mleczarnia. Pozostać, jak uparty, nie przynoszący żadnych zysków pomnik w czasach, kiedy ludzie z trudem znajdowali wolną chwilę, żeby postać w kolejce, choć w sklepach nie było już, jak dawniej, jednego obsługującego, ale kilka szybkich kasjerek. Bóg jeden wie, jak się czuli właściciele wiedząc, że mimo wprowadzenia nowych, bezcholesterolowych produktów ich mleczarnia już nie jest nikomu potrzebna.

Kiedy weszła do małego mieszkanka u szczytu schodów przyszło jej do głowy, że dla niej, a zapewne także dla większości klientów, pani Philips, właścicielka mleczarni od z górą trzydziestu lat, okrągła i odziana w staromodny fartuch istniała tylko jako ktoś wydający zza lady śmietanę, masło i jaja, a potem znikający jak wróżka w tajemniczym miejscu, gdzie gromadzili się wszyscy obsługujący w urzędach i sklepach, po załatwieniu swoich klientów. Gdy chodziła tak po mieszkaniu pani Philips, zaglądając do małej kuchenki, oglądając wąską sypialnię, gdzie wielobarwne róże na tapecie prowadziły zaciętą walkę z peoniami na zasłonach, czuła się tak, jakby właśnie odkryła pod telewizorem wystające nogi spikera prowadzącego program.

Zanim wyszła, zatrzymała się jeszcze na chwilę przed oknem w saloniku, które wychodziło na morze. Karmiąc oczy widokiem szarych fal ze spienionymi, białymi grzbietami pomyślała, że jest to idealny widok dla poety.

Później, tego samego dnia, powiedziała Selmie: — Zastanawiam się nad kupnem starej mleczarni. Pani Philips chce ją sprzedać i wyjechać do Portugalii. Zamieniłabym ją w antykwariat książek z małą kawiarenką. Albo może na małą kawiarenkę z częścią antykwaryczną?

— To bardzo miło, kochanie — Selma przerwała i myślała przez chwilę, zanim znów się odezwała. — Ale dlaczego nie chcesz

dalej prowadzić tam mleczarni? Ludzie potrzebują dobrej śmietany i świeżych jajek. Pani Philips zawsze miała najlepsze, świeżutkie, prosto z kurnika.

Amelia roześmiała się. Było jej zawsze szalenie miło, gdy Selma mówiła coś w tym stylu; coś całkiem normalnego i sensownego. Rosalinda uśmiechała się bardzo podobnie, kiedy Ronnie machał na pożegnanie rączką, albo sam trzymał butelkę.

— Myślałam o tym. Ale to by była katastrofa. Nikt nie chodzi już do małych sklepików branżowych. Łatwiej i szybciej można zrobić zakupy w dużym supermarkecie i załatwić wszystkie rzeczy w jednym miejscu, gdzie można kupić wszystko za jednym zamachem.

— W dzisiejszych czasach młode kobiety są strasznie leniwe — zauważyła Selma. — Nawet nie chce im się pchać wózka dziecięcego. Ubierają te biedne dzieci w kombinezony i przypinają pasami do tych śmiesznych leżaczków, które można nosić ze sobą, jak siatkę albo koszyk. — Podniosła do ust filiżankę kawy, ale jej ręka drżała tak silnie, że spotkanie warg i brzegu filiżanki wydawało się czymś nieprawdopodobnym.

Po chwili wahania, Amelia wyjęła delikatnie naczynie z rąk babci i przytrzymała je tak, żeby Selma mogła się napić. To był całkowicie prosty gest, ale gdy Selma popijała kawę, Amelii przyszło do głowy, że tu, w Cherryfield taki gest urastał do rangi popisywania się i chwalenia tym, co stanowiło tu artykuł pierwszej potrzeby: młodością i pełnosprawnym ciałem.

— Mam jeszcze twój stary wózek. Chyba stoi w garażu — ciągnęła Selma. — Można go pięknie oczyścić i będzie jak nowy.

Od jakiegoś czasu siedząca nie opodal panna White wyciągała w ich kierunku głowę, a jej usta poruszały się bezwiednie z każdym wypowiedzianym głośno zdaniem. Widząc, że nastąpiła mała przerwa w rozmowie pośpieszyła z pomocą. — Będzie dzidzius? — mrugnęła porozumiewawczo do Amelii.

Selma rzuciła jej złe spojrzenie, które zostało zignorowane z wprawą.

Panna Hudd usiadła na dawnym miejscu admirała w fotelu obok akwarium, które znów było pełne wody i nowych gupików. — Lubię małe dzieci — powiedziała swoim niskim głosem. — Dzieci i króliki. Nie ma w nich niczego niedobrego.

Amelia nagle zapragnęła, zarówno dla siebie, jak i dla tych dwóch, bezdzietnych starych panien, wyczarować niemowlę, które spełniłoby oczekiwanie widoczne w ich oczach o nagle łagodniejszym, trochę zamglonym spojrzeniu.

— W aktualnej sytuacji nie będzie żadnych dzidziusiów — oznajmiła wesoło, nie chcąc jednak całkiem przekreślać tej myśli.

— Nic się nie martw, zawsze to mówię — panna Hudd pokiwała głową ze zrozumieniem. — Te rzeczy zajmują trochę czasu.

— Zwłaszcza — wtrąciła ironicznie Selma — kiedy nie jest w to zaangażowany mążczyzna.

— Muszę koniecznie zdobyć trochę zieleniny dla królika — panna Hudd dała prawdziwy pokaz ignorowania uszczypliwych uwag Selmy.

— Przyniosła pani owies, prawda? — pochyliła się w stronę Amelii przyglądając jej się przenikliwie.

Amelia zaczerwieniła się. — Strasznie przepraszam. Zapomniałam na śmierć.

Panna Hudd poruszyła się niespokojnie w swoim fotelu. — To nic. Nic nie szkodzi.

— Och, zamknij się, ty stara wariatko — krzyknęła Selma wprowadzona nagle z równowagi.

Panna Hudd otworzyła szeroko oczy i po chwili wybuchnęła płaczem. Dorosłym kobietom nie wypada płakać, tak samo jak małym chłopcom. Panna Hudd, która właśnie zakosztowała zakazanego owocu łąkała z lubością na początku cicho i ostrożnie, a z upływem czasu, kiedy ziemia się nie rozstała i nie uderzył grom z jasnego nieba, płakała coraz głośniej i zapalczywiej, dopóki w drzwiach nie ukazała się siostra Morris. Rzuciła okiem na scenę w świetlicy i odwróciła się, żeby przywołać jakąś młodą pielęgniarkę. Przywozili to na myśl dyskretną uwagę szefa restauracji, który zauważył na stoliku wypełnioną popielniczkę. Panna Hudd została wywieziona.

Amelia była zaszokowana wyrazem przyjemności i satysfakcji, jaki rozświetlił twarz Selmy na widok upokorzenia starej kobiety. Panna White siedziała cicho, oparta, a raczej wciśnięta w oparcie swojego fotela.

Popołudniowe słońce świeciło coraz słabszym, jesiennym światłem. Było chłodniej i ciemniej, niż jeszcze tydzień temu. Selma drzemała: ożywczy efekt złościwości i udanego dokuczenia komuś innemu nie był zbyt długotrwały.

Z korytarza dobiegało co chwila znajome stukanie pielęgniarskich kłapek, potem do świetlicy zaglądała któraś z nich, sprawdzając, co się dzieje z rezydentami, czasem zabierając kogoś ze sobą i wywołując do pokoju. Jakby wyrwały chwasty z grządkki, jeden po drugim, przyszło na myśl Amelii. Co jakiś czas zaglądały przez jej ramię, sprawdzając, czy Selma jest również gotowa do wyrwania. W pokoju było gorąco, pewnie włączono już ogrzewanie, a telewizor brzęczał w kącie, nie dość głośno, żeby miało to jakiś sens, ale i nie tak cicho, aby można go było zignorować. Amelia zastanawiała się, gdzie mogły się podziać filiżanki Rosenthala, z których pito zwykle poranną kawę w Ashcombe. Selma kręciła się w fotelu nie otwierając oczu; burczało jej w brzuchu. Amelia westchnęła, cena życia jest wysoka, to jedno wiedziała na pewno.

Gdy wróciła do domu w Exeter, zapytała matkę: — Czy masz te rosenthalowskie filiżanki u siebie?

Dagmara potrząsnęła głową. — Muszą być w przechowalni, razem z innymi rzeczami. A co? Chciałabyś je mieć?

— Nie, nie, nic takiego, tylko tak pytam. — Amelia przewróciła stronę zakupionej niedawno książki, „Jak założyć własne przedsiębiorstwo — Przewyciężyć recesję jej własną bronią”.

— Zagraj mi coś — poprosiła po jakimś czasie, wskazując brodą w kierunku pianina. Dagmara posłusznie wstała z kanapy, gdzie siedziała przeglądając „Vogue”.

Słuchając „Traumerie” Amelia myślała, że nic, absolutnie nic się nie zmieniło w tym małym, porządnym mieszkanku. Od czasu załamania Dagmara powoli wróciła do dawnego kształtu swojej osobowości, jak wyrobiony kawałek gumy. Zaprzepaściła to, co prawdopodobnie było jej ostatnią szansą na miłość i zyskanie towarzysza życia, roztrwoniła swoje siły oraz energię i mimo to, nic się nie zmieniła. Cóż za marnotrawstwo cierpień.

Kiedy Dagmara skończyła grać Amelia zapytała tak, jak często pytała Selmę: — Dlaczego nigdy nie chciałaś grać zawodowo?

— Za bardzo kocham muzykę — odpowiedziała. — I mam zbyt dużo szacunku dla wielkich kompozytorów. Zasłużyli na to, żeby ich utwory były wykonywane przez najlepszych muzyków. A ja nigdy nie byłam w graniu więcej niż poprawna.

Amelia poczuła stare, znajome uczucie irytacji rozprzestrzeniające się w jej duszy jak wysypka na ciele. — Ale skąd właściwie możesz to wiedzieć? Nigdy się zbytnio nie starałaś. Ja wciąż czytam Dylana Thomasa i nie przestaję wcale marzyć o zostaniu dobrą poetką.

Dagmara wstała wolno od pianina i wygładziła spódnice. — Cóż, kochanie, jesteś w takim razie bardzo odważna.

Amelia nie powiedziała nic; była załamana. Po krótkiej pauzie zapytała tylko: — Masz może adres tej przechowalni? Obiecałam babci, że sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. — Małe kłamstewko sprawiło, że poczuła się jakoś lepiej.

Trzy dni później Amelia buszowała wśród kredensów i kufrów pełnych porcelany, srebra i książek, wymierzała długości i szerokości mebli, które niegdyś tworzyły dom, a teraz były tylko pozycjami w spisie dóbr przechowalni firmy przeprowadzkowej Grant & Son. Złocona lwia łapa od empirowego szezlongu Selmy wystająca spod zakurzonej narzuty, przywiodła Amelii na myśl sceny ze starych, amerykańskich filmów, gdzie trup biednego pana X był reprezentowany przez bladą stopę z etykietką na dużym palcu, wystająca spod prześcieradła w kostnicy.

Znalazła stare okładki skoroszytów, w których Selma trzymała wycinki z informacjami i zdjęciami różnych pięknych przedmiotów użytkowych: ręcznie malowanych krzeseł, wiktoriańskich kafelków, staromodnych kuferek na przyrządy do czyszczenia butów, lnianych prześcieradeł po okazyjnych cenach, edwardiaóskich słoików z grubego szkła do przechowywania jakiś prowiantów, kubeczków do mycia zębów z chińskiej porcelany. Obok rzeczy, których potrzebowała znajdowały się małe znaczki, a krzyżykami zaznaczono te z nich, które miała nadzieję kiedyś zakupić. Na końcu każdego skoroszytu znajdował się dział zatytułowany „Babilon”, zapewne na cześć Wiszących Ogrodów. Na tych stronach Amelia znalazła zdjęcia nieosiągalnych przedmiotów: obraz Moneta, krzesło Chippendale’a, komplet porcelany Flora Danica. Jednak Selma nie była materialistką, raczej artystką, przedstawiającą zmieniający się wciąż obraz swojego otoczenia. „Wejź tutaj, proszę” zdawała się mówić, jak dobrotliwy pająk zapraszający do swojej zaczarowanej sieci.

Za szerokimi półkami, zawinięte w plastikowe torby stały jej ulubione pudła na kapelusze. Zbierała je przez lata; ekstrawaganckie, bezużyteczne, w paski lub w kropki stały w dumnych szeregach na półce w hallu Ashcombe. „To tak dla draki, moi mili” śmiała się pokazując je gościom i przyjaciołom.

Amelia podniosła kilka z nich i położyła na szeszlągu, po czym przestawiła go na wolną przestrzeń w pośrodku pokoju. Rozejrzała się wokół i wyjęła z kieszeni swój czarny notesik, sprawdzając listę rzeczy. Przesunęła ulubiony fotel Selmy i ustawiła go obok szeszląga. Potem to samo zrobiła z dwoma małymi stolikami do kawy, kredensem z oszklonymi drzwiczkami, dwoma mniejszymi fotelami i stołeczkiem do opierania nóg. Ustawiła wszystkie meble blisko siebie, i zmierzyła powierzchnię, jaką zajmowały i odznaczyła coś w notesiku. Następnie otworzyła skrzynię z porcelaną i wyjęła parę naczyń od serwisu, dołączając je do rzeczy zgromadzonych wokół szeszląga. Wreszcie przed samym wyjściem przykryła cały ten zbiór dwiema narzutami.

Tego wieczora zadzwoniła do Henry’ego, na jego okręt. Swoje pytanie poprzedziła małym preludium. — Wiem, że nie jesteś jezuitą, ale czy twoim zdaniem cel zawsze uświęca środki?

Henry nie był wcale zaskoczony i Amelia błogosławiła go za to. — Zależy, jak sądzę, od celu jaki zamierzasz osiągnąć i od środków, jakimi chcesz to zrobić. Nieciekawa odpowiedź, wiem.

Amelia przez chwilę nic nie mówiła, potem zapytała: — To wszystko, czego mogę się spodziewać?

— Obawiam się, że tak — odparł rozbawiony. — Jeśli zechcesz powiedzieć mi coś więcej, z chęcią cię wysłucham.

— Och, Henry, naprawdę sama już nie wiem... Moim pierwszym odruchem w każdej sytuacji jest wyznać wszystko, zrzucić swój ciężar na barki kogoś innego, ale, myślę, że tym razem zaczekam.

— Jeśli jesteś tego pewna... — przerwał na chwilę, a potem odezwał się innym tonem. — Pierwsza sprawa, wypływamy w poniedziałek i właśnie miałem do ciebie zadzwonić, żeby zapytać, czy nie miałybyś ochoty spędzić ze mną tego weekendu. Mój przyjaciel zostawił mi do dyspozycji swój dom w Kornwalii. Sam wyjechał z rodziną na urlop pod namiot. Pomyślałem, że byłoby miło spędzić razem te ostatnie dwa dni.

Amelia oznajmiła, że to wspaniały pomysł i umówili się na sobotę rano w mieszkaniu Dagmary.

Być może jest błędem zbyt intensywne rozmyślanie o tych sprawach, zastanawiał się Henry wsiadając do samochodu i odjeżdżając do Łxeter. Być może z Amelią również tak jest, że pozostaje sprawa wiary, zdecydowania się na ten skok. Był już oczywiście zakochany wiele razy w kwitnących, wesołych dziewczętach, które studiowały, gotowały albo pracowały jako opiekunki do dzieci, ale przede wszystkim opiekowały się nim: Alice, Arabella, Olivia i Jane. Miłe dziewczęta o zdrowych zębach i dobrych charakterach, które nie komplikowały zbyt swego życia. A teraz Amelia. Zaczynał rozumieć, że jedną z przyczyn dla których zakochał się w niej tak szybko, było to, że czuł się przy niej całkiem inaczej. Traktowała go jak samoującego się akumulator. Czuł się przy mej... szukał przez chwilę odpowiedniego słowa... niezbędny, tak niezbędny. No i była taka śliczna. Westchnął i przeciągnął po włosach ręką, która zaczynała powoli robić się niepokojąco wilgotna.

Amelia kończyła pakowanie. Przed nią, na podłodze leżała mała, otwarta walizka. Jeszcze przed momentem leżała na łóżku, ale do pokoju weszła Dagmara, zadrżała na ten widok i zapytała, czy nie zdaje sobie sprawy z tego, ile brudu zbiera się na takich walizkach podczas podróży w bagażnikach samochodów, na dworcach i w przechowalniach albo zostawionych na ohydnych pasach transportowych lotnisk. I czy doprawdy nie wie, że te wszystkie bakterie i odrażające brudy są w tej chwili przenoszone na jej, Dagmary narzutę na łóżko, która wymaga prania chemicznego. Amelia ściągnęła walizkę na podłogę bez słowa protestu, a teraz właśnie przyglądała się jej kręcąc głową. Nie była wcale taka nieduża. Zawsze podobał jej się sposób podróżowania tylko z podręczną torbą, albo w najlepszym razie z plecakiem wyposażonym w najniezbędniejsze rzeczy i ubrania z nie gniotącego się materiału, które można zabrać wszędzie. Ale nigdy nie udało jej się zrealizować tego marzenia. Jej szafirowa marynarka z jedwabiu nie mogła być tak po prostu zwinięta. I lniane szorty i szyfonowa spódnica w pastelowe kwiaty, a poza tym musiała zmieścić zestaw do makijażu i buty. Wiedziała, jak jej do twarzy w słomkowy kapeluszu z wywiniętym rondem... Spojrzała na zegarek; była jedenasta i Henry mógł zadzwonić do drzwi w każdej chwili.

Był, naprawdę, taką przemiłą osobą. Wiedziała, że dla większości

jej przyjaciółek i znajomych określenie „przemiły” nie było wystarczającym argumentem, żeby ubrać się z taką dbałością i starannie pomalować usta, ale dla niej był to chyba największy komplement, na jaki mogła się zdobyć. Henry z pewnością był najmiłszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznała. Kiedy się uśmiechał, cała twarz rozjaśniała mu się radością i często śmiał się na głos. Słuchał jej uważnie. Był taki... optymistyczny. Kiedy potrzebowała przyjacielskiej rady i wsparcia, zawsze był gotów jej pomóc.

Sięgnęła po torebkę, zostawioną na komodzie i jej wzrok spoczął przez moment na zeszytce z wierszami leżącym obok. Parę kawałków było dobrych, niektóre, bynajmniej nie te najlepsze, zostały opublikowane w różnych czasopismach, ale w sumie było tego po prostu za mało, żeby wysłać do jakiegoś wydawnictwa. Na okładce zeszytu umieściła cytat z Elizabeth Smart: „Trzeba zadowolili Naturę, zanim zaprosi się Boga”.

To właśnie, doszła do wniosku Amelia, jest może odrobinę zbyt pompatycznie sformułowane, ale zawsze, gdzieś w podświadomości była o tym głęboko przekonana: trzeba najpierw uporządkować życie emocjonalne, zanim zacznie się pisać. Pompatyczne, ale mądre. Natomiast teraz, teraz zdała sobie sprawę, co naprawdę niosła ze sobą ta sentencja wypisana na zeszytce. Był to pretekst, żeby odłożyć prawdziwe życie na bok. Być może, pomyślała, dla Elizabeth Smart jest to prawdziwy klucz do życia, ale nie dla mnie. A poza wszystkim, czy można zaprosić kogokolwiek, Naturę czy Boga do tak chwiejnej, żałosnej budowli? Westchnęła gładząc wierzchem dłoni jedwabne fałdy swojej ulubionej, morelowej koszuli nocnej. Chwiejna budowla... niezbyt wesoły obraz własnego życia; nie taki też chciałyby zobaczyć w oczach Henry'ego...

Potem pomyślała o czekającej ich podróży i zatrzasnąwszy walizkę powiedziała do siebie na głos: — A niech tam, przecież jeden weekend nie może nikomu zaszkodzić!

Henry zaprosił ją na lunch do małego pubu w Modbury i wcale nie od razu zeszli w rozmowie na temat Selmy i domu opieki. To było jakby testowanie się nawzajem, pomyślała Amelia, upewnianie się, że jest dla nich jeszcze jakaś inna przestrzeń istnienia, niż Cherryfield. Przypomniała sobie, jak pewnego dnia Rosalinda, siedząc w jej

kuchni z małym Ronniem na kolanach powiedziała smutno: Chris i ja umiemy rozmawiać już tylko o jednym: o dziecku. Jak gdybyśmy szli przez życie równoległymi do siebie ścieżkami, które krzyżują się tylko na Ronniem i kiedy wyczerpie się ten nasz jedyny temat rozmowy siedzimy tak koło siebie w uprzejmej ciszy, czekając aż nas zbawi jakiś kolejny krok, albo ząbek, albo nowe słówko.

Amelia przypomniała sobie teraz Geralda otoczonego kłującą ciszą, jakby był jednym, wielkim kaktusem. Henry nigdy nie ukłębły nikogo swoim milczeniem. Rzucał się w każdą nową rozmowę z energią przypominającą szczeniaka, który atakuje radośnie nowego przyjaciela. Cała ta jego energia; w środku upalnego dnia, kiedy nawet brzęczenie much zdawało się ciche i leniwe, siedział prosto, bez najmniejszej oznaki zmęczenia, jakby odgrywał jakąś rolę w sztuce, a nie po prostu odpoczywał.

W czasie lunchu chciał dowiedzieć się od niej wszystkiego na temat mleczarni, czy dalej poważnie myślała o otwarciu kafejki? Czy miała jakieś plany związane z dziennikarstwem?

Amelia zaczęła się czuć, jak jedna z tych dumnych matek, które urodziły pierwsze dziecko w późnym wieku, wycieńczona, trochę sfrustrowana, ale czarująca.

— Bardzo chciałbym poczytać jakieś twoje wiersze — oznajmił Henry.

Amelia uśmiechnęła się z zakłopotaniem. — Mały duszek gdzieś je zapodział i nie wiem jak ich szukać.

— Ha, ha — odpowiedział drwiąco.

— Nie powinienes mnie wyśmiewać — głos Amelii był pełen wyrzutu. — Ostatnio zaczęłam znowu pisać śmieszne wierszyki dla agencji Happy Thoughts, wydającej kartki okolicznościowe, żeby podtrzymać swoje stare nawyki.

— Naprawdę? — Henry wyraźnie był zainteresowany.

— Naprawdę — odparła Amelia. — Ale odesłali mi całą ostatnią serię.

— Musisz spróbować jeszcze raz — nie poddawał się.

Później, kiedy jechali autostradą w kierunku Kornwalii, Henry podśpiewywał pod nosem jakieś mruzcanki, nie znane Amelii z żadnej konkretnej piosenki. Ma nawet całkiem niezły głos, pomyślała. Głębszy i dźwięczniejszy, niż ten, którym posługiwał się w rozmowie. Przyszło jej na myśl, że musi zapewne dobrze brzmieć w kościele. Z głową

opartą na zagłówek i odwróconą nieco w jego stronę obserwowała w milczeniu nieznaczne ruchy, uważne, skupione spojrzenie dobrego kierowcy. Potem przeciągnęła palcami po jego mocnym przedramieniu. Było gorąco i skóra w zgięciu łokcia była wilgotna.

— Masz ładne ręce — powiedziała.

Henry zaczerwienił się lekko. — Wiesz co — uśmiechnął się nagle — podobno moja matka zawsze mówiła to ojcu. Nie mógł nigdy dociec, dlaczego właściwie za niego wyszła. Miał wtedy prawie pięćdziesiąt lat, dwa razy tyle, co ona. Był statecznym i trochę nudnym mężczyzną; tak przynajmniej twierdził. Pamiętam, jak się kiedyś z tego śmiał: „To na pewno miało jakiś związek z moimi rękami; ona twierdziła, że są seksowne”.

— No dobrze, dobrze — teraz Amelia się śmiała. — Twoje ręce też są seksowne.

Kiedy spojrzała na zegarek, pomyślała, że przyjadą na miejsce w porze obiadowej. Zastanawiała się, jak wygląda ten domek. Henry powiedział co prawda, że Cowanowie zostawią im w lodówce jakieś jedzenie, ale mimo to wzięła ze sobą żółty ser i winogrona, kilka bułeczek i dżem domowej roboty. Prawdę mówiąc, dżem był zrobiony w jakimś innym domu i zapewne przeszedł przez niejedne ręce na targu domowych produktów organizowanym co miesiąc w Abbotslea, ale wyglądał bardzo domowo: był z truskawek, słóiczek miał miły, pękaty kształt, a wieczko było obignięte kawałkiem kolorowego materiału z malowniczą falbanką. Amelia próbowała nie dopuszczać do siebie myśli o tym, że Henry wyjeżdża i to wyjeżdża tak niedługo, a może nawet weźmie udział w prawdziwej wojnie? Ten pomysł wydawał się całkiem absurdalny w takie słoneczne, normalne i spokojne popołudnie. Pewnie tak samo absurdalny, zadrzała na samą myśl, jak osiem lat temu wydawał się tym, którzy żegnali najbliższych odpływających na Falklandy.

Otrząsnęła się ze swoich myśli. — Dwadzieścia cztery godziny — powiedziała poważnie. — Tylko pomyśl, mamy całe dwadzieścia cztery godziny tylko dla siebie. — Uśmiechnęła się, kiedy położył rękę na jej dłoni nic nie mówiąc.

ROZDZIAŁ 21

Gdy tylko wysiedli z samochodu przed niedużym kamiennym domkiem, otoczonym ogrodem pełnym róż, naparstnic i kapusty, drzwi wejściowe otworzyły się i wybiegł im na spotkanie mały chłopiec. Pędził ile sił w nogach po ścieżce i wybiegł przez furtkę, żeby ostatecznie, w euforii zarzucić ramiona na szyję Henry'ego.

— Wujek Henry, wujek Henry! — piszczał z radości. — A mama powiedziała, że nie będziesz zadowolony, jak nas zobaczysz, ale prawda, że jesteś? — Mały mógł mieć najwyżej pięć lat i był całkowicie przekonany, że jego mama musiała się bardzo pomylić.

— Elvira jest chora! Przez całą noc rzygała. — Podskakiwał z podniecenia wzniesając małe chmurki kurzu na ścieżce. — Najpierw się wyrzygała w swoim łóżku. No a potem przyszła do mojego, bo jej się całe kleiło. No a potem wyrzygała się w moim — jego głos przechodził w pełen radości pisk. — No a potem...

Henry spojrzał na Amelię błagalnym wzrokiem nad jasną główką chłopca. — To Freddie, mój chrześniak.

Amelia odpowiedziała mu bezradnym uśmiechem.

— A ty jesteś Amelia? Mama powiedziała, że chcesz być całkiem sama z wujkiem Henrym. Możesz przyjść do mojego pokoju, jest duży, naprawdę, chodź! — Freddie wziął ją za rękę.

Mama Freddiego właśnie ukazała się w drzwiach i machając im z lekkim zażenowaniem, zawołała: — Strasznie mi przykro, wybacz-

cie, ale spanie pod namiotem z Elvirą w takim stanie... możecie sobie wyobrazić.

Henry podszedł do Jenny Cowan i ucałował serdecznie w oba policzki. — Mark jest w środku, ogląda lekką atletykę — poinformowała go i podała Amelii rękę na powitanie. — Proszę, wejdz do środka, zaraz ci pokażę twój pokój.

Teraz cała sztuka, żeby nie wybuchnąć bezradnym płaczem na schodkach domu Cowanów.

— Pójdę po torby — oznajmił Henry i zniknął im z oczu.

Wchodząc na górę, Jenny wyjaśniła: — Wiemy, jak to jest z „powołaniem” Henry’ego i wszystkimi tymi sprawami, więc daliśmy wam osobne pokoje. Ale obawiam się, że Henry będzie musiał spać w jednym pokoju z Freddie’em. Muszę zresztą przyznać: uśmiechnęła się ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu — że mały nie mógł się nacieszyć z takiego obrotu spraw. Jak dowiedział się, że przyjeżdżacie, a jego tu nie będzie, był okropnie obrażony.

Otworzyła drzwi do małego, słonecznego pokoju, którego większą część zajmowało ogromne, podwójne łóżko stojące, jak wyrzut sumienia na samym środku. — Mam nadzieję, że będzie ci tu wygodnie. Skoczę tylko zobaczyć, co robi Elvira i zaraz nastawię herbatę. Będzie gotowa za parę minut.

Bądź praktyczna i myśl pozytywnie, powiedziała sobie Amelia w trakcie wieszania ubrań do szafy. Mogło być gorzej. Jak? Tego sobie jeszcze nie potrafiła wyobrazić. Zastanawiała się przez chwilę. Przynajmniej dzieci były miłą odmianą od Cherryfield, spróbowała. I Jenny wydaje się bardzo sympatyczna. Wyczyściła zęby i studiując w lustrze swoją twarz uśmiechnęła się radośnie na próbę. Wyszło niezłe. Zeszła na dół, gdzie wszyscy już zebrali się na herbatę.

Mark zaproponował jej dżin z tonikiem zamiast herbaty. — Żeby jakoś przewyciężyć pierwszy szok. — Uśmiechnął się szeroko, jakby wszyscy uczestniczyli w czymś świetnym dowcipie.

— Dziękuję. Herbata wystarczy.

Podeszła do Henry’ego, który siedział uśmiechnięty, ale z takim wyrazem oczu, jakby dostał właśnie potężny cios od kogoś, komu całkowicie ufał. Wzięła go za rękę i zwracając się do gospodarzy starała się nadać swojemu głosowi tak serdeczny ton, jaki tylko umiała z siebie wykrzesać. — To świetnie, że mam okazję poznać

was obydwój — uśmiechnęła się ciepło. — I dzieci też, oczywiście. — Została nagrodzona pełnym wdzięczności spojrzeniem Henry'ego.

Po herbacie Henry zaproponował Amelii mały spacer po okolicy. — Mogę pójść, mogę pójść? — Freddie, który był zajęty układaniem zoo z klocków lego, aż podskoczył z radości i pobiegł szukać swoich butów.

— Nie musisz zakładać butów, Freddie, na dworze jest sucho jak pieprz — zawołała za nim Jenny.

Na zewnątrz, kiedy tylko wyszli z domu, Henry znów wziął Amelię za rękę. — Strasznie mi przykro — szepnął. — Chcesz wyjechać? Moglibyśmy zatrzymać się w jakimś hotelu.

Freddie biegał dookoła nich, jak jakiś rozochocony szakal. — A na statku wujka Henry'ego są prawdziwe samoloty.

— Helikoptery — sprostował machinalnie Henry.

Freddie zataczał coraz mniejsze kółka. — Amelia, słyszysz? Na statku wujka Henry'ego są helikoptery. Tysiące helikopterów!

Amelia uśmiechnęła się do chłopaczka. — To naprawdę wspa-
niałe. — I szepnęła do Henry'ego: — Nie moglibyśmy im tego zrobić, prawda? Byłoby im okropnie przykro. — Miała nikłą nadzieję, mówiąc te słowa, że Henry zaoponuje, ale oczywiście tego nie zrobił.

— No i jeszcze ta sprawa z pokojami... — Henry objął jej ramiona. — Widzisz, bo Jenny wie, co ja sędzę, co zwykle sędzę na temat...

— Wujku Henry, czy Bóg kocha każdego? — przerwał mu Freddie. Skończył wreszcie swoje szalone biegi i szedł obok nich, cały różowutki, z wilgotnymi od potu kosmykami włosów na skroniach.

— Tak, Freddie, Bóg kocha wszystkich — Henry rzucił Amelii nieszczęśliwe spojrzenie. — Wszystko się zrobiło nagle takie skomplikowane. Gdybyśmy mieli dla siebie przynajmniej tę jedną noc...

— A czy Bóg kochał dinozaury? — Freddie wcisnął się pomiędzy nich wkładając w ich ręce swoje ciepłe łapki.

— Tak! — prawie krzyknął Henry. — Tak, dinozaury też.

Freddie zmarszczył brwi. — Ale jeśli je kochał, to dlaczego pozwolił, żeby wyginęły?

Kiedy Freddie i Elvira poszli już spać, Amelia pomogła Jenny posprzątać z kuchni ich zabawki. Potem wyszła do ogrodu, żeby zebrać trochę kwiatów na stół i wracając z naręczem dorodnych, nakrapianych naparstnic prawie wpadła w drzwiach na Henry'ego, który wychodził po drewno do kominka.

— Naparstnica — uśmiechnęła się do niego. — Dla dzieci.

Henry odstawił koszyk na drewno, objął ją i mocno przytulił do siebie gniotąc kwiaty. — Uwielbiam cię, wiesz o tym? — wymamrotał te słowa szybko i równie szybko wypuścił ją z objęć, podniósł koszyk i pośpiesznie wyszedł na zewnątrz.

Amelia stała przez chwilę patrząc za nim, ze zgniecionymi kwiatami w rękach. Było kilku mężczyzn, którzy mówili, że ją kochają, ale jeszcze nigdy nie była „uwielbiana” w taki sposób. Uśmiechała się układając kwiaty w wazonie Jenny.

Henry otworzył butelkę wina, Jenny serwowała zapiekankę lasagne; brakowało jej jednego rogu, który został zjedzony przez dzieci. Po lasagne podano sery Amelii i karmelizowane pomarańcze. Kiedy Mark zaczął mówić o wojnie w Zatoce, roztrząsając każdy aspekt sprawy, rzucając jak z rękawa zasłyszanyymi i wyczytanymi w gazetach informacjami, zastanawiając się nad możliwościami i ewentualnościami, Amelia z roztargnieniem bawiła się odkrawając kawałeczki sera i wkładając je do ust. Przez całe nasze życie, zastanawiała się, gdzieś zawsze toczyła się wojna. Równie dobrze mogliby tu teraz siedzieć i z takim samym zainteresowaniem rozprawiać o czarownicach, duchach i smokach, jak o wojnie. A to dlatego, doszła do wniosku, że gdzieś, głęboko pod warstwami strachu i podniecenia żadne z nich tak naprawdę w nią nie wierzyło.

— Oho, Mark, jak już zaczął o Zatoce, to będzie trwało godzinami. — Jenny wykrzywiła się do Amelii. — Kiedyś też był w marynarce. I dzięki temu wszyscy się poznaliśmy. — Odsunęła swój talerz i położyła rękę na ramieniu Henry'ego. — No, chłopaki, możecie zająć się zmywaniem. Choć, Amelio, już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie usiądziemy i pogadamy w spokoju.

Amelia wstała posłusznie, buntując się w duchu przed tego rodzaju miłą gościnnością, która, jak lepka sieć pajęcza, zabierała wspólne chwile z ich ostatniego weekendu.

Henry wstał również. — Zacznijmy więc to sprzątanie — rzucił w stronę Marka.

— Nie ma pośpiechu — Jenny uśmiechnęła się wspaniałomyślnie. — Wy dwaj rzadko kiedy macie okazję pogadać. My sobie damy radę, prawda, Amelio? — Odwróciła się w jej stronę, a ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, spróbowała znów: — Amelio, prawda?

Amelia czuła, że nie ma siły już dłużej walczyć o czas z Henrym. Pozwoliła się usadzić na sofie, obok Jenny i uraczyć kawą z czekoladowymi rurkami o smaku miętowym, wariant specjalnie długi.

— Czy można ich nie ubóstwiać? — Jenny zachichotała wkładając już trzecią czekoladkę do ust.

Nie, chciała powiedzieć Amelia. Nie znoszę ich. Lubię tylko te 0 smaku pomarańczowym. Ale zamiast tego mruknęła pod nosem i uśmiechnęła się na znak zgody.

— Musisz mieć już kompletnie dosyć tych wszystkich gadek o wojnie. — Jenny ponownie sięgnęła do pudełka i nie dając Amelii dojść do słowa stwierdziła nieoczekiwanie: — Wiesz, on jest całkiem tobą zafascynowany, to widać. Parę razy mieliśmy okazję go widzieć z różnymi dziewczynami, ale nic nigdy nie wydawało się aż tak poważne. — Po chwili dodała trochę łagodniej: — Oczywiście czekał na kogoś wyjątkowego i wydaje mi się, że wreszcie go znalazł.

— Nie znamy się jeszcze tak dobrze — odparła Amelia raczej mało romantycznym tonem. Irytowało ją, że ich całkiem niezobowiązujący wzajemny afekt został bezceremonialnie wyciągnięty na światło dzienne i jednoznacznie podsumowany przez Jenny. — To znaczy... większość naszych spotkań odbywała się w domu dla starców; no i poza tym, jestem starsza od niego — dodała dla równowagi.

— A teraz jeszcze masz nas wszystkich dookoła w czasie waszego ostatniego weekendu — zaśmiała się Jenny. — Biedna Amelia...

Amelii zrobiło się wstyd, zaczerwieniła się i zaoponowała dość nieprzekonującym tonem, ale Jenny tylko się śmiała.

Było jej gorąco, więc przeprosiła i poszła do łazienki, żeby trochę się odświeżyć, pomalować usta i uperfumować. Kiedy wróciła, Jenny podniosła na nią zdziwione spojrzenie. — Do licha, pamiętam te wszystkie wysiłki zanim się pobraliśmy. Daję ci jeszcze dwa miesiące i założę się, że po ich upływie będziesz wyglądać tak samo sflaczałe, jak my teraz.

Ona w ogóle nie słuchała tego, co mówiłam, pomyślała Amelia. Ale kiedy Henry przyłączył się do nich ze ścierką do naczyń przewieszoną przez ramię, poczuła nagle, jakby otwierały się przed nią jakieś nowe drzwi.

W końcu, rozmyślał Henry, Jenny mogłaby chociaż raz zasugerować, że byłoby mu wygodniej dzielić pokój z Amelią. Ale nie zasugerowała. W czasie kolacji niemal słyszał zegar odmierzający minuty ich ostatniego wspólnego wieczoru. A Amelia była coraz cichsza i bardziej zamyślona. Kiedy jest czymś zmartwiona, zauważył, lekko przygarbia już i tak szczupłe ramiona, przez co sprawia wrażenie o wiele mniejszej niż w rzeczywistości. Siedząca obok niej Jenny ze swoją krzepką, rumianą twarzą okoloną bujnymi, czarnymi włosami wydawała mu się wręcz nieprzyzwoicie mocna i żywa. Była tak całkowicie zatopiona w swoich sprawach rodzinnych, iż zdawała się w ogóle nie dostrzegać, że tuż obok, dwoje ludzi tak desperacko potrzebuje być sam na sam ze sobą. I wreszcie Mark. Mark był jego najbliższym przyjacielem, ale zachowywał się wcale nie lepiej, ciągnąc rozważania nad wojną w Zatoce w nieskończoność. Henry pomyślał o swoich młodych marynarzach i dziewczętach w służbach sanitarnych, którzy mieli odpłynąć wraz z nim w poniedziałek, nie wiedząc, czy u celu podróży nie czeka ich wojna. Nagle poczuł w sobie wzbierającą wściekłość na Marka i wszystkich tych mężczyzn, którzy wymądrzali się, siedząc wygodnie w swoich miękkich fotelach, w bezpiecznych domach, mówiąc z żalem, jak bardzo chcieliby „tam” być.

Z dolnego piętra łóżka dobiegało jego uszu chrząkanie i pochrapywanie Freddiego. Chłopak wiercił się i przewracał rozrzucając ręce i nogi na wszystkie strony. Wyglądało na to, że już zasnął. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, Henry spuścił nogi i cicho zeskoczył na miękki dywan.

— Wujku Henry — Freddie usiadł na łóżku wyprostowany. — Gdzie idziesz? Mama mówi, że duzi chłopcy nie mogą siedzieć długo po nocach.

— Idź już spać, Freddie, proszę cię.

— Nie mogę.

— Idź spać, Freddie, mówię poważnie — syknął Henry.

— Jesteś wstrętny. — Freddie miał łyzy w oczach. — Mama powiedziała, że musisz być bardzo miły dlatego, że jesteś kapelanem — pochlipywał. — Ale ty wcale nie jesteś miły. I jest mi niedobrze. Chcę do mamy.

Henry westchnął. Ukłękł przy łóżku chłopca i pogłaskał jego gorący i wilgotny policzek. — Przepraszam cię, Freddie. Zaraz zawołam mamę. Ale najpierw chodź do łazienki.

Freddie, cały czas trzymając Henry'ego za rękę, wygramolił się z łóżka.

— No i jak się spało? — zapytała rześko Jenny nazajutrz rano. — Obawiam się, że Henry może mieć dosyć swojego chrześniaka na jakiś czas. Biedny mały nie spał prawie całą noc. — Uśmiechnęła się promiennie do Elviry, która siedziała na wysokim plastikowym czerwonym krzesełku, przysłuchując się z zainteresowaniem. — Czy moja mała żabka zaraziła swojego braciszka?

Amelia i Henry poszli do kościoła sami. Tym razem nikt nie wyraził chęci towarzyszenia im. Siedząc koło Henry'ego w ławce, przyglądała mu się kątem oka. Chociaż to nie był jego parafialny kościół, zdawało jej się, że i tu przestał być tylko Henrym, a stał się kapelanem, własnością publiczną. Myśl o jego pocałunkach i czule mamrotanych pieszczotliwych słowach wydała się w tym miejscu jakoś przyjemnie nieodpowiednia, jak siedzenie w sądzie ze świadomością, że jest się jedyną osobą, która wie, że pod swoją togą, sędzia jest nagi. Pośród całej, dość wątpliwej wiedzy, w którą natura wyposażyła kobiety, pomyślała Amelia, musi być jakaś informacja dotycząca osłabienia požądania skierowanego ku osobom urzędowym.

Obok niej Henry wciąż klęczał głęboko pogrążony w modlitwie, więc przestała wreszcie mu się przyglądać i odklepała Ojciec Nasz, żeby przypadkiem jej niskie myśli w jakiś sposób nie przeszkodziły jego kontemplacji.

Po lunchu z Cowanami pożegnali się i odjechali do Exeter. — Prześlę wam mój nowy adres, obiecuję! — Amelia krzyknęła jeszcze przez otwarte okno samochodu. — Musicie mnie odwiedzić.

Henry roześmiał się. — Takie gorące pożegnanie może być

spowodowane nieczystym sumieniem. Ale teraz poważnie — przestał się śmiać — byłaś naprawdę wspaniała i jestem ci wdzięczny za ten weekend.

— Przyjdę ci pomachać jutro rano. — Pogłaskała jego włosy, układając je za uchem. — Czy twoje włosy nie są już za długie? Nie będziesz musiał być ostrzyżony?

— Prawdopodobnie — uśmiechnął się w odpowiedzi. — Będę pewnie jutro bardzo zajęty. Wybaczysz mi to?

Kiwnęła głową.

Zatrzymawszy samochód pod domem Dagmary, siedzieli jeszcze przez jakiś czas w środku, objęci, nic nie mówiąc. Henry patrzył gdzieś, przed siebie. Nagle wypuścił ją z objęć i sięgnął do kieszeni wyjmując z niej mały, złoty wisiołek w kształcie serca. Przez chwilę trzymał go w wyciągniętej ręce. Małe serduszek dyndało na cienkim, złotym łańcuszku. — Należał kiedyś do mojej matki. Chciałbym móc myśleć o tym, że teraz ty nosisz go na sercu.

Amelia dotknęła delikatnie matowego złota koniuszkiem palca. — To piękny medalionik.

— Proszę, noś go.

Usiadła wygodniej i odetchnęła. Potem wzięła medalionik i zamknęła go w garści.

Henry dotknął lekko jej policzka, wodząc palcem po linii jej dolnej szczęki do warg. — Masz, jak to się mówi, wyrazistą twarz. Nic przede mną nie ukryjesz, więc powiedz, co jest nie w porządku? Czy jestem za szybki?

Amelia spojrzała przed siebie w zamyśleniu, więc po chwili dodał miękko: — Jesteś wspaniałą osobą, Amelio i tak miła, że nie chcesz zrobić nic, co by mnie zmartwiło, ponieważ jutro odpływam, być może na wojnę; czy tak? Ale widzisz, właśnie dlatego jest dla mnie bardzo ważne, żebyśmy byli ze sobą szczerzy. — Wziął ją za rękę. — Przypuszczam, że po prostu chciałbym wiedzieć, co do mnie czujesz?

— To takie śmieszne — odparła. — Jesteś pięć lat młodszy ode mnie, ale w porównaniu z tobą czuję się nie całkiem dorosła i nie do końca ukształtowana. I jeszcze nie... — szukała przez chwilę odpowiedniego słowa. — Jakie jest przeciwieństwo opanowania? Nieopanowanie. To też.

Podniosła jego dłoń do swojej twarzy, przyciskając mocno do

policzka. — Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez ciebie przez ostatnie parę miesięcy. No i, jak pewnie wiesz — wypuściła jego rękę — bardzo chciałabym się z tobą kochać. Tylko, widzisz, jeszcze nie tak dawno temu byłam przekonana, że spędzę resztę życia z Geraldem — przerwała na moment.

— Dopiero co skończyłam wypędzać go ze swojego serca. Muszę mieć przerwę, zanim zacznę z kimś innym...

— Jeśli to ostatnie zdanie miało w twoim zamiarze rozładować atmosferę, to nie nazwałbym go zbyt udanym — zauważył Henry, ale wypowiadając te słowa uśmiechał się.

— Henry, ten medalionik należał do twojej matki.

— Wiem, powiedziałem ci to właśnie przed chwilą.

I spojrział na nią z taką pełną zrozumienia czułością, że nagle poczuła się nieszczęśliwa: tyle było rzeczy, które musiał jeszcze zrozumieć. Otworzyła dłoń i spojrzała na medalionik. Potem podniosła rękę, żeby go nałożyć.

Henry powstrzymał ją. — Pamiętaj, szczerze! — powiedział poważnie.

Amelia spojrzała na niego w rozterce. — Dlaczego wymagasz szczerości akurat w takim momencie? Jestem dobrze wychowana, nie przywykłam do czegoś takiego.

Henry roześmiał się. — W każdym razie, zatrzymaj go i przechowaj w bezpiecznym miejscu. — Wziął cacko z jej ręki i wsunął do torebki, która leżała na kolanach Amelii.

— I tak miałam zamiar czekać, aż wrócisz i powitać cię w porcie, jeśli oczywiście będziesz tego chciał. Teraz jesteśmy w każdym razie przyjaciółmi — oświadczyła Amelia. — No i postaram się słuchać twoich rad. To ty powiedziałeś mi, że wciąż dryfuję po życiu oczekując od innych, żeby przynieśli mi to, czego pragnę. Jak jedna z tych kobiet w średnim wieku, które mówią gorzko: powinnam była wyjść za jakiegoś dyrektora, albo: powinnam być już matką młodego lekarza.

— Powiedziałem coś takiego?

Uśmiechnęła się. — Może nie dosłownie, ale coś w tym stylu; i miałeś rację. To mi już nie wystarcza. Mam trzydzieści jeden lat i większość życia spędziłam kręcąc się bez sensu, jak gołąb hodowlany, którego gołębnik został zburzony, więc próbuje przycupnąć na jakiejś nie swojej grzędzie. Jakoś nie miałam w tym

szczęścia. I nie mogę powiedzieć, że czuję się z siebie dumna, kiedy myślę o liście osób, z którymi mogłabym umówić się na wieczór i stwierdzam, że nie zostało na niej zbyt wiele imion.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie w policzek. — Rzecz w tym, że wkrótce poczułbyś to samo.

Henry już nabrał powietrza, żeby zaprotestować, ale Amelia położyła mu palec na ustach.

— Nie. Mówię poważnie. Będę musiała znów polubić się troszeczkę, zanim zacznę wszystko od początku i poproszę kogoś o to, żeby polubił mnie. — Przycisnęła swój palec mocniej do jego ust. — Proszę, Henry.

— Zmuszasz mnie, żebym czuł się przy tobie, jak jakaś średnio-wieczna księżniczka — udało mu się w końcu oswobodzić i powiedzieć coś na głos — czekająca na swojego przemoczonego, błędnego rycerza.

Amelia położyła mu głowę na ramieniu. — Jakaś księżniczka...

Henry odwrócił się gwałtownie i patrząc Amelii prosto w oczy, ujął w ręce jej twarz i pocałował w usta.

— A więc poczekam — powiedział.

ROZDZIAŁ 22

Kontury dużego, szarego okrętu wydawały się roztopiać w dżdżystej mgłę wrześniowego poranka, jakby za chwilę miały się całkowicie zdematerializować, pozostawiając na pomoście grupkę kobiet i dzieci stojących w pelerynach i pod parasolami. Amelia również stała na kładce, wśród innych żegnających. Ale wszystko odbywało się bardzo spokojnie i powoli. Najpierw usunięto kładkę, potem mechanicy pokładowi zwolnili wszystkie sznury i liny, pozostawiając tylko jedną łączącą forkaasztel z nabrzeżem, wreszcie włączono silniki i woda wokół okrętu zaczęła buzować i pieniać się. Trzy krótkie syreny, ostatnia lina wciągnięta na pokład i flaga Zjednoczonego Królestwa została opuszczona. Statek odpływał. Minął przesmyk u wylotu portu i powoli zniknął we mgłę. Wszyscy machali na pożegnanie. Wyglądało to całkiem inaczej, niż podniecone machanie powitalne, z wyrzucaniem rąk do góry i dłońmi bijącymi powietrze z ekscytacją. To był raczej spokojny salut, trzymane długo w górze ręce tak, jakby okręt jeszcze do końca nie odpłynął, dopóki ktoś na brzegu machał.

— Henry odpłynął. Syn admirała Malletta; popłynął do Zatoki Perskiej — Amelia oznajmiła babci tego samego ranka. — Patrzyłam, jak odpływają i machałam mu na pożegnanie.

Miała nadzieję, że stanie się cud, że Selma zrozumie i powie coś mądrego i kojącego.

Ale nie powiedziała nic, tylko patrzyła na Amelię z uwagą, jej ręka wciąż poruszała się na kolanach, w nie kontrolowanych, starych drgawkach.

Amelia poczuła znów przypływ irytacji, nie mogła na to nic poradzić. Jakie prawo miała ta osoba koło niej, żeby wyglądać zupełnie tak, jak Selma? Wizytująca dom fryzjerka ułożyła i ufarbowała jej włosy dokładnie według instrukcji Amelii. Miały teraz delikatny, błękitny odcień i układały się w luźne fale. Miała poza tym krótko obcięte paznokcie i nosiła ładniejszą z dwóch swoich poliestrowych sukienek. Była Huldrą, stworzeniem ze szwedzkich ludowych legend. Huldra pojawiała się pod postacią pięknej, młodej dziewczyny i zwodziła wędrowców w lesie. Prowadziła ich coraz dalej i dalej od drogi, aż do miejsca, gdzie korony drzew tworzyły zwartą kopułę i całkowicie przysłaniały niebo. Dopiero wtedy odwracała się i zbłąkany wędrowiec wiedział już, że został oszukany; tam, gdzie powinny być jej plecy, ziała ciemna dziura.

Huldra w Cherryfield wyglądała całkiem, jak mądra i kochana babcia, więc Amelia dała się zwodzić dalej.

— Na pożegnanie dał mi wisiołek, który kiedyś należał do jego matki. Trudno się w tym wszystkim połapać. To przyszło tak niespodziewanie i tak niedługo po Geraldzie... — Spojrzała na Selmę, która wydawała się jej słuchać z zainteresowaniem. — Wiesz babciu, nie mogę tak ciągle zrywać i zaczynać od nowa różnych związków. Zaczynam się czuć, jak sztafeta na wyścigach. Zawsze sztafeta, a nigdy zawodnik. Teraz znowu, bardzo polubiłam Henry'ego, a on odpłynął, może na wojnę i może już go nigdy nie zobaczę. — Westchnęła. — Nalegał na to, żebym była z nim całkiem szczerą; wiesz, jak fatalnie się można poczuć w takiej sytuacji...

Selma zamrugała, jakby właśnie dopiero co się obudziła. — Och, kochanie, nie rozmawiajmy o wojnie; wiesz, jak tego nie znoszę. Wszystkie te filmy i programy robiące z niej jakies, proszę cię, podniecające i romantyczne wydarzenie, podczas gdy naprawdę to było coś makabrycznego.

Żegnaj babciu, witaj Huldre, pomyślała z rezygnacją Amelia.

Selma postarała się jednak coś z siebie dać. — A poza tym, co u ciebie, kochanie? Byłaś ostatnio na jakimś miłym przyjęciu? — jakby zmuszała się do wynalezienia odpowiedniego tematu konwersacji z nudnawym gościem.

Amelia westchnęła, ale od razu pokryła swoje rozczarowanie uśmiechem. — U mnie wszystko wspaniale, dziękuję.

Kontakt fizyczny, przyszło jej nagle do głowy. Może o to chodzi, może to jest sposób na przebicie się przez tę nieznaną mgłę, która otaczała Selmę. Spojrzała ukradkiem, ale uważnie na jej ręce, jak ktoś, kto przyszedł wybrać dziecko z sierocińca. Jedna, jak zawsze tańczyła swój starczy taniec, druga leżała spokojnie. Jeżeli weźmie tę drżącą i bezradną tym bardziej jej litość będzie jasna i babci będzie niemiło. Wzięła więc w dłonie tę zdrowszą rękę.

Selma wydawała się zadowolona; jej powieki zaczęły powoli opadać, jakby zaraz miała usnąć. Amelii przyszło na myśl, że w Cherryfield jedyną okazją, żeby poczuć otaczające cię ramiona, czyjaś bliskość i ciepło drugiego, ludzkiego ciała były chwile rutynowych codziennych czynności, kiedy czyjeś ręce sadzały cię na toaletę, podnosiły z łóżka, myły, wycierały, ale nikt cię nie dotykał dlatego, że miał na to ochotę.

Po jakimś czasie w drzwiach ukazała się głowa siostry Williams. Kiedy zobaczyła Amelię i Selmę uśmiechnęła się szeroko i zawołała, — Aa, tu jesteście; pani Merryman, wszędzie pani szukam. — Zabrzmiało to tak, jakby sądziła, że Selma bawi się z nią w chowanego. Podeszła do nich pchając pusty wózek. — Czas na pani opatrunek.

Selma gwałtownie odchyliła się w fotelu. — Niestety, nie mogę teraz pójść. Jest u mnie wnuczka. — Odprężyła się trochę. — Chyba jeszcze się nie znać.

— Och, oczywiście, że się znamy, droga pani. Prawda panno Lindsay? — Pielęgniarka mrugnęła w stronę Amelii. — To będzie tylko chwilka, pani Merryman. Jestem pewna, że pani wnuczka zaczeka. — Zaczęła pomagać Selmie wstawać z fotela.

Nagle Amelia poczuła paznokcie babci wbijające się w jej ramię. — Musisz mnie stąd zabrać. Chcę już wrócić do domu. — Selma zaczęła płakać.

Z fachowo wykonanym obrotem siostra Williams posadziła ją na wózku. — Hop, siup i już! — powiedziała śpiewnie, jak do małego dziecka. — Świetnie nam poszło, prawda, pani Merryman?

Amelia pomyślała, że takie pielęgniarki muszą wyrobić w sobie podobną głuchotę na wybrane rzeczy, co matki małych dzieci. — Proszę poczekać jedną chwilkę, siostró, dobrze? — poprosiła. — Babcia jest trochę zdenerwowana.

Pielęgniarka pochyliła się i szepnęła poufale: — Wiem, kochanie, że to trochę przykre, ale ona zaraz wszystko zapomni i kiedy wrócimy znów będzie uśmiechnięta i świeża jak pączek róży. — I kiedy Amelia patrzyła na nią z otwartymi ustami, sprawnie zwolniła hamulce wózka jednym lekkim kopnięciem czubka swojego białego, pielęgniarskiego klapka.

Amelia położyła rękę na ramieniu babci.

— Wszystko w porządku; jest w dobrych rękach — powiedziała siostra Williams pewnie, chociaż w jej dużych, brązowych oczach pojawił się wyraz pokrzywdzenia. Takie same oczy miała pani King, przypomniała sobie Amelia. Pani King była sąsiadką Dagmary, z którą matka zostawiała małą Amelię, gdy musiała gdzieś wyjść. Nie znosiła jej szczerze, żywiąc do niej stałą, jadowitą i całkowicie nieuzasadnioną nienawiść. Za każdym razem, kiedy Dagmara szykowała się do wyjścia, jej córka dostawała istnych ataków hysterii i wycia. Pamiętała dokładnie ten sam wyraz niezasłużonego pokrzywdzenia i urazy w oczach poczciwej pani King, jakby biedaczka broniła się przed nigdy nie wypowiedzianymi zarzutami złego traktowania dziecka. A Dagmara była zakłopotana zupełnie tak, jak Amelia w tej chwili. Równocześnie ze współczuciem dla Selmy czuła zakłopotanie jej brakiem taktu.

Pogłaskała niezdarnie pochlipującą wciąż babcię i spróbowała jeszcze raz przekonać pielęgniarkę. — Wiem, że wszyscy się tutaj nią opiekują. Nie o to chodzi. — Poklepała lekko babcine ramię. — Już dobrze — powiedziała półgłosem. — Wszystko w porządku.

Selma podniosła głowę. — Nic nie jest, do diabła, w porządku! — i zaczęła znów głośno szlochać. — Już nic nie rozumiem. Robert powiedział, że będę tu tylko przez krótki czas, ale nikogo nie obchodzi, co ja mówię. Wszyscy nagle udają, że ogłuchli, kiedy tylko zaczynam o tym mówić. — Wyciągnęła z rękawa swetra różową chusteczkę higieniczną i wytarła nos.

Miała mały, trochę zadarty nos, jak u ładnej, młodej dziewczyny. Amelia pomyślała ze smutkiem, że niektóre nosy w ogóle się nie starzeją. Uklękła przy wózku i otoczyła babcię ramionami. — Ja cię słucham — powiedziała, po czym zwróciła się do siostry Williams: — Zaraz przywiozę ją do Aneksu, za jedną chwilkę, jeśli można?

Siostra Williams wciąż wyglądała na głęboko urażoną, ale odwróciła się i posłusznie odeszła.

— Boję się, Amelio. — Selma zwiesiła głowę, jak czasem robią to dzieci. Kiedy znów ją podniosła, jej oczy miały wyraz rozpaczliwego błagania. — Boję się, że umrę w tym przeklętym miejscu.

To był pierwszy raz, kiedy Selma wspomniała o śmierci. Niektórzy starsi ludzie wciąż mówią, albo o swojej, albo o śmierci innych, w pewien zaangażowany, wręcz łakomy sposób, jakby była ona jakimś ekskluzywnym hobby. Jednak Selma zawsze unikała tego tematu, jakby to był przykry zapach. — Nie zwracaj na niego uwagi, kochanie, a zaraz przejdzie.

Jej nierówne paznokcie wbijały się boleśnie w ramię Amelii, a oczy utkwione były w jej oczach, z napięciem śledząc każde mrugnienie i drgnienie jej twarzy. Tak, jakby podsumowanie całego jej życia było zapisane w moich rysach, pomyślała Amelia patrząc na nią bezradnie w milczeniu. I co miała jej odpowiedzieć? Nonsens, będziesz żyła jeszcze przez wiele lat. Czy coś takiego chciałyby usłyszeć? Czy to miała na myśli Amelia, kiedy planowała od tygodni pewną rzecz, zastanawiając się, czy nie jest to tylko jakiś stopień szaleństwa, albo nadgorliwe marzenie. A teraz Selma, jeszcze niedawno spokojna i kochająca osoba, centrum jej życia, Amelii, błagała o jej pomoc.

Zamknęła na chwilę oczy zbierając siły, potem pochyliła się i wzięła obie ręce babci w swoje. — Będziesz w domu na Boże Narodzenie. Obiecuję ci to.

Selma westchnęła głęboko, wciąż drząc od niedawnego płaczu, i z ulgą opadła na oparcie wózka. — Dziękuję, kochanie. — I dodała niemal nonszalancko: — Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Amelia poczuła się, jakby właśnie z narażeniem życia rzuciła się ratować kogoś przed nadciągającym walcem parowym, żeby po chwili zorientować się, że to był tylko fragment Kniazia Patiomkina, a nie prawdziwe niebezpieczeństwo. Z wciąż bijącym sercem zawiozła Selmę do siostry Williams, która czekała na korytarzu prowadzącym do Aneksu. Selma powitała pielęgniarkę uprzejmym uśmiechem i dała się zawieźć do pokoju, jakby było jej to całkowicie obojętne.

Wszystko zrzuciła na mnie, pomyślała Amelia wychodząc do ogrodu. W Cherryfield miało się ochotę jak najczęściej wychodzić na zewnątrz, jakby dla zaczerpnięcia świeżego powietrza, W pewnej chwili, gdy zeszła na trawnik, miała wrażenie, że jeśli tylko podniesie oczy, zobaczy Henry'ego w jednej z tych okropnych koszul,

stojącego pod drzewem wiśniowym. Popatrzyłby na nią tymi swoimi przenikliwymi, brązowymi oczami, tak różnymi od oczu Selmy, w których wiek, łzy i poczucie zagubienia rozcieńczyły stopniowo intensywność ich dawnej barwy. A siostra Williams, pomyślała złośliwie Amelia, oddając się, jak dziesięcioletnia dziewczynka, przyjemności kopania kamyka po ścieżce, jej oczy przypominały ogromne, tęskne oczy krowy, którą odepchnięto od jej ulubionej kępy trawy.

— Nie ma dobrego sposobu na starość — poskarżyłaby się Henry'emu, pławiąc się w tym jego ciepłym zainteresowaniu, jakie miał dla wszystkiego, co mówiła. Usiadła pod drzewem, rozmyślając nad tym, ile miała racji. Oddajesz starszego człowieka do takiego Cherryfield i łamiesz mu serce. Zabierasz go, żeby mieszkał razem z tobą, z kolei on odbiera ci chęć do życia i optymizm, czyniąc z ciebie współwięźnia w lochu swojej starości. „Nie dziękuję, Rosalindo. Nie mogę jechać z tobą do Londynu, babcia nie znosi dobrze podróży pociągami.” Albo: „Szanowny Wydawco, mam nadzieję, że spodoba się panu mój artykuł na temat japońskich przedsiębiorców w Milton Keynes. Niestety, nie mogłam się przekonać na własne oczy, jak wygląda Milton Keynes, ponieważ jestem jedyną opiekunką wymagającej stałej opieki starszej osoby”.

Amelia zastanowiła się, jak długo Selma wytrzymałaby jeszcze pozostawiona sama sobie w Ashcombe, jeśli nie postanowiliby zainterweniować?

Siedziała tak pod drzewem zastanawiając się nad wszystkimi powodami, dla których nie powinna wypełnić danej babci obietnicy. Przypomniała sobie też słowa Henry'ego, który powiedział kiedyś, że beczynność może być czasem również ciężkim grzechem. Może nawet najgorszym, bo nie karany sądownie. Spojrzała na zegarek i wstała pośpiesznie, czując, że jej spódnica jest cała wilgotna. Jestem jednym z takich życiowych załamywaczy rąk. Można takich spotkać wszędzie, przy okazji małych nieszczęść i wielkich katastrof dziejowych. Naszym mottem jest „O, jejciu, jejciu”. Już w kołysce, wciśnięci pomiędzy dobrą i złą wróżkę patrzymy wokół z niepoko-
jem, „o jejciu, jejciu”.

— Pani Merryman odbywa właśnie małą drzemkę — oznajmiła siostra Williams, kiedy Amelia weszła do hallu, rozglądając się za babcią. — Niestety, zawsze sporo ją kosztuje sam widok zmiany

bandaży. — Iz podziwu godną szybkością zanurkowała w głąb korytarza, gdzie u podnóża schodów panna Hudd właśnie lokowała się na podnośniku dla wózków. Bez słowa wyjęła jej z rąk paczuszkę zawiniętą w tłustawy papier.

— Gotowana marchew z kuchni — mruknęła w stronę Amelii i oddaliła się bez zbędnych komentarzy.

— A żebyś szczeła, morderczyni — panna Hudd wymówiła te słowa cicho, ale wyraźnie, po czym wstała z podnośnika i ruszyła w stronę świetlicy. Przechodząc koło stojącej w drzwiach Amelii, nawet na nią nie spojrzała. Usadowiła się na krześle trochę oddalonym od reszty rezydentów. Amelia odczekała chwilę, a potem podeszła do niej i zapytała: — Czy ta marchew była dla królika?

Panna Hudd odwróciła wolno twarz w jej stronę, w oczach malował się jej taki niewysłowiony ból, że Amelia wzdrygnęła się, jakby dostała policzek jej wielką ręką pokrytą niebieskimi żyłami.

— Bardzo mi przykro, że zapomniałam wtedy przywieźć pani owsa. Może pojechałabym teraz, jeśli pani się zgodzi. — Niezły sposób na to, żeby stąd wyjść, choć na chwilę, to po prostu włączenie się w jej fantazje, pomyślała. Kup uśmiech teraz, zapłacisz później.

— Za późno. — Panna Hudd nie patrzyła już na nią i mówiła bardziej do siebie. — Marchew też by się już nie przydała, ale czułam, że jestem mu winna chociaż tyle.

Amelia zastanawiała się, co odpowiedzieć, kiedy panna Hudd spojrzała nagle prosto w jej oczy. — Chodź i sama zobacz. Teraz to już nie ma żadnego znaczenia. — Podniosła się ciężko z krzesła.

Kiedy weszły do jej pokoju na pierwszym piętrze, panna Hudd zbliżyła się do komody stojącej przy pustej ścianie naprzeciwko wąskiego łóżka. Odstawiła jedną kulę i opierając się tylko na drugiej otworzyła ciężką górną szufladę. Spojrzała na Amelię. — Tutaj — powiedziała cicho.

Przekonana, że zobaczy pluszową zabawkę, Amelia zbliżyła się i zajrzała do środka. Na kawałku grubego, zielonego aksamitu leżało coś, co z początku przypominało zwitek jasnoszarej wełny. Ale potem zauważyła jedwabiste ucho i małe łapki. — O, mój Boże — zakryła ręką usta i zrobiła odruchowo krok do tyłu.

Panna Hudd odstawiła drugą kulę i opierając się bokiem o ścianę wyciągnęła swoje ogromne ręce i podniosła ostrożnie małe

stworzonko na piersi. Przesunęła się i oparła plecami o ścianę. Amelia odwróciła wzrok na chwilę, trudno było znieść wyraz oczu staruszki. Potem zbliżyła się i szepnęła: — Czy on już nie żyje?

Panna Hudd pochyliła się i pocałowała bezwładną główkę. Rzadkie rzęsy drgnęły, jakby królik chciał otworzyć oczy, potem znieruchomiał całkiem.

— Nie miałam właściwie nic przeciwko temu, żeby tu przyjechać — powiedziała panna Hudd już całkiem zrównoważonym tonem. — Zaczynałam już nie dawać sobie rady sama, wciąż się parzyłam albo przewracałam. W końcu zgodziłam się, chociaż mój siostrzeniec uprzedził, że nie można tu trzymać zwierząt. — Zanurzyła twarz w zmierzwionym futerku, a kiedy ją podniosła, w jej oczach były łzy. — Nie mogłam pojechać bez niego. Rozumiesz, prawda?

Wyglądała tak, jakby miała za chwilę osunąć się na podłogę.

Amelia podparła ją i pomogła przejść przez pokój. Przyciskając małe zwierzątko do piersi panna Hudd opadła na fotel. Siedziała cicho, głaszcząc delikatnie szare futerko. Jej duża ręka przykrywała ciało królika, jak ciężki koc. Nagle rozpłakała się.

— Zobacz, jaka ja jestem duża! Spójrz tylko na mnie. W szkole nauczyciel zawsze mówił, pozwólcie to zrobić Hudd. Jest dużą i silną dziewczynką. A moja matka często powtarzała, zaufaj Elizabeth, ona sobie poradzi. Jest taka rozsądna i zdolna. Spójrz tylko na mnie! — Ze łzami wyciągnęła przed siebie swoje długie ręce, trzymając na nich nieruchome ciało zwierzątko. — Już nie ma ze mnie żadnego pożytku — szepnęła — żadnego pożytku. — Płakała cicho, dużymi łzami, które spadały jedna za drugą na łebek królika.

Amelia uklękła obok fotela i łagodnie położyła rękę na jej ramieniu. — Tak mi przykro, że nie uwierzyłam pani, strasznie przepraszam. Jeśli się pani zgodzi, zaraz zawiozę go do weterynarza.

Panna Hudd potrząsnęła głową tak gwałtownie, że jej warkocz odpiął się i spadł na plecy. — Już za późno. On nie żyje. — Potarła swoje mokre policzki o futerko królika, pokrywając go pocałunkami. Potem z drżeniem wyciągnęła zwierzątko w stronę Amelii. — Weź go, proszę i pochowaj za mnie pod drzewem wiśniowym, dobrze?

— Chciałbym, żebyś korzystała z samochodu w czasie mojej nieobecności — powiedział Henry tego ranka, zanim odpłynęli. — To będzie dla mnie pomoc. W innym razie musiałbym go sprzedać, albo płacić za garaż.

Amelia położyła więc martwego królika na podłodze samochodu i, ponieważ Selma wciąż jeszcze spała, pojechała w stronę miasta, czekając, aż zrobi się ciemno. Wstąpiła na herbatę do jakiejś kawiarni i jeszcze raz, przy okazji, rzuciła okiem na mleczarnię. Potem wróciła do Cherryfield i siedziała obok śpiącej babci, dopóki kontury wiśniowego drzewa rosnącego pośrodku trawnika nie zaczęły rozmywać się we mgle nadchodzącego wieczoru.

Przedtem wyjęła z komórki ogrodnika łopatę i schowała pod gęstymi krzewami rododendronu. Teraz wydobyła ją stamtąd i wyjęła też z samochodu ciało królika owinięte w biały ręcznik. Czuła przez materiał jego delikatne, cieniutkie kostki. Był lekki, jak piórko. Spojrzała na niebo; była ciemna, bezgwiezdna noc. Kiedy odrzuciła łopatą wierzchnią warstwę ziemi, doleciał do niej charakterystyczny, mdły zapach wilgoci i zgniłych liści.

Wykopała dość głęboki dołek i włożyła tam królika w jego białym ręczniku, jak w śmiertelnym całunie. Ta mała kradzież dała jej trochę satysfakcji. Wiatr zaszumiał w gałęziach starej wiśni i parę liści spadło na ziemię. Jeden z nich wylądował na białej trumnie biednego zwierzaczka. Amelia wyobraziła sobie nagle siostrę Morris w czarnej szacie, z dzikim wyrazem twarzy mozołającej się nad o wiele większym grobem. Otrząsnęła się, jak ze złego snu. Siostra Morris była tu tylko nadzorczynią. Każdy, kto przewinął się przez Cherryfield, mógł mieć pewność, że będzie odpowiednio rozliczony i zakatalogowany.

— Każdy, ale nie ty — powiedziała półgłosem do martwego królika. Zaczęła zasypywać jego mogiłkę czarną ziemią, miarowo i dokładnie, aż do chwili, kiedy wszystko wyglądało tak, jak przedtem i nie można było się domyślić, że pod starą wiśnią ktoś był pogrzebany.

ROZDZIAŁ 23

Doreen? Mówi Amelia Lindsay. Tak, wszystko w porządku, dziękuję. — Amelia trzymała słuchawkę telefonu w pewnej odległości od ucha, bo najwyraźniej Doreen Hamilton nie dowierzała, że linia telefoniczna przeniesie jej głos do samego Exeter. — Dzwonię na prośbę wuja — skłamała Amelia. — On aktualnie mieszka w Brazylii, ale poprosił mnie, żebym się upewniła, czy wszystko jest w porządku.

Bawiła się kółeczkiem od kluczy zerkając przez otwarte okno na ulicę. Suche liście szurały po chodniku pędzone jesiennym wiatrem, jak plaga kolorowych szcurów, a Doreen głosem aż nabrzmiałym od narzekania, opowiadała jej o pęknięciach, plamach wilgoci na ścianach, obluzowanych kafelkach i dziwnych zapachach w piwnicy.

— Tak, więc wszystko dobrze — powiedziała serdecznie Amelia. — Mogę mu powiedzieć, że jesteście zadowoleni. — Ignorowanie wszelkich skarg z pełną werwą stanowczością było trikiem, którego się nauczyła od robotników pracujących przy remoncie w Starym Probostwie.

— A tak przy okazji—dodała szybko, kiedy zaskoczona Doreen już miała zamiar odłożyć słuchawkę — słyszałam, że spędzacie Boże Narodzenie w ciepłych krajach? Jedziecie na dłużej niż na same święta? — wplotła zręcznie swoje pytanie w słowa pożegnania, tak że zabrzmiało niewinnie, jak grzecznościowa formułka. — Aż do szóstego? Wspaniale — odłożyła słuchawkę i sięgnęła po kalendarzyk.

Czerwona tasiemka między stronami dużego kalendarza w niebieskiej skórzanej oprawie [Amelia zawsze kupowała najdroższe kalendarze, od czasu, gdy czytywała książki pani Miniver w wieku lat czternaście] była wsadzona między strony z datą 23 i 24 grudnia. Zaznaczona na czerwono data sprawiła, że Amelia podskoczyła, jakby usłyszała ogłoszone donośnym barytonem: „już tylko dwa miesiące”. Czas to pieniądz, szczególnie w ostatnich czasach, pomyślała siadając na łóżku z otwartym kalendarzem na kolanach. Coraz szybciej uciekał, wielkimi, a nie zauważanymi krokami. Kiedy się ma siedemnaście lat, dwa tygodnie liczą się bardziej, niż teraz dwa miesiące. Młodzi ludzie mają dużo do zrobienia nawet w czternaście dni. Teraz, właściwie, zmieniło się tak niewiele, a ona wciąż trwoniła cenne minuty, jakby miała ich jeszcze nieprzeliczone bogactwo przed sobą. Zamiast tego, powinna przecież pracowicie je hołubić i przeliczać, jak urzędnik bankowy ostrożnie przelicza monety kładzione przed klientem.

Westchnęła i podeszła do biurka, kładąc kalendarz obok listów od Henry'ego. Dla niego czas się zatrzymał. Płynął swoim okrętem gdzieś, po nieznanach wodach, może coraz bliżej wojny. Na biurku uzbierała się już pokaźna kupka jego listów. Wesołe, mądre, czasem piękne i wzruszające. W każdym z nich, między linijkami zapisanymi równym pismem pojawiał się ich ostatni weekend, jak nieme pytanie pozostawione bez odpowiedzi.

Później, tego samego dnia, Amelia stała przy oknie w pokoju Selmy i obserwowała powolne umieranie liści na drzewach. Były najpiękniejsze tuż przed samym opadnięciem na ziemię. Odwróciła się i spojrzała na Selmę.

Nie było już więcej mowy o powrocie do dawnego pokoju. Ponure popołudnia, wcześniej zapadający zmrok i zimne wiatry były trzymane na odległość, dzięki centralnemu ogrzewaniu i elektryczności, ale wydawało się, że mimo to, jak wyjące u drzwi wilki, nie przestały w jakiś dziwny sposób zagrażać rezydentom Cherryfield.

Siostra Williams powiedziała kiedyś: — Zawsze w zimie tracimy o paru więcej.

Tydzień potem umarła pani Ambrose. Sprowadzono jej męża, który siedział przy niej cały czas. Selma spędziła dzień w świetlicy, zanim pozwolono jej wrócić do pokoju, z porządnie zasłanym, drugim łóżkiem. Nie pytała o panią Ambrose, więc i nikt o niczym jej nie powiedział.

Nowy wikary przychodził z przedświąteczną wizytą do wszystkich rezydentów, nawet rozmawiał przez chwilę z Amelią, napomykając o pewnym znajomym rabinie. „Każde diablę, jak się zestarzeje, robi się nagle pobożne” — zwykła była mawiać Selma. Ale teraz, u kresu swojej drogi, o wiele mniej niż kiedyś obchodziło ją życie religijne. Amelia sądziła, że to dlatego, iż nie zdaje sobie sprawy, że jest stara.

— Pani babcia wydaje się ostatnio coraz bardziej zadomowiona w naszym Cherryfield, prawda? — zapytała kiedyś siostra Morris mijając Amelię w korytarzu. Jej usta ułożyły się w pozycji „uśmiech”.

— Zastanawiam się nad wzięciem babci do domu mojej matki na jeden dzień — oznajmiła Amelia.

Siostra Morris, która przedtem zwolniła tylko kroku, teraz zatrzymała się na dobre i odwróciła patrząc na nią uważnie. — Naprawdę, nie wiem, panno Lindsay. Zawsze zachęcamy naszych rezydentów do wizyt i wycieczek, ale z tymi dopiero co zagojonymi oparzeniami... Skóra jest cieniutka, jak bibułka.

W mieszkaniu w Exeter Dagmara właśnie myła ręce po raz trzeci w trakcie telewizyjnych wiadomości. — Wiesz, czuję się winna. Nie wyobrażasz sobie, ile zjadliwych uwag słyszę wciąż od ludzi na temat Selmy. Niektóre z jej dawnych kum dzwoniły nawet, żeby mi powiedzieć, jaką jestem złą córką, skoro oddałam ją do domu opieki. — Wtarła trochę kremu w spękana skórę rąk. — Ani jedna z nich, oczywiście z wyjątkiem starej Evelyn, nie pofatygowała się, żeby ją odwiedzić. Ale wszystkie wiedzą, że powinnam ją zatrzymać przy sobie.

Amelia napisała artykuł do lokalnej gazety na temat znaczenia, jakie ma dla starych ludzi utrzymywanie zwierząt domowych. Redakcja proponowała jej zamieszczenie kolejnego, dotyczącego problemów związanych ze starością. Wydawca zaproponował nawet tytuł: „Opieka nad starszymi ludźmi. Wstyd czy jatki?”

— Wstyd i jatki — poprawiła go łagodnie Amelia. I przyznała się, że nie przychodzi jej do głowy żadna alternatywa w odniesieniu do tego szczególnego wypadku.

— W jaki sposób zajmować się Selmą? — pytała teraz bardziej siebie samą, niż Dagmarę, przechodząc do saloniku. Wiedziała, że to jest jedno z tych pytań, na które nigdy nie znajdzie satysfakcjonującej odpowiedzi.

— Przepadam za Williamem Hurtem, a ty? — rzuciła w jej stronę Dagmara, wkładając kasetę wideo do odtwarzacza i sadowiać się wygodnie na sofie. Kiedy zaczęły się reklamy i zapowiedzi, zwróciła się znów do córki: — Jesteś pewna, że chcesz się osiedlić w takiej małej dziurze, jak Kingsmouth? Czy Londyn nie byłby dla ciebie odpowiedniejszy?

Szykując się z odpowiedzią Amelia poczuła się jakoś... nieodpowiednio; jak różowy guzik przy pomarańczowym sweterku. Wiedziała, że powinna uwielbiać Londyn za jego galerie i teatry, za sklepy i restauracje. I rzeczywiście go uwielbiała, ale jako gość. Próbowwała tam mieszkać, lecz na każdym kroku paraliżowała ją samotność, która spowalniała jej życie. Osłabiała ją aż do takiego stanu, że wstanie z łóżka rano stawało się prawdziwym wysiłkiem.

— Podoba mi się tylko to ekstrawaganckie i drogie oblicze Londynu, na które mnie po prostu nie stać — odparła porqując prawdę na strawne, małe kawałki specjalnie na użytek matki; zresztą kto w wieku trzydziestu jeden lat przyznałby się mamusi, że boi się dużego miasta? — Próbowалам polubić te nędzne, nawet najplugawsze dzielnice. Wmawiałaм sobie, że są takie kosmopolityczne i pełne wyrazu. Prawdziwe i żywe. — Rzuciła się na małą sofkę, przy ścianie. — Właściwie, dlaczego zawsze to, co parszywe jest określane mianem realnego? Tak, jakby inne rzeczy nie były realne. Na przykład czy duże, stylowe tarasy z palmami, albo herbatki u Ritza nie zasługują na to określenie? To właśnie jest realne dla niektórych... Szczęściarze, psiakrew.

— Cii — Dagmara wyciągnęła rękę po pilota i nastawiła głośniej telewizję.

Selma przewracała się niespokojnie w swoim łóżku i kiedy uderzyła ręką o jego twardy brzeg, obudziła się. Przez parę chwil myśli szybowały miękko po jej głowie, jak ptaki nad ciepłą laguną, po czym nagle, nieprzyjemnie sfrunęły w dół. To nie był kolejny, miły dzień, wypełniony domowymi obowiązkami.

Bach! Uderzyło ją to, jak fala przypląwu na morzu nieszczęścia i zaczęła niespokojnie wiercić się próbując usiąść. Daniel, Daniel nie żył, tak było napisane w tym Uście. Otworzyła usta i chrapliwie krzyknęła: — Daniel, Daniel!

Kroki na korytarzu stukały spiesznie w jej stronę i nagle zrobiło się jasno, gdy ktoś włączył górne światło. — Pani Merryman, pani Merryman! Co się dzieje? Dobrze się pani czuje?

Kiedy tego popołudnia Dagmara i Amelia przyjechały odwiedzić babcię, wszyscy kręcili głowami. — Była kompletnie zdezorientowana — opowiadała siostra Williams **wciągając** powietrze przez zęby. — Mówiła ciągle w jakimś obcym języku...

— Po szwedzku — sprostowała Amelia.

— ... potem przeszła na angielski, ale i to nic nie pomogło. Majaczyła coś o swoim mężu, który właśnie umarł i wciąż nazywała go Daniel, a przecież jej mąż nazywał się Willoughby.

Po tym incydencie Selma kurczyła się i marszczyła niemal w oczach. Proces starzenia przebiegał tak szybko, rozmyślała Amelia, jak rozwój kwiatu, który pokazany jest na filmach przyrodniczych w tempie stukrotnie szybszym niż naturalne. Rozpoznawała Amelię i Dagmarę, ale jej uśmiech stał się, jakby pozbawiony wszelkiej radości, niemal oskarżający. Za każdym razem, kiedy Amelia szykowała się do odejścia, czuła wyraźnie barierę między sytuacją gościa, który mógł wyjść kiedy chciał i więźnia, który nie mógł tego zrobić. Czasem nawet przychodziło jej do głowy, że Selma ją nienawidziła.

Kupiła starą mleczarnię. Musiała zamówić taksówkę bagażową do przewiezienia rzeczy z Abbotslea. W dniu, kiedy pojechała tam skończyć pakowanie, Gerald wziął parę godzin wolnego, żeby jej pomóc. Zasmucił ją swoją ujmującą łagodnością, okazywaną tak obficie, swoim ciepłym uśmiechem, który pamiętała dobrze z czasów, kiedy byli w sobie jeszcze zakochani. Przez to nie ukrywane zadowolenie, ba, szczęście, wynikające zapewne z przyjemności, jaką sprawiał mu fakt, że usuwała się z jego życia pozostawiając stosunkowo niewielkie straty, [jak słusznie zauważył, rysy na karoserii samochodu, po ekstrawaganckim parkowaniu w salonie, były prawie niewidoczne, a dywan przed kominkiem pięknie wyczyszczony] był już blisko ponownego wzniesienia w jej sercu nadziei.

Kiedy następnego dnia Amelia robiła zakupy w supermarkecie, niedaleko jej nowego domu, z zazdrością przyglądała się młodej, zmęczonej kobiecie, która pośpiesznie ładowała różne produkty do już i tak przepełnionego wózka na zakupy, zerkając co chwila na

dwóch kręcących się wokół rozbieganych malców sięgających jej może do pasa. Amelia spojrzała do swojego koszyka; nie potrzebowała nawet wózka. Zamieniam się w typową postać samotnej kobiety: jeden kotlet, jedna bułka i jedno mleko, pomyślała gorzko.

Ale już wkrótce jej samotność została ukojona codzienną rutyną. Doszła do wniosku, że taka beczynność ma jedną charakterystyczną cechę; jest bardzo czasochłonna. Wstawała nie wcześniej, niż o ósmej i prosto z łóżka schodziła po schodach na dół, gdzie na wycieraczce pod drzwiami czekała na nią codzienna prasa. Jedna gazeta lokalna i dwie krajowe. Czytała je w czasie śniadania, które zazwyczaj składało się z kilku tostów razowego chleba z masłem i miodem. Około dziesiątej była już ubrana i gotowa do pracy nad swoimi artykułami. Potem wychodziła na długi spacer wzdłuż klifów. Zapomniała już, jak bardzo kiedyś lubiła widok i zapach morza. Spacer był dobrą okazją do rozmyślań i snucia pełnych wigoru planów związanych z wieczorami poetyckimi w jej kafejce i z tłoczącymi się przy stolikach na dole londyńskimi krytykami. Nie udało jej się jeszcze wyszukać mebli, które by jej odpowiadały i jednocześnie byłoby ją na nie stać. Tak więc oferowała w myślach swoim fantomom poetów i dziennikarzy przeróżne meble; czasem krzesła z giętego drewna i okrągłe stoliki przykryte ciężkimi obrusami, a czasami dębowe stoły i ławy zamiast krzesel.

Po lunchu pracowała trochę dłużej nad swoimi artykułami i przeglądała notatki oraz materiały z korespondencyjnego kursu księgowości. Późnym popołudniem wędrowała zwykle na piechotę do Cherryfield.

Nie, niczego więcej nie pragnę w tym najstatyczniejszym ze wszystkich możliwych światów, westchnęła w myślach siadając obok Selmy śpiącej w fotelu w świetlicy. I co teraz pomyślałaby sobie **O** mnie Henry, po tych wszystkich odważnych i zuchwałych słowach wypowiedzianych w dniu naszego rozstania?

Przez całą jesień Amelia zbierała najładniejsze, kolorowe liście i zasuszała je w starym tomie — „Dzień zebranych” Strindberga. A kiedy ostatnie liście opadły z dębów w małym parku niedaleko portu i zostały zastąpione kolorowymi bożonarodzeniowymi lampkami, włożyła je wszystkie do olbrzymiej koperty i wysłała do Henry'ego. Przed odjazdem powiedział jej, że uwielbia jesień w Anglii. A teraz opisywał w listach upał, jaki panował na statku,

jakby jakaś gorąca błona przywarła do pokładu, zduszając wszelką energię i chęć do życia; jak za burzą, zamiast igrających w falach delfinów pływały w wodzie wydęte ciała zdechłych owiec wyrzuconych z transportera płynącego do Damanu.

Kiedy Amelia weszła do ogrodu w Cherryfield, jakieś kolorowe cętki pod starą wiśnią na środku trawnika przyciągnęły jej uwagę. Podeszła bliżej. Na trawie, w miejscu, gdzie został pogrzebany królik panny Hudd, leżały porozrzucane kawałki gotowanej marchwi.

— Zabieram babcię do domu na Boże Narodzenie — oznajmiła tego samego dnia siostrze Morris.

Pielęgniarka zacisnęła usta. — Proszę mi wierzyć, w normalnej sytuacji, zachęcalibyśmy do wszelkich wizyt, u rodziny i przyjaciół; ale pani Merryman, doprawdy, nie jest teraz w odpowiednim stanie do takich dalekich wycieczek. Po pierwsze jest dosyć ciężka i szczerze wątpię, czy udałoby się pani samej wsadzić ją do samochodu. A poza tym jest w tej chwili całkiem niezdolna do tego, żeby w jakikolwiek sposób sama się obsłużyć.

— Pomaga przy ubieraniu. Trochę.

Siostra Morris nie odpowiedziała.

— Oparzenia są już wygojone. Nie wiem, dlaczego stopa nie jest nadal leczona. Jej stan pogarsza się nieustannie, od chwili, kiedy się tu znalazła. — Amelia poczuła, że przynajmniej raz udało jej się zatrzymać siostrę przełożoną w biegu.

— Proszę pozwolić do mojego biura, panno Lindsay — odparła siostra Morris.

W pokoiku wielkości szafy stały dwa twarde krzesła i biurko. Pielęgniarka zaprosiła Amelię i usiadła sama. Przynajmniej żadne koszty nie zostały przeznaczone na urządzenie biura, pomyślała kwaśno Amelia chcąc nie chcąc oddając siostrze przełożonej należyty szacunek.

— Gangrena postępuje. — Siostra Morris patrzyła jej prosto w oczy. W głosie zabrzmiał chłodny ton relacji. — Moglibyśmy podjąć decyzję o amputacji, ale to prawie na pewno by ją zabiło. Ma bardzo wysokie ciśnienie krwi i pierwsze objawy choroby Parkinsona. Przykro mi, ale naprawdę nie pozostało wiele do zrobienia. Jak dotychczas nieźle radzimy sobie z bólem i, mówiąc szczerze, wszystko, co możemy dla niej zrobić w obecnej chwili, to

właśnie starać się zapewnić jej możliwie wygodne i przyjemne życie, a także mieć nadzieję, że infekcja nie rozszerzy się ponad kolano.

— Jak dużo czasu jej jeszcze zostało? — zapytała Amelia i zaczerwieniła się, zdając sobie sprawę, że przez moment jakaś gorsza część jej osoby zastanowiła się, o ile byłoby prościej, gdyby śmierć nastąpiła przed Bożym Narodzeniem. Potem przypomniała sobie wyraz twarzy Selmy, błagającej, żeby nie pozwoliła jej umrzeć w Cherryfield.

Siostra Morris westchnęła i wzruszyła ramionami. — Może parę tygodni, a może całe miesiące. Kto to może wiedzieć?

— Istnieje ogólne przekonanie, że Bóg — rzuciła oschle Amelia. — Czasami pytam sama siebie, kto mu dał takie prawo? — Rozbawiło ją przerażone spojrzenie pielęgniarki, kiedy podniosła się i ruszyła do wyjścia.

Szła wolno przez świetlicę z tym jej zapachem wyschniętego moczu, z pomrukami i pochrząkiwaniem, potem przez długi, czysty korytarz do pokoju Selmy. Piekło, przyszło jej do głowy, to z całą pewnością nie ogień i zapach siarki, ale kilometry korytarzy i przejść z wypolerowanymi podłogami, gdzie każdy krok biednego grzesznika odbija się stukrotnym echem o ściany, a powietrze przepełnione jest odorem środków dezynfekujących.

ROZDZIAŁ 24

Dwudziestego trzeciego grudnia Amelia stała w przedsionku Ashcombe, po raz pierwszy od czasu, kiedy dom został sprzedany, to znaczy od ubiegłej wiosny. Stary klucz pasował idealnie do zamka i oto stała teraz wśród znajomych ścian w kolorze ochry oświetlonych mlecznym światłem zimowego przedpołudnia. Ruszyła przed siebie, zaskoczona, jak niewiele się tu zmieniło. Było trochę mniej kurzu, niż w ostatnich latach urzędowania tu Selmy i znikł gdzieś koci odór, zastąpiony miłą wonią zapachowych mieszanek, które Doreen, podobnie do Selmy, trzymała w miseczkach porożkładanych w całym pokoju. Teraz ich działanie nie było niczym zakłócone. To prawdziwe szczęście, że Doreen podziwiała zawsze to, co nazywała na własny użytek stylem domku na wsi. Same pokoje: gabinet z półkami na książki i rzeźbionym w sośnie ozdobnym obramieniem kominka, salon z oszklonym wykuszem wyglądającym na morze, jasne korytarze... wszystkie te wnętrza miały tak mocny i wyraźny własny charakter, że wszelkie zmiany w umeblowaniu zmieniły je prawie niezauważalnie, jak lekki makijaż na twarzy o wyrazistych rysach. Tylko jadalnia naprawdę się zmieniła. Nie było już złotożółtych ścian i miodowych zasłon. Dominujący kolor stanowił ciemnozielony odcień ścian udekorowanych sztychami przedstawiającymi sceny z polowań.

Gdy obeszła już cały dom, wyszła na zewnątrz i zaczęła wypakowywać sprzęty z wynajętego wozu bagażowego, który stał

zaparkowany przed garażem. Błogosławiła w myśli wysokie żywo-
płoty z tui, które zasłaniały dom od strony drogi i sąsiednich
ogrodów.

Pracowała ciężko, podśpiewując starą piosenkę. „Dzwonki
w piekle, dzwonią wściekle, ding-a-linga-don”. Wróciła po kolejny
fotel. „Czarne diabły biją w gong” — wydyszała ciągnąc po ścieżce
ciężki szezłag i ustawiając go w gabinecie. — Ding-a-ling-a-don”.
Ustawiła kufry w hallu i rzuciła na dawny stolik do kart stertę
prześcieradeł, kocy i ręczników. Stanęła na chwilę odgarniając
włosy z wilgotnego czoła i postanowiła, że jeśli pójdzie do piekła za
to, co robi, to przynajmniej pójdzie tam jako lepsza osoba.

Kiedy zaczął zapadać zmrok, Amelia stała w salonie z naręczem
gałęzi ostrokrzewu mających zwieńczyć jej dzieło. Nieznane stoły
stały się znów dawnymi stołami Selmy, dzięki świątecznym obrusom
haftowanym przez matkę Willoughby'ego, które Amelia rozłożyła
wszędzie, gdzie się dało. Dwa szwedzkie olejne obrazy z widokiem
Gothenburga i pejzażem zachodniego wybrzeża wisały po obu
stronach kominka, a przy oknie w wykuszu stał ulubiony fotel
Sekny.

Kiedyś, wiele lat temu, Amelia zapytała babcie, czy takie
świętowanie Bożego Narodzenia nie obraża w jakiś sposób jej
żydowskiej wiary. Selma stała wtedy na ostatnim szczeblu biblio-
tecznej drabiny z pudełkiem bombek w ręku ubierając czubek
wysokiej choinki. Amelia widziała ją oczyma pamięci całkiem
wyraźnie; odwróciła się wtedy, patrząc na nią z góry i uśmiechając
się odparła: — Jezus był niewątpliwie wielkim Żydem. Dlaczego nie
miałabym przyłączyć się do obchodów jego święta? — I umieściła
na czubku drzewka wielką, złotą gwiazdę, którą Amelia pomogła
jej wcześniej zrobić.

Ostatnią rzeczą, jaką przyniosła z samochodu do domu, była
dwumetrowa choinka. Ubrała ją w zabawki znalezione w pudłach,
pośród babcinych rzeczy. Znalazła też starą gwiazdę z tektury
oklejonej sreberkiem. Zamocowała ją na czubku i przyglądając się
jej w migoczących światełkach elektrycznych lampek, zauważyła jej
kształt, niewątpliwie naśladujący Gwiazdę Dawida.

„Ubrane ze smakiem choinki to jakaś anormalność” mawiała
zawsze Selma. Ta spodoba jej się na pewno, uśmiechnęła się do
siebie Amelia. Była cała obładowana świecidełkami, bombkami

i kolorowymi lampkami tak, że stojąc w wykuszu wyglądała jak jedna wielka lśniąca piramida. Amelia spojrzała z zadowoleniem na swoje dzieło, po czym wysliznęła się cicho przez frontowe drzwi i zamknęła je na klucz.

Na środku ciemnej świetlicy Cherryfield też ustawiono, ale plastikową choinkę, migoczącą światełkami. Barwy podstawowe, jak w ruchu drogowym, rzucały refleksy na różowe ściany i szare twarze rezydentów. Z magnetofonu dobiegały jazzowe transkrypcje znanych melodii i koled.

— Nie powinna się pani martwić o babcię — powiedziała siostra Williams, najwidoczniej bardzo z siebie zadowolona. — Urządzamy tutaj prawdziwe, wspaniałe święta. Zawsze jest indyk z wszystkimi dodatkami; co prawda przygotowany i pokrojony zawsze dzień wcześniej ze względu na kucharki, ale muszę przyznać, że jeszcze nigdy się go nie powstydziliśmy. Co do tradycyjnego bożonarodzeniowego deseru z bakalii nie mamy złudzeń, ze względu na nasze zęby, ale każdy za to dostaje kawałek tortu. — Jej promienny uśmiech był rzucony Amelii jak wyzwanie.

— Doprawdy myślicie o wszystkim.

— Aha, zapomniałabym! Oczywiście mamy też loterię świąteczną, w tym roku w zielonych i złotych papierkach.

— Z prawdziwymi czapeczkami? — Amelia mówiła z takim wysiłkiem, jakby do jej strun głosowych był przyczepiony ołowiany ciężar.

— Oczywiście, że z czapeczkami. — Nagły hałas i lamentujący głos dobiegł ze strony siedzącej pod oknem drobnej staruszki, więc pielęgniarka pośpieszyła na pomoc rzucając jeszcze przez ramię: — Pani Merryman odpoczywa dzisiaj w łóżku. Znajdzie ją pani w pokoju.

Amelia odwróciła się jeszcze w drzwiach. — A co, jeśli oni wcale nie chcą papierowych czapeczek?

Siostra Williams wyglądała na zmieszaną, ale tylko przez moment. Po chwili jej twarz znów się rozpromieniła. — Każdy chce mieć taką czapeczkę na święta, prawda?

Amelia nie spała dobrze tej nocy. Budziła się często z wyschniętym gardłem i sercem bijącym tak, jakby miało zamiar

wyskoczyć jej z piersi, a próbując znaleźć wygodną pozycję, zastanawiała się, czy przypadkiem nie wyrosła jej w tym czasie dodatkowa ręka naumyślnie przeszkadzająca w wygodnym ułożeniu.

Kiedy szła korytarzem w stronę Aneksu, próbowała sama się uspokoić. Nic się jeszcze nie stało, czego nie można by odwrócić. Kiedy przyjdzie co do czego, może Selma w ogóle nie będzie chciała wyjechać? W końcu już trochę się przyzwyczaiła do Cherryfield. Było jej zawsze ciepło i wygodnie; zawsze ktoś się kręcił w pobliżu...

Powiem jej, że spędzimy całe Boże Narodzenie razem, w Cherryfield, postanowiła. Przyniosę czekoladki, suszone owoce i bakalie, ciasto, nawet szampana. Otworzyła drzwi do pokoju babci.

— Ach, jesteś nareszcie, Amelio. Czekam na ciebie i czekam — w głosie Selmy zabrzmiała nutka oskarżenia. Siedziała na zasłanym łóżku w swojej starej i nieco zużytej chustce od Gucciego zawiązanej pod brodą. Miała na sobie chyba całą zawartość szkatułki z kosztownościami. Dwa złote łańcuszki na szyi i trzy duże broszki przypinane byle gdzie na fioletowym sweterku. Drogie kamienie i gemmy błyszcząły wśród plam i zacieków.

— Jestem już spakowana — oznajmiła wskazując na małą walizeczkę leżącą na krześle. Spod zamkniętej pokrywy wystawały kawałki materiału i stopa pończochy. Amelia spojrzała z powrotem na babcię i wzięła głęboki oddech. Próbując nadać swemu głosowi radosny i rozsądny zarazem ton, zapytała: — Jesteś pewna, że nie wolałabyś zostać tutaj, gdzie jest ci tak przytulnie i wygodnie?

Śmiech Selmy zabrzmiał jakby zjadliwie. — Oczywiście, że nie. Chcę wrócić do domu.

— Ach, no tak. — Amelia kiwała głową rytmicznie, jakby pomagało jej to zachować równowagę. — Dobrze. — Wzięła walizeczkę. Wypadł z niej naszyjnik z koralami, które rozsypały się po podłodze.

Kiedy wreszcie wyszła z Aneksu pchając wózek jedną ręką, w drugiej trzymając walizkę, zatrzymała się przy drzwiach świetlicy i zapytała: — Chcesz powiedzieć komuś do widzenia? Widzę tam pannę White i pana Ambrose.

Była również siostra Morris. Spojrzała na walizeczkę w rękę Amelii i zauważyła: — A więc, pani Merryman opuszcza nas na całe święta. — Otworzyła szeroko oczy, wyraźnie rozdrażniona, a fałdki tłuszczu pod brodą zaczęły jej podrygiwać.

W Boże Narodzenie nawet siostra Morris przypomina mi indyka, pomyślała ironicznie Amelia.

— Ominie panią całą zabawa — zaszcebiotała z kąta panna White. — Mamy obiecane prawdziwe przyjęcie.

Mina przełożonej nieco złagodniała, jakby na dźwięk słów ulubionego ze swoich dzieci. — Oczywiście, że będzie przyjęcie i to nie byle jakie!

Selma przenosiła wzrok z jednej na drugą, jej palce zaciskały się coraz mocniej na poręczach wózka. W końcu nie wytrzymała i wybuchła krzyżąc piskliwie: — Nie zostaję tutaj, rozumiecie? Nie zostaję! — Podniosła ręce, próbując odwrócić się do Amelii. — Jadę do domu!

Z wyjątkiem panny White, która podniosła oburzony wzrok na siostrę Morris, jakby mówiła, no proszę, jaka niegrzeczna osóbką, nikt nie zwrócił uwagi na to, co się stało; rezydenci wpatrywali się tępo w ściany, lub w wyłączony telewizor. W ciszy słychać było tylko metaliczny dźwięk grającego kolędy magnetofonu.

Tu jest jak w nowojorskim metrze, pomyślała wzdręgając się Amelia. Nikogo nic nie obchodzi. Obeszła wózek i wzięła ręce babci w swoje dłonie. — To ty o tym decydujesz — powiedziała wolno i wyraźnie, czując, że te słowa były chyba najważniejszymi słowami, jakie kiedykolwiek wymówiła.

— Gdyby pani była tak uprzejma, proszę zatrzymać się przed wyjściem przy moim biurze — powiedziała siostra Morris niebezpiecznie zadziornym tonem, jak nauczyciel, który ostatecznie postanawia nie gnębić już więcej nie przygotowanego ucznia.

— Zaczekaj tutaj — powiedziała niepotrzebnie Amelia do Selmy i odeszła pośpiesznie.

Przełożona wręczyła jej formularz. — Proszę tu podpisać — wskazała na wykropkowane miejsce przy dolnym brzegu kartki. — Jest to potwierdzenie, że podczas, gdy pani Merryman znajduje się pod pani opieką, Cherryfield nie ponosi odpowiedzialności, jeśli cokolwiek jej się stanie. Dziękuję. Wesołych Świąt, panno Lindsay.

ROZDZIAŁ 25

Wiele lat temu Willoughby przywiózł swojego ukochanego, starego boksera z podróży do weterynarza, z której, mówiąc szczerze, nikt nie przypuszczał, że pies wróci żywy. Wyszadzony ostrożnie z tylnego siedzenia samochodu powlókł się, jak tylko mógł najszybciej, prosto na swoje ulubione miejsce, na dywaniku przed kominkiem, tak starym jak on sam. Pokręcił się, jak zawsze, w kółko, potem położył się, zamachał parę razy swoim małym, wyleniałym ogonkiem, westchnął z głębokim zadowoleniem, zamknął oczy i zasnął.

W niektórych rzeczach psy są zaskakująco podobne do ludzi. Na przykład, pomyślała Amelia dokładając drewna do kominka, właśnie w zachowaniu po powrocie do domu z długiej, nieprzyjemnej podróży, kiedy wydawało ci się, że możesz już nigdy nie wrócić. Drzemiąc w swoim fotelu, Selma poruszyła się i zamamrotała coś pod nosem. Nawet podczas snu w kącikach ust, razem z resztkami mleka, które przed chwilą wypiała, drzemał uśmiech szczęścia. Obok, na trójstopniowym półmisku do ciast stał jej ulubiony kubek z kotem i śladem po reperacji Willoughby'ego, biegnącym, jak czarna nitka przez środek rysunku. Amelia pomyślała, że Willoughby uznałby za śmieszne to, że przeżyje go taki kruchy, porcelanowy kubek.

Podczas jazdy samochodem do Ashcombe Amelia wyjaśniała babci, za pomocą małych, zręcznych kłamstewek, które wydawały

się mnożyć w niezwykle powikłane intrygi i oszukaństwa, dlaczego dom będzie wyglądał trochę inaczej. — Ktoś zamieszkał w Ashcombe podczas twojej nieobecności. Coś w rodzaju dozorca, czy opiekuna. Wprowadzili się ze swoimi rzeczami. Ich dom został zalany w czasie powodzi, więc wydawało nam się to najsensowniejszym wyjściem. Niestety, kobieta jest uczulona na kocią sierść... W każdym razie jeszcze nie wszystko wróciło do dawnego stanu. — Zdawała sobie sprawę, jak nieprzekonujące były te wszystkie wyjaśnienia. Spoglądała ukradkiem na babcię, ale ona tylko się uśmiechała, kiwała głową ze zrozumieniem, twierdząc, że oczywiście, to jedyne sensowne wyjście. Amelia pomyślała, że podświadomie wytwarzane złudzenia są proporcjonalnie silne do woli życia.

— Pościeliłam ci szezlong w gabinecie — powiedziała na głos; Selma otworzyła zaspane oczy i uśmiechnęła się. — Na ten czas, dopóki nie wydobrzeją trochę twoje nogi.

Gabinet był dość duży, ale zawsze umeblowany bardzo oszczędnie. I teraz były tu tylko półki z książkami, szezlong ze starym, chińskim parawanem, oddzielającym go od reszty pokoju, biurko Willoughby'ego pod oknem... i znów pokój należał do Merrimanów.

Selma leżała już przebrana w swojej własnej, miejscami przetartej ze starości i połatanej pościeli. Amelia zbierała się do wyjścia z pokoju, kiedy zauważyła nie wierząc własnym oczom, jak dolna warga babci drży, a jej oczy napełniają się łzami. Stała, jak zamurowana, patrząc na nią z przerażeniem, podobna do matki, której ukochane maleństwo kopnęło z pogardą, starannie dobrany i pięknie zapakowany prezent.

— Co się stało? Babciu droga, co jest nie w porządku? — Patrzyła na nią, sama bliska płaczu, drapiąc nieświadomie spierzchniętą skórę na ręce, aż ukazała się na niej mała, prawie niewidoczna kropelka krwi.

Selma pociągnęła nosem, uśmiechnęła się i wyciągnęła swoją zdrową, lewą rękę w stronę wnuczki. — Nic się nie dzieje, kochanie. Jestem po prostu szczęśliwa, że wróciłam. — Ucisnęła lekko jej rękę i dodała ze śmiechem: — Wiem, że to niedorzeczne z mojej strony, ale czasami przychodziła mi do głowy myśl, że nie wrócę tu już nigdy. — Łzy pociekły po jej policzkach, zostawiając dwie nierówne bruzdki na grubej warstwie pudru. Potrząsała ręką coraz

silniej, jakby chciała wyrwać ją ze stawu. — Kochana moja, tak strasznie się bałam.

A ja właśnie miałam jej powiedzieć, że po świętach będzie musiała wrócić do Cherryfield, wyrzucała sobie Amelia, patrząc bezradnie na babcię. — No, ale teraz jesteś w domu i tylko to się liczy. — Wstała, otulając ją lepiej kołdrą i poprawiając poduszkę. — Wygodnie?

— Mmm — uśmiechnięta twarz Selmy promieniowała szczęściem. — Dziękuję, kochanie.

Dagmara stwierdziła, że ostatnia rozmowa telefoniczna z Amelią była trochę dziwaczna. — Co przez to rozumiesz? Jak to: przyjeżdż i spędź z nami święta w Ashcombe, zamiast w Exeter? No dobrze, nie będę o nic pytać. Będę jutro. Tak, o dwunastej — odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni nastawić czajnik. Była bardzo ciekawa, co Amelia planowała. Wszystko to pachniało przygodą. Dagmara zawsze czuła, że została stworzona do innego życia, do innej roli, niż ta, którą aktualnie pełniła. Jej życie było jak renesansowe obrazy, które z biegiem czasu blakły i ciemniały, tracąc ten niepowtarzalny smak, jaki nadał im geniusz malarza. Była stworzona do życia pełnego przygód, oczywiście, gdyby pozwoliła sobie na choćby pięć kolejnych minut myślenia o przygodzie.

A więc co Amelia mogła wymyślić? Dagmara nalała filiżankę herbaty i skuliła się w ulubionej pozycji na fotelu, przy oknie. Była gotowa pogрузić się w przyjemnej kontemplacji, ale jej myśli nie chciały zebrać się i podjąć gry. Od czasu „małego zakrętu”, jak nazwała na własny użytek swoje ostatnie załamanie, strach przed zarazkami i brudem trochę osłabł, jakby zatarły się jego wyraźne granice. Ale nie minęło parę tygodni, a zaczęły ją męczyć nowe obawy; nowy wróg uformował się z przyczajonego tuż pod warstwą rozumową lęku. „Jestem pewna, że miałam o czymś pamiętać”. Nieustanny strach przed czymś, co umknęło jej uwagi, lub pamięci wywoływał stan podenerwowania i nieustannej kontroli. Czuła, że musi złapać i zatrzymać każdą myśl; między szczątkami informacji i rozrzuconymi urywkami rozmów, myśli i obrazów, mogło kryć się coś istotnego. Coś, co jeśli nie zostało w porę wykryte mogło spowodować jakąś szkodę, a myśli, jak to myśli uciekały i prze-

pływały poza zasięgiem jej starań, pozostawiając ją bezradną i zagubioną w czarnych otchłaniach pamięci.

Spakowała rzeczy, prezenty i ubrania do walizki, zadzwoniła do sąsiadki poinformować ją na wszelki wypadek o swojej nieobecności, napisała karteczkę z wiadomością dla mleczarza, odwołując dostawy przez parę najbliższych dni; wszystko to z podświadomym dyskomfortem, że o czymś zapomniała. Może bank? A może coś, co dotyczyło pracy? Jak, do Ucha, AmeUa zdołała namówić Hamiltonów, żeby pozwolili jej spędzić święta w Ashcombe? Długa, czerwona spódnica na pierwszy dzień świąt, czerwona bluzka i ciemnozielony żakiet w jodełkę. Uwielbiała Boże Narodzenie i każdego, kolejnego roku wiązała z nim duże nadzieje.

Poranek wigilijny był mglisty i dość ciepły. Dagmara zadzwoniła do drzwi frontowych w Ashcombe. Otworzyły się niemal natychmiast i Amelia wciągnęła ją pośpiesznie do środka. — Widział cię ktoś?

Dagmara spojrzała na nią urażona. — Wesołych Świąt, Amelio. Co rozumiesz przez to, czy ktoś mnie widział?

Amelia zabrała ją do kuchni, gdzie od razu zmarszczyła się na widok ciemnych, dębowych szafek na miejscu starych, biało-niebieskich. — Ale ohyda — prychnęła siadając przy stole.

Wysłuchawszy spokojnie wszystkich wyjaśnień, Dagmara wybuchnęła śmiechem, po czym zadała bardzo rozsądne pytanie: — A jak zamierzasz jej obwieścić powrót do Cherryfield?

Amelia nalewała wrzątek do srebrnego imbryka do kawy. — Nie wiem. — Postawiła imbryk z boku, na starej kuchence, jeszcze z czasów Selmy i usiadła naprzeciwko matki. Uśmiechnęła się, nerwowo pocierając palcami czoło. — Nie wiem — powtórzyła. — Po prostu nie wiem.

— To niedobrze — stwierdziła Dagmara nalewając sobie kawy do filiżanki.

— No to co? — prawie krzyknęła Amelia. — Więc będę kłamała dalej i dalej. Tak to zrobię! Będę kłamała aż do chwili, kiedy nie starczy mi już sił i wtedy będę musiała zaciągnąć ją z powrotem do Cherryfield, co ją kompletnie załamie. A siostra Morris oznajmi z satysfakcją, że zawsze wiedziała, że to się tak

skończy, ty będziesz mówić różne bardzo pocieszające rzeczy, jak: „Amelio, to niedobrze”, a cholerny wujek Robert zjawi się tu nagle jakimś cudem, w samą porę, żeby mnie pouczyć, że w ogóle nie powinnam się wtrącać. Oczywiście jedyną osobą, która nie wróci będzie Henry, bo tylko on mógłby się tu na coś przydać. I w ogóle już nic miłego się nie stanie, prawda?

— No, teraz trochę przesadziłaś — odezwała się Dagmara.

Amelia na krótką, kojącą chwilę ukryła twarz w opartych o stół ramionach i wdychała przyjemne fale ulubionego zapachu jaśminowego.

— Przepraszam — powiedziała po chwili unosząc głowę i uśmiechając się do matki. — Ale przynajmniej dzieje się coś, czego Selma naprawdę pragnęła. Zależało jej, żeby spędzić święta w domu, więc się tak stanie. I to musi się przecież jakoś liczyć. Pokażę jej, że nie jest jeszcze całkiem pozbawiona możliwości decydowania o swoim życiu. Jeśli się nie ma takiej możliwości, to traci się całą nadzieję. Jeśli się traci nadzieję, to już lepiej umrzeć. — Wstała patrząc na zegarek. — Chodźmy, przywitasz się. Jest już jej pora na tabletki.

W dzień Bożego Narodzenia świeciło blade, zimowe słońce, a mgła w ciągu nocy przeobraziła się w biały, lśniący szron, jak przystało na święta.

— Dziękuję ci, Panie Boże — powiedziała na głos Amelia stojąc przy otwartym oknie swojej starej sypialni. — Czy mógłbyś nie zmieniać taktyki? Bardzo cię proszę.

Selma wypita poranną herbatę w łóżku z córką i wnuczką, siedzącymi u stóp jej szezlongu. — Nie zrobiłam ci, kochanie w tym roku świątecznej skarpety na prezenty... — powiedziała przepraszająco do Amelii i podniosła do ust filiżankę upijając szybko łyk herbaty, zanim jej ręka zaczęła swój zwykły taniec. — Jakoś nie mam ostatnio tyle czasu, co zwykle. — Zauważyła zirytowane spojrzenie Dagmary i z okrzykiem zakryła dłonią usta. — Chyba nie powiedziałam nic nieodpowiedniego. — Roześmiała się serdecznie. — Pewnie, że nie. Wiedzieliście od dawna, że to nie żaden święty Mikołaj.

Amelia zastanowiła się, po co właściwie Lewis Carroll wymyślił Królika, który zabierał Alicję do krainy czarów? Przecież wystarczyłaby całkiem siwowłosa babunia.

Około dwunastej zadzwonił dzwonek do drzwi. Klęcząc przed otwartym piekarnikiem Amelia polewała właśnie tłuszczem pieczeń z indyka. Dzwonek dźwięczał natarczywie, jakby próbował przebrzyczyć płynącą z radia kolędę śpiewaną czystym, chłopięcym sopranem. Amelia ze stoickim spokojem nie przerywała polewania skwierczącego indyka. Po krótkiej przerwie dzwonek znów zadzwonił. Amelia nie wstając z klęczek modliła się w duchu, żeby Dagmara wytrzymała i nie pokazała się w oknie. Sięgnęła do góry szukając swojego kieliszka szampana, który stał gdzieś na blacie obok kuchenki. Poczwała pod palcami znajomy chłód kryształowego naczynia i ostrożnie przesunęła je palcami na skraj blatu, po czym szerokim łukiem zestawiała na dół. Usiadła pod szafką, opierając się o nią plecami i pociągnęła łyk chłodnego, ożywczego wina. Selma nigdy nie zabierała się za przygotowywanie świątecznego obiadu nie zaopatrzwszy się pierwej w butelkę szampana, który mobilizował siły i poprawiał humor. Zwykła mawiała: „To dobry sposób na przebrnięcie przez mniej ekscytujące momenty świąt”. — Dzwonek umilkł właśnie w chwili, gdy Amelia dopijała ostatnie krople trunku.

Za chwilę wparowała do kuchni Dagmara, oglądając się co chwila przez ramię. Sprawdza, czy nie gonią jej wilki, zadzwiała w duchu Amelia.

— Dolać ci? — Siedząc wciąż na podłodze sięgnęła po butelkę.

Dagmara potrząsnęła głową. — Mam jeszcze trochę. Mamusia też. Jestem pewna, że nie powinnaś jej w ogóle dawać żadnego alkoholu. — Uchyliła drzwiczki piekarnika i spojrzała nieobecny wzrokiem na zrumienioną pieczeń. — A może trzeba było otworzyć drzwi? Ktokolwiek by to był powiedziałybyśmy, że wstąpiłyśmy tylko na chwilę po drodze z kościoła, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Albo coś w tym stylu — mówiła lekko podniesionym głosem. — Może ten ktoś nas widział i właśnie teraz dzwoni na policję?

Amelia spojrzała na matkę, wychyliła resztę szampana z kieliszka, przytrzymując go na dłuższą chwilę w górze. Zapewne, pomyślała, właśnie w tej chwili Gerald i Clarissa siadają do świątecznego obiadu w moim domu. Mój Gerald, mój dom. Wszystko się skończyło.

— Upijesz się — Dagmara uniosła cienką, umalowaną brew.

— Mam taką nadzieję — Amelia wstała z podłogi i dolała wody do brukselki.

W salonie królowało Boże Narodzenie. Z okna, poprzez gałęzie choinki wpadały do pokoju młeczne blaski z oszronionego ogrodu. Świeciły kolorowe lampki, na ramach obrazów poukładane były gałązki ostrokrzewu z błyszczącymi, czerwonymi jagodami, a w kominku trzaskał wesoło ogień. Amelia przykryła stół Hamiltonów czerwonym obrusem, z wyszytymi ściegiem krzyżkowym listkami i śnieżynkami i nakryła na trzy osoby używając niebiesko-złotej porcelany babci.

— Chyba nie masz nic przeciwko temu, że zjemy w salonie? W jadalni jest jakoś zimno, może ogrzewanie nie działa — kolejne kłamstwo, oczywiście.

Ale Selma nie oponowała. Dagmara pomogła jej się przebrać w obszerną, kaszmirową sukienkę w kolorze pawiego niebieskiego, którą podarowała jej dziś rano. Selma siedziała teraz przy stole z uprzejmym uśmiechem osoby nie nadążającej za opowiadaną w towarzystwie anegdota.

— Bez podkładu? — syknęła Dagmara, kiedy Amelia usadzała babcię na krześle.

— Bez podkładu — odpowiedziała jej szeptem. — Chcę, żeby raz jej ubranie dotykało siedzenia bez żadnych przeszkód.

— Dlaczego? — Dagmara zrobiła zdziwioną minę. — A tak sobie — odparła córka wzruszając ramionami.

Kiedy Amelia postawiła przed Selmą talerzyk z wędzonym łososiem, staruszka podniosła na nią wzrok, w którym malowało się zmieszanie, choć jej twarz była pogodna. — Wiesz, długo mnie nie było w domu — przestała się uśmiechać. — To nie było zbyt przyjemne.

Jadła w skupieniu, nie mówiąc już nic więcej. Kawałki indyka, brukselki i strumyczki ciemnego sosu łądowały cicho w miękkich fałdach jej sukienki. Dagmara pokroiła jej jedzenie w małe zgrabne porcje, co Selma przyjęła bez sprzeciwu. Tego jednego nauczyło ją Cherryfield: musiała zaakceptować swoją zależność od innych ludzi.

Amelia zapaliła świece w całym pokoju, na stoliku karcianym i małym stoliczku do kawy, na parapetach okien i nad kominkiem. Siedziały otoczone światłem, podczas gdy, na zewnątrz powoli zapadał zmierzch.

Policzki Selmy były lekko zaróżowione, częściowo dzięki wypitemu winu, częściowo z powodu ciepła, jakie biło od kominka.

— Muszę przyznać — powiedziała — że ten indyk jest naprawdę przepyszny.

Jest szczęśliwa, pomyślała Amelia trochę zdziwiona. Stara kobieta, z gnijącą nogą, umierająca od co najmniej trzech różnych dolegliwości i mimo to jest szczęśliwa. I to dzięki mnie. Wstała, żeby przynieść tradycyjny świąteczny pudding z bakalii. Wniosła go uroczyście, trzymając półmisek wysoko nad głową tak, żeby wszyscy mogli podziwiać niebieski płomień, palący się malowniczo nad potrawą.

— Brawo kucharz! — Selma śmiała się na głos i biła brawo, kiedy Amelia ostrożnie ustawiała pudding na środku stołu. Przyglądały się wszystkie, jak niebieski płomień powoli przygasa i roztapia się w karmelowym sosie.

— Nie wyrzucajcie tego, co zostało, dobrze? — poprosiła Selma wskazując na lepką kupkę bakaliową, która została na półmisku. — Będzie pyszne jutro odgrzane w piekarniku.

Zbierając naczynia Amelia myślała o jutrze i śmiała się do siebie pod nosem. „To wszystko dzięki mnie...” dzwoniło jej radośnie w uszach.

Po skończonym obiedzie Selma poprosiła wnuczkę o swoją szkatułkę z kosztownościami. — Jest chyba jeszcze w mojej walizce. — Spojrzała na nią wyjaśniająco. — Bo widzisz, byłam długo poza domem.

Amelia przypomniała sobie wypakowywanie rzeczy babci i małą skórzaną szkatułkę; bez trudu znalazła ją w gabinecie i przyniosła.

Selma pochyliła się i z uwagą przebierała w jej zawartości. — Mam dla was parę małych upominków.

— Ale przecież już dostałyśmy od ciebie tyle pięknych prezentów! — Amelia wskazała na całą górę papierów i pudełek przy kominku, a pośród nich kilka książek, szalik, buteleczkę perfum. Prezenty od Selmy dla niej, Amelii, i dla Dagmary, które sama wybrała i pracowicie zapakowała w ozdobne papiery.

— A, to... To nic takiego. — Selma machnęła pogardliwie ręką. — Nie miałam za wiele czasu na zakupy w tym roku. — Odwróciła się do Dagmary. — Chciałabym, żebyś ty to miała. Rodzinna broszka od twojego ojca, jeszcze z Niemiec.

Była śliczna, w kształcie koszyka z kwiatami, wysadzana diamentami i rubinami. Dagmara przypięła ją do bluzki. — Jest

piękna. Zawsze bardzo ją lubiłam. — Podniosła się i pocałowała matkę w policzek.

Amelia dostała śliczną bransoletkę z jaspisów, a na koniec Selma wyciągnęła duży sygnet. — Należał do Willoughby'ego. Pamiętasz go, kochanie? Robert ma sygnet swojego dziadka, więc chciałabym, żeby nosił go twój wybrańiec. Jego miejsce jest na palcu, nie powinien tak leżeć bezużytecznie w pudełku.

Amelia rzuciła spojrzenie Dagmarze. W tej chwili zastanawiały się obydwie, którego wybrańca Selma miała na myśli.

— No, kochanie, weź go — nalegała babcia. Więc Amelia wzięła sygnet i podziękowała. — Wspaniale, będzie na pewno bardzo wzruszony.

Selma wyglądała na zadowoloną z siebie. — Chyba nie sądziłyście, że zapomniałam o waszych prezentach, co? Zaśmiała się i dodała: — Wiecie co, jeszcze nie czytaliśmy dokładnie tych wszystkich życzeń świątecznych.

Amelia odwróciła oczy. — Nnie — powiedziała słabym głosem. — Chyba nie.

Selma spojrzała wymownie na rozłożone nad kominkiem kartki bożonarodzeniowe, a potem na Amelię. — To głupie, ale nie pamiętam nawet, żebym je otwierała. Co za pamięć...

Dziś wieczorem całkiem niezła, przyznała w duchu Amelia. Ułożyłam je tutaj przed samym twoim przyjazdem.

— Więc, kochanie, mogłabyś je zdjąć i przynieść? — w głosie Selmy zabrzmiało lekkie zniecierpliwienie. — Jakoś nie mogę się podnieść z miejsca, jak zawsze. To chyba z powodu tego wspaniałego obiadu.

— Zgnieć ci orzecha? — zapytała Dagmara sięgając po drewnianą miseczkę, którą sama wyrzeźbiła z lipowego drewna, gdy była dziewięcioletnią dziewczynką.

Selma zignorowała jej pytanie wpatrując się z rosnącą ciekawością w rząd świątecznych kartek. Z głębokim westchnieniem, które jakoś wymknęło się nienaumyślnie, Amelia wstała i sięgnęła po największą z nich, z widokiem ośnieżonego Trafalgar Square, jak z powieści Dickensa. Zastanawiała się długo, zanim ją kupiła. Kosztowała prawie całego funta.

— Przeczytam ci, dobrze? — zapytała miękko. — Przy kominku jest jaśniej i poza tym nie wiem, gdzie położyłaś swoje okulary.

Selma nie miała nic przeciwko temu, więc zaczęła „czytać”, zmyślając gładkie, bożonarodzeniowe zdania wesołych świąt, najserdeczniejszych życzeń wszystkiego dobrego w nowym roku, przypominając sobie coraz to nowe imiona i nazwiska przyjaciół Selmy i Willoughby'ego. — ...oraz wszystkiego najlepszego — Gordon i Sheila.

Selma kiwała głową i uśmiechała się na dźwięk każdego imienia, ale w tym momencie podniosła głowę i zmarszczyła brwi. — Gordon nie żyje.

Amelia poczuła się, jak kapitan okrętu spuszcający kotwicę w zabronionym miejscu pod osłoną gęstej mgły, który właśnie zauważa z przerażeniem promienie słońca i wiatr rozwiewający mgliste opary, ujawniające światu jego zdradę.

— To Sheila, musiała automatycznie podpisać się za nich oboje. Słyszałam, że to się zdarza. — Amelia próbowała słabym głosem ratować sytuację.

— Nie, zza grobu to się raczej nie zdarza. Biedny Gordon; był, proszę cię, wdowcem od wielu lat.

Amelia czuła się zmęczona. I dlaczego, pomyślała gorzko, twoja pamięć pracuje akurat wtedy, kiedy nikt tego nie potrzebuje?

— Jesteś pewna, że nie chcesz orzecha laskowego? Są przepyszne — nalegała Dagmara.

— O! A ta jest od Hammondsów — wykrzyknęła Amelia, machając barwną kartką ze złotymi brzegami. Hammondsowie z całą pewnością byli jeszcze żywi. Widziała ich w supermarkecie przedwczoraj rano. Ale Selma jakoś straciła zainteresowanie. Jej twarz nie była już zaróżowiona, policzki nabrały szarawego odcienia, a powieki mrużyły się, może ze zmęczenia. Dagmara wstała i zaczęła zbierać kolorowe papiery z podłogi. Właśnie miała wrzucić błyszczącą, zieloną płachtę papieru do kominka, kiedy Selma ożywiła się. — Nie, nie rób tego, kochanie. Będą jeszcze na przyszły rok — powiedziała wyciągając rękę. Położyła sobie papier na kolanach i zaczęła wygładzać dokładnie wszystkie zagięcia drżącymi palcami.

Około ósmej leżała już w łóżku, otulona kołdrą, uśmiechnięta, jak szczęśliwe dziecko. — To był cudowny dzień. — Nagle zmarszczyła brwi. — Ale gdzie się właściwie podział ten twój ukochany? Czy nie mówiłaś, że przyjdzie?

Amelia pocałowała ją delikatnie w policzek. — Ma pracę przez

całe święta. Był bardzo rozczarowany. — Chciała wyjaśnić dalej, ale Selma już spała.

Amelia przyglądała jej się przez parę ładnych minut, zanim otrząsnęła się z zamyślenia i wyszła z pokoju. Chciałabym, żeby tak umarła, właśnie teraz. To byłoby dla niej idealne, jeśli nie musiałaby się już obudzić, myślała ze smutkiem.

W drzwiach stała Dagmara, też przyglądając się matce. Kiedy zamknęły drzwi do gabinetu, szepnęła: — Byłoby dla wszystkich lepiej, gdyby już się nie obudziła.

Amelia spojrzała na nią i uśmiechnęła się łagodnie. Potem powiedziała cicho: — Nie mogę opędzić się od myśli, że to, co uczciwe i to, co przyjemne zaskakująco często wydaje się chodzić całkiem odmiennymi drogami.

ROZDZIAŁ 26

Ale Selma obudziła się oczywiście i nazajutrz, i następnego ranka, a każdego dnia wydawała się być coraz silniejsza. To było tak, jakby życie wsączało się w nią za każdym dotknięciem znajomego przedmiotu, każdym poczuciem na wargach chłodnego brzegu chińskiej, porcelanowej filiżanki, za każdym rzutem oka na drzewa i żywopłot za oknem.

— Musimy powiedzieć tym ludziom, żeby zabrali wreszcie swoje rzeczy, skoro już wróciłam—powiedziała dziarsko czwartego dnia po Bożym Narodzeniu, kiedy Amelia przyniosła jej śniadanie na tacy. — Ciągle nie bardzo rozumiem, dlaczego właściwie tak wszystko poprzestawiali.

Kiedy powiedziała o tym Dagmarze, matka tylko przewróciła oczami i westchnęła. — Mówiłam ci. Nie przemyślałaś tego dobrze. Powinnyśmy odwieźć ją jutro z powrotem, a ona ciągle jest przekonana, że dom należy do niej, i że wróciła tu na dobre.

— Jedź, jak zaplanowałam jutro do Exeter — Amelia przerwała jej dalsze narzekania. — A ja zostanę z nią tu jeszcze z dzień albo dwa. Hamiltonowie i tak wracają dopiero za dziesięć dni.

— Wcale ci nie będzie łatwiej powiedzieć jej o tym później — ostrzegła Dagmara.

— I wcale się tego nie spodziewam. Ale kiedy się ma przed sobą najwyżej sto dni życia, to każdy szczęśliwy dzień jest prawdziwym

darem losu i trzeba to wykorzystać — powiedziała zadowolona ze swojego argumentu.

Dagmara odjechała i Amelia została z babcią w Ashcombe sama. Było jej teraz trudniej. Cudowny powrót do życia Selmy okazał się przelotny, jak szwedzkie lato. Coraz częściej i na coraz dłuższe chwile opanowywał ją ciemny i ponury stan ducha i zamroczenia pamięci. Spała tak dużo, że Amelię zaczęło to martwić. Czy to dobrze przesypiać większą część dnia? Czy może powinna być stymulowana, jak ktoś, kto przedawkował narkotyk i utrzymywana za wszelką cenę w stanie świadomości? Nie miała kogo zapytać. Dzwoniła codziennie do Dagmary, ale jedyną odpowiedzią, jaką od niej słyszała było: — Odwieź ją z powrotem.

Napisała do Henry'ego. Niejednokrotnie wyobrażała sobie, że z nim rozmawia. Siadała przy oknie w wykuszu salonu i pytała go o zdanie, po czym wykładała swoje racje. Czasem wczuwała się w rolę do tego stopnia, że kiedy przerywała, a nie było odpowiedzi czuła się głęboko zawiedziona.

Chodząc po pustym, cichym domu miała nieraz wrażenie, że znajduje się w zamkniętej kapsule, bujającej w przestrzeni kosmicznej, tak samowystarczalnej i samotnej, jak jakaś mała planeta. Wychodziła do ogrodu tylko po zapadnięciu zmroku, zdając sobie sprawę, że jeśli nikt o tobie nie wie, masz tylko własne słowo na to, że rzeczywiście istniejesz. Były też chwile, zwłaszcza rano, albo o czwartej po południu, gdy tak przynębiająco wcześniej zapadał zmrok, kiedy jej myśli pędziły, jak opętane konie, popędzane szybkim biciem serca: odkrycie, dziennikarze, policja, więzienie. Żałowała, że książki prawnicze Willoughby'ego zostały w przechowalni. Wiedziałyby przynajmniej, czy takie wykroczenie było zaliczane do przestępstw kryminalnych, czy szkód. Z całą pewnością nie może być oskarżona o kradzież; nawet brandy na świątecznym puddingu było jej własne. Ale co z gazem i elektrycznością? Któregoś dnia, gdy tak leżała rano w łóżku, wierząc się i wzdychając, myślała już, że jej pierś zaraz pęknie uwalniając cały strumień trosk i zmartwień.

Dołączało się do tego wszystkiego ponure, zamglone światło zimowych dni między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Codziennie rano Amelia rozsuwała zasłony, jak najszerzej się dało, ale mimo to o każdej porze dnia w domu panował lekki półmrok, jakby na świecie wciąż był zmierzch.

— Ten żywoplot przydałoby się już przyciąć — stwierdziła Selma któregoś ranka, kiedy Amelia przyniosła jej śniadanie. — Po Nowym Roku porozmawiam o tym z panem Edwardsem. — Amelii wydało się, że głos babci brzmiał dzisiaj jakoś ciszej, jakby słowa dochodziły z o wiele dalszej odległości, niż pół szerokości gabinetu.

— Nie zajmuję się tobą tak dobrze, jak robili to w Cherryfield — powiedziała równie cicho. — I znów spóźniam się z lekarstwami.

— Nienawidzę lekarstw. Mój ojciec umarł od tych różnych piekielnych mikstur. Łykał dużo i żadne nie zgadzały się z innymi. — Uśmiechnęła się słabo i wyciągnęła rękę w kierunku Amelii, która pośpiesznie podtrzymała ją, zanim opadłaby z powrotem na pościel. — Wiesz, właściwie nic takiego mi nie dolega. Nic, czego nie mógłby wyleczyć parodniowy odpoczynek w moim własnym domu, pod opieką mojej kochanej wnusi. — Przechyliła się i sięgnęła po tacę stojącą na bocznym stoliku.

— W każdym razie — dodała po chwili — nie zaciągnęliby mnie końmi do tego przekłętą miejsca. Wiesz, jak nie znosiłam internatów, kiedy byłam mała. — Zamknęła oczy na chwilę i wymamrotała: — Nienawidziłam.

Amelia podniosła się ciężko z brzegu szezlonga, jakby próbowała podnieść się spod góry gruzu. Powiem jej jutro, zdecydowała. Spakuję i przygotuję wszystkie rzeczy, a potem po prostu jej powiem, że wychodzimy, żeby nie było czasu na narzekania i płacze.

Nazajutrz rano, w Sylwestra, Amelia musiała lekko potrząsnąć ramię Selmy, żeby ją obudzić. Ale i wtedy babcia otworzyła tylko na chwilę oczy, uśmiechnęła się i zamknęła je znowu. Oddychała płytko i dosyć szybko. Amelia stała nad nią przyglądając się i w miarę upływu czasu była coraz bardziej przestraszona. Jak gracz w wista z małego miasteczka, przyłapany na grze w pokera w Las Vegas: nie na swoim miejscu. Z pobladałą twarzą pobiegła do telefonu i nakręciła numer lokalnego ośrodka zdrowia.

Doktor Donaldson odłożyła stetoskop i z grobowym wyrazem twarzy przywołała Amelię do szezlonga, na którym Selma dryfowała na granicy jawy i snów.

— Jest w bardzo złym stanie; właściwie nie kwalifikującym się do leczenia. Ciśnienie krwi bardzo wysokie, a jeśli chodzi o nogę... — znów pokręciła głową. — Wolałabym się skonsultować z jej lekarzem domowym, ale niestety jest chyba na urlopie. — Przerzuciła

jakieś papiery. — A! Mamy ją zarejestrowaną w domu opieki Cherryfield — spojrziała przelotnie na Selmę. — Naprawdę sędzę, że tam byłoby jej teraz lepiej. Kiedy pani planowała zabrać ją z powrotem?

— Właściwie, tydzień temu. Ale ona tak nienawidzi i boi się tego miejsca... — Amelia czuła puchnącą w gardle, miękką kulę. — Jak dużo czasu jej jeszcze zostało?

Doktor Donaldson wzruszyła ramionami, zupełnie tak, jak siostra Morris. — Nie można tego jednoznacznie określić. Dni, tygodnie, może dłużej.

Mamy tylko pięć dni, pomyślała Amelia ze łzami w oczach. Pięć dni, żeby mogła umrzeć w spokoju. Popatrzyła na babcię, potem odwróciła się i dogoniła lekarkę zbierającą swoje rzeczy w salonie.

— Które z tych pigułek są niezbędne, żeby utrzymać ją przy życiu? Może ona bierze za dużo lekarstw?

Doktor Donaldson przyjrzała jej się uważnie. — Wszystkie są niezbędne dla podtrzymania życia; oczywiście z wyjątkiem środków przeciwbólowych. — Rozejrzała się wokół. — Myślałam, że mieszkają tu Hamiltonowie.

— Zgadza się — upewniła ją Amelia. — Ale są bardzo niespokojni zostawiając dom bez opieki, a więc ja teraz pilnuję dobytku. Musiałam przywieźć tu też babcię.

Doktor Donaldson najwyraźniej wystarczyła taka odpowiedź. — Kiedy wracają? — zapytała.

— Za jakieś parę dni — odparła wymijająco Amelia. — Czy nie miałyby pani jakiegoś zbędnego pokojowego sedesu? Mój kręgosłup zaczyna dawać mi się we znaki.

— Jeśli naprawdę uważa pani, że pani babcia woli zostać tu, pod pani opieką, przyślę pani pielęgniarkę dwa razy dziennie i postaram się wpadać po pracy w szpitalu. Ale nie będzie można tego ciągnąć w nieskończoność. A sedes pokojowy przyślę pani jutro. Na pewno mają jakieś zapasowe w szpitalu.

Pielęgniarka przyszła już tego samego dnia wieczorem. Pomogła w myciu, zmierzyła ciśnienie i założyła Selmie nowy opatrunek na nogę.

— Chciałabym dzisiaj już wstać — oznajmiła Selma nazajutrz po wizycie pielęgniarki. — Czuję się znacznie lepiej.

Ubrały ją w ciepły, szmaragdowy szlafrok i posadziły na wózku.

Skrzywiła się i syknęła, kiedy chora noga dotknęła brzegu łóżka, ale nie powiedziała ani słowa skargi. Zamiast tego zaczęła uprzejmą konwersację.

— Niestety, w tym roku nie mogłam uczestniczyć we wszystkich świątecznych przygotowaniach, tak jak zawsze. Ale muszę przyznać, że moja mała wnusia poradziła sobie sama bardzo dzielnie. — Spróbowała z wysiłkiem odwrócić się i uśmiechnąć do Amelii.

Kiedy znalazły się na chwilę same, pielęgniarka uśmiechnęła się ciepło i spojrzała Amelii w oczy. — Niech pani tak się nią zajmuje, moja droga, dopóki tylko będzie można. Zawsze powtarzam, pozwólcie im umrzeć we własnym domu.

— Kiedy to się stanie, jak pani myśli? — Amelia uchwyciła wyraz zdziwienia w oczach pielęgniarki, więc od razu dodała na swoje usprawiedliwienie. — Bo, widzi pani, chciałabym być na to przygotowana.

Jej twarz się rozjaśniła. — No tak, oczywiście. Ale kto to może powiedzieć? Na pewno znajdzie pani w sobie dużo siły, kiedy przyjdzie czas, proszę się nie martwić.

Amelia przedłużała jej wizytę jak tylko się dało. Była w niej taka przyjemna i wesoła kompetencja i akceptacja, powiew normalnego, prawdziwego życia, w którym młode kobiety nie musiały włamywać się do cudzych domów, żeby spędzić tam święta z ich umierającymi babciami. Stała w drzwiach przyglądając się, jak pielęgniarka zamyka furtkę. Kiedy mały czerwony samochód ukazał się ostatni raz na zakręcie drogi, poczuła, że wraz z nim opuszcza ją cały rozsądek i zdrowie psychiczne, jakby jechało właśnie zadowolone, na siedzeniu obok kierowcy. — Załóż pasy — mruknęła pod nosem. — Mogę cię jeszcze potrzebować.

Następnego ranka, przygotowując w kuchni poranną kawę z mlekiem dla babci, usłyszała, że ktoś trzasnął frontowymi drzwiami. Było jeszcze za wcześnie na pielęgniarkę, a poza tym ona przecież nie miała kluczy. Automatycznie zanurzyła mały palec w mleku, sprawdzając jego temperaturę i słysząc zbliżające się kroki na korytarzu zastygła z kubkiem w ręku wpatrując się w drzwi. Kroki zawahały się, ale za chwilę ktoś pchnął drzwi i Amelia zobaczyła w nich bladą, podłużną twarz starszej kobiety, zaglądającą podejrzliwie do środka. — O, mój Boże — wytrzeszczyła oczy na widok Amelii. — A pani co tu robi?

Amelia pamiętała, że najelegantszą formą obrony jest atak. — A czy mogę wiedzieć, kim pani jest? — I dodała zgodnie z prawdą: — Nie spodziewałyśmy się dzisiaj nikogo.

Kobieta najwidoczniej doszła do wniosku, że, jeśli Amelia byłaby niebezpieczna, z pewnością odstawiłaby już kubek z kawą i wzięła do ręki nóż. Weszła więc do środka, na wszelki wypadek stając jednak blisko otwartych drzwi. Była ubrana w roboczy fartuch w kwiatki. — Nazywam się Clover. Sprzątam u pani Hamilton w każdy wtorek i czwartek. — Założyła chude ręce na piersiach. — Dziś jest wtorek.

— A więc, nie będę pani przeszkadzać — stwierdziła Amelia. — Hamiltonowie wracają w niedzielę, więc pewnie jest dużo do zrobienia. Aha, salon był już odkurzany. — I skierowała się do wyjścia. Serce biło jej szybko i głośno; była prawie pewna, że pani Clover musi to słyszeć.

Sprzątaczką najwidoczniej poczuła się pewniej, więc zastąpiła Amelii drogę. — Pani Hamilton nie wspominała mi, że ktoś miał być w domu w czasie ich nieobecności.

— Widocznie zapomniała — pokręciła głową Amelia. — Powinno się uprzedzać o takich rzeczach, wiem. Przy okazji, jestem wnuczką państwa Merrymanów. Amelia Lindsay. Moi dziadkowie kiedyś tu mieszkali i pani Hamilton poprosiła mnie o popilnowanie domu. Jest pani pewna, że nic o tym nie mówiła? — zapytała ze współczuciem.

— Z całą pewnością nie. — Pani Clover wyglądał początkowo na niezadowoloną, ale potem jej mina złagodniała. — Pamiętam Merrymanów. Pracowałam kiedyś dla ich przyjaciół, Franklinów. Myślałam, że już oboje zmarli...

— Nie całkiem — odparła Amelia gorzko. — Ale nie będę już pani zatrzymywać. Aha, gabinet na razie niech zostanie tak, jak teraz. — Prześliznęła się obok sprzątaczkę i wyszła z kuchni.

Selma znowu usnęła w swoim ulubionym fotelu, w salonie. Amelia weszła na górę, do sypialni, żeby zebrać swoje papiery. — Kapelanie Henry Mallett, potrzebuję cię! — powiedziała na głos, zanim zeszła na dół do Selmy. Kapelan Mallett nie uwierzyłby pewnie w wiarygodność tego wyznania, pomyślała ze smutkiem.

Usiadła na ławie okalającej wykusz i po krótkim zastanowieniu, zaczęła pisać.

„Mój drogi Henry! Tak bardzo bym chciała, żebyś tu teraz był”.

Przyjrzała się tym słowom gryząc nakrętkę długopisu. Hałas odkurzacza zbliżał się coraz bardziej.

— Coś się tu musi dziać — w drzwiach pojawiła się pani Clover ciągnąc za sobą odkurzacza. — Ten pokój wyglądał zupełnie inaczej.

— Moja babcia śpi.

Pani Clover rzuciła okiem na Selmę i ściszyła głos do syczącego szeptu. — Dzwonię do Hamiltonów. Dali mi numer na wypadek włamania albo pożaru.

— Przecież nie ma ani jednego, ani drugiego — powiedziała Amelia zmęczonym głosem. — Więc po co ich martwić?

Selma chrapnęła, zamlaskała i poruszyła się w swoim fotelu, jej głowa przechyliła się trochę, a szczęka znów opadła bezwładnie w dół. Wyglądała tak mizernie a jej cera była całkiem szara. Szarością martwego ciała w kostnicy, zanim właściciel zakładu pogrzebowego nie zabierze się do dzieła swoimi farbkami i pędzlami pomyślała Amelia i wzdrygnęła się.

— Proszę, niech pani nie dzwoni. — Spojrzała błagalnie na sprzątaczkę, jakby miała nadzieję, że wzbudzi w niej litość. — Proszę. Do soboty już nas tu nie będzie.

— Jesteście tu bezprawnie. Nikogo nie pytałyście o zgodę. Powinam była od razu zadzwonić na policję. — I kiedy Amelia wstała i ruszyła w jej kierunku, wybiegła z pokoju.

Amelia wróciła na swoje miejsce usiadła i schowała twarz w dłoniach. Zaraz ktoś przyjedzie i zabierze Selmę z jej kochanego Ashcombe, ściągnie ją z tego starego fotela, z którego może widzieć morze i ogród i zawiezie z powrotem do Cherryfield, żeby tam umarła z dala od wszystkiego, co kocha, ze wszystkimi nadziejami zaprzepaszczoneymi i rozwianymi złudzeniami.

— Wiedzą, kim pani jest. — Pani Clover wróciła i stojąc w drzwiach, gotowa była w każdej chwili znów uciec. — Mówią, żebyście natychmiast opuściły dom, i że rozmówią się z panią po powrocie. Ma pani szczęście, że nie chcą włączyć w to policji. W tej chwili nie.

Amelia podniosła głowę i popatrzyła jej w oczy. — Zostajemy. — No i proszę, powiedziała do siebie w duchu. Zrobiłam to. Kiedy wstała, pani Clover zrobiła krok do tyłu, a widząc, że Amelia idzie w jej stronę, odwróciła się i wybiegła. Amelia usłyszała trzask

i szczęk, a potem krzyk. Kiedy wyszła szybkim krokiem na korytarzyk,omal nie potknęła się o kobietę, leżącą jak długa na podłodze z prawą stopą zaplątaną w rurę od odkurzacza.

— Proszę — powiedziała wyciągając rękę.

Pani Clover wyglądała tak, jakby wiedziała, że w każdej chwili może tego pożałować, a mimo to przyjęła ofiarowaną jej pomoc.

— Widzi pani, jestem całkiem niegroźna — uśmiechnęła się Amelia. — Ale nie opuścimy tego domu. — Teraz już wszystko wydawało się zupełnie proste. O wiele prostsze, niż zabranie Selmy do Cherryfield.

Pani Clover wzruszyła ramionami. — Proszę bardzo. Ale ja nie zostanę tu ani chwili dłużej. Nie pod jednym dachem z przestępczynią.

— A więc dobrze—powiedziała zmęczonym głosem Amelia. — W takim razie sama skończę sprzątanie.

ROZDZIAŁ 27

Niebo, nieprzenikniona kopuła szarości, pozwoliło nocy wśliznąć się ukradkiem i powoli zapanować ciemnościami nad światem. Selma wypła trochę rosołu i teraz siedziała na szezlongu oparta o poduszki nie wypuszczając z ręki dłoni wnuczki. Tak więc Amelia siedziała i rozmawiała z nią. Przez ich rozmowę przewijały się jak różnobarwne nici różne wspomnienia z przeszłości.

— Oczywiście, nigdy nie znałaś swojego dziadka — powiedziała nagle Selma silnym głosem. — Zmarł w Niemczech, jeszcze przed wojną.

— Chciałabym wiedzieć o nim więcej — odparła Amelia i po raz pierwszy chyba naprawdę była szczerą. Ale Selma szybko zasnęła.

Pielęgniarka [nazywała się Mary] stała nad łóżkiem i patrzyła na Selmę. Uśmiechała się. — Chciałabym, żeby wszyscy moi staruszkowie mogli odchodzić w taki sposób. We własnych domach, pod opieką najbliższych.

Amelia również się uśmiechała. Nic nie szkodzi, że to wszystko jest tylko iluzją, pomyślała. Selma wierzyła, że jest u siebie; pani domu z dniem jutrzejszym do samodzielnego zaplanowania, a nie bezradny więzień domu opieki, gdzie jutro jawiło się raczej jako kolejna dopłata, niż korzystny naddatek. Mary nie zauważała żadnej różnicy, więc może iluzja stała się rzeczywistością. Amelia czekała, aż pielęgniarka zmierzy babci ciśnienie i zmieni opatrunek.

Czy przypadkiem dobrze zasłużona, uspokajająca i trwająca nieprzerwanie iluzja nie była nieodzowną potrzebą szczęśliwego życia? Jeżeli widzielibyśmy samych siebie, innych ludzi i całe życie takim, jakim jest naprawdę, czy ktokolwiek miałby jeszcze siły i ochotę, żeby żyć?

Nagle zdała sobie sprawę, że pielęgniarka do niej mówi.

— Ma niezwykle mocne serce. Wie pani, może jeszcze wytrzymać całe tygodnie; da sobie pani radę? A może jest ktoś, kto mógłby przyjechać i trochę z panią побыć?

Amelia potrząsnęła głową. — Całe tygodnie, tak?

— Może się tak zdarzyć. Ale też może odejść w każdej chwili. Nie będzie cierpiała. Jest nawet całkiem zadowolona, prawda? — Mary spojrzała na nią z uśmiechem. Jej różowa, okrągła twarz była pełna kojącej aprobaty, a mimo to Amelia wróciła do gabinetu bliska łez.

— Jeśli masz zamiar umrzeć, to zrób to teraz, proszę cię — wyszeptwała przez zaciśnięte zęby. — Jestem jak żongler, który dodaje jeszcze jeden talerz do całej piramidki już i tak chwiejnie balansującej nad jego głową. Pobiłam już rekord. Jeszcze jeden i wszystko spadnie i roztrzaska się o ziemię, trach, trach, trach — mamrotała do siebie uderzając zaciśniętą pięścią w czoło. Selma nagle chrapnęła i przewróciła się na bok. Na jej ustach błąkał się błądy uśmiech.

Amelia zadzwoniła do matki.

— Jeszcze tam jesteś? Właśnie miałam telefonować do Cherryfield, żeby zapytać, jak tam mamusia. To naprawdę nie są żarty. Musisz natychmiast odwieźć ją z powrotem. Nie mogę już znosić tego dłużej — oznajmiła obrażona, jakby przedłużający się pobyt Selmy w Ashcombe był perfidnie zaplanowanym atakiem na jej system nerwowy. — Wiesz, jestem pewna, że miałam ci jeszcze powiedzieć coś szalenie ważnego... ale już nie pamiętam. W każdym razie znasz moje zdanie i teraz umywasz ręce od tego co robisz, Amelio. Mówię całkiem poważnie.

— Ho, ho, ho — zdążyła tylko odpowiedzieć i Dagmara odwiesiła słuchawkę.

Amelia wyjrzała przez okno. Do furki podchodził właśnie sąsiad, pan Squire, który znał Amelię jeszcze z czasów, kiedy mieszkali tu Merrymanowie.

— Pani Clover przyszła do nas dzisiaj i powiedziała, że włamała się pani do domu Hamiltonów, czy coś takiego. — Pan Squire, wysoki i zgarbiony, podrapał się po łysiejącej głowie. — To naprawdę nie są rzeczy, do jakich chcielibyśmy się przyłożyć, wie pani... — Patrzył bezradnie w punkt trochę na lewo od ucha swojej rozmówczynie.

Amelia stała w drzwiach bez słowa. Rozprószę jego obawy jednym uśmiechem, pomyślała.

Pan Squire wyglądał na zmieszanego. — No cóż, myślę, że to sprawa między panią a Hamiltonami — i poszedł sobie. Amelia wróciła do gabinetu i zabrała się znowu do czytania na głos „Emmy”. Babcia znała tę książkę prawie na pamięć, toteż mogła swobodnie zasnąć w dowolnym momencie, a potem obudzić się i jak gdyby nigdy nic słuchać dalej.

Przed przyjazdem Hamiltonów Amelia przez całą noc czuwała przy Selmie. Siedząc w fotelu, w gabinecie słuchała jej oddechu, już tak płytkiego i szybkiego, jak kroki biegącego w oddali sportowca. Otworzyła okno, wpuszczając do środka lodowaty wiatr od morza, ale Selma była szczelnie opatulona kilkoma kocami i miała ciepłe ręce. Amelia pomyślała i w pewien sposób to czuła, że kiedy się umiera, na pewno nie pragnie się wokół ciszy i sterylności, ale właśnie świeżego powietrza, ruchu, zapachów kwiatów i potraw, głosów i muzyki; wszystkich tych dźwięków i widoków, które otaczały cię przez całe życie, dopóki byłaś jego częścią.

Minionego popołudnia była u babci doktor Donaldson i powiedziała, że nie wydaje jej się prawdopodobne, żeby Selma wstała jeszcze nazajutrz rano. Toteż Amelia zwinęła wszystkie świąteczne ozdoby i spakowała babcine meble do samochodu towarowego. Zabrała z sypialni na górze nawet pościel, kładąc ją w pobliżu fotela w gabinecie. Cała porcelana, z wyjątkiem jednej filiżanki ze spodeczkiem i jednego talerzyka, została starannie zapakowana do pudeł i również umieszczona w samochodzie. Tylko gabinet został taki, jakim go urządziła.

Teraz wyciągnęła się na fotelu i ziewnęła, po czym sięgnęła w stronę szeszlona i podciągnęła Selmie kołdrę pod samą brodę. Miała właśnie otworzyć teczkę z listami i zacząć pisać do Henry'ego, ale zamiast tego po krótkim zastanowieniu wstała i przyniosła

swoją torebkę. W małej, zapinanej na zamek przegródce leżał złoty wisiołek, prezent od niego. Podniosła go i przyjrzała się, jak dynda w powietrzu, a potem szybko zawiesiła go sobie na szyi. Z lekkim westchnieniem usiadła z powrotem w fotelu i zaczęła pisać:

„Selma umiera. Wiesz, jak ją kocham i bardzo chciałabym, żebyś mógł mi teraz wyjaśnić, jaki jest jeszcze cel przedłużania tego wszystkiego. Już wkrótce zapewne przekonam się, że Hamiltonowie są zdolni ściągnąć z łóżka umierającą kobietę. Życie, które zawsze wydawało się wystarczająco długie, teraz jest jedną, żalną chwilą. Leży obok mnie staruszka, oddycha płytko i lekko, jak ptak, a jej godziny są już zapewne policzone. Założę się, że i dla niej życie jest teraz jedną chwilą. I sądzę, że było tak zawsze.

Jeśli uda mi się uniknąć konsekwencji moich działań, co, jak mam nadzieję, stanie się mimo wszystko, nie sądzę, żebym jeszcze została w Kingsmouth po śmierci Selmy. Nie sądzę również, żebym była tu entuzjastycznie przyjęta. Pewnie pojedę z powrotem do Londynu i poszukam tam jakiejś pracy. Myślę, że w końcu udało mi się coś tu zrobić. Podjęłam działanie. Kłamałam, oszukiwałam i włamałam się do cudzego domu, a mimo to, wiesz, czuję się z siebie dumna. Pamiętam, jak powiedziałam ci kiedyś, że życie nie może zakończyć się szczęśliwie, że nie ma szczęśliwej śmierci. Być może myliłam się. Może Selma właśnie umiera szczęśliwie, lub przynajmniej jest tego bardzo bliska, a jest w tym trochę mojej zasługi”.

„... Załączam sygnet mojego dziadka. Chciałabym, podobnie jak Selma, wiedzieć, że go nosisz. Tak naprawdę to prezent od niej na Boże Narodzenie”.

„... Pisząc, czuję na skórze medalionik, który mi dałeś. Bądź bezpieczny, Henry. Modłę się każdej nocy, żeby nie było wojny...”

Selma przekreśliła się na łóżku i coś wymamrotała. Amelia odłożyła długopis i podeszła do okna rozsuwając zasłony, żeby wpuścić do środka trochę porannego słońca. Wyszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę i posmarowała masłem resztę bułki. Nie zostało im już prawie nic do jedzenia; w lodówce stało tylko półlitrowe mleko o przedłużonej dacie ważności. Zniosła tacę do gabinetu i postawiła na stoliku, obok szeszlona. Parę minut później

Selma otworzyła oczy i spróbowała się unieść, ale jej głowa wciąż opadała na poduszki. Szepnęła: — Kochanie, czy mogłabyś dziś wyjątkowo pomóc mi w jedzeniu? Nie czuję się chyba najlepiej.

O ósmej Amelia wyszła do ogrodu. Przy południowej ścianie, na tyłach domu rosły dwie kamelie, jedna czerwona, druga różowa. Ta różowa była już rozwinięta i ukazywała swoją całkiem nieangielską różowość na tle bujnych liści. Zerwała kilka kwiatów i zaniósła je do gabinetu, stawiając blisko Selmy.

Około dziesiątej Selma obudziła się i wypita odrobinę ciepłego mleka z buteleczki, którą Amelia specjalnie dla niej przygotowała. — Muszę powiedzieć Willoughby'emu, że kwitną już kamelie — odezwała się cicho. Wkrótce potem drzwi wejściowe otworzyły się i trzasnęły gwałtownie zamknięte.

— I co, Amelio Lindsay, twoja babcia jeszcze robi na mojej leżance? — Na progu gabinetu, w promieniach słońca wpadającego przez okna salonu, stała Doreen Hamilton otulona w sweter z białego mohairu. Jej rozjaśnione włosy były jaśniejsze, niż zwykle zapewne od tropikanego słońca, a turkusowe oczy otoczały rzędy gęstych, grubych od tuszu rzęs, sztywnych i kosmatych, jak nóżki muchy.

Amelia wstała wolno z szezlonga, przesunęła chiński parawan bardziej na środek i podeszła do Doreen. — Jeszcze umiera — odpowiedziała spokojnie. — A szezlong należy do niej. Jeśli zmusicie ją do wyjazdu, to zapewne tylko przyspieszy ten proces. Stracona nadzieja i złamane serce są starym i wypróbowanym sposobem na morderstwo. — Zmuszała się, żeby pozostać spokojna w obliczu coraz bardziej realnego obrazu Selmy zabieranej z powrotem do Cherryfield, zaskoczonej i przerażonej jej słowami: „Moja matka też umarła w takim domu”.

— Powiedziałaś, że umiera? — Syknęła Doreen. Wypychana już od jakiegoś czasu przez Amelię, wyszła w końcu z gabinetu i omal nie zderzyła się ze swoim mężem, który nagle pojawił się w salonie. Znad grubego futrzanego kołnierza widać było tylko górną część jego okrągłej twarzy o rumianych policzkach.

— Desmond — zwróciła się piskliwie do męża. — Pani Mer-ryman umiera w naszym gabinecie. I nie jest to wcale nic nagłego.

— Dzwonię do domu opieki — oznajmił i spojrzął nerwowo na Amelię. — I na policję.

— Nie! — wrzasnęła Amelia. Rzuciła się do kąta pokoju i tuż przed jego nosem wyrwała kabel telefoniczny z gniazdka.

— Co robisz, do cholery! — Zagradzając jej drogę swoim zwalistym ciałem cofnął się do hallu, gdzie stał drugi telefon.

— To nie będzie ładnie wyglądało w gazecie — krzyknęła za nim. — Lokalny przedsiębiorca budowlany wyrzuca na ulicę umierającą staruszkę.

Desmond Hamilton wyjrzał przez uchylone drzwi do salonu.

— Nigdzie nie wyrzucam twojej babci. Chcę ją tylko odstawić do domu opieki, gdzie jest jej miejsce.

Przez moment panowała pełna napięcia cisza. To, co powiedział Desmond zabrzmiało nad wyraz sensownie i Amelia poczuła, że jej woła walki zaczyna się rozpląwać w wątpliwościach. Ale zaraz potem pomyślała o Selmie śpiącej spokojnie w zaciszu gabinetu swojego ukochanego Ashcombe. Czy płakałaby i błagała? Na pewno byłaby śmiertelnie przerażona. Stały jej w oczach łzy. Z niepohamowanym szlochem przebiegła obok Doreen i wpadła do gabinetu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Dysząc podbiegła do okna, zatrzęsnęła je jednym szarpnięciem i zamknęła wewnętrzne okiennice. Przez małą szparkę spojrzała jeszcze raz na ogród. Gęsta, poranna mgła powoli opadała, ukazując znajome kształty drzew i krzewów. Jej serce zwolniło swoją szaloną szamotaninę, a oddech powoli się wyrównywał.

— Cześć, kochanie — Selma otworzyła oczy i uśmiechała się do niej. — Czy już jest rano? — Wyciągnęła rękę dotykając delikatnie jednej z buteleczek z lekarstwami stojącej na nocnym stoliku.

Amelia odruchowo spojrzała na zegarek. Właśnie nadchodził czas na pierwszą porcję dzisiejszych tabletek. Usiadła na fotelu opierając głowę o wysokie, miękkie oparcie. Zamknęła oczy. Lekarstwa mogą poczekać pięć minut. Ale gdy otworzyła oczy po chwili, Selma znowu spała. Zza drzwi dobiegały ją przytłumione głosy. W pewnej chwili ktoś zapukał głośno, aż podskoczyła w fotelu. Rzuciła okiem na Selmę, która na szczęście nie obudziła się i podeszła do drzwi.

— Tak?

— Panno Lindsay, Amelio — głos brzmiał przymilnie. — Mówi Doreen. Zadzwoniliśmy do domu opieki i rozmawialiśmy z przełożoną. Zaraz przyślą transport, więc możesz spokojnie otworzyć drzwi.

Amelia oparła czoło o futrynę i rozpłakała się. Duże, słone łzy spadały jedna po drugiej z jej policzków. Co mogła teraz zrobić? Co mogła zrobić, żeby biedne, słabe ciało Selmy, ledwo mogące jeszcze pomieścić w sobie jej duszę, nie zostało zaciągnięte siłą do Cherryfield, gdzie czekała na nie odpowiednia, dobrze zorganizowana, kulturalna i przede wszystkim całkiem legalna śmierć?

— Daj nam jeszcze chwilę, dobrze, Doreen? — głos odmówił jej posłuszeństwa. Dopiero po chwili dodała: — Proszę.

Za drzwiami panowała cisza, potem znów rozległ się głos Doreen, rozsądny i opanowany. — Dobrze więc. Jeszcze pięć minut i otworzysz drzwi.

Minęło pięć minut i kolejne pięć. Amelia przestała płakać. Włączyła cicho muzykę i usiadła przy Selmie. Przypatrując się jej twarzy słuchała pary skrzypiec wyznających sobie nawzajem miłość. Włożyła rękę do kieszeni i namacała sygnet, który czekał razem z listem na wysłanie do Henry'ego. Rozległo się ponowne pukanie.

— Desmond mówi, że będą już za chwilę.

Amelia nie odpowiedziała i jakimś cudem [już zaczynała wierzyć, że cuda się zdarzają] przez dobre pół godziny nic nie zakłócało cichych dźwięków muzyki i odgłosów wiatru w kominie.

A potem usłyszała nagle: — Panno Lindsay, jest tu ktoś, kto chciałby z panią porozmawiać — głos Doreen brzmiał zapraszająco.

— Proszę nas zostawić same.

— Panno Lindsay, tu siostra Morris. Chyba pomieszało się pani w głowie. Proszę wpuścić nas natychmiast do środka, pani babcia potrzebuje fachowej opieki.

Wycieńczona do granic wytrzymałości Amelia podeszła do drzwi. Pewnym, choć cichym głosem powiedziała: — Ma siostra rację, pomieszało mi się w głowie i wyszło mi to tylko na dobre. A teraz proszę nas zostawić w spokoju, bo jeśli nie, to ją zabiję. Proszę, niech nas siostra zostawi i PÓJDZIE SOBIE.

Czekając, Amelia dziękowała sobie za zapobiegliwość, która kazała jej odłożyć do kredensu jakieś zapasy jedzenia. Trzymała tam też przedtem różne napoje dla Selmy. W porze obiadowej zjadła kilka kanapek, ale mimo wysiłków nie zdołała wmusić Selmie nawet kropelki płynu.

— Panno Lindsay — jakiś głos znów przywołał ją do drzwi. — Mówi doktor Donaldson. Siostra Morris z Cherryfield już wyjecha-

ła. Powiedziała jej, że z punktu widzenia medycznego nie ma żadnego szczególnego powodu, żeby pani babcia musiała tam wrócić.

— Desmond dzwoni na poliq'ę, ostrzegam cię — wtrącił się piskliwy głos Doreen.

— Obawiam się, że musi pani uzgodnić tę sprawę z państwem Hamilton — ciągnął głos doktor Donaldson. — Ja postaram się zajrzeć za parę godzin, jeśli jeszcze tu pani będzie. W tym czasie proszę sprawdzić opatrunek i upewnić się, że chora nie cierpi.

Znów, przez jakiś czas Hamiltonowie nie dawali znaków życia i Amelia zdołała zmienić prześcieradło na szezlongu Selmy. Operacja nie była prosta, ale na szczęście Selma przebudziła się na moment i pomogła Amelii unosząc trochę nogi i ramiona. Uśmiechnęła się słabo. — Jutro na pewno poczuję się lepiej, zobaczysz, kochanie. — Zamknęła oczy i pogrążyła się znów w głębokim śnie.

Amelii chciało się siusiu. Sprawdzając ostrożnie, czy nie ma nikogo w ogrodzie, otworzyła okno i zeskoczyła na trawnik. Potem pobiegła wzdłuż ściany w krzaki rosnące w rogu. Wróciła szczęśliwie nie zauważona i już wspinając się do okna, usłyszała wołanie Doreen.

— Amelio, na miłość boską! Opanuj się wreszcie. Nie chcemy tutaj żadnej afery.

— A nie moglibyście wyobrazić sobie, że jesteśmy waszymi gośćmi? — Amelia mówiła błagalnym tonem, przyciskając twarz do małej szczeliny w drzwiach. — Macie dla siebie całą resztę domu, no i przecież nie jesteśmy kimś całkiem obcym.

— Ale nie jesteście gośćmi! Jesteście bezprawnymi włamywaczami, albo czym tam jeszcze. W każdym razie goście nie przychodzą do mnie po to, żeby umrzeć.

Amelia zaczęła się śmiać i śmiała się tak długo, że Doreen musiała krzyknąć, żeby ją uspokoić. Selma mruczała pod nosem coś, czego nie można było zrozumieć, ale nie obudziła się.

Niedługo po tym, Amelia zobaczyła w oknie twarz Desmonda Hamiltona. Wyglądał na zmęczonego i zmieszanego, jego twarz była szarawa. Poruszał ustami trzymając w ręku kawałek papieru z nabazgranymi na nim słowami: — Masz czas do siódmej rano, żeby wszystko przemyśleć. Potem dzwoniemy na policję. Jego przylizana głowa pokiwała współczująco i zniknęła w ciemności. Amelia usadowiła się gotowa czuwać całą noc.

— Jadła coś? — zapytała przez drzwi doktor Donaldson, parę godzin później. — A pani? Czy pani ma co jeść?

— Wypiła łyżeczkę rosołu, jakąś godzinę temu — jej głos załamał się. — Nie mogę zmusić ją do żadnego jedzenia. Śpi cały czas. Takim bardzo głębokim snem.

— W porządku — głos doktor Donaldson był łagodny i kojący, jak balsam galmanowy. — Proszę spróbować dać jej trochę wody i niech pani zje ten rosół sama. Przyjmowała jakieś tabletki?

— Dziś rano nie wzięła nic. Próbowałam jakiś czas temu, ale udało mi się tylko z tą małą, białą, tą na ciśnienie krwi i z czarno-żółtą kapsułką. Nie wydaje mi się, żeby cokolwiek ją bolało.

— Nie jest najgorzej. Niech pani spróbuje zasnąć. I jeszcze jedno, panno Lindsay. Oni mają zamiar usunąć was stąd jutro tak, czy inaczej. Przykro mi.

Amelia usiadła na podłodze opierając się plecami o szeszlony. Sięgnęła za dekolt i wyjęła swój wisiołek, obracając go w palcach.

Od czasu do czasu zapadała w krótką drzemkę, ale zaraz budziła się z niespokojnie bijącym sercem i wyschniętym gardłem.

Około szóstej rano wstała, żeby otworzyć okno i rozprostować obolałe i zeszywniałe nogi. Wychyliła się na zewnątrz z rozkoszą czując zimne, świeże powietrze na twarzy. Kiedy się odwróciła jej wzrok padł na miękką poduszkę pod głową babci. Oddech Selmy był już tak delikatny, jak pajęczna nić. Nie potrzebowała dużo, jeden szybki ruch, nagły skok ciśnienia i nitka zostanie przerwana. Amelia przeszła szybko przez pokój i położyła ręce na poduszce, obok babcinej twarzy. Lekko pochyłona patrzyła na nią od tyłu, a potem zamknęła oczy, jakby stała na wysokim brzegu morza, przygotowując się do skoku w czystą, zimną wodę w dole. Kiedy otworzyła oczy zobaczyła, że Selma nie śpi i stara się ją zobaczyć.

— To ty, kochanie? — jej głos brzmiał tak, jakby wróciła z jakiejś dalekiej podróży. — Kochanie, jesteś tam? — Powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. Amelia wiedziała, że te słowa mogą przywoływać kogokolwiek z jej „kochanych”: Daniela, Dagmarę, Willoughby'ego, Roberta, wreszcie ją samą. Tak naprawdę nie miało znaczenia kogo woła, jeśli tylko którekolwiek z nich, z tych najbliższych jej ludzi, było teraz przy niej.

Amelia z cichym westchnieniem pochyliła się i pocałowała Selmę w policzek, ciepły, suchy i delikatny, jak papier.

— Czas na twoje lekarstwa — powiedziała. — Czas na lekarstwa. — Wyciągnęła rękę nad szezlongiem i wzięła ze stolika pierwszą z brzegu buteleczkę. Wysypała na spoconą dłoń dwie czerwone tabletki.

Selma otworzyła szeroko oczy. Uniosła się nagle, spojrzała prosto na Amelię i szepnęła: — Do diabła z lekarstwami. — Opadła z powrotem na poduszki z lekkim grymasem na twarzy i umarła.

Bardzo wolno w oczach Amelii ukazała się łza, potem następna i następna. Ukłękła przy łóżku, objęła Selmę ramionami i trzymała ją tak, dopóki nie usłyszała za oknem chrzęstu żwiru pod oponami samochodu. Wstała i otworzyła drzwi.